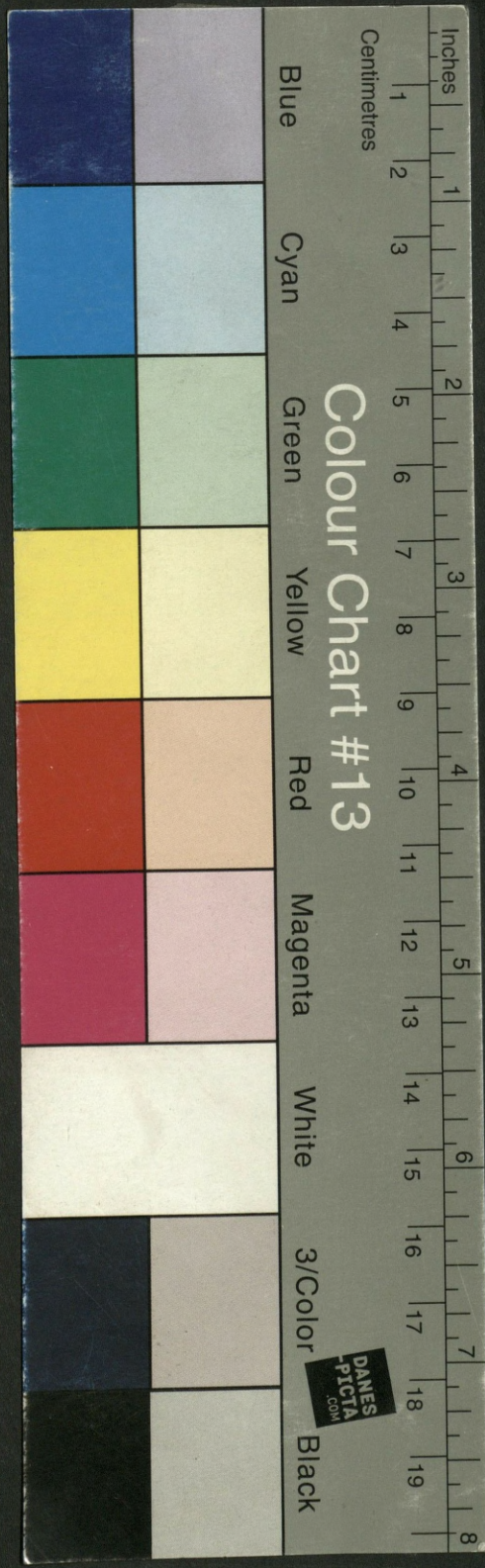
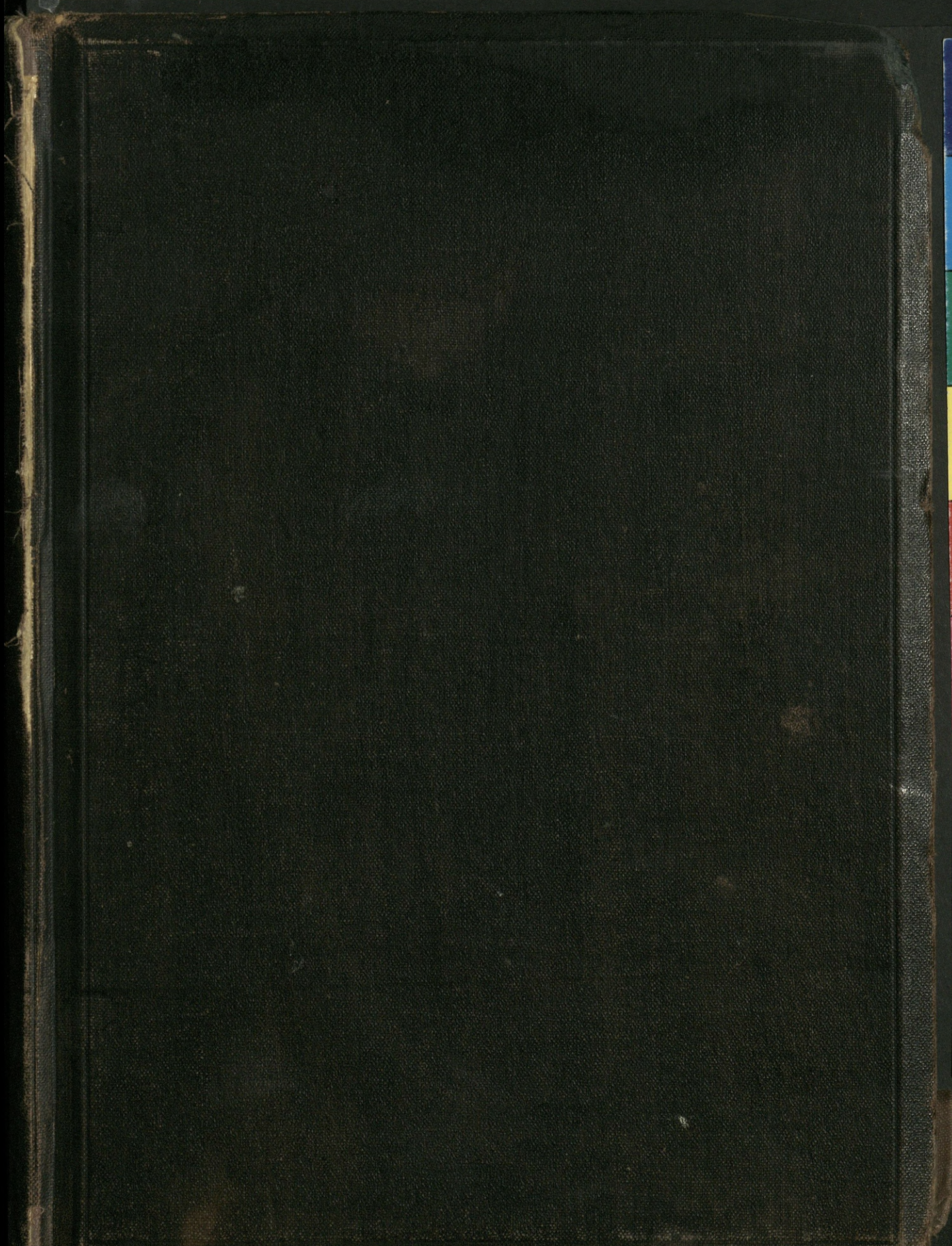
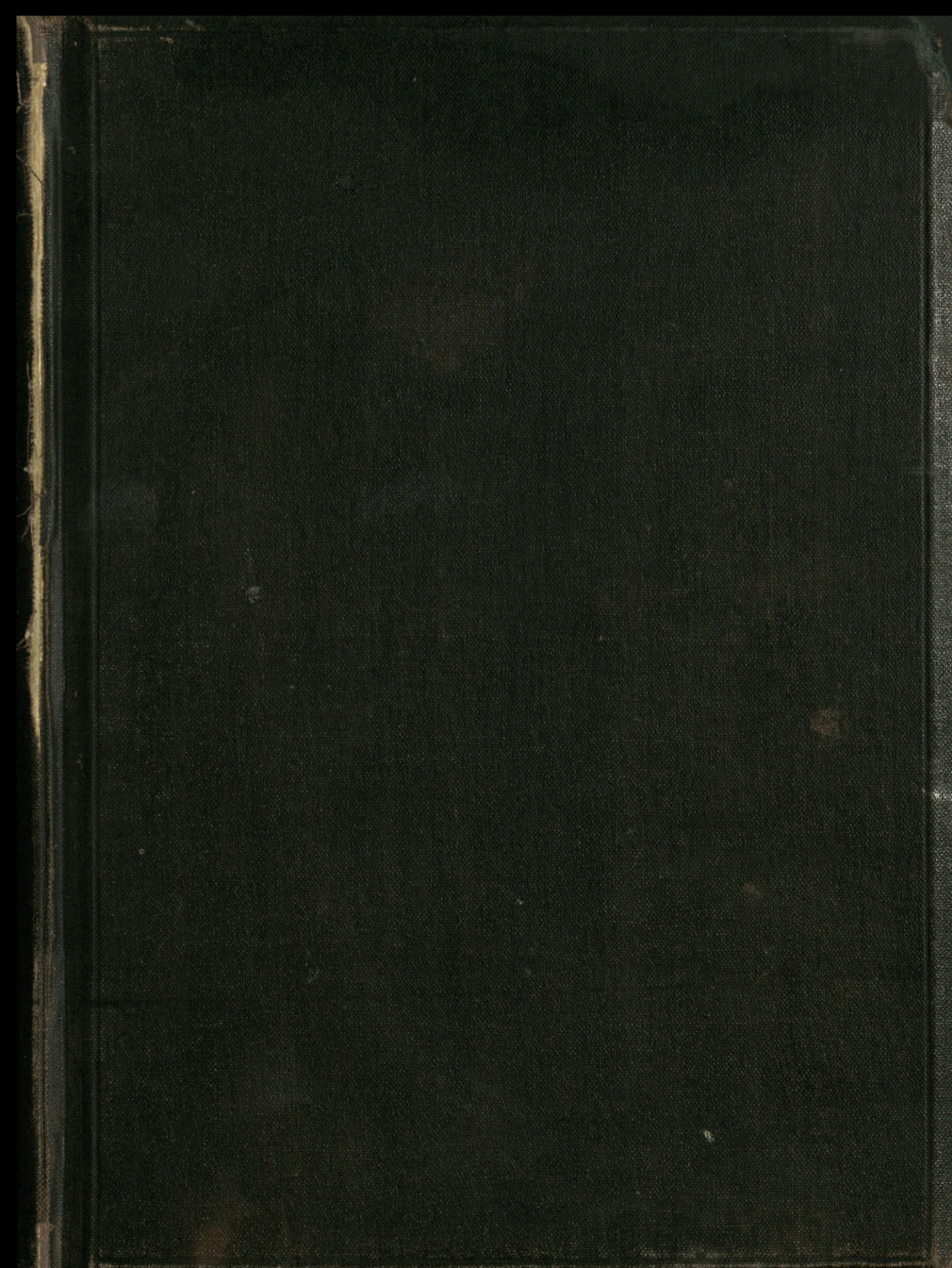


Grey Scale #13

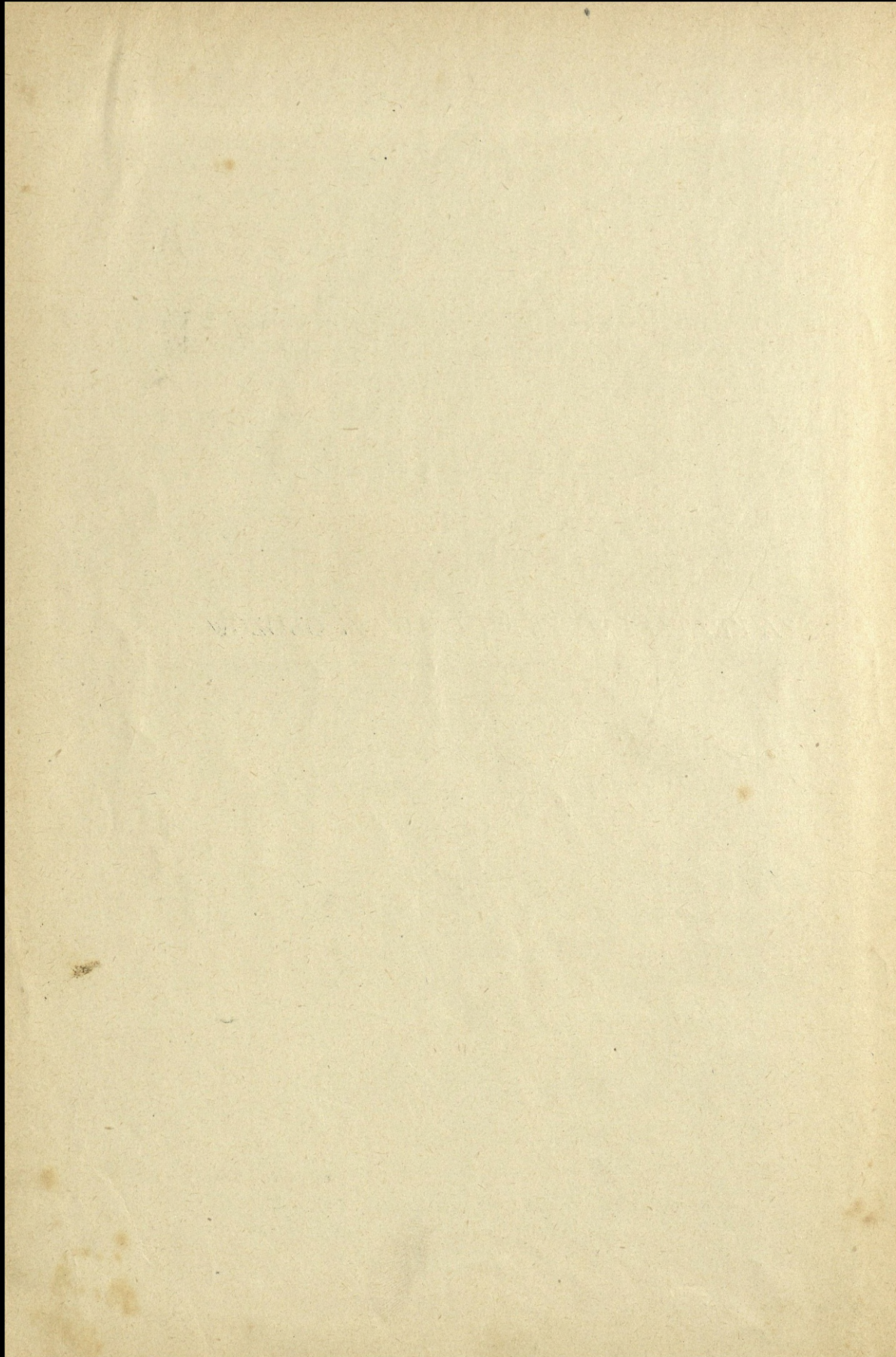


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW



ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

*(WSPOMNIENIA I NOTATKI WIĘŹNIÓW IDEOWYCH
Z LAT 1914 — 1921)*

TOM I

ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ KOMITET REDAKCYJNY:

*MJR. DR. WACŁAW LIPIŃSKI, KPT. ROMAN
ŚLIWA I POR. BOLESŁAW KUSIŃSKI*

POD PRZEWODNICTWEM

GEN. BRYG. JULJANA STACHIEWICZA

W A R S Z A W A 1927

*NAKŁADEM KOMITETU ORGANIZACYJNEGO ZJAZDU
B. WIĘŹNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914 — 1921.*

93(438) 11: 93 (zbiorek)

WYDAWCA
KONCERN

WYDAWCA

WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU
I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.

30874/2



WYDAWCA
1805. Druk. M. S. Wojsk.

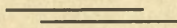
WIĘŹNIOWI MAGDEBURGA
I PIERWSZEMU ŻOŁNIERZOWI
ODRODZONEJ POLSKI

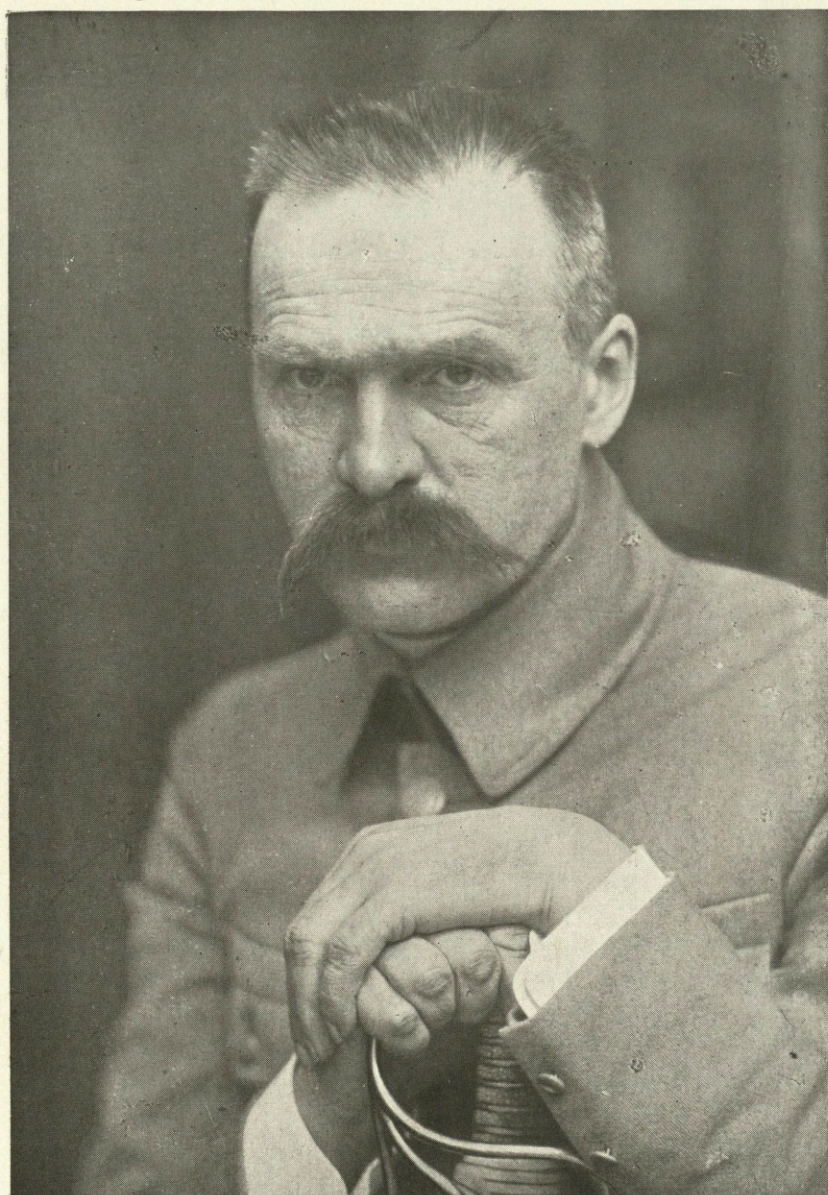
THE LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND GEOGRAPHY
OF THE CITY OF LONDON
AND THE
MUSEUM OF MAN

SPIS RZECZY

	Str.
1. Przedmowa	9
2. <i>Józef Piłsudski</i> — W Magdeburgu (Wyjątek z książki p. t. „Moje pierwsze boje”)	11
3. <i>Józef Budzyński i Zenon Hartman</i> — Z Belgji — do niemieckich obozów	16
4. <i>A. Krachelski</i> — W „Pawiaku” warszawskim i moskiewskich Butyrkach	23
5. <i>Konstancja Jaworowska</i> — W niewoli niemieckiej	26
6. * * * — W obozie Lauban	30
7. <i>Piotr Górecki</i> — P. O. W. w niewoli niemieckiej (Cytadela, Szczypiorno, Havelberg, Modlin)	33
8. <i>Walery Sławek</i> — W Cytadeli Warszawskiej	46
9. <i>Ignacy Hanczak</i> — Za kratami Cytadeli i Mokotowskiego więzienia	52
10. <i>Groszlik-Warski</i> — W celach Mokotowa	82
11. <i>Zenon Łopuski-Kmicic</i> — Nieco o piłsudczykach internowanych w obozie Holzmünden	87
12. <i>Dr. Mieczysław Naramowski</i> — Rastatt (kartki z dziennika)	101
13. <i>St. Gilowski</i> — W barakach Bytowa i Czerska	108
14. <i>R. P.</i> — Obóz dla jeńców (offiziergefangenenlager) Celle-Schloss pod Hannoverem	113
15. <i>Ks. Paszko-Rysz</i> — „Najgorsi ci Polacy, którzy napierają się niepodległości Polski”)	114
16. <i>Wł. Przerwicz-Horyd</i> — Więzienie w Siedlcach (ze wspomnień komendanta III Okr. P. O. W.)	117
17. <i>Dr. Mieczysław Naramowski</i> — Werl	121
18. <i>Bolesław Kusiński</i> — Za drutami Szczypiorna, Havelbergu i Modlina	129
19. <i>Anatol Minkowski</i> — Benjaminów	135
20. <i>Dr. Mieczysław Naramowski</i> — Szczypiorno i Łomża	148
21. <i>Marjusz Zaruski</i> — Więzienie i sąd w Przemyślu	152
22. <i>Kazimierz Kierkowski</i> — Z 6 pułku Legjonów do więzienia w Przemyślu	169
23. <i>Stanisław Barzykowski i dr. Rudolf Tatkowski</i> — Marmaros-Sziget (obozu internowanych: Huszt, Szaldobos, Taracköz, Dülfalva, Szeklencze, Tala-borfalva, Bustjähaza)	193
24. <i>Stanisław Kulczycki</i> — Szeklencze	208
25. <i>Roman Śliwa</i> — Żurawica	212

	Str.
26. <i>Dr. Bertold Merwin</i> — Dülfałva	224
27. <i>Karol Rudolf</i> — Witkowice	228
28. <i>Karol Masny</i> — Internowanie legionistów w Wiedniu	233
29. <i>Albin Kita</i> — Leguny pod włoskiem niebem	235
30. <i>Bazyli Rogowski (Surowiec)</i> — Kosaczów	240
31. <i>Stefan Benedykt</i> — Na szlaku Murmania	248
32. <i>Jan Mikołajski</i> — Kartka z dziejów dywizji Syberyjskiej	253
33. <i>Jan Mikołajski</i> — Więzienie w Krasnojarsku	266
34. <i>Ewa Czarnocka-Majewska</i> — Ostatnie dni P. O. W. w Kijowie	273
35. <i>Bronisław Barylski</i> — Wspomnienia z więzień bolszewickich	278
36. <i>Dr. Wł. Jarecki</i> — Tułacze polscy na ziemi Kaukaskiej	283
37. <i>R. Paszkowski</i> — Męczeństwo polskie na Śląsku	287





KOMENDANT

PRZEDMOWA.

W dziesiątą rocznicę aresztowania i wywiezienia z ojczystej ziemi do Magdeburga Józefa Piłsudskiego — zorganizował się Komitet, który pod przewodnictwem gen. Kazimierza Sosnkowskiego — postanowił zwołać Zjazd b. więźniów ideowych z lat 1914 — 1921. Celem tego Zjazdu jest złożenie hołdu Marszałkowi Piłsudskiemu oraz obmyślenie sposobów i środków, jakie przyjąć należy, by piękna i zaszczytna karta z dziejów polskiej martyrologji nie zaginęła i nie zatarta się w pamięci polskiego społeczeństwa:

Równolegle bowiem do wysiłków zbrojnych, jakich pod wodzą Komendanta dokonywał naród w latach wojny światowej i wojny polsko-rosyjskiej, toczyła się na całym niemal obszarze dawnych ziem polskich wytężona akcja niepodległościowa, skierowana przeciwko wszystkim trzem zaborcom. Kierował nią Józef Piłsudski, z Jego ona ducha wypływała, w Nim źródło siwe brała i początek.

Nieubłagana ta walka, raz poraz wyrywała ofiary z walczących szeregów, raz poraz zamykały się za bojownikami Niepodległości ciężkie, więziennne wrota a bywały i chwile, w których tysiące naraz żołnierzy znajdowało się za więziennymi drutami obozów, za drutami jakimi gęsto otoczone były baraki Werlu, Hawelbergu, Szczypiorna, Benjaminowa, Huszt, Maramaros - Szigetú i wielu, wielu innych...

Tężała w obozach dusza żołnierska, twardniało serce internowanych i więźniów. Mimo najcięższych nieraz warunków w jakich pozostawali więzieni, warunków przejmujących zgrozą i ohydą — nie ugięło się serce walczących, nie ogarnął ich jad zwątpienia, nie zwiotczała wola. Wyszli z obozów jeszcze bardziej twardzi, jeszcze bardziej okrzepnięci — by prowadzić nieubłaganą walkę do zwycięskiego końca. Do chwili — w której ostateczne zwycięstwo wrogom wydarto z rąk.

Zaszczytne i prawdziwie bohaterskie dzieje więźniów — nie mogą zostać zapomniane. Muszą się znaleźć pióra historyków, którzy na podstawie źródeł i materiałów przekażą pamięci potomnych wielką moc wytrwania bojowników Niepodległości, którzy na podstawie wspomnień, relacyj i zapisków utrwalać po wieczne czasy dzieje więźniów ideowych z lat 1914 — 1921.

Jak wielką, jak niespożytą była siła tych ludzi — niech świadczą karty niniejszych wspomnień. Zostały one zebrane przez Komitet Redakcyjny, jako materiał do projektowanej początkowo Jednodniówki. Ilość tymczasem i jakość napływających wspomnień spowodowały, iż miast Jednodniówki możemy oddać w ręce czytelnika okazały tom, w którym zawarte zostały wspomnienia trzydziestu kilku b. więźniów ideowych. Nie obejmują one rzecz prosta wszystkich więzień i wszystkich obozów, nie obejmują całości. Złożył się na to zarówno wzgląd na objętość wydawnictwa, jak i to, że cały szereg wspomnień i zapisków nadesłano na ręce Komitetu Redakcyjnego zbyt późno. Zostaną one wyzyskane w tomie II-gim. Niemniej — aczkolwiek wspomnienia niniejsze pewne tylko obejmują fragmenty — dostateczną dają podstawę, by jasny i przejrzysty wywołać obraz tej wielkiej zasługi, jaką w dziejach walk o Niepodległość położyli wszyscy więźniowie oraz internowani, swą twardą wolą wytrwania, wykuwając drogi ku wolnej Polsce.

KOMITET REDAKCYJNY

W MAGDEBURGU

(wyjątek z książki p. t. „Moje pierwsze boje”).

Latem 1917 r. zostałem aresztowany w Warszawie przez władze okupacyjne niemieckie i wywieziony w głąb Niemiec. Przez pewien czas przewożono mnie z więzienia do więzienia, nieraz trzymając w najgorszych warunkach, by wreszcie, po kilku tygodniach, osadzić w twierdzy magdeburskiej, gdzie po roku i kilku miesiącach doczekałem się powstania Państwa Polskiego. W Magdeburgu, ku wielkiemu memu zdziwieniu, wywyższono mnie nagle do wysokiej rangi generała i trzymano, że tak powiem, z odpowiednim dla takiej szarży szacunkiem. Miejszem mego pobytu była cytadela dawnej, starej fortecy magdeburskiej, a właściwie jeden z jej zakątków — zabudowanie, które, jak się o tem mogłem przekonać z tablic, zawierających przepisy zachowania się w celach, nosiło zabawną nazwę: „Sommerofficiersarreststube”. Miało to najoczywiściej oznaczać, że w tem zabudowaniu odsiadywali swoją karę aresztu za te, czy inne, przewinienia oficerowie garnizonu magdeburskiego, lecz zarazem nazwa ta wskazywała, że zabudowanie to nie jest przeznaczone dla takiego użytku w zimie. Przetrzymano mnie tam wprawdzie przez cały czas zimy z 1917 na 1918, lecz nie mam zresztą z tego powodu do Niemców specjalnych pretensyj. Bywało i zimno, lecz nie mogłem powiedzieć, aby się nie starano, nieraz i bardzo gorliwie, o usunięcie tych braków. Przypuszczam, że wybrano dla mnie to miejsce dlatego, że w niem najłatwiej można było wykonać surowe nakazy zgóry: zupełnego izolowania mnie od całego świata. Mieszkałem zresztą wcale wygodnie. Do rozporządzenia miałem nał-em piętrze trzy cele: pokój sypialny, coś w rodzaju pokoju, w którym mogłem kogoś przyjąć, a co w mojej sytuacji mogło mnie tylko do śmiechu pobudzać, i trzeci — pokój jadalny. Wszystkie 3 cele, dzień cały otwarte, wychodziły na ogródek, w którym było kilka drzew owocowych i trochę niewielkich

krzewów czy roślin. Za ogródkiem był wielki wał ziemny dawnej fortecy, porosły murawą, wyższy znacznie od domu. Na dole, w parterowych celach, mieszkali podoficerowie, przeznaczeni do pilnowania mnie i ordynansi, których systematycznie co pewien czas mi zmieniano. W ogrodzie stał żołnierz uzbrojony, jako stała warta. Cały ogród był oddzielony od reszty świata, czyli od ogromnego podwórza cytadeli, wysokim szczelnym parkanem, zbitym z desek. Do świata zewnętrznego prowadziła furtka, za którą stał inny posterunek, wydzielony z fortecznego odwachu.

Jakby dla pocieszenia mnie i uhonorowania, powiedziano mi odrazu, że w tym właśnie gmachu przeleżał i przesiedział przez dłuższy czas generał belgijski, dowódca twierdzy Liège, ranny przy jej obronie.

Narazie wolno mi było spacerować w ogrodzie przez trzy godziny dziennie, potem przestano mnie w tem krępować i miałem prawie cały dzień do zmięchu otwarte drzwi z górnego piętra do ogrodu. W tych warunkach przesiedziałem rok cały zupełnie samotnie i dopiero w połowie sierpnia 1918 r. przybył jako towarzysz niedoli więziennej — gen. Sosnkowski, z którym pozostałem aż do zwolnienia mnie w listopadzie 1918 r.

Do życia więziennego, jak mi się zdaje, byłem urodzony. Bardzo łatwo znoszę samotność, nie odczuwając, jak inni, całego jej ciężaru i umiając łagodzić pracą myślową najcięższą stronę życia więziennego — tęsknotę. Niema bowiem wątpliwości, że każdego więźnia przytłaczać musi tęsknota do wolności, do swobody ruchów, do takiego stanu, gdzie niema tylu zakazów, ograniczeń, skazujących człowieka na monotoność długiego szeregu dni, spędzanych zawsze jednakowo, zawsze w tych samych warunkach. Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych, jak ja byłem odcięty od świata w Magdeburgu, życie staje się ciężarem prawie nie do zniesienia. Dla mnie musiało to być tem cięższem, że wyrwany zostałem z życia tak pełnego zmian i tak bogatego codzien w inne wrażenia. Żyłem życiem wojennem, w którem nerwy ludzkie przyzwyczajają się do wiecznego ruchu, do codziennej, a koniecznej zmiany zajęcia, do koniecznej a codziennej przemiany samego siebie w coraz to nowy instrument walki, który pracuje coraz to innym wysiłkiem woli, nerwów, umysłu czy serca. Cisza więc więzienna i niezwykła, bo niemiecka, monotonia dni była doskonałym gruntem dla żrącej nieraz tęsknoty do barwnej i pełnej ruchu wstęgi życia wojennego. Zupełna izolacja przytem nie dozwoliła mi nawet wiedzieć, co się stało, lub co się dzieje z kolegami i przyjaciółmi, z którymi się zbratało w ciężkiej i twardej, lecz tak niezwykle uroczej i tak bratersko przeżytej pracy wojennej, odbytej w mojej pierwszej bry-

gadzie legjonowej. Nieraz też w długich, samotnych przechadzkach po ogródku wyrastały mi, jak żywe, kwiaty wspomnienia o niedawnych przeżyciach. Cisnęły i łudziły one, jak fantomy oaz na pustyni, gdy podsuwały mi pod oczy miłe twarze przyjaciół, gdy w uszach słyszałem nieledwie ich śmiechy obok huku armat i grzechotu karabinów, grającą swą muzykę wojenną.

Dla zżarcia trawiącej mnie tęsknoty zmuszałem siebie do analizy swego postępowania, jako dowódcy. Bawiłem się w krytykę, czyto siebie, czyto swych podwładnych, by oczy przestały widzieć, uszy słyszeć, serce bić mocniej, by móc te prawie zmysłowe wrażenia zamknąć w rozmyślania analityczne. Długo, długo pracowałem myślą jedynie.



Komendant na ostatnich ćwiczeniach P. O. W. przed aresztowaniem.

Wtedy zacząłem odczuwać, jak nieraz w poprzednich już moich więziennych przeżyciach, że zaczynam żyć jakimś nierealnym życiem, jakąś pracą głowy jedynie, tak, że zamierać zaczyna normalna praca organizmu. Zdecydowałem się zerwać z tem i, zrobiwszy dla próby gimnastykę woli przez zaniechanie na dwa tygodnie palenia, przyszedłem do przekonania, że najprostszym sposobem pozbycia się ciężaru tęsknoty jest próba rzucenia wspomnień na papier. Mieć pióro w rękę i jego mechaniczną pracą związać siebie ściślej z życiem, chociaż tak ubogiem we wrażenia, lecz jednakże realnem!

I wtedy przyszły mi na myśl moje niegdyś, z czasów przedwojennych, dziesięcioletnie studia nad zjawiskiem wojny w świecie. Dziesięć

lat wżerałem się w istotę pracy dowodzenia, w żywiole — jak mówi Clausewitz — niebezpieczeństwa, w żywiole niepewności, w żywiole, wreszcie — jak ja określam — wiecznych sprzeczności nie do rozwikłania, rozcinanych jak gordyjski węzeł, mieczem decyzji, mieczem rozkazu. Pamiętam, gdym szedł na wojnę w sierpniu 1914 r., postanowiłem sobie bacznie obserwować zjawiska wojny, bacznie analizować samego siebie, by sobie samemu rozwiązać mnóstwo wątpliwości, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, pozostałych w duszy i w głowie z okresu studjów nad książkami. Teraz w Magdeburgu zdecydowałem się spróbować, czy pójdzie mi łatwo ziszczenie dawnych marzeń, bym mógł szczerze i spokojnie zilustrować sobą samym prawdę o istocie dowodzenia, prawdę o duszy dowódcy, uginającej się pod ciężarem niebezpieczeństw, niepewności i sprzeczności. Walczy z nimi, bo są one żywiołem wojny, każdy żołnierz. Dowódca niesie prócz tego ciężar odpowiedzialności za swych podwładnych, a na policzku swoim czuć musi piekący wstyd upokorzenia, gdy mu praca dowodzenia się nie uda, a za niepowodzenie krwią płacą inni. „Śmieszne ongiś marzenia — mówiłem sobie — możesz teraz w więzieniu urzeczywistnić, gdy przezwyciężysz lenistwo do pióra”.

Taką była geneza wspomnień moich z pracy dowodzenia w r. 1914...

Pracę, prawie do końca już doprowadzoną, przerwało przybycie do magdeburgskiej twierdzy gen. Sosnkowskiego. Odtąd tęsknota stała się lżejszą, a pióro zostało w kąt rzucone dla nieskończonych rozmów i wiecznych szachów....

Pracować musiałem w Magdeburgu w specjalnych warunkach, narzuconych mi przez więzienie. Po pierwsze więc nigdy nie mogłem być pewny, czy wszystko, co z pod pióra mego wyjdzie, nie będzie mi w jakiejś chwili odebrane, może na zawsze. Z tego powodu, przyzwyczajony zamłodu do przemysłowości więźnia, postanowiłem oszukać swych aniołów stróżów. Zapowiedziałem więc, że chcę wnieść skargę, zarówno na moje aresztowanie, jak i na trzymanie mnie, wbrew prawu pruskiemu, w zupełnej izolacji. O tych przepisach prawnych dowiedziałem się zupełnie wypadkowo od starego generała niemieckiego, dowódcy w Weslu, gdzie przewieziono mnie ze Spandau pod Berlinem. Oświadczył mi on z całą otwartością, że zaprotestował stanowczo przeciwko temu, aby w twierdzy, którą on dowodzi, postępowano z którymkolwiek z więźniów wbrew prawu pruskiemu, zabraniającemu, według niego, trzymać kogokolwiek w odosobnieniu i samotności, prócz tych, którzy albo znajdują się pod śledztwem, albo sądownie na karę odosobnienia zostali skazani. Przypomniawszy sobie więc w Magdeburgu oburzenie generała z Wesla, zażądałem dla napisania swojej skargi większej ilości papieru, gdyż, nie znając dobrze niemieckiego



WIĘZIEŃ MAGDEBURGA
GEN. DYW. KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

języka, zniszczę z pewnością conajmniej kilkanaście konceptów polskich, nim je przystosuję do obcej, nieznaney mi dokładnie mowy. W ten sposób zdobyłem sobie wszystkie przybory do pisania, oraz stworzyłem pozór, dlaczego przesiaduję przy stole z piórem w ręku. Cały ten przemyślny wybieg odbił się jednak bardzo wyraźnie na sposobie mego ówczesnego pisania....

Pewnego dnia w początkach listopada 1918 r. pojawili się dwaj oficerowie niemieccy, ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o 6-ej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy pociągami, odchodzącym do Warszawy. Gdy, zdziwieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi, ale jako zwykli śmiertelnicy. Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów, chodzących po ulicach. Nie wiem, cobym był wówczas postanowił, gdyby w tem oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o 6-ej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei, zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neseserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburgskiej, zawinawszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe....

....Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedalekiego mostu na Elbie przystanęli, zajechały dwa auta, które za chwilę w szybkim pędzie unosiły nas ze zrewoltowanego miasta.

Z BELGJI — DO NIEMIECKICH OBOZÓW.

Początek wojny 1914 r. pomimo pory wakacyjnej, zastał dużą ilość studentów Polaków w Liège. Część tej kolonji zorganizowana była w trzech związkach wojskowych, a mianowicie: w Związku Strzeleckim, Drużynach Strzeleckich i Drużynach Sokolich.

Dwie pierwsze organizacje, na telegraficzny rozkaz Komendanta Głównego Józefa Piłsudskiego zostały zmobilizowane i były każdej chwili gotowe do wyjazdu do Krakowa. Chodziło tylko o paszporty, bowiem z paszportami rosyjskimi, w które zaopatrzeni byli wszyscy, pomimo, że wojna oficjalnie nie była jeszcze wypowiedziana, nie można już było przejechać przez terytorjum niemieckie.

Należało szukać innych sposobów. W tym celu udał się komendant połączonych organizacji do Brukseli, do poselstwa austriackiego, gdzie, przedstawivszy całą sprawę, prosił o wydanie paszportów austriackich dla członków organizacji, aby mogli dostać się do Krakowa. Poselstwo przychylnie odniosło się do sprawy i obiecało wydać paszporty, ale dopiero w dniu wypowiedzenia wojny rosyjsko-austriackiej.

W międzyczasie Niemcy weszli do Belgji i rozpoczęli oblężenie Liège. Niektóre koła kolonji polskiej zwołały ogólny wiec Polaków, na którym forsowano wniosek o wstąpieniu całej kolonji do armji belgijskiej. Wniosek ten zwalczany był przez przedstawicieli Strzelca, którzy dowodzili, że krwi polskiej oszczędzać należy dla sprawy polskiej, a skończyć trzeba z przelewaniem jej dla spraw obcych.

Francja i Anglja, jako sprzymierzone z Rosją, wcale nie dają rękojmii pozytywnego traktowania sprawy polskiej. Wspomaganie Francji, pomimo całej naszej dla niej sympatji, jest jednak wspomaganiem Rosji, największego naszego wroga.

Wniosek wstąpienia do armji belgijskiej w głosowaniu uzyskał jednak większość, wobec czego członkowie organizacji strzeleckich, po-

wodowani uczuciem solidarności wobec huku dział niemieckich, bombardujących miasto, wraz z innymi Polakami zapisali się jako ochotnicy do armji belgijskiej. Jednak wskutek paniki, jaka ogarnęła na początku wojny władze belgijskie, władze te nie potrafiły wywieźć nas, jako rekrutów z miasta, wobec czego doczekaliśmy się wkroczenia do miasta Niemców w dniu, w którym wybuchła upragniona wojna rosyjsko-austriacka.

Byliśmy jednak teraz oddzieleni od Brukseli, zaś jakby na ironję w dniu zdobycia przez Niemców Brukseli, zostaliśmy przez nich aresztowani pod zarzutem podburzania ludności i strzelania do wojsk niemieckich. Zostaliśmy aresztowani w liczbie 105 Polaków w towarzystwie około 300 Rosjan i żydów rosyjskich.

Z paszportów austriackich skorzystały te resztki kolegów, które cudem uniknęły aresztowania, oraz strzelcy z innych miast belgijskich. Pozostałych, aresztowanych w dniu 24.8.1914 r., po dwóch dniach więzienia w stajniach jednego z fortów leodyjskich — wywieziono do Niemiec do obozu wojskowego Munster, gdzie więźniów ulokowano również w stajniach.

W obozie zastaliśmy już jeńców, żołnierzy belgijskich i francuskich oraz cywilnych z różnych miast Belgji. Niezwłocznie po przyjeździe do Munster odnieśliśmy się pisemnie do Komendy Obozu z żądaniem odstawienia nas do Krakowa, abyśmy mogli wstąpić do Legionów, o których powstaniu już zdążyliśmy się dowiedzieć. Jednocześnie wysłaliśmy różnemi drogami kilka listów do Komendanta Głównego Józefa Piłsudskiego z raportem o stanie rzeczy i z prośbą o wyciągnięcie nas z obozu.

Jeden z tych listów dotarł do rąk adresata.

Po jakimś czasie zwołano zbiórkę wszystkich studentów, zjawił się jakiś cywilny Niemiec, jak potem dowiedzieliśmy się, dr. Pollack i zapytał kto z obecnych pragnie wyjechać do Krakowa, aby wstąpić do Legionów Polskich. Wystąpili wszyscy strzelcy i drużyniaczy i 1 sokoł (Wł. Kroterski). Spisano nasze nazwiska i ów dr. Pollack przyrzekł, że zajmie się tą sprawą i że ma nadzieję, że wkrótce będziemy mogli wyjechać i urzeczywistnić nasze pragnienia. Krok nasz różnem echem odbił się wśród uwięzionych studentów.

Rosyjscy żydzi zachowywali się neutralnie. Rosjanie byli oburzeni — i patrzyli na nas jak na zdrajców stanu, wprost obiecywali denuncjację po powrocie do kraju.

Ale i znaczna część Polaków odniosła się do nas nieprzychylnie a to z najrozmaitszych powodów. Jedni grzeszyli przyzwyczajeniem do Rosji, inni nienawiścią do Niemców, ale u wszystkich przebił brak myśli niepodległościowej, niewiara we własne siły i niezrozumienie

idei Komendanta. Wszyscy wierzyli w zwycięstwo Rosji, a nas wówczas przedstawiano jako tych, którzy ściągną na kraj tylko nieszczęścia. Niezrażeni jednak tymi głosami, mając na widoku szybkie znalezienie się w szeregach, zorganizowaliśmy się w karny oddział i rozpoczęliśmy planowe ćwiczenia. Prawdopodobnie, ażeby stworzyć nam konkurencję, względnie podkreślić swą lojalność względem Rosji, niektórzy koledzy zorganizowali ćwiczenia z musztrą rosyjską i ćwiczyli równocześnie z nami na tym samym placu.

Jednak element w tym oddziale przeważnie był nie polski. Wyteżona agitacja przeciwko nam częściowo jednak zrobiła swoje, gdyż



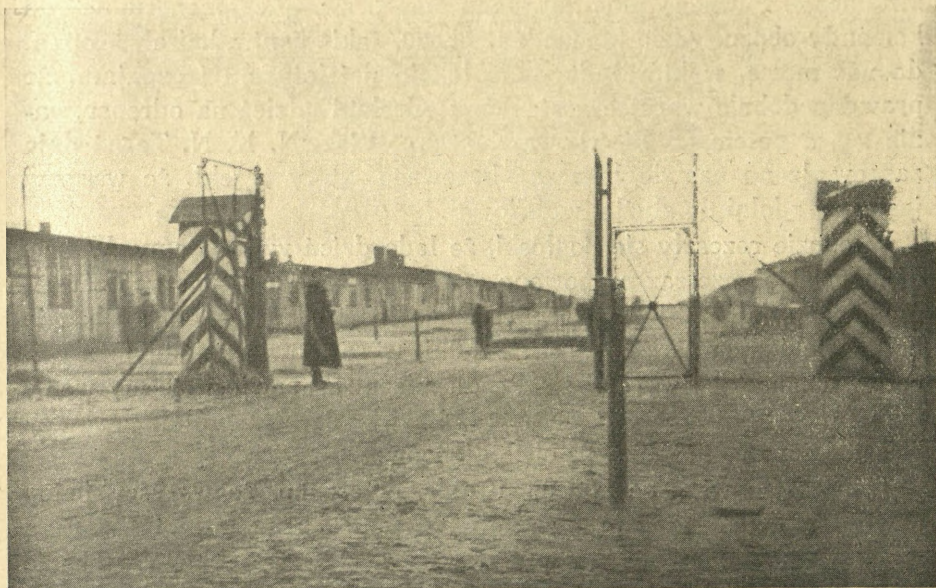
Obóz Celle — Część więźniów grupy belgijskiej.

powoli zaczęli odpadać od naszej grupki ludzie słabszych charakterów. Te odstępstwa kończyły się zwykle dość tragicznie, gdyż przeważnie zrywaniem stosunków z naszej strony, zwłaszcza jeżeli to dotyczyło starego strzelca, bowiem nie mogliśmy zrozumieć takiego kroku człowieka, który przeszedł pewną szkołę ideową. Mniej zawzięci byliśmy w stosunku do ludzi, którzy dopiero z chwilą wybuchu wojny zapisali się do organizacji.

Sprawa wyjazdu jednak się przewlekła, a tymczasem w grudniu 1914 r. przewieziono nas wszystkich do nowego obozu dla jeńców w *Celle*. Starania trzeba było zaczynać na nowo, bowiem komenda owego obozu nie miała pojęcia o naszych staraniach poprzednich.

Po jakimś czasie otrzymaliśmy odpowiedź jakoby od wyższych władz wojskowych, że sprawa naszego wstąpienia do L. P. jest nieaktualna, gdyż Legjony są jednostką niepewną.

Była to reminiscencja rozwiązania Legjonu Wschodniego. Charakterystyczny wypadek zdarzył się w tym czasie grupie Sokołów. Grupa ta, aczkolwiek nie występowała względem nas agresywnie, tem nie mniej zajmowała względem Legjonów stanowisko zdecydowanie negatywne. Nagle w 1915 r. otrzymała list od swego duchowego przywódcy, obecnego gen. Orlicz-Dreszera, gdzie wyraźnie było napisane: „chłopcy, wstępujcie do Legjonów”. Nie zmieniło to jednak ich zasad-



Obóz Celle — Ogólny widok obozu.

niczego stanowiska, tylko postawiło ich w niemądrym położeniu, natomiast podniosło naszą energję w wysiłkach w kierunku wydostania się do Krakowa.

Tymczasem warunki pobytu w obozie Celle zaczynały być coraz gorsze. Traktowani byliśmy jak najgorszego rzędu zbrodniarze, régime stosowany względem ogółu jeńców był nieludzki; za najdrobniejsze przewinienia groziła koza lub przywiązanie do słupka, nie licząc całego szeregu innych represyj za urojone przestępstwa. Odnosiło się wrażenie, że obozem dowodzą sadyści, którzy specjalnie lubowali się w dręczeniu jeńców.

W dodatku pożywienie zaczynało być coraz gorsze. Często obiadu nie można było wprost ruszyć, a w kantynie obozowej nie można było literalnie nic kupić. Pomimo takich warunków zaczęliśmy rozwijać akcję kulturalno-oświatową. W obozie było wtenczas już sporo Polaków, żołnierzy rosyjskich. Urządzaliśmy dla nich kursy w zakresie szkoły początkowej, stworzyliśmy stały teatr, który dawał 1 do 2-ch razy tygodniowo przedstawienia, stworzyliśmy bibliotekę z książek przysyłanych nam przez Polaków z Poznania. Całą tę akcję przetykaliśmy obficie nitką idei niepodległościowej. Wreszcie w zimie 1915/16 r. starania nasze o wstąpienie do Legionów odniosły o tyle skutek, że austriackie ministerstwo wojny poczęło się starać o nasze zwolnienie. Pewnego dnia zawołano nas, t. zw. „Legionengruppe“ do komendy obozu, gdzie komendant obozu, jakiś kontradmirał, kropnął do nas mowę, w której dał nam lekcję patriotyzmu i oznajmił, że prawdopodobnie wkrótce zostaniemy odesłani gdzieś na odreperowanie się, a potem do Piotrkowa do Dep. Wjsk. N. K. N. Tegoż dnia zaprowadzono nas do lekarza obozowego, który orzekł, że wszyscy jesteśmy zdolni do służby wojskowej.

W obozie rozeszły się pogłoski, że lada dzień wyjeżdżamy. W tym momencie jeszcze raz próbowano nam przeszkodzić w naszych zamiarach. Mianowicie znany na gruncie leodyjskim esdek, a obecnie bolszewicki dygnitarz w Rosji, Prędkie, w rozmowie z jednym z oficerów niemieckich wyraził się, że dla niego jasne jest, że my wcale nie z przekonania chcemy wstąpić do Legionów, a tylko dlatego aby za wszelką cenę wydostać się z obozu jeńców.

Tymczasem wczesną wiosną 1916 r. ogłoszono, że wszyscy jeńcy cywilni, a wraz z nimi oczywiście i my, mają być przesłani do obozu w Holzmünden. Stanęliśmy przed alternatywą, że w nowym obozie od początku trzeba będzie wszczynać starania o zwolnienie do Legionów. Zażądaliśmy tedy, aby ze względu na mające nastąpić odesłanie nas do Legionów, pozostawiono nas w Celle.

Istotnie po porozumieniu się z wyższymi władzami wojskowymi zdecydowano, że pozostaniemy narazie w Celle, a po dwóch tygodniach odesłano nas do obozu w Hammeln nad Wezerą, gdzie byliśmy na specjalnych warunkach i gdzie miało właśnie nastąpić owo odreperowanie się nasze.

W Hammeln było nas już tylko 20, a to z powodu, że kilku kolegów, zupełnie zresztą wiernych idei legjonowej, zostało zwolnionych do kraju na skutek starań ze strony ich rodzin.

Traktowanie w Hammeln było bardzo życzliwe, dawano nam do zrozumienia, że jesteśmy traktowani, jak oficerowie. To też ośmieleni pobłażliwością Niemców na różne nasze wybryki, zaatakowaliśmy ich

żądaniem wypuszczania nas na spacer po za obręb obozu. Zgodzili się na to, wypuszczając nas początkowo po pięciu w towarzystwie konwojenta, potem zaś bez konwojenta każdy sobie wychodził na miasto i wracał, kiedy chciał. W tym celu zaopatrzone nas w specjalne paszporty z fotografią. Tylko wyżywienie w dalszym ciągu było marne. Charakterystycznym jest, że gdy jeszcze w Celle przyszło zwolnienie dla strzelca ś. p. Stanisława Białego-Cederbauma, na skutek starań jego ojca, powiedzieli mu Niemcy, że ponieważ ma również być odesłany do Legjonów, więc niech się zdecyduje albo do Legjonów, albo do Warszawy, skąd jednak nie wolno mu będzie



Obóz Celle — Armaty wycelowane w obóz.

wstąpić do Legjonów. Ś. p. Cederbaum bez namysłu odpowiedział, że chce jechać do Legjonów i do Warszawy nie pojechał. Dopiero w trzy miesiące później został zwolniony na skutek powtórnych starań ojca.

Gdy w Hammeln drugi z kolegów, któremu powiedziano, że zostaje zwolniony i odesłany do Warszawy, odrzekł już nawet nie pytany, że woli wyjechać do Legjonów, uczciwsi widocznie tam Niemcy odpowiedzieli: „jaki Pan niemądry, przecież z Warszawy może Pan też wstąpić do Legjonów i będzie to napewno prędza droga, niż przez oficjalne przesłanie”. W ten sposób część kolegów została

zwolniona w ciągu czerwca 1916 r. do kraju na skutek prywatnych starań ich rodzin. Ta grupa po powrocie do kraju z rozkazów wyższych do Legionów nie wstąpiła i użyta została do pracy w P. O. W. Pozostała grupa oficjalnie została odstawiona do Piotrkowa dopiero w sierpniu 1916 r. i przez Dep. Wojsk. N. K. N. wcielona do Legionów.

Po dwóch więc dopiero latach niewoli i starań o zwolnienie powrócili wreszcie Strzelcy i Drużyniacy do kraju i mogli przywdziać upragnione mundury, względnie w cywilu, w tajnych organizacjach, oddać się pracy wojskowej i na tyłach armii okupacyjnej współpracować w tworzeniu konspiracyjnej armii polskiej.

A. KRACHELSKI.

W „PAWIAKU” WARSZAWSKIM I MOSKIEWSKICH BUTYRKACH.

W noc z 8-go na 9-go czerwca 1915 r. zostałem aresztowany w Warszawie w mieszkaniu mecenasa Stanisława Paciorkowskiego. Pracowałem dotychczas w lotnych oddziałach P. O. W., ale aresztowany zostałem wypadkowo w związku z rewidowaniem mieszkania mec. Paciorkowskiego, na skutek zadenuncjowania go do władz rosyjskich przez jednego z Polaków, nauczyciela szkół średnich w Warszawie.

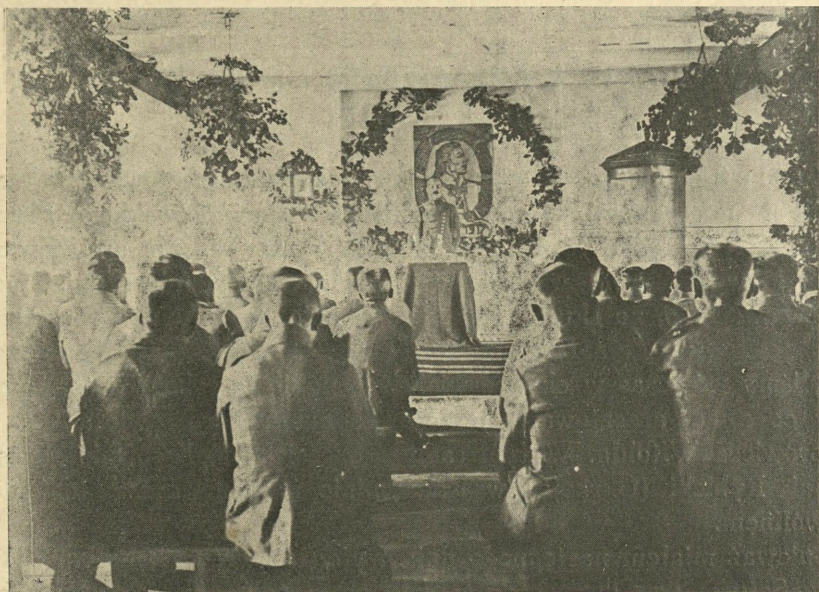
Byliśmy wówczas w okresie wielkiego napięcia roboty i tej samej nocy co mnie, aresztowano jeszcze Tadeusza Jaroszewicza i ś. p. Fedorowicza Witolda. W tym samym okresie zostali również aresztowani Rybicki (Okrzeja) w Radzyminie i Idanowski Antoni pod Garwolinem.

Ponieważ miałem następnego dnia wyjechać wraz z „małym” (Tadeusz Szturm de Sztrem) do Garwolina w celu przygotowania tam zamierzonej przez nas ekspropriacji kasy sztabu II-giej armji, miałem przygotowane w mieszkaniu do zabrania z sobą materiały wybuchowe. Udało mi się ukryć je przed rewizją, natomiast znaleziono plan miasta Garwolina, pieczęć sztabu głównodowodzącego armji rosyjskiej oraz najświeższe odezwy P. O. W. w sprawie stawiania oporu podczas ewakuowania Warszawy. Poprzednio podczas rewizji u Rybickiego, znaleziono regulamin lotnych oddziałów, zostałem więc posądzony o kierownictwo lotnymi oddziałami i oddany pod sąd polowy II armji bez uprzedniego badania przez żandarmerję i władze śledcze (ta ostatnia okoliczność stała się w następstwie w znacznej mierze przyczyną mego uratowania).

Z więzienia przy Daniłowiczowskiej przewieziono mnie do Pawiaka i następnie do więzienia karnego przy Dzikiej, gdzie osadzono mnie w celi pojedynczej na korytarzu t. zw. „gemziarzy” (przyszłych wisielców) i roztoczono nad całą moją tak wzorową opiekę, iż nie

byłem w stanie zakomunikować o sobie nikomu, na skutek czego przez kilka dni w więzieniu nikt o mnie nie wiedział.

Dnia 15 i 16 czerwca nastąpiło pośpieszne ewakuowanie więźniów w głąb Rosji. Skutych w kajdany pognano nas pieszo na dworzec petersburski, dopiero w drodze dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Tweru. W czasie ewakuacji zaszła niesłychanie pomyślna dla mnie okoliczność zagubienia mnie przez władze rosyjskie tak dalece iż w ciągu trzech miesięcy nie mógł mnie odnaleźć sąd polowy, który



Benjaminów — Obchód Kościuszkowski w szkole dla szeregowych.

posiadał moją sprawę do rozpatrzenia. Jak się potem dowiedziałem, sprawa moja została po 3 miesiącach oddana do „warszawskiej Sudiebnój Pałaty” i pierwszy raz byłem badany dopiero po roku więzienia (badali prokurator Jewdokimow i sędzia śledczy Brins). Sprawa moja została w tym czasie połączona ze sprawą aresztowanego w tym samym bodaj okresie Stanisława Tołwińskiego w związku z aresztowaniem Jaroszewicza i innych.

Na Boże Narodzenie zostałem przewieziony do Moskwy w roku 1916, gdzie siedziałem w Butyrkach i Tagance i tam dostałem akt oskarżenia sądu wojennego moskiewskiego okręgu z ust. 102 i 108 kodeksu karnego i 271 kodeksu wojennego (przynależność do organizacji rewolucyjnej i zdrada stanu). Sąd odbył się w dniu 20 — 22 lutego 1917 r., t. j. parę dni przed początkiem rewolucji w Petersburgu.

Bronili nas p.p. gen. Babiański i mecenas Czermuczakiewicz, oskarżał prokurator Orłow, wchodzący obecnie w skład adwokatury polskiej. Orłow żądał dla nas najwyższego wymiaru kary, jako dla winnych zdrady stanu i malowniczo przedstawił naszą winę w tych słowach: „Kogda naszymy sieryje gieroji proliwali krow na frontie, eti mołodyje ludi sażali im noż w spiny”.

Jakkolwiek akt oskarżenia inkryminował mi udział we wszystkich akcjach dokonanych przez lotne oddziały i podanych w druku w piśmie oddziału lotnego p. t.: „Podchorąży”, świadkowie oskarżenia (naczelnik warszawskiej ochrony płk. Samochwatow i naczelnik żandarmerji warszawskiej płk. Ciszewski) wykazali na sądzie zupełną nieznajomość naszej organizacji i jej czynności, co świadczy o tem, że nie mieliśmy w swym gronie zdrajców: ani zdrajców z premedytacją, ani nawet „załamanych” i sypiących w więzieniu. Tak dalece zakonspirowaną była jeszcze wówczas P. O. W., że świadkowie oskarżenia płatali ją na sądzie z konfederacją polską.

Pomimo groźnej postawy prokuratora, nastroje sfer rządowych w Rosji były już mocno niepewne i sąd wydał wyrok bardzo miękki: Tołwińskiego uniewinnił, mnie zaś skazał na półtora roku twierdzy z zaliczeniem czasu odbytego więzienia (siedziałem w więzieniu 606 dni). Byłem wówczas w wieku poborowym, a że prokurator apelował i żądał zatrzymania mnie w więzieniu do ponownego rozpatrzenia sprawy, więc zaraz po sądzie i po wyjściu z więzienia, wyjechałem do Petersburga za cudzym paszportem wydanym mi z patronatu pomocy więźniom przez p. Bronisławę Wyszowską.

Charakterystyczne jest, że w pierwszej fazie rewolucji, za rządów Kiereńskiego, sprawa moja miała wejść jeszcze pod obrady, ponieważ sfery rządzące widziały w niej jeszcze w dalszym ciągu cechy zdrady stanu. Dopiero podczas przewrotu październikowego wszystkie akta mojej sprawy spaliły się podczas pożaru w gmachu petersburskiego sądu okręgowego.

W NIEWOLI NIEMIECKIEJ

W sierpniu 1915 w chwili wejścia Niemców do Warszawy, warszawska organizacja Polskiej Partji Socjalistycznej utworzyła klub P. P. S. na ulicy Bednarskiej, później zaś na ul. Szpitalnej 12. Zorganizowanie tego klubu było próbą postawienia Niemców przed faktem istnienia P. P. S. legalnej, dla ułatwienia sobie dalszej pracy organizacyjno-politycznej, która była do tej pory ściśle konspiracyjną. Pani Marszałkowa Piłsudska, wówczas towarzyszka Ola Szczerbińska, brała bardzo żywy udział w organizacyjnych pracach partji.

Wkrótce po powrocie do Warszawy objęła ona sekretarjat partji, prowadzony do tej pory przeze mnie. Były to czasy, w których nie przewidywaliśmy specjalnych prześladowań ze strony władz niemieckich, przytem liczyliśmy na to, że Niemcy nie znają jeszcze naszych metod konspiracji i że możemy być narazie spokojni o bezpieczeństwo ludzi i rzeczy i zbytnią konspiracją nie utrudniać sobie pracy. Staraliśmy się jednak być na tyle ostrożnymi, by nie mieć w lokalach partyjnych nielegalnych druków i śladów nielegalnej pracy naszej, kontynuowanej poza klubem w dalszym ciągu. W mieszkaniach zaś prywatnych mniej byliśmy ostrożni. I to nas zgubiło.

Pewnego jednak razu przyszli ajenci policji niemieckiej, aresztowali tow. Turowicza, mnie, potem nieodżałowanej pamięci tow. Michała Sulkiwicza (zginął na froncie jako sierżant I brygady) i jeszcze trzech innych.

Skorzystałam ze sposobności i zawiadomiłam towarzyszkę Olę, posyłając klucz od mojego mieszkania i prosząc o usunięcie, jeżeli to jeszcze możliwe, znajdujące się tam bibuły. I tu tow. Ola, nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo „wsypy”, ocaliła wszystkie znajdujące się u mnie druki. Dostały się natomiast w ręce Niemców rzeczy pisane, oraz przygotowany przeze mnie do druku numer pisma dla chłopów „Lud i Wolność” (ostatni niewydrukowany organ Związku



MARSZAŁKOWA
ALEKSANDRA PIŁSUDSKA



Chłopskiego). Tego już usunąć nie było można, gdyż będąc pod czujną strażą szpiclów niemieckich, nie mogłam poinformować tow. Oli, w którym miejscu one się znajdują.

Wieczorem tego dnia aresztowano tow. Olę na Szpitalnej, gdzie już Niemcy czekali na nią.

Spotkałyśmy się na Pawiaku. Było to w październiku 1915 roku. Nie pozwolono nam komunikować się z sobą, byłyśmy przedzielone pustą ciałą, spotykałyśmy się tylko przy kranie z wodą.

Po ukończeniu śledztwa siedziałyśmy w jednej celi. Wigilję i święta Bożego Narodzenia spędziłyśmy w towarzystwie jednej chłopki z pod Warszawy, uwięzionej za jakieś tam sprawy na froncie, która bawiła nas opowiadaniem bajek.

Miałyśmy warunki bardzo ciężkie. Zimno, złe odżywianie i złe traktowanie przez Niemców, nierozumiejących jeszcze, co to jest więzień polityczny i traktujących tego więźnia jak zwykłego kryminalistę.

W parę tygodni potem przewieziono nas do Szczypiorny, w której przebywaliśmy wszyscy okres straszliwej kwarantanny.

Szczypiorno — straszliwe wspomnienia dla późniejszych więźniów legjonowych, tem straszliwsze dla naszej małej grupki więźniów politycznych, składającej się z czterech towarzyszy i nas, 2 niewiast — pędzonych przez żołdaków niemieckich między bandą różnych podejrzanych indywiduów.

Obóz jeńców w Szczypiornie — to duża przestrzeń ogrodzona drutem kolczastym, parkanem i domkami jak z kart, dla oficerów i żołnierzy niemieckich, dalej baraki w ziemi. Do baraku, w którym przebywałyśmy z tow. Olą i jakąś biedną służącą, wziętą do niewoli z linji ognia, wchodziło się po paru połamanych, śliskich od wilgoci schodkach w dół. Po środku wzdłuż baraku od drzwi do okna rów, wypełniony wodą zaskórnią, miał to być podobno chodnik, nad wodą, a raczej na wodzie, podłoga nasyciona wilgocią, na którą to podłogę wskakiwało się ze schodów po przez kałużę stojącą przy drzwiach. Na podłodze 3 sienniki też mokre wraz z pościelą. Z dachu, który w baraku opierał się o podłogę, spływała na nas podczas snu woda. Na domiar złego budziły nas ze snu szczury, które łąziły no nas mokre i oślizłe. Do tego jeszcze w rowach woda była zanieczyszczona straszliwie przez poprzednich mieszkańców, przeważnie chłopów litewskich, gnanych z linji ognia.

Mokro — brudno — ciemno — zimno, no i głodno czasami. Na środku baraku, który był ogromny, stał mały piecyk, skupiałyśmy się przy nim na zmiany, podsycając ogień dniem i nocą.

Odżywianie okropne, chodzić musieliśmy przytem pod eskortą żołnierzy niemieckich do obozu jeńców rosyjskich (żołnierzy) po żywność

z naczyniami, w które wlewano nam trzy razy dziennie jakąś supę. Do tego wszystkiego dodajmy szczepienia ospy, cholery, tyfusu oraz cały szereg innych przykrości.

Zaczęto jednak dzięki taktowi naszemu i powadze w końcu liczyć się z nami, dowiadywać się o nas i rozumieć różnicę między przestępcą politycznym, a zwykłym kryminalistą. Udało się nam wreszcie uzyskać suchsze i czystsze baraki dla nas i całej towarzyszącej nam gromady, a po kilku ciężkich tygodniach przesłano nas do obozu jeńców na Górny Śląsk do Laubanu (Lubań), gdzie życie było znośniejsze, bo w zdrowszym klimacie i w lepiej zbudowanych barakach.

Tow. Ola przez cały czas wykazała niezwykły hart i męstwo. Pracowała, ucząc dzieci jeńców, znacznie dłużej ode mnie, gdyż mnie wysłano do więzienia w Zgorzelicach, gdzie byłam parę tygodni.

Więzienie to było dla mnie bardzo ciężkie. Mała celda z oknem wysoko, bardzo czysta, łóżko podnoszone. Ogromna surowość w stosunku do więźnia. Nie pozwolono mi wziąć z sobą nawet proszku do zębów, szczoteczki i mojego grzebienia. Wogóle żadnych moich rzeczy, prócz bielizny na jedną zmianę. Wzięłam ze sobą z Laubanu wzmacniające lekarstwo, bo czułam się słabą, nie wolno mi go było używać, leżało w walizce aż do wyjścia z więzienia. Nie pozwolono mi wziąć książki do czytania, nawet słownika polsko-niemieckiego, a już o jakieś robótce dla mnie nie było mowy. Natomiast w celi więziennej była przymusowa praca. Musiałam na maszynie obciążać płótnem niezmierną ilość guzików, od 8 rano do 5 wieczorem. Obowiązana byłam sprzątać gruntownie celę, a raz na tydzień w piątek odbywało się szorowanie rondli, które celi, nie wiem w jakim celu, była „ozdobiona”, poza tem froterowanie podłóg i wszystkie potrzebne i niepotrzebne czynności związane z porządkiem. Przepisy były bardzo surowe, niektóre bardzo śmieszne i głupie, ale trzeba było stosować się do nich. Na ścianie tabliczka z nazwiskiem, za co jestem karana i napisany po niemiecku zakaz agitacji i organizowania w więzieniu Związku Chłopskiego. To ostatnie ubawiło mnie nieco. W celi siedziałam sama, nie mając możliwości mówienia z kimkolwiek. Ludzi widywałam tylko wówczas, gdy mi przynoszono jedzenie lub robotę. Przynosiły to kryminalistki pod nadzorem Niemki, nierozumiejącej po polsku. Nie wolno im było rozmawiać ze mną, jednak pod pozorami dawania instrukcji jako tłumaczki dowiedziały się, za co jestem karana. Jedna z nich, bywalec więzienny, ciesząca się zaufaniem władz więziennych, opowiadała mi straszliwe dzieje swoje. Były tam tylko kryminalistki karane za zbrodnie zabójstwa dzieci i spędzanie płodu, oraz złodziejki, przeważnie Polki ze Śląska i z Poznańskiego. Moich przewinień nie mogły zrozumieć, bo w tym więzieniu nie zdarzały się wypadki wię-

zienia politycznych przestępców. Tylko inspektor, zwiedzający więzienie rozmawiając ze mną przez pół po rosyjsku, trochę ze słownika, nie mógł zrozumieć, iż jestem z Polski, co podkreślałam manifestacyjnie. Dla niego Warszawa była w Rosji.

Utożsamić mnie chciał w rozmowie ze mną z Różą Luksemburg, której nazwisko przytoczył. Wyjaśniłam, że trochę inną była moja rola. Był to jedyny człowiek, który rozumiał, iż polityczne przestępstwo różni się od kryminalnego, to też następstwem tego, było danie mi mojego grzebienia i szczotki z proszkiem. Nic więcej. Raz na dzień o 12-ej godzinie wyprowadzano nas na przechadzkę po podwórku więziennem ciemnem i głębokiem jak studnia. Chodziłyśmy w odległości dwóch metrów jedna za drugą w kółko, nie wolno było rozmawiać. Jediną miłą rozrywką była kąpiel lub prysznic w soboty, z czego korzystałam skwapliwie. Odżywianie niezmiernie liche, choć czyste. Poza tem obowiązkowe chodzenie w niedzielę do kaplicy więziennej, gdzie jakaś kobieta bardzo ładnie śpiewała.

Kiedy wychodziłam z więzienia, byłam zupełnie wyczerpana anemią. Musiałam jednak zapłacić administracji więziennej dość słono — za jedzenie liche — wojenne, za kąpiel i pranie. Widzieli Niemcy, w walizce trochę pieniędzy, nie miałam bowiem możliwości ich ukryć. Natomiast okazało się, że za robotę guzików mieli zwyczaj w więzieniu płacić, to też dostałam zapłatę w kwocie aż 95 fenigów za blisko 6-cio tygodniową pracę. Powiedziałam im, że biorę te pieniądze po to, by je schować na pamiątkę.

Myślałam, że to już koniec, że wiozą mnie do Warszawy, okazało się, że długo jeszcze musiałam przebywać w Laubanie wraz z panią Marszałkową, a Lauban był przecież także więzieniem.

* * *

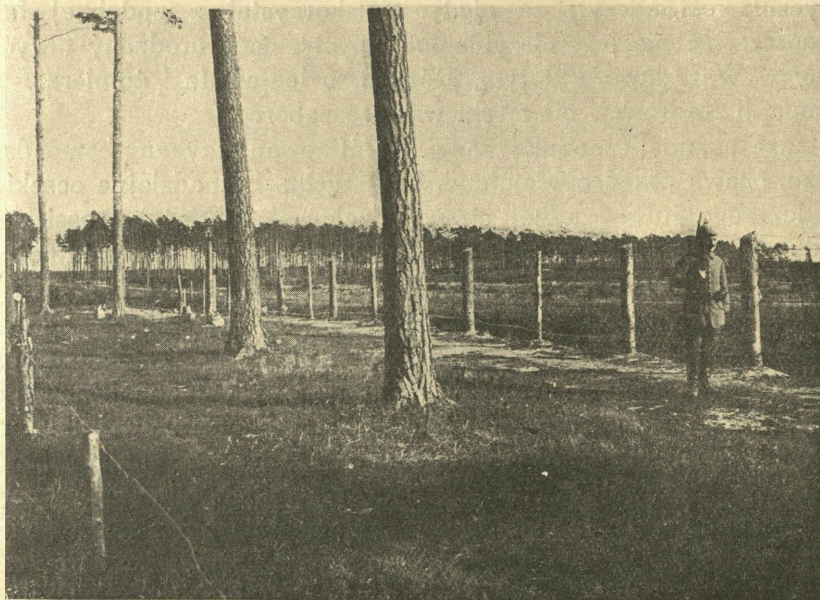
W OBOZIE LAUBAN.

Pierwszym peowiakiem więzionym przez Niemców był były oficer legjonowy kapitan Tadeusz Caspaeri-Chrząszczewski, który aż do chwili aresztowania był komendantem placu m. Warszawy i dowódcą I-szej Kompanji Podchorążych P. O. W. Aresztowany został za rozbiście głośnego w swoim czasie wiecu w Colosseum przy ul. N.-Świat 25.XII.1916 r. za to, że nie dopuścił przez odpowiednie przemówienie, do uchwalenia skandalicznej rezolucji, która nawoływała społeczeństwo byłej Kongresówki do popierania werbunku a na dowódcę siły zbrojnej polskiej akceptowała narzuconego przez Berlin gen. Besse-lera, ówczesnego generał - gubernatora warszawskiego, zdobywcę Antwerpji i Madlina.

Kpt. Caspaeri, od chwili aresztowania stale szykanowany i dręczony przez niemiecką polityczną policję z osławionym kmdt. Dr. Schulcem na czele, zamknięty został, przed wyjazdem do obozu lubańskiego na Placu Saskim w celi, mieszczącej się w suterynie o kamiennej posadzce, z silnie okratowanym okienkiem, opatrzonem w kosz więzienny i ciemną zasłonę tak, że światło dzienne wcale nie dochodziło, a za posłanie służyły mu dwa niskie stołki, które podczas leżenia momentalnie rozchodziły się w przeciwnie strony, a spoczywający na takim „łóżu" spadał na kamienną posadzkę. Z celi tej wcale nie wychodził, za całe okrycie mimo zimy miał jedną cienką derkę.

Z Warszawy przewiezli go pod silną strażą jako bardzo groźnego dla Rzeszy Niemieckiej do obozu lubańskiego via Wrocław, gdzie przed dostaniem się na dłuższy tam pobyt zapoznał się z miejskim więzieniem m. Lauban i został zamknięty dosłownie w komorze piwnicznej od węgli. W obozie lubańskim, przeznaczonym dla jeńców wojskowych armji koalicyjnej, położonym o 3 klm. od miasta Lauban—umieszczono kpt. Caspaeri w specjalnej części ogrodzonej od reszty obozu,

która służyła za locum dla internowanych cywilnych i nosiła miano „obozu” cywilnego. Mieszkańcy tego obozu w większości rekrutowali się z wyjątkowej biedoty, gdzie zwłaszcza przeważali ciemni i brudni chłopci białoruscy i t. zw. starowiercy oraz z szumowin ostatniego rzędu, jako to z różnych aferzystów, szpiegów, złodziei, agentów moskiewskiej ochrony, handlarzy żywym towarem, szarlatanów różnego rodzaju oraz innych typów. Warunki mieszkalne i żywnościowe w tym obozie były skandaliczne. Śpiący np. na pryczy III piętra mieli sposob-



Benjaminów — Posterunek w obozie.

ność w nocy przez otwory w dachach baraków obserwować księżyc i gwiazdy, a podczas mrozu tak było zimno w barakach, że wielu jeńców zamarzało na śmierć. Głód panował potworny, a ci, którzy korzystali tylko z wiktów obozowych, a takich było 90%, wyglądali jak zmory, słaniali się z głodu, puchli, wielu wybierało wstrętne cuchnące odpadki z rynsztoków, a w wielu wypadkach ludzie ci warjowali lub marli powolną śmiercią głodową. O kawałek chleba większy o kilka gr. od przepisowego t. zw. pajdki, stale toczyły się walki, nic więc dziwnego, że gdy z wiosną 1917 r. przyszła posyłka z żywnością od rosyjskiej carcy, jako dar dla rosyjskich poddanych, cywilnego obozu — radość była trudna do opisanía. To też o kółkanaście sucharów, o trochę ryżu, cukru, kaszy i buljonu wszyscy się dobijali. Nie

zabrakło i byłego ministra sprawiedliwości p. St. Nowodworskiego, który, choć krótki czas spędzał w Laubanie, korzystał w tym czasie z licznych zagranicznych komitetów żywnościowych, nie brakło i przybyłych komunistów, dawnych endeków i lewicy P. P. S. oraz Bundzistów. Wszyscy się zgłosili. Wszyscy zdeklarowali się, że są rosyjskimi poddanymi.

Był jednak wyjątek. Tylko jeden legjonista i peowiak Caspaeri-Chrząszczewski, który choć najdłużej siedział w obozie laubańskim, nie korzystał z żadnych komitetów i przechodził straszny głód. Kategoriecznie oświadczył, że nigdy nie korzystał z podobnej łaski, zwłaszcza, że nie jest niczym poddanym i choć urodzony i wychowany w Warszawie, był tym, który jako legjonista i żołnierz I-szej Kompanji Kadrowej, bił moskiewskiego zaborcę.

Nędba, skandaliczne mieszkanie, wyrafinowane szykany komendanta obozu, obawa przed epidemjami, brak ruchu, beznadziejne oczekiwanie lepszego jutra, żadnej strawy duchowej i książek, rozsiewanie tendencyjnych wiadomości i straszenie represjami, skrupulatne cenzurowanie zgóry ograniczonej korespondencji i za byle co konfiskowanie jej — oto w krótkości obraz bytowania w tym obozie. Dla uzupełnienia powyższego zaznaczyć należy, że postępowanie oprawców obozowych specjalnie w obozie cywilnym było skandaliczne. Np. codziennie o świcie i po południu wpadało do baraków kilku pruskich podoficerów, uzbrojonych w baty i kije i wyganiało „ruskie bydło“, jak nazywali cywilnych jeńców rosyjskich, bijąc napotkanych, gdzie popadnie. To też stale akompanjamentem był straszny, niesamowity ryk bitych, katowani pod razami mdleli i padali, a ciężiej ranni kurowali się całymi miesiącami lub marli. Po takich to „wywczasach“ w obozie laubańskim w sierpniu 1917 r., kpt. Caspaeri przewieziony został do obozu w Havellbergu, a natępnie 2.I. 1918 r. z havellberskimi peowiakami odtransportowany został na dalsze siedzenie do obozu w Modlinie.

PIOTR GÓRECKI.

P. O. W. W NIEWOLI NIEMIECKIEJ.

(Cytadela, Szczypiorno, Havelberg, Modlin).

Lipiec r. 1917 zaznaczył się specjalnymi represjami Niemców w stosunku do myśli i idei, reprezentowanych przez obóz powolny rozkazom Józefa Piłsudskiego.

Rozpoczęto od represyj prasowych.

Dnia 9 lipca r. 1917 przeprowadzona została ścisła rewizja w lokalu redakcji tygodnika „Widnokrąg”, redagowanego przez Piotra Góreckiego. Nie o legalne wydawnictwo chodziło pruskim żandarmom. Dzięki prowokacji wiedzieli oni, że w tym lokalu odbywały się zebrania, w których uczestniczył szereg wybitnych polityków z Józefem Piłsudskim na czele, wiedzieli również, że redakcja „Widnokręgu” przy ul. Przeskok 2 ukrywa skarby literatury nielegalnej. Niestety, nieznamość sposobów technicznych, stosowanych przez konspiratorów w Królestwie, nie pozwoliła agentom niemieckim na odkrycie tych skarbów. W trzech pokojach, które zrewidowali, zdolali zabrać kilka egzemplarzy różnych ulotek nielegalnych, nie dobrnęli natomiast do dwóch innych pokojów, zastawionych ciężką szafą dębową, pokojów, w których znajdował się skład zarówno wydawnictwa „Biuletyn”, jak i szeregu innych wydawnictw nielegalnych C. K. N. Niepowodzenie i nieosiągnięcie rezultatów przy rewizji nie wpłynęło bynajmniej na Niemców w kierunku zaprzestania akcji śledzenia autorów ulotek. To też z kolei zaczęli deptać po piętach redaktorom „Biuletynu” — Stanisławowi Thuguttowi, Tadeuszowi Szpotańskiemu i Piotrowi Góreckiemu. Codziennie widywało się za sobą cienie w osobach agentów pruskich.

Trzynastego lipca roku 1917 przed mieszkaniem mojem przy ulicy Parkowej utworzony został stały posterunek tajnych agentów niemieckich. Nazajutrz, o godzinie 11-ej rano, wnet po przybyciu mojem do redakcji „Nowej Gazety”, której byłem politycznym redaktorem, zja-

wił się jeden z tych agentów, zaaresztował mnie i zawiózł na Wierzbową Nr. 1, do biura tajnej policji politycznej. Po chwili zaczęli tam ściągać inni znajomi z Medardem Downarowiczem, Walerym Sławkiem i innymi na czele. Byłem pierwszym aresztowanym. W pokoju, w którym mnie umieszczono, z przywyczajenia (ile, że przedtem zwiedziłem już więzienia moskiewskie i austriackie) rozpocząłem wędrówkę z kąta w kąt. Wywołało to oburzenie szpiclów niemieckich. „Hier ist kein Spaziergang!“ — wrzeszczeli do mnie. A po przybyciu innych aresztowanych, równie brutalnie wszystkich traktowano. Z Wierzbowej odwieziono nas częściowo tramwajami, częściowo samochodem ciężarowym, do Cytadeli, gdzie umieszczono w t. zw. „Arbeitersammellager“, w jednym z budynków Cytadeli.

Nie będę opisywał przeżyć w Cytadeli, gdyż uczynił to, kto inny. Powiem krótko: po miesięcznym zgórą pobycie tam, t. zn. po ukończeniu t. zw. śledztwa, bez uprzedzenia rodzin naszych, wywieziono wszystkich Peowiaków, z wyjątkiem tych, którzy skazani zostali na więzienia, w drodze wyroków sądu wojennego, do Skalmierzyc, skąd pieszo przeprowadzono nas do obozu jeńców wojennych w Szczypiornie.

W Szczypiornie byli już zainstalowani legjoniści. Nas oddzielono od nich szeroką drogą polną i drutami kolczastymi, którymi otoczony był cały obóz. Po pobycie w Cytadeli warszawskiej, obóz w Szczypiornie robił przerażające wrażenie. Nie było tam budynków, a wprost w ziemi wykopane doły, pokryte stropem z papy, w wielu miejscach przeciekającej. Szerokość lepianki wynosiła 4 i pół metra, długość około 10-ciu metrów. Wzdłuż lepianki, pod obu ścianami, wprost na glinie ułożone były barłogi; w środku między barłogami wąskie na pół metra przejście. Zamiast słomy użyto kawałków papieru, lub wiórek drewnianych. Zamiast płótna — tkaninę papierową. Za nakrycie służyły nam kołdry, zszyte z dwóch krótkich i wąskich pasków barchanu, wyłożonego wewnątrz staremi gazetami. Barłóg ustawicznie był mokry. Spaliśmy wszyscy w ubraniach, myszy, szczury i żaby gromadnie harcowały po nas. W Szczypiornie żywiono nas w sposób potworny. Rano wydawano kwiat lipowy i kilka deka zlepku z mąki gryczanej i trocin. W południe wydawano litr zupy z małży, ślimaków morskich i żab. Wieczorem litr kawy zbożowej, lub kwiatu lipowego. Odór południowej zupy był tak przerażający, że pomimo głodu niewielu miało ochotę zbliżyć się do cebra. To też głodowaliśmy, goniąc resztkami „zapasów“, wywiezionych z Cytadeli. I dopiero po nawiązaniu kontaktu z legjonistami, życie nasze było znośne. Komitet Pomocy Legjonistom i Więźniom Ideowym, zawiązany w Kaliszu, dostarczał nam, za pośrednictwem legjonistów, chleb, który stanowił

niemal wyłącznie nasze pożywienie. Szczególniejszą opieką z pośród członków tego Komitetu otaczała nas żona ówczesnego kapitana, dziś majora Wojsk Polskich, p. Zofja Janiszewska, która pośredniczyła, w przesyłaniu nielegalnej naszej korespondencji do rodzin naszych i za której pośrednictwem otrzymywaliśmy nie tylko pomoc z Komitetu kaliskiego, ale i pomoc od rodziny. Łącznikiem pomiędzy P. O. W., a Legionami był sierżant Wojciechowski.

Po przybyciu do Szczypiorny dowiedzieliśmy się, że pobyt nasz w tym obozie jest czasowy. W kilka dni po naszym przyjeździe partję Peowiaków z prowincji wywieziono do obozu w Havelbergu. I nam to nie wróżyło nic dobrego. W bloku D, w którym nas umie-



Havelberg — Grupa internowanych.

szczono, pozbawieni byliśmy do czasu zetknięcia się z blokiem C, w którym siedzieli legjoniści, wszelkich wiadomości z kraju. Pod wpływem warunków i szykan niemieckich rodziły się myśli pesymistyczne. Wynikiem tego był nawet memorjał do Rady Regencyjnej z prośbą o zwolnienie z obozu. Czynnie przeciwko temu zareagował ucieczką ze Szczypiorny Stefan Pomarański, dając przykład kilku swoim następcom. Niestety, warunki ucieczki były uciążliwe, to też niewielu ją ryzykowało.

Niemcy tymczasem usiłowali wszelkimi sposobami zdemoralizować młodzież z P. O. W. Poza świadomem puszczaniem wieści o pogodzeniu się społeczeństwa polskiego i nawet marszałka Piłsudskiego z losem, urządzali i inne prowokacje, mające na celu złamanie ducha

młodzieży ideowej. Obok naszego baraku ulokowano dom publiczny, przywieziony tu z Pińska. Panienki z tego zakładu miały wielką swobodę w prowadzeniu rozmów przez druty z Peowiakami, których zachęcająco nęciły do zwiedzenia ich baraków. Prowokacje te nie udały się. Peowiaci trzymali się karnie i pod wpływem udzielanych im wiadomości z Kalisza, za pośrednictwem legjonistów, przygotowywali się na wspólnych zebraniach do dalszej walki.

Zaznaczyć tu trzeba, że wśród kilkudziesięciu Peowiaków znalazła się obywatelka Wanda Damroszówna, żona poległego na polu chwały Korczaka, która razem z nami ponosiła trudy więzienia w jednym wspólnym baraku, odseparowana od nas płóciennymi zasłonami.

W końcu września Niemcy ukończyli wszelkiego rodzaju kwarantanny i szczepienia ochronne, które od początku względem nas stosowali. O tych praktykach lekarskich lepiej byłoby nie wspominać, gdyż nie miały one nic wspólnego z ochroną zdrowia, raczej narażały ludzi na przeróżne niebezpieczne choroby. Kwarantanna odbywała się w sposób następujący: 20-tu ludziom kazano się rozebrać w baraku, pod pachę wziąć zdjęte z siebie ubranie, nakryć się kocem i udać się do t. zw. łaźni. Łaźnia pomieścić mogła maximum 10 — 15 osób. To też w strojach adamowych oczekiwało się kolejki na wietrze i słońcu. Po przybyciu do łaźni wszystkich depoilowano (strzyżono, golono na całem ciele), przyczem dla pewności smarowano miejsca przedtem uwłosione roztworem siarki. Po tym obmalowaniu człowieka puszczano pod źle funkcjonujący prysznic. W międzyczasie, odebrane ubrania wraz z kocem dezynfekowano w specjalnych kotłach. Na te ubrania po wyjściu z łaźni należało oczekiwać dobrą godzinę. I znowu ta sama historia: węzełek pod pachę, nakrycie się kocem i, drżąc na całem ciele z zimna i obrzydzenia, powrót do mokrego baraku. W baraku nowa ceremonia: szczepienia ochronne — tyfusu, cholery i t. p. Ludzi ustawiano w szereg i jakiś szarlatan, bez dezynfekowania igły, brał na nią szczepionkę, nakłuwając jednego za drugim z pośród jeńców. Trzeba było silnego protestu ze strony nas wszystkich, aby uznano za niewłaściwy ten sposób „szczepienia”.

Dwudziestego piątego września, bez uprzedzenia nas, ani naszych rodzin, wywieziono nas do Havelbergu. Wyjeżdżając ze Szczypiorny przypadkowo byliśmy świadkami sceny, gdy sprowadzeni na nasze miejsce wynędniali żołnierze rumuńscy, rzucili się na zdeptany trawnik i, rwąc trawę rękami, usiłowali nią zaspokoić głód.

Do Havellbergu przybyliśmy w zamkniętym wagonie, ułożeni jak sardynki 27 września. Od stacji pędzono nas pieszo przez opustoszałe miasteczko, położone nad Havellą. Tu i ówdzie, wygrażając nam, przesuwwały się kobiety i wyrostki, wlokące za sobą ręczne

wózki, napełnione nadgniętymi kartoflami. Do obozu wprowadzono nas przez główną bramę, gdzie z prawej strony na małym wzgórzu ustawione były działa armatnie, zwrócone na położone po lewej stronie okratowane bloki jeńców.

Odrąz, w pierwszym bloku wyrżał z za drutów stary nasz znajomy, Tadeusz Kowalski i Tadeusz Caspaeri, którzy tu wcześniej zostali osadzeni. Robili wrażenie ludzi schorowanych, wynędzniałych. Nie pozwolono nam zamienić z nimi nawet słów powitania. W następnym bloku ulokowani byli oficerowie legjonowi, wraz z kilkudziesięciu innymi jeńcami różnej narodowości. Blok ten był podzielony na t. zw. „Kopfstube” i zwyczajną „Stubę”. Były to baraki drewniane, dość wysokie, pokryte papą. W tej t. zw. „Kopfstubie”, t. j. w izbie o wymiarach 6×10 metrów, ustawione były przy obu ścianach izby nary z jednym łóżem na dole, a z drugim na górze. Pośrodku długi stół, obok którego ustawiono ławy. Żelazny piec miał ogrzać całą izbę, po której hulał wiatr brandenburski. W „Kopfstubie” mieszkali już w dniu naszego przybycia oficerowie legjonowi Orlicz-Dreszer, dr. Kołłątaj-Srzednicki, Krok-Paszkowski, Janusz Głuchowski, Grzmot-Skotnicki, Szafranowski, Ostrowski i kilku innych.

Do tego właśnie bloku, po opróżnieniu go z cudzoziemców, przyprowadzono i nas Peowiaków.

W „Kopfstubie” ulokowano starszych: znaleźli się tam obok oficerów, ojciec Orlicza, rejent Dreszer, dr. Matuszewski, Piotr Górecki, Stanisław Hempel, Wojciech Stpiczyński, Roman Pruszkowski i kilku innych. Resztę ulokowano w zwyczajnej „Stubie”.

Wnet po przyjeździe zawiązano ścisły kontakt pomiędzy starymi znajomymi. Baraki havellberskie wydawały nam się salonami wobec ziemianek szczypiornińskich. Rozpoczęły się wspólne zebrania, dyskusje i pogadanki. Uroczystie obchodziliśmy za kratami rocznicę 29-go listopada, urządzając na dziedzińcu ołtarz polowy, przy którym odprawił Mszę kapelan obozowy, Litwin. Po Mszy odbyła się defilada oddziału peowiackiego, pod komendą Wądołkowskiego. Wieczorem, w ogólnej sali odczyt o powstaniu wygłosił Piotr Górecki.

Niestety, życie ideowe i współpraca myśli przerwane zostały nowym zdarzeniem. Niemcy, widząc coraz silniej nawiązywane stosunki osobiste między uwięzionymi i coraz żywsze oddziaływanie wzajemne na siebie, pewnego poranku wyrwały z naszego grona wszystkich oficerów legjonowych, wywożąc ich do obozu w Werl.

Zostaliśmy osamotnieni.

Niemcy, którzy dotychczas liczyli się ze stanem oficerskim, po wyjeździe oficerów obostrzyli warunki naszego bytowania. Wprawdzie pozostawiono nam „Kopfstube”, przenosząc według naszego uznania

kilku Peowiaków ze zwyczajnej „Stuby“, niemniej do tej zwyczajnej przysłano partję cudzoziemców.

Komendantem naszego bloku został podoficer pruski, żyd berliński Joppe, który wysilał się na wszelkiego rodzaju względem nas szykany.

Przed godziną 7-ą rano zjawiał się w baraku i polecał wszystkim ustawiać się w szeregu, w celu dokonania t. zw. apelu. Czynił to w sposób ordynarny, traktując nas, jak rekrutów.

Przy apelu zgłaszano zapotrzebowania za pośrednictwem starosty baraku, którym obraliśmy rejenta Dreszera. W języku urzędowym



Havelberg — Grupa internowanych peowiaków.

nazywał się on tłumaczem. Faktycznie był pośrednikiem pomiędzy jeńcami, a władzami obozu. Rejent Dreszer troskliwie opiekował się nami, nie pozwalając wyrządzać nam oczywiście krzywd.

Wszystkie czynności gospodarcze w obozie spełniać musieliśmy sami. Wydawano nam olbrzymie pnie drzewne, które z trudem wielkim rąbaliśmy na drewna do opału.

Pożywienie w Havellbergu było następujące: rano kwiat lipowy i pajdka chleba tego samego, co i w Szczypiornie gatunku, w południe zupa z obierzyn kartoflanych i peluszek, wieczorem kwiat lipowy, lub kawa zbożowa. Było wielką uroczystością, gdy wydano nam od czasu do czasu po kawałku ikry śledziowej.

Uzupełnialiśmy ten wikt tem, co się otrzymało z domu. Paczki wolno było wysyłać do 5-ciu kilogramów wagi. Odbiór tych paczek odbywał się w sposób całkiem specjalny. Po otrzymaniu zawiadomienia adresat pod eskortą szedł do magazynu z miską. W tej misce musiał zmieścić wszystko, co mu przysłało. Wszystkie produkty wydawano bez opakowania. Gdy więc nieszczęśliwemu jeńcowi z domu nadeszło trochę mąki, cukru, kakao, herbaty, czy ziemniaków — magazynier Niemiec otwierał paczkę i wszystkie te produkty wysypywał bez pardonu do jednej misy. Zbiorowo później oddzielaliśmy pomieszane cukier od kakao. Większa część paczek ginęła, a raczej



Szczypiorna — Wydawanie obiadu.

nie dochodziła do rąk adresatów. Z reguły Niemcy konfiskowali na własny użytek wędlinę, tłuszcze. Gdyśmy to skonstatowali, wydaliśmy polecenie naszym rodzinom, by nam nie przysyłały nic więcej poza sucharami i jarzynami, oraz cukrem w kawałkach.

Pozatem kupowaliśmy suchary, czekoladę, mleko skondensowane, papierosy od świetnie zaopatrzonych w te produkty sąsiadów naszych, jeńców francuskich i angielskich. Nawiasem mówiąc, wyzyskiwali nas ci sprzymierzeńcy, ale i tak byliśmy im wdzięczni za odsprzedaż żywności.

Na tle zakupów żywności zdarzały się i zabawne epizody. Pewnego razu jeńcy Rosjanie, pochodzący z gubernji północnych, otrzy-

mali w darze od swojego komitetu po kawałku czekolady. Sądząc, że jest to mydło dziegiowe bez zapachu i nie uznając wogóle potrzeby mycia się, czempredziej pozbywali się w nasze ręce tego przysmaku.

Havellberg uchodził za obóz karny. Pewnego dnia do baraku naszego sprowadzono partję jeńców Anglików, którzy tu odsiadywać musieli karę za ucieczkę, zresztą nieudaną, z jakiegoś innego obozu niemieckiego. Byli to przeważnie inteligenci: jakiś doktor filozofji, namiętny teozof, jakiś artysta dramatyczny, kilku oficerów marynarki handlowej, kilku nauczycieli i guwernerów. Nawiazaliśmy z nimi jaknajserdeczniejsze stosunki, a z barczystym irlandczykiem Tomem niejednokrotnie rozprawialiśmy w łamanym języku niemieckim o losach Polski i Irlandji.

Ze względu na to, żeśmy byli zdecydowani przepędzić czas dłuższy w Havelbergu, uprosiliśmy znajomych Anglików o udzielanie nam lekcji języka angielskiego. Z ochotą zabrali się niemal wszyscy do pracy. Dzień, jeden podobny do drugiego, rozpoczynaliśmy od nauki, w południe odbywało się przygotowywanie obiadu, popołudniu ćwiczenia na małym dziedzińcu, wieczorem pogadanki i odczyty, które cieszyły się dużą frekwencją.

W drodze wyjątku uzyskaliśmy prawo ściągania na nasze odczyty jeńców Polaków z innych bloków.

W Havellbergu siedziało wówczas kilku zapalonych socjalnych demokratów, późniejszych komunistów, z Marchlewskim, Rotszlatem i Cukerwarem na czele. W jednym z nami baraku przebywał również wywieziony z Warszawy socjalny demokrat Alter. Z tymi to ludźmi prowadziliśmy zażarte spory polityczne i społeczne.

„Sielankę“ przerwało specjalne w naszym baraku zdarzenie. Przyzwyczajeni do wygód Anglicy, nie mogli się pogodzić z warunkami, jakie im dano w barakach. Natychmiast po otrzymaniu od swoich rodzin i od komitetów opiekuńczych ciepłej odzieży i ciepłego okrycia na noc, zaczęli się urządzać w swojej izbie barakowej z możliwym w niewoli „komfortem“. Zaczęto od przekształcenia pryczy. W izbie, którą dano do dyspozycji Anglikom, pryczy składały się z czterech kondygnacyj. Z pomocą siekiery dwie kondygnacje pewnego dnia wyrąbano i utworzono z otrzymanego materiału separatkę. Nie odrazu Niemcy to spostrzegli. W chwili jednak, gdy zrobiono to nieprawdopodobne odkrycie, Niemcy wpadli w istny szal. Represje rozpoczęły się od wysiedlenia Anglików z naszego baraku i rozmieszczenia ich w pojedynkę po różnych barakach. Anglicy zareagowali na to w sposób bardzo prosty: rozpoczęli głódówkę, a jednocześnie przekupili wartę niemiecką i wysłali szczegółowy raport do konsulatu hiszpańskiego w Berlinie ze skargą na nieprawdopodobne

stosunki w obozie havellberskim. Efekt tej akcji był piorunjący: w drodze dyplomatycznej Niemcy zostali powiadomieni, że o ile nie cofną represyj w stosunku do „zbuntowanych” jeńców angielskich, w drodze odwetowej władze angielskie zastosują represje w stosunku do jeńców niemieckich w obozach angielskich.

I tu naocznie przekonał się, co znaczy posiadanie własnej państwowości i ochrona własnych obywateli przez państwo. Wszyscy jeńcy angielscy z tryumfem wrócili do naszego baraku, do swoich separetek. Na miejsce do obozu zjechała specjalna komisja z Berlina, która badała warunki, w jakich żyją jeńcy. Na dwie godziny przed przybyciem tej komisji obóz cały czyszczono, a na budynku kuchni wywieszono tablicę z menu, przeznaczonem dla jeńców. Tego dnia otrzymaliśmy istotnie supę kartoflaną, w której pływało kilka skwarków.

Oczywiście komisji nie pokazano szpitali, w których kilkuset różnej narodowości jeńców ginęło z wycieńczenia. Wszyscy chorowali na jedno: puchlinę wodną, powstałą z braku środków odżywczych. Jedynie lekarstwo, stosowane w szpitalach, to dla każdego chorego proszek chininy i pigułka jodu dziennie. Poza tą „pomocą” oficjalną, jeńcy otrzymywali pomoc od t. zw. komitetów narodowych.

W każdym obozie obywatele jednej narodowości posiadali swój komitet. Na czele komitetu polskiego stał niestrudzony dzisiejszy wiceprezydent miasta Wilna Witold Czyż, razem z dzisiejszym prezesem Rady Miejskiej m. Białegostoku, Feliksem Filipowiczem, którzy nieśli ofiarną pomoc chorym i znużonym rodakom. Na ręce komitetu polskiego w Havellbergu nadchodziły od czasu do czasu dary od Ogólnego Komitetu Pomocy Jeńcom Polskim, który działał w Vevey niezwykle sprężysto pod przewodnictwem niestrudzonego samarytanina Osuchowskiego. Ten to komitet nadsyłał do obozu mleko skondensowane, czekoladę, herbatę, które prezes Czyż własnoręcznie rozdzielał pomiędzy jeńców Polaków, mając w pierwszym względzie na myśli pomoc wycieńczonym i chorym.

Prezes Witold Czyż przybył do Havellbergu jeszcze w tych czasach, przed naszym tam przyjazdem, gdy Niemcy traktowali jeńców, jak zwykle zwierzęta. Ofiarną pracę Witolda Czyża pamiętało kilku jego współwięźniów z okresu, gdy panowała w obozie epidemia tyfusu, masowo kosząca organizmy ludzkie, gdy ludzie pozbawieni pomocy, odcięci od bliskich i świata całego umierali masowo, gdy trupy zmarłych na zarazę pozostawały wraz ze zdrowymi, niepochowane po kilka nieraz dni. Witold Czyż był tym, który pierwszy pomyślał o samopomocy i pierwszy zorganizował samoobronę przeciw barbarzyństwu.

To też, gdy zjawiał się do baraku, serdecznie go witano, wiedzano bowiem, że niesie on słowa pociechy.

Komitet Polski, pod przewodnictwem Czyża, nie tylko żywymi opiekował się w obozie. Pamiętał i o mogiłach umęczonych braci. O kilkaset metrów od obozu, pod laskiem brzozowym, znajdowało się miejsce wiecznego spoczynku tych, których los rzucił w ręce ciemieców. We wspólnym szeregu leżeli obok siebie ludzie różnej narodowości. Na tablicach, w niemieckim napisanych języku, czytać można było nazwiska zmarłych. Byli wśród nich ludzie od lat kilku do dziewięćdziesięciu kilku, kobiety i dzieci. Na mogiłach posiano trawę, usta-



Szczypiorna — Przed barakami.

wiając skromne krzyżyki drewniane. Na cmentarzu tym odmówiliśmy „wieczny odpoczynek, daj im, Panie” w dniu Wszystkich Świętych.

Nastał wreszcie dzień Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Zhratanie nasze z Anglikami doszło w tym czasie do dość dużej zażyłości. Nauczylśmy się trochę po angielsku, a i Anglicy nauczyli się od nas coś niecoś po polsku. Specjalną sympatią darzyli piosenki legionowe, z których niejedną łącznie z nami śpiewali.

Dzień Bożego Narodzenia Anglicy obchodzą wyjątkowo uroczystie. Po odczytaniu odpowiednich ustępów z Biblii, każdy z nich usiłuje okazać bliźniemu swemu dużo dobrego. Ambicją Anglika jest, by w dniu tym radość i beztroska wszechwładnie panowała wśród dzieci.

To też wysilają się na pomysły, by zrobić dzieciom przyjemne nie spodzianki. W niewoli wszelkiego rodzaju inicjatywa w tym względzie jest wielce ograniczona środkami, jakie się ma do rozporządzenia. To też i w naszym baraku Anglicy rozstrzygnęli kwestję krótko i węzłowo: należy ściągnąć całą dzieciarnię, znajdującą się w obozie i obdarzyć ją podarunkami w postaci białych sucharów, łakoci, mleka skondensowanego.

Po nabożeństwie uskutecznił ten plan w sposób znakomity, obdarzając dziatwę produktami, które zawczasu w drodze kolekty zgromadzono.



Szczypiorna — Pompa obozowa.

Dla nas, Polaków i dzień, poprzedzający Boże Narodzenie, był wielką uroczystością. Zasiedliśmy do tradycyjnej Wigilji, łamiąc się nadęsanym opłatkiem i życząc sobie przy kawie zbożowej i kilku kropkach miodu, którego butelkę zdobył jakimś cudem prezes Filipowicz, lepszych i szczęśliwszych chwil.

Dzień sylwestrowy przeszedł również w nastroju podniosłym. Zastosowaliśmy się wszyscy do zwyczaju angielskiego, spotkania Nowego Roku nazewnątrz budynku. Nie wiem, czy był to zwyczaj obozowy, czy też normalny w życiu przedstawicieli Wielkiej Brytanii. W każdym bądź razie wzruszenie nas opanowało, gdy pierwszą myślą w chwili wybicia godziny dwunastej w nocy z 31 na 1 stycznia

roku 1918 była pamięć o Ojczyźnie. Gremjalnie odśpiewano na dziedzińcu hymn narodowy angielski. Gremjalnie również i my, Polacy, odśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Sąsiadujące z nami bloki, słysząc nasze pieśni, kolejno poczęły się odzywać. I popłynęła poprzez pola brandenburskie melodja, nie zwątpienia, a wiary w siły moralne narodu, ducha, który nie zna niewoli.

Nazajutrz, zimowy świt sprowadził zwykłą rzeczywistość.

Już w końcu roku 1917 zaczęto przebąkiwać, że wywiozą nas z obozu havellberskiego. Pogłoski powtarzały się z dnia na dzień drugiego, trzeciego, czwartego stycznia. Jakoż istotnie siódmego stycznia 1918 r. nakazano nam, wszystkim Peowiakom zbierać się do drogi. Nie wiedzieliśmy, dokąd pojedziemy, nie byliśmy w stanie o niczem zawiadomić swych rodzin. Tegoż dnia załadowano nas w wagonie czwartej klasy i wywieziono przez Berlin do Modlina.

Droga była niezwykle uciążliwa. Na małych stacyjkach przetrzymywano nas całymi godzinami. Zaopatrzeni byliśmy w jednodniową porcję żywności, która ledwie starczyła do przybycia do Berlina. W Berlinie transport nasz odciągnięto na boczne tory poza Schlesi-scher Bahnhof, gdzie znowu przetrzymano nas kilka godzin. Dzięki temu postojowi mogli zbiec z transportu trzej, czy czterej jeńcy, jadący razem z nami, znający Berlin. W Aleksandrowie, po krótkim postoju, zrobiono w wagonach apel. Peowiacy byli w porządku. Na następnej jednak stacji we Włocławku, w chwili ruszania pociągu, zbiegło z niego dwóch, czy trzech ze Stefanem Czarnieckim na czele. Ucieczki nie spostrzeżono. Dobrnęliśmy szczęśliwie, zmęczeni i strudzeni trzydniową podróżą, do jakiejś małej stacyjki pod Łowiczem. Tam wydano nam posiłek, w postaci kawy zbożowej i kawałka chleba. Dojechalіśmy stamtąd do Warszawy bez przygód. W międzyczasie wszyscy pisali listy na świstkach papieru do rodzin w Warszawie. Przy przejeździe przez Powązki i Wolę listy te rzucaliśmy z okien robotnikom z prośbą o dostarczenie ich adresatom. Nie omyliliśmy się; wszystkie listy dostarczone zostały adresatom tegoż dnia.

W Warszawie nie zatrzymano pociągu. Dojechalіśmy wprost do stacji Nowy Dwór, skąd pieszo, z manatkami udaliśmy się do Modlina. W twierdzy modlińskiej zamknięto nas w przygotowanych zgóry barakach. Zastaliśmy tam licznych znajomych. Powtórzyła się zwykła ceremonia instalacyjna. Znowu łaźnia, dezynfekcja. Później utworzenie komitetu polskiego i t. d. Komunikacja z Modlina z Warszawą była stosunkowo łatwa. Jeńcom, zgrupowanym w Modlinie, pomagali zresztą ziemianie i obywatele okoliczni, którzy na apel rejenta Rybickiego z Zakroczymia, dostarczyli do obozu kilkadziesiąt fur ziemniaków, dając nam możliwość prowadzenia kuchni we własnym zakre-

sie i znośniejszego odżywiania się. Dostarczano nam również, już za pieniądze, mleko i chleb. Komitet rozdzielał te produkty pomiędzy chorych i zgromadzone dzieci.

W końcu stycznia zwolniono z obozu modlińskiego pierwszą partję Peowiaków. Zapanowała radość powszechna. Za kilka dni zwolniono i drugą partję. W obozie pozostali jednak liczni współtowarzysze walki, którym sądzone było przesiedzieć tam jeszcze czas dłuższy.

W Warszawie niemal wszyscy zwolnieni odrazu stawili się do warsztatów pracy ideowej. Ciężki był obowiązek meldowania się dwa razy w tygodniu na Wierzbowej Nr. 1, w biurze politycznej policji niemieckiej. Wszyscy za sobą widzieliśmy cienie ochrony niemieckiej. Niemniej nie ustawialiśmy w pracy w znanych nam środowiskach.

Osobiście objąłem wówczas redakcję „Kurjera Porannego”, z pisma tego czyniąc trybunę zwolenników naszej ideologii.

Niejedną jeszcze szykanę robiła mi cenzura niemiecka. Nie zrażałem się jednak temi przeciwnościami i angażowałem do pracy coraz to większe zastępy ludzi, oddanych idei ukochanego Wodza.

Z myślą o wyzwoleniu Polski pracowaliśmy z wielką energją, co uwieńczone zostało definitywnem zwycięstwem w dniu 11 listopada roku 1918.

W dniu tym powrócił do kraju, z obcej niewoli Józef Piłsudski, ujął w swe ręce władzę, dla której posłuch nakazał nawet niewiernym. Skromne mieszkanie przy ulicy Mokotowskiej stało się przybytkiem tej władzy, przybytkiem, do którego zjawiali się po rozkazach ci z karnych szeregów, jak i ci, którzy, wczoraj będąc u rządów, dzisiaj szukali tu ochrony dla swych mizernych osób.

Zatriumfowało zwycięstwo ducha, idei, zwycięstwo, które utrwalać trzeba przez długie, długie jeszcze lata.

WALERY SŁAWEK

W CYTADELI WARSZAWSKIEJ.

14 lipca 1917 r., rano Sokolnicki zaprasza do siebie na winta. Et, można pójść, wszystko jedno. Już się sytuacja wyjaśniła. I-sza Brygada rozrzucona pułkami w Modlinie, Zegrzu, Ostrołęce i t. d. odmówiła przysięgi. Odbywa się wydzielanie „obywateli” austrijskich, jako zobowiązanych do służby w c. i k. armji od „poddanych” byłego imperjum rosyjskiego. Widać coraz wyraźniej, że Niemcy idą na represje, lecz jak dotąd wiadomo tylko, że mjr. Ganczarski, sędownik Komendy Legionów, kazał aresztować por. Jędrzeja Moraczewskiego i Kazimierza Stamirowskiego. Trzymano ich w więzieniu na Dzikiej, gdzie Ganczarski przesłuchiwał. Wiadomo również, iż część żołnierzy z 3 p. piech. leg., która odmówiła złożenia przysięgi, została pod konwojem tych, co zaprzysięgli, odprowadzona gdzieś na dworzec wiedeński. Dokąd ich odwieźli, nikt narazie nie wiedział. Na kilka dni przedtem p. Charwat, komisarz policji politycznej c. i k. austrijskiego generał-gubernatora przyjechał do Warszawy i napisał do mnie, że pragnie się widzieć. Zapytałem Komendanta. Odpowiedział: „idź i postraszyć”. Poszedłem. P. Charwat „radził” zgodzić się na przysięgę Legionów, gdyż odmowa może pociągnąć złe skutki, Niemcy bowiem są zdecydowani zastosować represje. Odpowiedziałem, że nie wiem, kto kogo ma straszyć, że już się rozpoczęły jakieś fermenty wewnątrz państw centralnych np. strajk w Morawskiej-Ostrawie (o którym zresztą prawie nic nie wiedziałem). P. Charwat był „zmartwiony”, ja nie.

Tymczasem chwile zastanawiania i głośnego rozmyślenia pomiędzy oficerami, czy nie byłoby lepiej zrobić zbrojny zamęt na tyłach Niemców, — już się skończyły. Decyzja Komendanta Piłsudskiego, wydana dowódcom pułków, zakazująca ruchawki, jako przedwczesnej — rozstrzygnęła wątpliwości. Nastrój obserwowania rozwijających się po sobie wydarzeń zastąpił wewnętrzną rozterkę, że może

szkoda rozbijać za jednym pociągnięciem ten zawiązek wojska polskiego. Jest on coprawda liczebnie słaby, ale jest. Jest jednocześnie rezultatem tylu zmagañ i wysiłków wszystkich nas, od Komendanta począwszy, a na wszystkich żołnierzach skończywszy. Każdy w granicach swoich możliwości i swojej woli dokładał jakąś cegiełkę, aby Brygada była silniejsza i lepsza od wszystkiego, co ją otaczało. Teraz wszystko się rozwala, idzie w rozsypkę. Komendant kazał, ale ciężko!

Dopiero teraz w umysłach ludzi I-szej Brygady zaczyna nabierać jakiegoś znaczenia to cywilne wojsko w Polskiej Organizacji Wojsko-



Kadrówka w Szczypiornie.

wej, ale czy i tego Niemcy nie rozbiją? Takie rozgrywały się zdarzenia i takie towarzyszyły im nastroje.

No, niech będzie wint. Sokolnicki da kolację i będzie się kłócić o to, że tam w kartach partolą. Zeszliśmy się na winta: Komendant Piłsudski, ppłk. I-szej Brygady Kazimierz Sosnkowski, Artur Śliwiński, Sokolnicki i ja. Po drugiej w nocy poszliśmy do domów: Komendant i Śliwiński w kierunku ul. Służewskiej, a ja po odprowadzeniu Sosnkowskiego na Sienkiewicza, poszedłem do siebie na Mazowiecką 11.

Szarżało, gdy kładłem się spać. Około 5 rano obudziło mnie mocne dzwonicie i pukanie — otworzyłem drzwi. Weszło dwóch olbrzymich żandarmów, czy policjantów niemieckich, przebranych po cywilnemu. Mówili po polsku, zrobili rewizję dość pobieżną. Wojskowe

notatki i pokwitowania zdołałem potopić. Poszliśmy na Wierzbową do biura niemieckiej policji politycznej. Tam w poczekalni zastałem kilku znajomych kolegów z pracy w P. O. W.; wśród nich byli: ppor. Stanisław Hempel, por. Wacław Jędrzejewicz, dwaj bracia Wrotnowscy, ppor. „Beniek”-Wądołkowski, Piotr Górecki, Medard Downarowicz i inni, razem dwudziestu paru.

Po paru godzinach wsadzono nas pod konwojem do samochodu ciężarowego i zawieziono do cytadeli. Znałem ją z dwukrotnego prześiadywania w X pawilonie za czasów rosyjskich. Teraz prowadzono nas nie do cel więziennych a wszystkich razem do wielkiej sali koszarowej, w głównym budynku na II-giem piętrze, z oknami na podwórze. Urządziliśmy się i rozglądali pomiędzy sobą, po sali i przez okna. W pewnej chwili spostrzegłem, że z podwórza jakiś podoficer legjonowy kłania mi się i daje znaki. Z tej odległości nie poznałem go i „legun” sobie poszedł. Minęło kilka czy kilkanaście minut, gdy ktoś zaczął pukać w sufit pod nami, alfabetem więziennym. Medard Downarowicz i ja, jako starzy praktycy w sztuce spędzania czasu w więzieniu, uciszywszy kolegów, rozpoczęliśmy próby porozumienia się alfabetem pukaniem z tym kimś. Pukanie bez sensu i składu. Downarowicz wścieka się, jak można być w więzieniu takim nieukiem nie znać najprymitywniejszych zasad porozumiewania się. A pukanie, a raczej stukanie jakby butem w sufit pod nami trwa w dalszym ciągu... Et, głupstwo nie warto zwracać uwagi, dopóki ten ktoś nie zmądrzeje. Okazało się, że jednak był mądry, gdyż w pewnej chwili pukanie ustało.

Kręciliśmy się jeszcze koło tego miejsca w sali, skąd przedtem dochodziło pukanie, gdy naraz z asfaltowej posadzki wyszła koniec świdra. Byczo! jest dziura w podłodze. Po chwili wysuwa się stamtąd skręcona kartka papieru. Pisze ów podoficer, który salutował z podwórza. Nazywa się Wiktor, jest legjonowym chorążym, powołuje się, że mnie zna i gotów jest pośredniczyć ze światem. Pod nami jest skład sprzętu saperskiego, a on ma klucz od sali. Jest więc komunikacja ze światem, a ponieważ Niemcy przy aresztowaniu por. Wacława Jędrzejewicza mówili, że ma być aresztowany również Komendant Piłsudski i ppłk. Sosnkowski, trzeba tę wiadomość przesłać nazewnątrż w formie zrozumiałej dla tych, do którychby się pisało, a nic nie mówiącej na wypadek, gdyby kartka się wsypała. Zredagowaliśmy list i posłaliśmy przez ową dziurkę do panny Eli Kwiatkowskiej, komendantki ówczesnego oddziału kobiecego P. O. W. W pensjonacie jej matki jadał obiady Komendant i mieszkał ppłk. Sosnkowski.

W ten sposób łączność ze światem została nawiązana i trwała prawie przez 3 tygodnie. 22 lipca dowiedzieliśmy się z listów nadsyłanych z miasta o aresztowaniu Komendanta i ppłk. Sosnkowskiego. Przyjęliśmy tę wiadomość z całym poczuciem bezradności i bezsilnej wściekłości.

Kontakt z miastem w końcu się urwał skutkiem następującego wypadku: Medard Downarowicz i Kaufman zachorowali na dezynterję, wobec czego zabrano ich do niemieckiego szpitala wojskowego, lecz nie zawiadomiono rodzin. Tymczasem matka Kaufmana, która otrzymała od jednego z siedzących razem z nami, wiadomość o chorobie syna, udała się do niemieckiej policji politycznej robić starania o wypuszczenie syna. Nie umiała jednak wytłumaczyć się, skąd wie o jego chorobie. Padły podejrzenia, że my wysyłamy listy drogą nielegalną. Zrobiono u nas rewizję, zabrano papier, ołówki i t. p. oraz zastosowano inne środki represyjne. Baliśmy się wzywać chorążego Wiktora i przerwaliśmy kontakt. Z miasta dostarczano nam tylko obiady z kuchni dla inteligencji, utrzymywanej, o ile mi się zdaje, przez Radę Opiekuńczą. Żadnych oskarżeń ze strony władz niemieckich nam nie komunikowano, ani też nikogo nie badano. O co byliśmy oskarżeni, nikt nie wiedział. Domysłaliśmy się tylko, że Niemcom chodziło o rozbięcie P. O. W. przez internowanie kierowników. Tego nie osiągnęli, gdyż nie aresztowali całej Komendy Naczelnej.

Warunki internowania mieliśmy znośne. Zupka mleczna na śniadanie, cbiad z miasta, a na kolację jakiś płyn. Poza tem codziennie godzinę spaceru w obrębie cytadeli pod konwojem żonierzy niemieckich, przeważnie Mazurów z Prus Wschodnich.

Przebywanie w więzieniu czy obozie internowanych zdejmuje poczucie odpowiedzialności za wypadki, które się rozgrywają nazewnątrz, jest się bezsilnym, można tylko się wściekać lub czegoś chcieć — ale bieg rzeczy odbywa się poza możliwością fizycznego oddziaływania na nie. Poza tem, gdy się siedzi w obozie w jednej sali w tak licznej grupie — trudno skupić myśli. Rozmowy, hałas, wszyscy sobie wzajemnie przeszkadzają, dnie upływają na beztroskiem zabijaniu czasu i bezmyślnych nudach.

W drugiej połowie sierpnia wszystkich moich towarzyszy wywieziono do Szczypiorna — zostałem sam. Dano mi inny pokój, w którym przesiedziałem do 4.I.18 r. Byłem wtedy zupełnie odcięty od kontaktu ze światem. Pozwolono mi jedynie otrzymywać pisma: Kurjer Poznański i Godzinę Polski. Z gazet tych wiedziałem o utworzeniu Rady Regencyjnej, uroczystościach zaprzysiężenia na zamku i t. d. Czytałem artykuły triumfujących „aktywistów”, napaści i potępienia zgubnej ich zdaniem roli Piłsudskiego wnoszącego zadraż-

nienie w błogiem nawiązywaniu przyjaźni pomiędzy Polską a okupantami. Nie liczyli się z tem, że my wszyscy siedząc w więzieniach niemieckich, nawet polemiki z nimi nie mogliśmy prowadzić. Prędkie były objawy triumfowania wtedy nad nami tych płatnych pimaków. Błoto i gnój. Moralne niewolniki, czepiające się rączki okupanta, ażeby pogładziła po główce.

W innem świetle ukazywała mi się sytuacja nasza od wewnątrz, z więzienia. Widziałem codziennie żołnierzy niemieckich, którzy przychodzili na rozmowy. Widać było, że wszyscy powtarzają to samo, że to co mówią, jest powtarzaniem albo tych argumentów, które im



Benjaminów — Plaża przed obozem (gen. Rouppert, płk. Zagrodzki, gen. Dąb-Biernacki, gen. Składkowski).

oficerowie dla podniesienia ducha nagadali, albo tych wątpliwości, które oni w rozmowach między sobą szerzyli. Do chwili rewolucji rosyjskiej ogólnie wyrzekano na ciężary wojny, co było jednak połączone z wielkim strachem przed własną władzą. W okresie natomiast pierwszych pertraktacyj Niemców z Bolszewją w grudniu 1917 r. wzmógł się niebywale nastrój wojenny, pewność siebie, że po odpadnięciu frontu wschodniego siły niemieckie rzucone na zachód — zdruzgoczą Francję i Anglję, że to będzie ten ostatni wysiłek, po którym zwycięstwo jest pewne. Lecz poprzez te nastroje wyłaziła, jak sztydło z worka, tęsknota do końca wojny. Widać było, że będą zdolni

już tylko na jeden wysiłek, po którym załamał się cała ich odporność.

Przeliczyłem się częściowo — Niemcy zdobyli się jeszcze na dwie ofenzywy, bowiem żołnierz niemiecki na froncie był w lepszej formie niż ten, który pełnił służbę na tyłach.

W styczniu 1918 r. wywieziono mnie do Szczypiorna. Przybyłem tam już po wywiezieniu wszystkich legionistów do Łomży: znalazłem się wśród tej zbieraniny dziwacznej i przeraźliwej, jaką Niemcy napchali do obozów. Przeszedłem 14-dniową kwarantannę w towarzystwie jakiegoś Włocha i strasznej Żydówki z trojgiem dzieci. Później mieszałem towarzystwo różne np. rodzinę cyganów z 13 osób, 27 Starowierów-kacapów, kilku chłopców z Polesia, zidjociałego aptekarza, rodziny Żydów z Pińska i t. p. Warunki w barakach okropne. Pomiedzy narami kałuże, powstałe z wody podskórnej i brudu — wszystko mokre. Nie było takiego miejsca na siennik w całym baraku, aby nie kapało z sufitu. Kładło się do snu w mokry i zimny barłóg. Szczury i myszy bawiły się dosłownie po głowach. Zimno i głód. O stopniu wygłodzenia ludzi świadczyło to, że organizmy straciły zupełnie niemal zdolność regeneracji.

Po pokoju brzeskim Niemcy przywieźli dużą ilość Polaków, którzy przedzierali się przez front do kraju, a którym zabrali wszystko, co z sobą przynieśli lub przywieźli. W Szczypiornie siedziałem do 2 maja 1918 r., a stamtąd zawieziono mnie do Modlina. W Modlinie zastałem dość liczną gromadę jeńców politycznych podzieloną na grupy według przekonań i związków z organizacjami, do których należeli. Były więc tam następujące „kluby”: najliczniejszy P. O. W. z Adamem Skwarczyńskim na czele, P. P. S. z Barlickim, Socjalna Demokracja (późniejsi komuniści) z Rotstadtem, Bund i inne żydowskie liczyły po paru reprezentantów danego kierunku. ,

W kilka dni po moim przybyciu, my jeńcy polityczni zostaliśmy ulokowani w osobnym, ale zato lepiej pilnowanym domku. Tam prowadziliśmy spory polityczne, jedliśmy rzodkiewkę, jedliśmy już nie brukiew pastewną, jak w Szczypiornie, ale kaszę jęczmienną bez omasty, klęliśmy Niemców, żarliśmy się między sobą, przygotowywaliśmy ucieczkę i tak dotrwaliśmy do 13 listopada 1918 r., do dnia, kiedy się już cały aparat okupacji niemieckiej w Polsce zaczął walić. Przybyliśmy do Warszawy około południa 13.XI 1918 r. Pobiegłem najpierw zameldować się do Komendanta na ul. Moniuszki 2, a później dopiero do łaźni i po czyste, niezawszone ubranie.

ZA KRATAMI CYTADELI I MOKOTOWSKIEGO WIĘZIENIA.

Gdy tylko pierwsze podjazdy niemieckie wkroczyły do stolicy, niemal nazajutrz niewiadomymi drogami przenikać zaczęły druki, ulotki, wydawnictwa, wyglądem swym przypominające coś pośredniego między „bibułą” konspiracyjną, a wydawnictwami emigracyjnymi. Były to druki, które na świat zjawiały się w Piotrkowie, Krakowie, Dąbrowie Górniczej i w innych miastach kraju, leżących w obrębie okupacji austriackiej. Dla mieszcza i inteligenta warszawskiego, wychowanych na zakazach cenzuralnych, zaostrzonych z chwilą wybuchu wojny do tego stopnia, że płachta gazety codziennej sprawiała wrażenie misternej szachownicy, na której przeplatały się pola czarne z białymi, — były owe druki czemś niepokojącym, co zadziwiała swą nowością i nęciło wolnością słowa, rozbrzmiewającego, jak zew do nowego życia. Zrazu w ukryciu, pełni żywej w nich jeszcze obawy, chwyтали tę lub ową gazetę, druczek skromny, po jednej stronie wypełniony, wiązanek wierszy patryjotycznych, a potem coraz odważniej sięgając po dalsze. Już się był pojawił typ „kolekcjonera”, zjawiającego się co dnia i rozpytującego się, czy aby czasem coś nowego nie przyszło w tym czasie. Już i tacy byli, co wymieniali z nazw i tytułów te lub owe druki, potrzebne do kolekcji i zabiegliwie wypełniający zauważone luki.

A pojawiało się tych znaków nowych czasów coraz to więcej i więcej. Kraków prym dzierzył. Wydawał wszystko, począwszy od modlitwy żołnierskiej, a kończąc na dramatach i albumach. Coraz doskonalszą była ich szata zewnętrzna i wnet zaćmiły owe wydawnictwa wszystko, co jako słowo drukowane wówczas się zjawiało. Wtedy, gdy wszystko wydawane w Warszawie, a w dodatku jakże rzadko, nosiło najpodlejszą cechę wojenną namiastki i tymczasowości, wydawnictwa z poza dawnego kordonu świeciły niezgaszonym blaskiem

przedwojennej świetności i przy niezwykle niskiej cenie wsiąkały natychmiast w łaknące rzesze czytelnicze.

Szerszy ogół powoli uświadamiał się i nabierał orientacji. Poprzez naturalną pierwotnie sympatię dla Austriaków i Niemców, zjawiających się, jak wybawiciele z pod jarzma, umożliwiających powołanie do życia polskiego uniwersytetu, polskiej rady miejskiej, obchodu 3-go maja, wyłaniał się już coraz powszechniejszy krytycyzm, sięganie do dalszych nieuprawnych jeszcze dziedzin życia narodowego. Wślad za tem mnożyć się jęła ilość nowego typu kartek ulotnych, „rejestrów“, biuletynów. Sielanka kończyła się! Wkrótce rozpoczął się szereg, zagłuszanych przez Niemców wypadków, symptomów rozkładu, jakkolwiek wszystko tchnęła jeszcze zwycięstwem i butą. I obok głośnych, często jak brzytwę ostrych pchnięć politycznych, rozpoczęła się cicha, lecz — jak kamień twarda — praca u podstaw P. O. W.

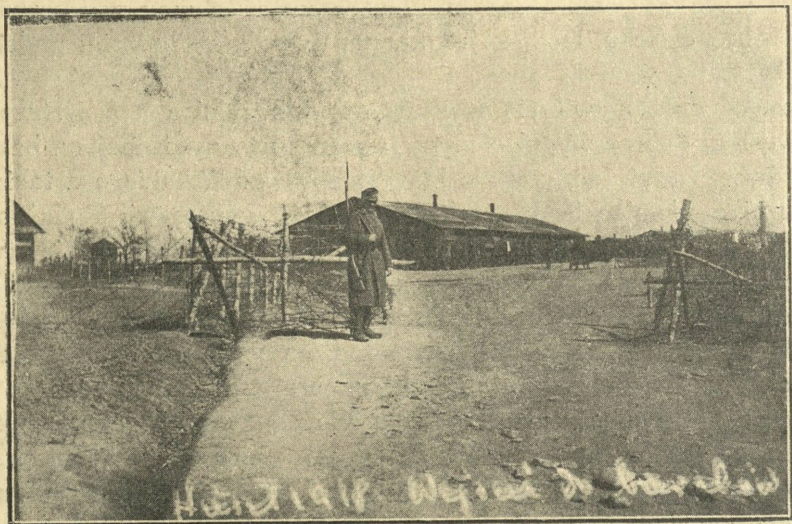
Któregoś dnia zjawił się w księgarni młodzieniec o przyszytych wąsikach, dobrze wygniecionym garniturku i nasadzonej na bakier maciejówce, zapytując, czy nie mógłby sprowadzić takiego a takiego podręcznika niemieckiego z zakresu taktyki wojskowej. Podał swe nazwisko, lecz adresu nie pozostawił. Nawet zadatek grzecznie opłacił, obiecując, że sam się zjawi po odbiór potrzebnego podręcznika. Niemcy, mając wszelkie ułatwienia, chętnie spełniali tego rodzaju polecenia i książkę przysłali. Ów młodzieniec w obiecany czas znów się znalazł w księgarni, książkę odebrał i pieniądze wpłacił.

Gdy po pewnym czasie ujrano go znów, powitano, jako dobrego znajomego, coś bowiem zeń szło, niby tajemnica niewoląca i przyjazna. A coraz więcej książek potrzebował, to o strategii, to o karabinie maszynowym — i wszystko w języku obcym, niemieckim. Śmiesznie było, gdy wymawiał z polską owe tytuły, jak soliter w kilkoro zwinięte, długie. Śnać tematy owe nie wyczerpały całej skali jego zainteresowania, gdyż jał sprowadzać obok dzieł z zakresu techniki wojennej prace z dziedziny techniki... powieściowej. Pracowicie przechodził od jednego zagadnienia do następnego, gromadząc na swej liście odbiorców coraz gęściejszy zastęp rozpraw, rozstrząsań, dzieł wyczerpujących i przedmiot ogarniających.

Tchnął ów tajemniczy klient ustawicznym humorem i miał zgoła dziwny język, którym się posługiwał. Nie kłął od piorunów ani chorób zakaźnych, lecz nadmieniał, że takiemu a takiemu „pies mordę wylizał“, nie nazywał z warszawska „frajerami“, lecz „ofermą“, nie mówił „byłe jak“, lecz „na chybcika“. Któż wśród tłumu gości, wypełniających zakątki księgarni, przewidzieć mógł, że jest to in spe sam szef wydziału szkolnego P. O. W., w jednej osobie rzetelny

pracownik literacki i nieugięty konspirator, wykonawca najwierniejszy, współtowarzysz najmilszy, sławny „kapral” I-ej Brygady...

Tak się stało, że przylgnął do księgarni i uczynił sobie z niej dla dobrej sprawy narzędzie posłuszne i wprawne. Więc, gdy przez długi czas za sprawą jego dopływały doń książki, sprawił, że od pewnego momentu zaczęły napływać najrozmaitsze druki, stąd zaś szeroka lawą rozlewały się po innych punktach sprzedaży, a stamtąd przenikały do wszystkich warstw. Kupował je każdy, pragnący zdobyć wśród chaosu sprzecznych wieści i narosłych wątpliwości pewnik niezbitý i nieomylny. Wierzono im i kierowano się ich wskazaniem, jak busolą. Szerzyły prawdę i budziły odwagę. Tytuł najważniejszego



Huszt — Wejście do baraków.

z nich: „Rząd i Wojsko” działa, jak pełne zaklęcia hasło. Rozbrzmiewało, jak żądanie najmocniejsze, najtwardsze, czasem wydające się, jak najdalsze i niedościgłe, a chwilami, jak gdyby już bliskie już do osiągnięcia i urzeczywistnienia. I gdy szeregi peowiaków, zebrane pod Tymczasową Radą Regencyjną, stały na oczach Niemców, zdawało się, że odgrywa się sielanka najbujniejsza i najbardziej naiwna.

Lecz wkrótce — jak grom spadło w te rozedrgane rzesze — aresztowanie Komendanta. Jakgdyby pod tym ciosem zwinęło się w kłębek i najeżyło tysiącem igieł zbiorowisko żołnierzy, zewsząd otoczonej nieprzyjaciółmi. Sprytnie obmyśloną do ostatka była niemiecka gra, obliczona na rozejrzenie się wśród wtajemniczonych i rozpo-

znanie ich twarzy. Setki umundurowanych i ukrytych szpiegów i policjantów dało teraz nurka w tłum skazanych. Rozpoczęły się rewizje i aresztowania.

18 lipca 1917 r. pod wieczór wpadł niby bomba do księgarni przy Marszałkowskiej sławny już wówczas Schultze. Z tytułu doktor, z urzędu komisarz policji polowej, z wieku młodzik bezwasy, z kariery fanatyczny tępicieł wrogów niemieckości, objawiał temperament wprost żywiołowy. Na czele dziesięciu wywiadowców, zagłębił się w gromady książek, stojących na półkach i ladach, zanurzył się w przepaści i labirynty niżej położone i wychynął gdzieś u drugiego



Benjaminów — Goście z za drutów.

brzeża, z lubością zaglądając do każdej napotkanej niewinnej książeczyny, przerzucając z szybkością wprawnie działającego aparatu stosy broszur i nagromadzonej dziesiątkami lat makulatury. Jakiegoż to wroga poszukiwał sam komisarz? Miał on w rękę ukryty zdradziecki dokument — zapotrzebowanie księgarni na kilkadziesiąt sztuk „karabinu maszynowego“, lecz — broń Boże! — „jako takiego“, albowiem chodziło mu o... tablicę pogładową.

A „wsypa“ była rzetelna! Komisja Wydawnicza, skład druków. Obywatelka, która tym wszystkim ofiarnie zawiadywała, zbyt ufała pozorom półlegalności istnienia P. O. W. i niewiele przedsię-

wzięła ostrożności. To też niewiele trudu kosztowało policję, aby móc zdabyć najbardziej wiarogodne świadectwa, że tu, a nie gdzieindziej, mieści się źródło, skąd płynie strumień owej literatury, w której Niemcy zoczyli własne niebezpieczeństwo. Wśląd za tem mogli snadnie dotrzeć do następnego z kolei punktu przeładunkowego, tej właśnie księgarni, skąd już szeroką rzeką rozlewały się owe druki wojskowe i polityczne, Nielitościwemi podjazdami trapiące najeźdźników i będące systemem świetnie przeprowadzonych operacyj na tyłach. Zresztą taki był rozkaz z góry dla całej sfory wykonawców różnego autoramentu, usprawiedliwiających w najbardziej gorliwy sposób swą ucieczkę z frontu bojowego. Iluż było wśród nich Polaków, różnych ...skich i innych z poznańska mówiących, służących w charakterze tłumaczy i węszących z wprawą prawdziwych ogarów.

Gdy więc dokładnie przetrząsając księgarnię, niewiele stosunkowo odnaleźli, zamknęli ją, zabierając klucze i mnie. Podszedł był jeden, jak nieodstępny towarzysz, z pozoru najbardziej obojętny. Wśród skwaru południowego, przez natłoczoną ulicę Marszałkowską, zakurzony tysiącem stóp Ogród Saski na ulicę Wierzbową powiodł mnie, milczący, lecz ani na krok nieodstępujący. Było tam biuro „policji polowej”. Kazali przyjaźnie poczekać i posiedzieć. A mózg pracował w gorączce. Przedewszystkiem było nakazem zawiadomienie o tem, co zaszło. Pozwolili przez posłańca posłać wieść, jaknajbardziej suchą, relację krótką, a pod wieczór tenże sam „anioł stróż”, ulokowawszy się ze mną w dorożce, kazał się wieźć do Cytadeli.

Długo wlokła się szkapą, nim dowiozła nas przed bramę. Agent wysiadł na chwilę, by jakieś słówko szepnąć na odwachu, poczem się wrota gościnnie rozwarły. Jeszcze długo tłukła się dorożka ulicami fortecy, aż wreszcie przed jakimś budynkiem o niestartym wyglądzie moskiewskiej kazamaty, zatrzymał się wehikuł. Weszliśmy do sieni. Po obu jej bokach widniały izby, a w nich żołnierstwo niemieckie, stosy broni w kącie. Mieściła się tu również kancelarja więzienna. Lejtnant, który tu panował, przyjął kandydata do godności więziennej, opisał, zarejestrował znajdujący się przy nim dobytek, który starannie ułożył w mały pakuneczek, i zakwalifikował do jakiegoś numeru. Zjawił się po chwili inny dozorca i powiodł schodami na górę. Drewniane, czyste schody, później szeroki kurytarz, pusty i cichy, przypominały jakiś hotelik w zapadłej mieścinie prowincjonalnej. Dopiero dobrze „zaopatrzone” okno rozwiało owe złudzenie. Łóżko o zgniłym sienniku, wypchanym wiórami, jakiś stołek i inne niepowabne ruchomości nie zasługiwały na nazwę sprzętów. „Klasyczne drzwi i „judasz” już do reszty mówiły o prawdziwym przeznaczeniu tego miejsca.

Rozpocząłem spacer, przemierzając celę tam i z powrotem, upewniając się, ile kroków mogę zrobić w jednym kierunku, odczytując parojęzyczne napisy, którymi ściany były popstrzone. Od czasu do czasu słysząc było uchylanie „judasza” i czuwające oko strażnika. Dopełniała się klasyczna całość więzienna.

Pozostawiony w swym ubraniu „świeckim”, nie miałem odwagi leć na owym sienniku. Odcigałem tę chwilę, jak mogłem. Panowała cisza. Odezwała się okaryna, na której wygrywał żołnierz niekończącą się melodję. Zapamiętałem, niby słowik w maju, wyciągał piskliwe tony, naprowadzając melancholję i przygnębienie. Już skroś brzegi blasza-



Benjaminów — Praca przy placu tenisowym.

nej skrzyni szara poświata jęła przenikać do celi, a wytrwały i natrętny artysta wciąż jeszcze grał. Snać zmogła go nostalgia do swojej Brandenburgji i opłotków wiejskiej swej zagrody.

Nazajutrz po wywołaniu zebrała się spora gromadka „gości hotelowych” na kurytarzu, skąd powiedli nas ulicami do innego jakiegoś budynku. Okazało się, że musimy odbyć pierwszą powinność, którą rozważni Niemcy przewidzieli w regulaminie: „Entlausung”. Gdy staliśmy pod prysznicami, naprzemian gorącymi i chłodnemi, odzież nasza w międzyczasie ulokowaną została do gorącego, pozbawionego pary, pieca. I ona musiała przebyć zabieg higijenny — „odwszenia”. Gdy po dobrej godzinie otrzymaliśmy ją z powrotem, nieostrożnością

było dotknięcie wszelkich twardych przedmiotów, jak guzików itp.; parzyły one jak pokrzywa. Zbędnem byłoby dodawać, że materiały, z jakich przy wojennych zarządzeniach różnych „Stelle” mogliśmy podówcza skorzystać, drugiej podobnej próby nie przeżyłyby, gdyż wraz z bakteriami, będącymi osobistymi niejako wrogami okupantów, ulatywało z nich jakgdyby wszelkie życie — stawały się wiotkie i kruche.

Znów znalazłem się w tej samej celi. Przymusowa beczynność trapiła i nękała. Równie długie popłynęły godziny, złożone nie z minut, a wielotysięcznych ułamków czasu. Gdzieś nad wieczorem wezwany zostałem do kancelarji. Tam obwieścił mi ów lejtenant, że jestem zwolniony. Patrzyłem nań i nie wierzyłem, aż mi kazał krawat poprawić. Z niekłamanym wstrętem coś przeżuwał — Ach, diese verfluchte...

Polecił jakiemuś cywilowi odprowadzić mnie do bramy. Jakże prędko niosły nogi! Pieniądze wszystkie wyszły i trzeba było gnać na piechotę przez całe miasto, z północy na południe. Ulice były gwarne i gorące. Ludzie wydawali się, jakgdyby obcy i niczego nie dostrzegający. Oto własna ulica, dom i dziedziniec. Nareszcie!..

Nazajutrz nieskończone rozmowy i relacje. Oddali z powrotem klucze, coś niecoś zatrzymali, byli grzeczni i układni. Praca pochłonęła odnowa. Coraz żywszym nurtem płynęło życie podziemne. Ułotek było coniemiarą. Wydawały wszystkie stronnictwa i orjentacje. P. O. W. sypało wydawnictwami wojskowemi i politycznemi, Centralny Komitet z niebywałą regularnością wydawał biuletyny, Koło Międzypartyjne z powagą, pozbawioną wszelkiego temperamentu, głosiło swój passywizm. A w tym czasie już najmłodszy poeci — Tuwim, Słonimski, Lechoń — ogłosili pierwsze swe utwory, deklamowano już „Wielką Teodorę”, niezadługo miano poznać „Czarną Wiosnę” w urywkach dozwolonych, a nadewszystko „Kabaret Polityczny”. Zjawił się w polu poczet nowych walecznych wojowników, uwalniających umysły od ciężaru gniotącej atmosfery.

Tymczasem Niemcy coraz bardziej zaciskali koło udręki fizycznej i duchowej. Prześladowania i areszty mnożyły się z godziny na godzinę. Coraz bardziej wystrzegać się musiano i korzystać z nauk, przekazanych przez zaborcę moskiewskiego. Lecz Niemcy, wskutek zastosowania pewnego „trick'u” psychologicznego, odnosili przewagę. Podstęp ten polegał na wyzyskiwaniu pewności siebie, jaką zyskiwał każdy „obrewidowany”, gdy już przeszedł — zda się — niewinną rewizję. Zjawiało się paru agentów niemieckich, po polsku z kiepską mówiących, i przeprowadzało powierzchowną rewizję. Zaglądali tu i ówdzie i niby nic, lub prawie nic nie znajdowali. Ten i ów, wierząc,

iż jego mieszkanie po takim przejściu nabiera cech „legalności“, nabierał pewności, że już mu nic nie grozi. Wszak za Moskali, któżby się ważył coś w podobnym lokalu przechowywać? Sądzone, że i Niemcy kierować się będą podobnem rozumowaniem. Jakże często wyprowadzali w pole naiwnych! Wkraczali po dwu tygodniach i wtedy rozpoczynali rewizję dokładną i tak systematyczną, jak tylko oni umieli przeprowadzić. „Wsypa“ była najrzetelniejsza i nieodwołalna. Coraz więcej było aresztowanych, coraz więcej mnożyły się procesy



Benjaminów — 4 pułk piechoty.

młodzieży, zorganizowanej w P. O. W. Już się odbył proces ob. Wojciechowskiej-Czarnockiej, Warszawskiej, S. Liljenfelda, Groszlika, Włostowskiego, przyczem najniższy wyrok głosił na 3 lata ciężkiego więzienia (Zuchthaus'u). Odsiadywał więzienie Wacław Jędrzejewicz (Ordon), Zajączkowski, Puchalski i wielu innych.

Nadszedł wreszcie grudzień 1917 roku. W pierwszych jego dniach, zatrudnieni w księgarni pracownicy ze mną na czele dostali wezwanie do stawienia się na sprawę w dniu 13. grudnia. Zaproszenie brzmiało niewinnie i nie wydawało się groźnem. Chmurnym rankiem zjawiliśmy się w Komendaturze, gdzie obradował Sąd polowy. Długo oczekiwa-

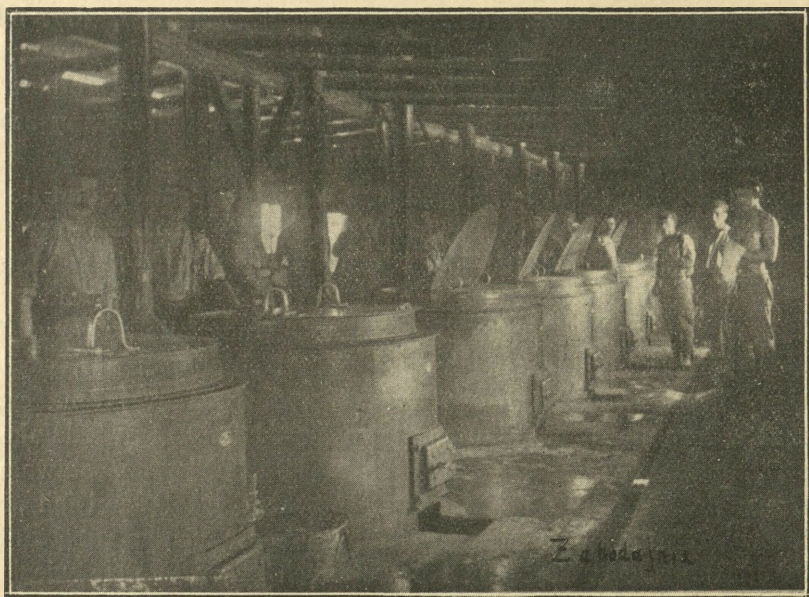
liśmy w poczekalni, napchanej świadkami i rodzinami oskarżonych. Od czasu do czasu przeciskał się między tłumami obrońca wojskowy, w uniformie i w pikielhaubie, zadający krótkie pytania oskarżonym, których miał z urzędu bronić. Jakąż dziwną rolę mógł on odgrywać, gdyż żaden z politycznych oskarżonych nie mógł wszak żywić doń przekonania. Prywatnych bowiem obrońców sąd niemiecki nie dopuszczał.

O pewnej godzinie woźny sądowy zawezwał nas przed oblicze sądu. Ustawieni w jeden rząd znaleźliśmy się przed kompletem sędziów, złożonym z różnych szarż, od pułkownikowskiej aż do podoficerskiej. Był i tłumacz. Z prawego brzegu siedział oficer, w średnim wieku, w opiętym mundurze, o twarzy zaaferowanej, z teczką rozłożonych dokumentów przed sobą. Był to sławetny prokurator Renner. Odnosiło się wrażenie, że tylko on wiódł tu rej, że ani przewodniczący, jakiś sędziwy pułkownik, ani tem więcej żaden z innych sędziów nie mają tu nic do powiedzenia, lecz jedynie on, przedstawiciel interesów wojska, zagrożonego szpiegostwem i działaniami na jego szkodę.

Kiedy skończył swe drobiazgowe pytania, podniósł się, oparł o krzesło pochylone i jął oskarżać. Uwydatniał w mowie płynnej, namiętnej jak niebezpiecznymi byliśmy przestępcami, jak sialiśmy demoralizację wśród ludności, jak nakłanialiśmy do zdrady, do czynnego oporu przeciwko zarządzeniom władz legalnych, jak nawoływaliśmy do zbrojnego przeciwko nim wystąpienia. Wśród przychwyconej literatury znajdował się wszak ów „model karabinu maszynowego”, wydany przez P. O. W., a nadto numer „Robotnika”, gdzie już wołano o „czerwony terror”. Czy nie zasługujemy — wołał prokurator — na najsurowszą karę, a ten, tu stojący, jako odpowiedzialny za to w pierwszym rzędzie, na karę śmierci!.. Czem można było się bronić, jeśli nie powoływaniem się na nich samych, żonglerstwem słów i wykrętów. „Małoż to druków przychodziło do księgarni, z kraju i z zagranicy, skrzyń, przysyłanych przez samych Niemców z Lipska. A zresztą wszak sami Niemcy wydawali biuletyny, na których umieszczali wszystko to, co było zakazane, a więc, czego w spisach owych nie było, było wolne od zakazu”. O naiwności, czy byliby tak niemądrzy, aby wyliczaniem samych tytułów uprawiać mieli propagandę przeciwko sobie! Lecz wszelka broń była w obronie dobra. „Wszak księgarz nie musi i nie może czytać wszystkiego, co zawierają te książki i broszury, znajdujące się na składzie”!

Powstał obrońca i obojętnym głosem, jakgdyby wstydząc się, że musi bronić tak jawnych wrogów Imperjum Niemieckiego, prosił o łagodny wymiar kary. Skończyły się zdawkowe pytania sądu o „ostatnie słowo” oskarżonych i polecono nam wyczekiwać wyroku w sąsiednim

pokoju. Niedługo się sędziowie naradzali. Ukarano grzywnami Bogu ducha winny personel, mnie zaś skazano na 2 lata ciężkiego więzienia, „Zuchthaus'u”. Już przeprowadzono mnie do osobnego pokoju dla więźniów i oddano pod straż. Godziny mijały — czekano na dalszy transport. Wreszcie dostateczną ilość — porcję danego dnia, umieszczono w dobrze wyładowanej karetki i powieziono do Cytadeli. Nie wiele przewóz ten różnił się od stosowanego przez czyszciciela miasta, t. zw. „hycla”, sposobu przewożenia psów, wałęsających się po mieście. Znowu zdano nas za pokwitowaniem władzy więziennej, lecz tym razem umieszczono nas wszystkich w jednej przestronnej i wspólnej



Szczypiorno — Kuchnia.

celi, która była niejako rezerwoarem, skąd zasilano już inne cele. służące jako stałe pomieszczenie.

Dnia tego już nie karmiono, snąc uważano przychodzących z wolności za sytych dostatecznie. Do spania dawano dla dwu jedno żelazne, okrutnie wykrzywione, łóżko żelazne, niemal wpadnięte w podłogę, z siennikiem, który przeczył swemu przeznaczeniu, gdyż w nieznacznej części zawierał wióry, twardo ubite, jak deska. Gdy noc, z wypoczynkiem niewiele mająca wspólnego, minęła — sprowadzono nas znowu przed oblicze urzędników kancelarii, rozebrano, odziano w strój więzienny, a rzeczy własne zapakowano w worki. Rozdzieleni po różnych celach, rozpoczęliśmy żywot więzienny. Rano uczęstowano

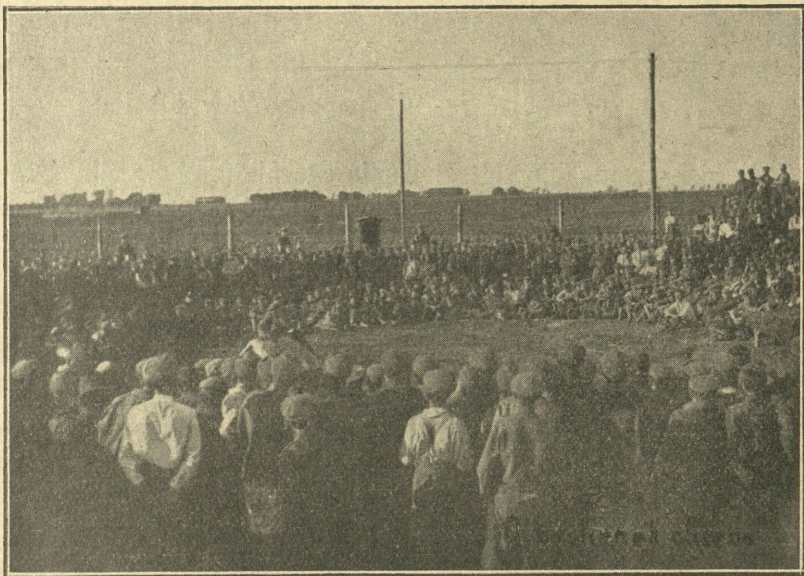
nas zupą z kotła, wniesionego przez dwu aresztantów w asyście dozorczy; przyjąłem ją za brudną wodę do mycia. To śniadanie, a niewiele różniący się od tego obiad i kolacja, zyskały w gwarze więziennej dosadny przydomek: „żyć i popić”. Obowiązkiem więźnia było przykładowe układanie odzieży przy sygnale „spać” i wynoszenia jej na ławkę przed drzwi celi. Miało to chronić więźniów od ucieczki. W ciągu dnia wywoływano na piętnastominutowy spacer. Na podwórzu, zamkniętem ze wszystkich stron murami, szerokiem kołem kroczyli więźniowie, w przepisowem oddaleniu wzajemnie od siebie. Na środku stał jeden z dozorców, — przypominało to więc wszystko manewr cyrkowy z defiladą koni popisowych. Od czasu do czasu słychać było okrzyk ostrzegawczy dozorczy na widok więźniów, zbyt blisko przysuwających się do siebie. Nieprzyzwyczajeni do zbyt przewiewnych ubrań, inteligenci drżeli na grundniowym chłódzie i odmierzali kroki, pragnąc, aby czemp prędzej skończył się ów higieniczny zabieg, przypominający zbyt jaskrawo zadawaną przemoc.

Gdy spacer się skończył, zapędzano więźniów z powrotem do cel, które jeszcze bardziej przejmowały wstrętem. Rozmieszczano wszystkich starannie, rozdzielając ich między kryminalistów. Monotonję przerywało zagłądanie przez judasza wartowników, zabieranie czasem tego lub owego więźnia lub zrzadka — wnoszenie „wałówek” od rodzin. W koszu pomieszane były bochenki chleba, cukier, wędlina, niekiedy jakiś owoc. Zanim je wręczano, dozorca krajał na części, grzebał w torebkach, poszukując „grypsów”. Nigdy nie wiedziano, co i ile rodzina przysłała, gdyż znaczna część zasobów pozostawała po drodze u dozorców lub cieszących się pewnemi względami ich „kalifaktorów”, rekrutujących się z aresztantów, mających za sobą dłuższy okres odsiedzanego więzienia i powołanych przez władzę więzienną do różnych usług, jak mycia podłóg, roznoszenia kotłów, pomagania przy rozdawnictwie jadła i t. p. Stanowili oni jakgdyby najniższy stopień hierarchji więziennej i korzystali z pewnych przywilejów.

Na czwarty dzień wywołano mnie z celi i powieziono wraz z innymi więźniami. Karetka, którą jechaliśmy, zatrzymywała się po drodze to przy więzieniu na Długiej (Arsenale), to przy Centralnem, na Daniłowiczowskiej, skąd zgromadzoną partję dostawiono do Sądu wojkowego. Znów nas ustawiono przed sędziami i ogłoszono confirmację wyroków przez generał-gubernatora. Mnie nadto na skutek starań rodziny piechotą w towarzystwie jednego żołnierza odprowadzono do urzędu lekarskiego, mieszczącego się w pałacu Namiestnikowskim, celem zbadania stanu zdrowia. Nic nie pomogły zaświadczenia pierwszorzędných naszych powag lekarskich o złym jego stanie, zostałem w mig uznany za nadającego się całkiem do odbycia kary. Nazajutrz

polecono mi się przebrać z powrotem we własne ubranie i odwieziono z paroma innymi więźniami do Mokotowa, tym razem na stały już pobyt.

Więzienie Mokotowskie po innych nie przedstawiało się groźnie. Przeciwnie, gdy osadzony zostałem w pojedynczej celi, doznałem zrazu wrażenia, że znajduję się w jakimś hoteliku, który — jakkolwiek prymitywnie urządzony — dostarcza swym lokatorom wszelkich najniezbędniejszych wygód. Poza, na pierwszy rzut oka, wygodnem i szerokiem łóżem, t. zw. „legimata“, przylegającą przy podnoszeniu do ściany i zasłaną dwoma kocami, znajdował się stolik i krzesło,



Szczypioro — Cyrk obozowy.

umocowane do podłogi, wisiał wieszak na ubranie, na stole widniała miska metalowa i łyżka, w kącie stała szczotka ręczna do zamiętania i śmietniczka i t. p. niezbędnej użyteczności. Nadewszystko zwracały uwagę... kanalizacja i cztery żeberka w celi, znamionujące bezsprzecznie pewien komfort. Poza tem nieosłonięte blachą okno, jedynie kratą rzadką przypominające więźniowi miejsce, gdzie się znajduje, sprawiały wrażenie raczej celi klasztornej, niż więzienia.

Słońce przenikało do celi i weseliło duszę. Lecz otworzy się drzwi i znów wezwano dokąś. Okazało się, trzeba przejść przez tradycyjną kąpiel, przedtem zaś należy w myśl surowych przepisów oddać absolutnie wszystko, co się posiadało przy sobie (z wyjątkiem szkieł

na oczy). W hali zimnej, o otwartych drzwiach na dziedziniec, kazano rozebrać się do naga, poddano obowiązkowemu strzyżeniu brody, włosów i wąsów (te ostatnie strzyżono tylko więźniom, skazywanym na ciężkie więzienie), wreszcie powleczono pod prysznic, zrazu zimny, później gorący. Ablucja trwała krótko; zaofiarowano mi gościnne bieliznę o dość dziwacznym kroju, bo skrojoną bądź na będących w ostatnim stadium gruźlików — bądź na chłopców kilkunastoletnich. Najokazalsze było wszakże „obuwie“, rodzaj trepów o drewnianej podeszwie, nietrzymających się na nodze i dla niewprawnych stanowiące najbardziej wyrafinowane okrucieństwo.

O wytarciu mokrego ciała nie było mowy, gdyż widocznie czas na to przepisem nie był przewidziany, więc drżącemu z zimna i wilgoci polecono wyjść na dziedziniec. Z nóg ustawicznie spadały trepy, a miały tę zadziwiającą zdolność, że uciekały zazwyczaj dość daleko tak, że trzeba było przejść po nie parę kroków nieobutą nogą po śniegu.

Uczucie doszczętnego z maltretowania ogarniało z całą siłą. Drżenie, rozdygotanie całego ciała, którego powściągnąć niepodobna było żadnym wysiłkiem, dopełniało uczucia czegoś ponad miarę obmierzłego.

I znów znalazłem się w celi. Słońca już dawno nie było. Szary mrok krótkiego dnia wdzierał się do środka. Dokuczało zimno i głód. Rozpocząłem wędrówkę. Trepy hałaśliwie stukały po kamiennej podłodze. W budynku, wykonanym z cegły i żelaza, rozlegały się z innych cel, przez ściany i pułapy, takie same odgłosy, rozpraszające ciszę niemilkącym na chwilę hałasem. Mijały leniwo minuty, zdające się godzinami. Zatracała się świadomość czasu. Ciemność coraz gęstsza wyzierała zewsząd. Światła w celi nie zapalano, jedynie refleks stojącej zdala na dziedzińcu latarni smugą nikłego światła odbijał się na szybie.

Gdy już przestałem liczyć czas, oszałamiając się chodzeniem, usłyszałem głośnie kroki na korytarzu i raz po raz rozlegające się otwieranie i zamykanie drzwi. Coraz bliżej słychać je było; zbliżały się i do mojej celi. Naraz otworzyły się drzwi z hałasem, zapaliła się lampka elektryczna u sufitu i wkroczył dozorca z pękiem nieodłącznych kluczów w ręce, a za nim dwu więźniów, niosących ogromny kocioł. Z wielką wprawą odmierzili mi porcję jakiejś mazi do miski i wnet nie odzywając się słowem wyszli. Była to sławetna kasza — „pęczak“, rozgotowana z ziemniakami, parząca usta i dająca złudzenie nasycającego jadła.

Z danej mi uprzednio instrukcji zapamiętałem, że po skończonym posiłku należy miskę starannie wyczyścić, po kolacji zaś nadto zdjąć z siebie odzież i bieliznę, starannie ułożyć, na wierzch tego stosu po-

łożyć szalik, a na nim czapkę, — i wszystko na dany sygnał wynieść na korytarz przed celę. Istotnie — niebawem znów ujrzałem otwierające się drzwi — wyniosłem posłusznie swe rzeczy i nie zdążyłem się okryć kocem — gdy znów światło zgasło. Próbowałem usnąć — napróżno! Nic nie sprzyjało zaśnięciu — ani chłód, ani tapczan bez pośłania, ani siennik bez słomy. Gdy od czasu do czasu otwierałem oczy, wydawało mi się, że już świta, że rzadnie za oknem ciemność; było to oczywiście złudzeniem, gdyż po pewnym czasie, otwierając oczy, dostrzegałem, że jest jeszcze ciemniej.

Noc wlokła się w nieskończoność. Ani na chwilę nie mogłem zapaść w sen, będący wypoczynkiem. Ciało było w odrętwieniu i niemocy. Długa noc grudniowa zdawała się nie mieć końca.

Gdy rozległo się hasło „Auf!“ — ciemność na dobre panowała jeszcze w celi. Z prawdziwym tym razem zadowoleniem, odziałem się znów w habit więzienny. Nie znałem jeszcze rozkładu godzin i ciało nie mogło nawyknąć do nowego regimenu. Znów wnieśli jadtło, znów było czyszczenie miski i łyżki.

Szaro jeszcze było, gdy rozległo się wołanie, aby wychodzić na spacer. Przewidująca wszystko władza więzienna miała tu ściśle opracowane przepisy. Przy wyjściu z celi trzeba było stanąć w drzwiach otwartych, twarzą ku oknu i tyłem do korytarza. Zanobiesowało to rozmowom więźniów między sobą. Gorączkowo biegali dozorczy, pilnując porządku, i bijąc opornych. Skoro już wszystko zdawało się być należycie ustawione, nakazano odwrócić się i stanąć w dwuszeregowym ordynku. Więźniowie próbowali fortelami ująć uwadze dozorców i stanąć obok własnych towarzyszy z wolności. Trzeba było wyzyskać krótkie chwile rozmowy, jakkolwiek bez przerwy rozlegały się groźne nawoływania i odgłosy wymierzanych policzków. Sprawdzano skrupulatnie, czy kogokolwiek nie brak i nie litowano się nad nikim, któryby pragnął pozostać w celi pod pozorem choroby. Wszak Niemcy mieli wygórowane pojęcie o higienie i uszczęśliwiali nią pod przymocą.

Na prawo znajdował się ogródek. Kolistą ścieżka biegła między murami gmachów. Nawprost widniał wysoki mur czerwony, zabezpieczający u góry przemysłnemi wiązadłami drutów kolczastych i posypyany tłuczonym szkłem. Więźniowie rozpoczynali swój codzienny, bez względu na pogodę, spacer. Rozsypani dozorczy doglądali, aby odległość między więźniami nie zmniejszała się. Popychali więc przystawiających, wrywali znagła z koła podejrzanych o konszachty i, przepuszczając kilku więźniów, później włączali w posuwający się szereg. Bardziej opornym wymierzali kary tuż na miejscu.

Tu dopiero pokazywały, czem są noszone przez więźniów trepy, ponieważ byli między nami zarówno tacy, którzy dopiero od paru dni je nosili, jak również i tacy, którzy oswojeni byli z niemi od dłuższego czasu, oczywiście było, że jednym wprawa pozwalała dotrzymywać kroku, innych zaś jej brak zmuszał do mimowolnego zatrzymywania się. Wywoływało to kolizje, tem gorsze, że nikt z małymi wyjątkami nie mógł zrozumieć szwargotu dozorców, używających iście piekielnego dżalektu. Padali ich ofiarą w pierwszej linji inteligenci, nie umiejący nosić tak „wybrednego” obuwia; w dodatku górował odruch niepohamowanego wstrętu na myśl uderzenia przez dozorcę.

Zadziwiającem było, iak ogół więźniów zatracił swe fizyczne oblicze. Na pierwszy rzut oka byli wszyscy do siebie łudząco podobni. Jeśli wrażenie to wynosiliśmy między sobą, iasnem jest, że dozorczy tem mniej mieli powodu do czynienia jakichkolwiek różnic między nami.

Więźniów politycznych nie segregowano, ani nie separowano, przeciwnie zdawało się istnieć jakieś zarządzenie nieczynienia różnic między nimi, a kryminalistami. Gdy się słyszało opowiadających więźniów-recydywistów, znających jeszcze więzienia rosyjskie, wydawały się owe czasy niedoścignionemi pod względem wygód i zaopatrzenia domami mieszkalnemi. Otwarte cele, dla politycznych, własna odzież, książki, papier do pisania, palenie papierosów, sprowadzanie żywności za złożone w kancelarji pieniądze, a nawet przyjmowanie codziennie posyłek — wszystko to wydawało się fantastycznym urojeniem i halucynacją gnębionych do ostateczności więźniów.

Gdy kończył się trwający najwyżej 10 minut, jednorazowy w ciągu dnia spacer, zaganiano nas z powrotem do cel, skąd niezwykle w życiu więźnia wypadek wyprowadzić go mógł poza obręb budynku. Były nim rzadkie — raz na miesiąc — widzenia z rodziną, sprowadzanie do ciepłej kancelarji na badanie lub w sprawie jakiegoś podania, najczęściej bezskutecznego, na imię gubernatora — a nadewszystko odbywana co sobotę kąpiel, obrócona przez władze więzienne w najstraszliwszą udrękę, połączoną z nieuchronnem biciem.

Chodziło zazwyczaj o stan wymienianej bielizny. Wyrabiana z najpodlejszej tkaniny, metkalu, miała zadziwiające zdolności kurczenia się i darcia. Jedynem pokwitowaniem dozorców w takich wypadkach, bez wchodzenia w szczegóły, było smaganie pałką drewnianą lub gumową. Celował w tem jeden zwłaszcza dozorca, zwany „kulasem”, istotnie chromy, który poczytywał sobie za szczególną zasługę perswadowanie w ten sposób delikwentom, jak należy cenić całość tego niezbędnego fragmentu garderoby i wpajający dosadnie wartość „kaszonnej” czy „amtlicher” własności. Więźniowie z racji kąpeli byli

„zgoła” przygotowani na tego rodzaju przekonywania, ile że byli kompletnie nadzy i przedstawiający żałosny obraz stada, zeganego na tygodniową porcję kijów.

Najgorzej może działało się tym z nich, którzy byli krótkowidzami, Zmuszeni do zdjęcia szkieł, nie mogli trafić do właściwej partji lub własnej odzieży. Niemniej niebezpieczni byli towarzysze więzienni, korzystający w podobnych razach z okazji do wymieniania dla siebie wszystkiego, co miało dla nich, Bóg raczy wiedzieć, dlaczego — jakkolwiek użytek. Wymieniali zdarte części garderoby na lepsze, zagarniali zawartość kieszeni, jeśli cokolwiek mogli znaleźć, a ułatwiała im zadanie lepsza, nabyta w ciągu dłuższego czasu orientacja w przyjętych zwyczajach. Dozorca, zwany „kulasem”, powiększał harmider ustawicznym, szerzonym przez siebie postrachem, a gniew jego wzmagало rozumienie języka polskiego i rozlegające się zewsząd wśród więźniów okrzyki ostrzegawcze: „Ostrożnie — kulas idzie — kulas patrzy!”

Jeżeli ubrani więźniowie nie zdradzali powierzchownością swą żadnych różnic, to tem mniej mógł je dostrzec dozorca, mając przed sobą więźniów „in natura”.

Dopiero w celi po powrocie można było dotrzeć się do sucha, pozapinać prymitywne guziki, przewiązać wałęsające się troczki. Nic dziwnego zresztą w tem nie było. W ciągu paru nielicznych godzin musiało przejść przez kamerę łazienną przeszło tysiąc więźniów i zmienić odzież. Odbywało się przeto wszystko w tempie błyskawicznym i tylko tej chyba okoliczności zawdzięczać należy, że niektórym więźniom udawało się wyjść z tego zabiegu bez szwanku.

W celi raz na tydzień rozdawano na żądanie książki. Książki pamiętały jeszcze czasy rosyjskie, gdyż nie były od czasu wojny odnawiane. Zawierały one zazwyczaj ułamek ogólnej liczby stron, reszta bowiem w tajemniczy sposób ginęła bezpowrotnie. W ciągu okresu mego więzienia przeczytałem w wyjątkach (reszty stronic brakło!) powieść dla dorastających panien, rozstrzęsiony tom „Wędrowca” i parę innych książek, między innemi niewiadomo skąd zabłąkany tom „Krytyki” Feldmanowskiej. Jak mimo wszystko pewne rzeczy wymykały się z pod kontroli czujnych na wszystko okupantów, wdzierających się we wszystkie dziedziny życia publicznego i osobistego, świadczy, że w „Krytyce” podany był dokładny obraz więzienia pruskiego przez znanego działacza polskiego doby przedwojennej w Wielkopolsce, Rakowskiego. Rzeczą nad wyraz śmieszną było pozwalanie niemieckim więźniom stanu dawanie lektury do czytania, za rozpowszechnianie której właśnie ochotnie na więzienie skazywali.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Do celi wniósł mi dozorca bochen chleba razowego (wszak chleb pszenny był „szmugłem”), przysłany z wolności i przekrajał go wedle przepisów dla upewnienia się, czy nie zawierał innej zawartości. Prócz paru jeszcze innych produktów doręczył mi pierwszy list, krótki i nie zawierający niczego, czym mógłby wzbudzić podejrzenie. Przy tym bochenku spędziłem ucztę wigilijną. Wkrótce znów zapadł zmierzch i znów potoczyło się życie monotonne, zabójcze swą nudą i niemożnością pracy.

Tak trwało około 2 tygodni. Wreszcie przeprowadzono mnie do innego budynku i do innej celi, tym razem ogólnej, opatrzonej nume-



*Benjaminów — Ćwiczenia gimnastyczne (gen. Składkowski,
gen. Dąb-Biernacki, gen. Burhardt i inni.)*

rem 33. Mieściła się ona na drugim piętrze i zawierała komplet, czyli 24 więźniów. Dozorca wprowadził mnie do celi, otworzył zamknięty na klucz „spis lokatorów” i moją kartę dołączył do innych. Na karcie tej wypisane były personalja, rodzaj winy i długość kary, uwidocz-niona w formie daty rozpoczęcia i... końca kary.

Zajął się mną pewien więzień, z zawodu właściciel drukarni, łodzianin, oskarżony o druk jakichś nielegalnych wydawnictw. Wtajemniczył mnie pokrótce w panujące stosunki, co powitałem z wielką radością, gdyż wiedziałem już z doświadczenia, jakie korzyści obiecuje ta wiedza. Nadewszystko uderzyło mnie ciepło, panujące w celi. Po

zimnie, dokuczajacem mi w celi pojedynszej, doznałem błogiego uczucia odtajania. Oczywiście, nie ilość kaloryj, wydzielająca się z kaloryferu, miała tę zasługę, ile ciepło pomieszczenia, ogrzewanego „naturalnem” ciepłem zamieszkującej w nim gromady.

Nowością było życie wspólne, gdzie zrozumiała kolejną rzeczy największą ilość stanowili szmuglerzy, rzezimieszkowie, fałszerze pieniędzy, koniokradzi i mordercy. Piętro, na którem mieściła się ta cela, miało wyjątkowo surowego dozorcę, płowego blondyna niemieckiego, z niebywałem zacięciem obfłukującego głowy więźniów. Przy wejściu jego do celi, obowiązkiem więźniów było natychmiastowe utworzenie dwuszeregu celem łatwiejszego skontatowania listy obecnych. Na prawem skrzydle ustawiał się „starszy”, obowiązkiem którego było wyrecytowanie ilości znajdujących się w celi więźniów. Odbywało się to przy każdym wnoszeniu posiłku i rozlewanie zupy połączone było z wygłaszaniem liczby porządkowej. Było to sprawdzianem, czy ilość wydzielonych porcyj zgodną jest z ilością więźniów.

Dawało to pole do pewnych nadużyć, wyrażających się w wydzielaniu pewnej dodatkowej ilości racyj. Odbywało się to w ten sposób, że pod stojącym na środku długim stołem była przygotowana jedna z miednic, służących do mycia. Więzień po otrzymaniu swej porcji musiał stanąć z przeciwnej strony stołu. Zanim wyczerpał się wszakże szereg więźniów, czekających na swe porcje, jeden z tych, którzy byli w zмовie z „kalifaktorami”, rozlewającymi zupeł, korzystał z nieuwagi patrzącego na rozlewanie dozorca, szybko wlewał zawartość do miski, naprędce ją ręcznikiem wycierał i najspokojniej stawał między ostatnimi, oczekującymi w szeregu. Tymczasem „kalifaktor”, liczący głośno „jedenaście”, „dwanaście”, wymawiał liczby coraz niewyraźniej, coraz sennie tak, iż słyszać było jeno „naście”, co ułatwiało mu powrót do tej samej liczby, a wyrównywało liczbę porcyj z ilością więźniów w celi. Nazywało się to w gwarze więziennej „parolem”.

Rzecz prosta, że transakcja ta nie miała nic wspólnego z miłosierdziem, okupem były bowiem przeróżne artykuły, mające ustalony obieg między aresztantami i wartość pieniądza. Do nich w pierwszym rzędzie należała „prymka” i „pulwer”.

Pierwszą przemycano w najróżnorodniejszy sposób, w chlebie, w tłuszczu, herbacie, cukrze. Przynosili ją więźniowie, pracujący w warsztatach, a nawet — jak szły wieści — dostarczali jej niektórzy dozorca „tutejsi”. Prymka nie służyła do żucia, aczkolwiek takie było jej gdzieindziej użycie, lecz do robienia papierosów. Kawał jej, zwiniany w kształt papierosa, dawał możność zaciągnięcia się kolejno kilku

więźniom. Z braku zapalek używano dość przemysłnego sposobu wzniesienia ognia.

Sproszkowaną materję wsypywano do zrobionej z blachy malutkiej miseczki. Brano guzik metalowy o ostrym brzegu, przewlekano przez nitkę i puszczano go w ruch. Mocno skręcona nitka wprowadzała guzik w szybki, wirujący ruch, brzeg guzika zaś, uderzając o kanty miseczki, wytwarzał iskry, od których poczynała się tlić jej zawartość. Pozwalało to zarówno zatlić papierosa, jako też przygotować nowy zapas proszku ogniodajnego, niczem znicza świętego.

Część więźniów stawiała na straży przy kracie, wiodącej na korytarz i czuwała nad tem, aby nie dać się niespodziewanie zaskoczyć i w razie najmniejszego niebezpieczeństwa ostrzegali znakiem „zeks”, co rozlegał się, jak syk. Palacze, zabezpieczeni od niespodziewanego wykrycia, kładli się na podłogę, przysuwając twarze jak najbliżej do otworu dymnika, dokąd wypuszczali smugę czarnego dymu. Wycieńczeni brakiem zasobnych w tłuszcz pokarmów, chorujący na skrofuły i powiększone gruczoły, szybko ulegali formalnemu zamroczeniu. Jad uderzał na nich, jak po wypiciu szklanki spirytusu.

Tym to nałogiem tłumaczyło się, dlaczego tak kurczyły się części bielizny; snąć dobrze nadawała się na pulwer. Niechybnie i dozorczy coś niecoś o tem wiedzieli, co zagrzewało ich do śroźszych przy kąpieli obrachunków. Dlatego też ginęły tak szybko stronicy i arkusze z książek, z których kręcone były tutki dla tych zaiste swojskiego wyrobu papierosów.

Noce, jak poprzednio, były długie i mroczne. Już nie było ciszy i ciemności, jak przedtem, lecz żarząca się przez noc całą u pułapu lampka rozpraszała mrok, a odgłosy chrapiących kłótniwie mieszały się ze sobą.

W owym czasie „kupiłem” sobie worek do produktów żywnościowych, nadsyłanych mi przez rodzinę i stanowiących moją spiżarnię. Była to niesłychanie potrzebna część ekwipunku, którą się zawieszało nad „legimata”. Zawartość każdego worka budziła niekłamaną pożądlivość u innych współtowarzyszów, pilnowanie go przeto należało do najbardziej ważnych wskazań.

Znów były karmienia, spacery, przychodzenie raz dziennie felczera, który miał wyrobioną reputację gojącego wszelkie dolegliwości jednym i tym samym kołkiem, owiniętym watą, umaczaną w jodynie; wszystko przeplatane nieskończonemi relacjami więźniów, spacerami wokół stołu, no i biciem za wszelkie przewinienia.

Gdy minęło dwa tygodnie, przyszedł po mnie jeden ze starszych dozorców, zwany z racji swego tubalnego, lecz mało zrozumiałego, organu głosu — „gramofonem”. Jak się okazało, rodzina składała po-

danie o złagodzenie wyroku. W drodze największej łaski zgodził się generał-gubernator Beseler na zamianę więzienia ciężkiego, „Zucht-haus'u” na więzienie zwykłe „Gefängnis”. Przeniesiony więc miałem być do oddziału innego, położonego niżej.

Cela, do której zostałem przeprowadzony, znajdowała się w suterynach gmachu tak, że okna położone były niżej poziomu dziedzińca. Nowe towarzystwo wydało mi się bardziej odpychające, niż poprzednie, tem więcej, że nie znalazłem wśród niego żadnego inteligenta.

Dzień ten zbiegł się z pierwszym mem „widzeniem”. Upłynęły właśnie cztery tygodnie, wolno mi było przeto zobaczyć się z rodziną.



Benjaminów — Kurs dla medyków wraz z profesorami lekarzami.

Gdy przyszła odpowiednia chwila, wezwał mnie dozorca, abym szedł za nim. Tak doprowadził mnie do kancelarii. Oczekiwała mnie tam już rodzina. Trudno wysłować, jak wstrząsające wrażenie sprawia takie, jak szczypta drogiego leku wpuszczona, spotkanie. Na usta ciśnie się tysiące słów powitania, zapytań i niepokojów, lecz pewność, że za chwilę ktoś obok stojący rzeknie: „Dość!” zgrzytliwie wdziera się w rozmowę i zakłóca całą słodycz spotkania. Więc padają tylko krótkie, urywane słowa, przeskakujące z tematu na temat, a łzy przynębiają do reszty. Rozpoczyna się przeglądanie zawartości przyniesionych paczek, segregowanie na to, co wolno i czego nie wolno więźniowi, jeszcze parę słów nic nie znaczących i ot już pożegnanie, po

którem serce ma wagę kamienia. Jakże wolno niosą nogi z powrotem, jaki bunt bezsiły wre w piersi! Myśli, zapatrzone w jeden punkt, i wszystko znika z oczu...

Gdy znalazłem się z powrotem w celi, nie rzuciłem się zgłodniały na przyniesioną paczkę, jak to czynili inni więźniowie, wracający z widzenia. Zabierali się oni skrzętnie do pochłonięcia możliwie jak-największej ilości otrzymanych produktów. Spełniali tem podwójnie korzystny dla siebie uczynek: zabezpieczali największą ich część od możliwości przywłaszczenia, no i... napełniali sami wygłodniałe żołądki.

Będąc pod niezatartem wrażeniem, sam nie dostrzegłem, jakie wrażenie sprawił mój pękaty worek. Gdy skończył się ten bolesny dla mnie dzień, ulokowałem się na wspólnej „legimacie” z jakimś sąsiadem, który w dobroci swej radził mi położyć przy sobie, niby niemowlę u piersi matki, ów przenośny kredens. Nie posłuchałem jego mądrej i wytrawnej rady i w przeżywanym nastroju, będąc dalekim od przywiązywania wagi do najrzadszych nawet w więzieniu specjałów, umocowałem go do haka nad tapczanem.

Długo nie mogłem zasnąć, przeżywając bolesne perypetje przeżytego dnia. Wreszcie zmorzył mnie sen. W pewnej chwili zbudził mnie jakiś przyciszony szept i odrazu rzucił mi się w oczy brak worka z żywnością. Szukając naokoło sprawców, nic więcej dostrzec nie mogłem prócz śpiących, lub udających śpiących więźniów, po bliższym jednak przyjrzeniu się zauważyłem, że dwum, leżącym po przeciwnej stronie więźniom, dziwnie napuchły policzki.

Nie wiedząc, jak długo przyjdzie mi spędzić czas w tem towarzystwie i nie mogąc sobie sam wymierzyć sprawiedliwości, musiałem zrobić odpowiedni alarm celem odstraszenia na przyszłość sprawców. Zacząłem bić w żelazną kratę. Działo to zawsze skutecznie, gdyż nigdy niewiadomo było, co zjawiający się w podobnych razach dozorca stwierdzi i czy obok jednego winowajcy nie wykryje przy tej sposobności innych. Zapanowała trwożna w celi cisza. Niebawem nadbiegł ktoś z dyżurujących dozorców i jał przeprowadzać doraźne śledztwo.

Mimo całą solidarność więźniów, grały interesy, aby zyskać moje poplecznictwo, gdyż mogłem ze względu na pokaźne zawartości przyszłych „wałówek” być korzystnym dla nich sprzymierzeńcem, rozległy się przeto głosy świadków, przytwarzające winę wskazanych przezemnie sprawców.

Jak się nazajutrz od niespodziewanych obrońców mych dowiedziałem, zapalczywość obżerających się memi zapasami była tak wielka, że znalezione jabłka pchali jednocześnie do gąb z kotletami, wypełniając

jamę ustną jeszcze kawałami masła. Wyłaziły im niemal oczy na wierzch, tyle trudu i pośpiechu zadawali sobie, by jaknajszybciej i najwięcej przełknąć. Opowiadano mi również, że w obawie zaskoczenia i dla zatarcia śladów puszczali niedające się przełknąć kawały jadła z wodą w zakrytym blachą szalecie.

Nie było mi żal zjedzonych zapasów, nie mogących i tak na dłuższy czas starczyć, lecz gnębiła mnie myśl znalezienia się w gromadzie, gdzie żadne cechy nie wróżyły możliwości solidarności. Poruszony do żywa tem marnotrawstwem, przemówiłem rano do wszystkich, przedstawiając im, że wszak nie zjadłbym sam wszystkiego, że podzieliłbym się tem, co miałem, że większość wyszłaby lepiej na niepopelnieniu tej kradzieży. Przekonywując ich różnemi argumentami, stwierdziłem, że przemowa moja wywarła pewne wrażenie i że izolacja sprawców była zupełna.

Lecz doznane na samym wstępie niepowodzenie miało inny skutek, dla mnie osobiście o wiele zbawienniejszy. Śnać doszła moja przygoda do wiadomości inspektora i wywołała niespodziewany dla mnie efekt.

Oto w ciągu dnia zjawił się znów po mnie „gramofon” i kazał mi się z wszystkimi rzeczami zabierać. Trzeba dodać, że do ekwipunku więźnia należały prócz odzieży również dwa cienkie koce i jeden sienik. Należało się zatem w to wszystko „ubrać” i nieść na sobie. Dla nieprzyzwyczajonych było to zadaniem niełatwym, gdyż noszone na stopach trepy, szczególnie przy chodzeniu po schodach, wypowiadały nieubłaganą wojnę wszystkim innym noszonym na sobie przedmiotom. Zgrzany i zziajany, znalazłem się na I-em piętrze budynku, przed celą Nr. 26.

Zgrzytnął klucz w zamku i o radości! Oczy moje spotykają twarz znajomego. Tuż przy nim widać postaci innych, witających mnie gościnnie towarzyszy. Byli to sami peowiacy; więc pierwszy, którego spostrzegłem, Liljenfeld-Śmigielski, Jędrzejewicz-Ordon, Dusogę-Hański, Groszlik-Warski i Włostowski-Ciołek. Jakkolwiek nie było rzeczą przezorną wyrażać uciechę przy „gramofonie”, nie można jednak było pohamować żywego uczucia radości z tego tak nieoczekiwanego spotkania..

Wnet znalazł się „ordynans” dla mnie, z zawodu „koniokrad”, za cenę oddawanych racyj urzędowych, spełniający wszystkie możliwe czynności, jak słanie legimaty, sprzątanie celi w razie dyżuru i inne.

Rozpoczęły się rozmowy o wszystkim, wzajemne opowiadania i zwierzenia, wspólne debaty o wszelkich wydarzeniach publicznych. Aczkolwiek i w tej celi był komplet więźniów i my łącznie stanowiliśmy zaledwie czwartą ich część, z miejsca jednak utworzyliśmy

zamkniętą, ściśle solidarną sekcję, wspierającą się nie tylko moralnie, lecz i gospodarczo.

I w tej celi zgromadzone były najrozmaitsze typy aresztantów, więc i rzeźmieszkowie, koniokrady, szmuglerzy i wogóle złodzieje najrozmaitszych zawodów i autoramentu. Starszym był młody z wyglądu więzień, o przetrzebionych zębach, mający za sobą wieloletnią rutynę i odsiadki po przeróżnych więzieniach, cieszący się sławą z posiadania niebywałej siły w ramionach. Na szczęście zgoła poprawne stosunki, jakie między nim, reprezentującym kryminalny element celi, a nami,—polityczny, nie dały powodu, do wypróbowania na sobie



Huszt — Plaża w obozie.

dowodów tej przewagi. Parę wszelako zdarzeń, jak pokaranie „dela-tora”, który „kapował” towarzysza przed władzą więzienną, i inne rękoczyny dostarczyły aż nadto przekonywujących danych, że sława jego była w znacznym stopniu oparta na realnej podstawie.

Krzepiliśmy się wzajem i wnieśliśmy do celi element spokoju i pewności siebie. Już po paru dniach zapanował odpowiedni regim, znajdujący swój wyraz w podzieleniu dnia na godziny pracy umysłowej i chwile wypoczynku.

Stopniowo coraz częściej zaczęły docierać do celi naszej książki z różnych specjalności, poczynawszy od wydawnictw wojskowych w języku niemieckim, a kończąc na podręcznikach uniwersyteckich i beletrystyce. Rodziny nasze przejawiały nader zapobiegliwą działal-

ność, nacierając systematycznie na front nieubłaganej straży więziennej. Różnymi drogami chadzano, aby wywalczyć drobne ustępstwa...

My jedni mieliśmy prawo widzeń, wprawdzie tylko raz miesięcznie, bez krat, jedynie przedzieleni stołem, w kancelarii więziennej i w asystencji dozorczy, co ułatwiało nam wysyłanie i odbieranie skróconej w minjaturową harmonijkę korespondencji, t. zw. „grypsów”. Zaczęliśmy otrzymywać zeszyty do pisania i ołówki. Jedynie to, co pozostało niezmiennem w całej swej dobitności, były sławetne kąpiele sobotnie, stanowiące niewyczerpane źródło rozmów i uciechy, jeżeli udało się wymknąć harapowi „kulasa”.

Dużo dobrego sprawiał nam wielce uczynny Patronat nad więźniami z odwiedzającą nas często patronką, panną Gomulicką. Zjawienie się jej w naszej celi, wysłuchującej naszych życzeń, witaliśmy z prawdziwą radością i jakkolwiek nieodstępny dozorca nie pozwalał na zbyt jawne wynurzenia, wszelako potrafililiśmy i o sprawy zasadnicze zapytać i komunikować nawzajem najważniejsze bolączki. Przynosiła nam listy i jakkolwiek nie miała prawa ich od nas odbierać — sprawiała, że dostawaliśmy prawie co tydzień odpowiedzi niesłychanie dla nas cenne. Pozwalało nam to nie korzystać zupełnie z przysługującego więźniom prawa wysyłania raz na miesiąc stereotypowych listów, przechodzących nadomiar najsurowszą cenzurę.

Wzajemna, stosowana w najrozleglejszej mierze, pomoc dawała nam maximum zapomnienia o „milieu”. Wkrótce nadto rozpoczął szereg parokrotnych w ciągu dnia ćwiczeń gimnastycznych bardzo powołany do tego Włostowski.

Ustawialiśmy się na hasło „Bacność” w jednym rogu celi i dokładnie naśladowaliśmy ruchy naszego przewodnika. Odbywaliśmy ćwiczenia na wszystkie poszczególne części ciała, a głównie uprawialiśmy ćwiczenia „oddechu”. Nawet na spacerach staraliśmy się zachować odpowiednią postawą i odmierzaliśmy krok, jak na komendę.

Wkrótce staliśmy się przedmiotem pewnego podziwu, no i żartów ze strony pozostałych więźniów, a nawet pewnego dnia zjawił się pod drzwiami celi naszej sam „Gramofon” i porwany widokiem ćwiczeń, w których już niejaką wprawę zdobyliśmy, otworzył drzwi i jął odprawiać łącznie z nami przysiady.

Zdobywaliśmy sobie powoli uznanie i szacunek, i nierzadko inni — kryminaliści — towarzyszyli ruchami naszej gimnastyce. Zabawny był widok całej niemal celi, wymachującej rękoma i nogami, przechylającej głowami to naprawo, to nalewo, robiącej obroty tam i z powrotem.

Mózgiem i sercem byliśmy wszelako na wolności. Gazeta, stanowiąca rozmyślnie opakowanie paczek, przeslizgiwała się wbrew zaka-

zowi do celi i stanowiła pełną podniecenia lekturę. Dziennikarze, redagujący „Kurjera”, nie mieli zaiste pojęcia o tem, jak analizowaliśmy każde przeczytane słowo, zwłaszcza w wiadomościach politycznych, jak staraliśmy się czytać między wierszami, jak poddawaliśmy roztrząsaniom każdy opisany fakt z frontu lub wydarzenie polityczne, jakie wnioski wysnuwaliśmy, stawiając horoskopy niemal dziejowe.

O pewnym czasie dotarły nas wieści o rokowaniach pokojowych Niemiec z Rosją, a później wstrząsnęła nas wiadomość o manifestacjach w związku z nieszczęśliwą sprawą Chełmszczyzny. Spodziewaliśmy się nieomal karabinów maszynowych, wymierzonych przeciw



Huszt — Wydawanie obiadu.

murom więziennym, czekaliśmy z godziny na godzinę rozwalenia bram i wyjścia w trjumfie na wolność.

Snuły się marzenia o zwalonej Bastylji niewoli; kpiliśmy z regularnie ponawiającej się wersji o rzekomej amnestji ze strony Wilhelma, stanowiącej strawę codzienną innych więźniów. Zadziwiałem było, jakimi drogami przenikały do nich owe nadzieje. To cesarz ma przejeżdżać przez Warszawę, to na urodziny jego ma być ogłoszony manifest, to pokój brzeski ma być w ten sposób uczczony i t. d. i t. d.

A tymczasem życie więzienne w dalszym ciągu zamknięte było w kole tych samych przepisów i zakazów. Zdarzały się wypadki, emocjonujące nas w niemniejszym stopniu, co innych towarzyszy.

Oto w poszukiwaniu „prymki” i zbyt rozwielniożnionego palenia tytoniu władze urządały „hipisz” — rewizję. Wyprowadzano nas z celi, poddawanej najskrupulatniejszym badaniom, nas zaś, uszeregowanych na korytarzu, przetrząsano, zagładając dlo kaźdej szpary w ubraniu, odbierając przy tej sposobności wszystko, co wydawało się dozorcóm nielegalnie przemyconą rzeczą. Specjalnie dotyczyły owe rewizje nas, gdyż dzięki naszym „stosunkom” zasobniejsi byliśmy w różne przedmioty, zresztą o zgoła niewinnem przeznaczeniu.

A oto którejs nocy wpadał specjalnie rozbewwiony żołdak do naszej celi konstatował z wściekłością, że zastępowaliśmy sobie poduszki zwiniętymi w czworo kurtkami. Szły w robotę klucze, trzymane w ręce i pałka gumowa, która smagała bez litości. Jak policzek rozlegało się wrzaskliwe „Du”, mówione do wszystkich bez wyjątku i nie robiące żadnej różnicy między nami. Lub w dzień wpadał inny, niemniej energiczny kolega tamtej bestji i za błahe przewinienie trzepiący ustawiony dwuszereg. Mieliśmy uczucie, jakgdybyśmy byli dziłkami zwierzętami, zamkniętymi we wspólnej klatce, wystawionemi na najzupełniejszą samowolę dozorczy.

Cudem jakimś unikaliśmy naogół ciosu, lecz w duszy czuliśmy się równie osmagani i zelżeni. Zaciskały się pięści i w duszy ślubowaliśmy sobe walkę aż do zwycięstwa. Naznaczaliśmy sobie niemal twarze tych specjalnie krwiożerczych kątów, aby przyspieszyć ich godzinę zapłaty.

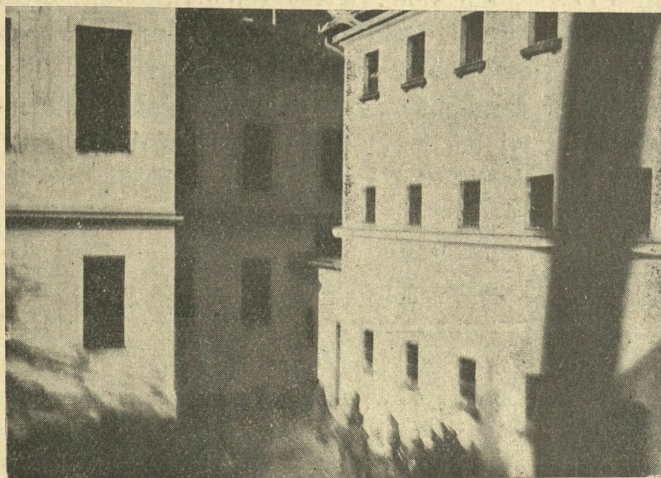
Tak upływały tygodnie za tygodniami, miesiące za miesiącami. Coś tam rodziny spiskowały na wolności, bezustanne snując zabiegi i rozwijając wszelkie starania, by wydobyć nas na wolność. Docierały nas o tem wieści, dodając bodźca i otuchy.

Przedmiotem podziwu naszego stał się Jędrzejewicz. Wypuszczony z powodu niebezpiecznej choroby matki czasowo na wolność po złożeniu przyrzeczenia powrotu — powrócił istotnie do celi po dwutygodniowej nieobecności. Naszemu zrozumiałemu zadowoleniu z powodu odzyskania tak cennego towarzysza niedoli musiała towarzyszyć wątpliwa radość jego z ujrzenia tych samych murów. Zdjęci podziwem dla jego stoicyzmu, zasypaliśmy go stękiem pytań, musiał tedy spłacać nieograniczoną, a równą naszej nienasyconej ciekawości dań relacji. Musiał nam opisać krok za krokiem całą widzianą rzeczywistość, abyśmy ją również mogli zobaczyć i nasycić się wraz z nim. Dziwnego niemal wrażenia czegoś obcego doznaliśmy, gdy nam opowiadał najpospolitsze przejawy życia we własnem mieszkaniu, w czystem ubraniu, używającego prawdziwego noża, zamiast zaostzonej o posadzkę kamienną łyżki, śpiącego na białej pościeli. Lecz i on posiadał już wiedzę praktyczną, więc przyniósł z sobą np. taki przedmiot, jak lu-

sterko kieszonkowe, stanowiące jakgdyby symbol i sprawdzian pędzonego jakgdyby na innej planecie życia.

Za oknami rozpoczynała się wiosna. Przez otwarte, acz zakratowane okna, wdierał się aromat podmiejskiego powietrza i zapachu łąk. Niebo ciemne od błękitu, ożywczy podmuch wiatru, cisza niedzielna przenikały pierś, podsycając tęsknotę za wolnością i pracą na swobodzie.

Coraz doskonalej rozwijała się korespondencja, odchodząca podczas widzeń z rodzinami, przychodząca przez Patronat, a nawet pocztą. Ponieważ miewaliśmy widzenia w rozmaitych terminach, korzysta-



Więzienie w Marmaros-Sziget.

liśmy z każdej okazji i przemycaliśmy różne dodatki dla innych. Pęczniały zwinięte harmonijki, chowane w dłoni, coraz też większą wprawę mieliśmy w ich transportowaniu.

Zbliżyła się Wielkanoc. Więźniowie myli podłogę z większą, niż zwykle, gorliwością, obmyto również szyby, stół i ławki. Wałówki w ostatnią Wielką Środę były nad podziw pękate i zasobne w jaja gotowane. W pierwszy dzień świąt, gdy wrócili więźniowie z kaplicy, pokroił nasz „starszy” parę jaj, podszedł do nas, aby się z nami podzielić i wymienić życzenia. Ucałował się z każdym z nas, my zaś oddaliśmy mu zaiste pocałunek zbratania. Tak obszedł całą celę. Później i my z kolei składaliśmy sobie życzenia, a następnie i pozo-
stałym, zamieniając mocne uściski dłoni.

Panowała dnia tego wesoła idylla, uświęcona z racji święta i przez zarząd więzienia, gdyż na obiad dostaliśmy „peluszkę”, stanowiącą nie-

lada przysmak po wstrętnej kapuście lub brukwi. Ponieważ w święto część dozorców miała „wychodnią”, przeto już o piątej kazano nam się kłaść, aby tamci mieli wypoczynek. Nie lubiliśmy przeto świąt, gdyż takiego dnia ciszej bywało, niż kiedyndziej w więzieniu i nie mogliśmy się spodziewać żadnej niespodzianki, ani widzeń, listów i t. p. Sennie było i bardziej boleśnie wyczuwaliśmy dręczącą monotonię. Z nieprzepartą mocą wołała wolność i wiele w takie dni było spacerowania po dwu, trzech wokoło stołu i śpiewów z repertuaru Legionów.

Minął już maj. Na spacerach radował nas żar słoneczny, lecz w celi po dawnemu panował chłód. Zagłębialiśmy się coraz bardziej w pracę nad sobą, kontynuując rozpoczęte na wolności studia. Towarzysze szykowali się do egzaminów, sprowadziwszy sobie niemal wszelkie pomoce, skrypta i książki. Zabijaliśmy tem skutecznie, czyhającą na nas nudę. Często mijał nam dzień, czego nie zauważyliśmy sami, dopiero hasło na kolację zwiastowało nam jego koniec.

W początkach czerwca zjawił się u kraty znajomy tłumacz więzienny i przyciszonym głosem, przywoławszy mnie bliżej do kraty, zapowiedział, że wkrótce będę wolny.

Ponieważ do końca kary było jeszcze daleko, a wiadomem było, jak niechętnie Niemcy łagodzą wydawane wyroki, wydała się owa zapowiedź czemś nieprawdziwem. Lecz tłumacz ów był dla nas życzliwy i nie wprowadzałby kogokolwiek z nas w błąd.

Oczekiwałem, zarówno ja, jak i reszta najbliższych mi towarzyszy, z wielką niecierpliwością sprawdzenia się zapowiedzi. Na wszelki wypadek zgromadziłem w sobie cały rezerwoar powierzonych mi poleceń i drżałem ze zdenerwowania. Mijały godziny, rozdano obiad, lecz nikt się nie zjawił...

Wreszcie w poobiedniej porze wszedł dozorca, wywołał moje nazwisko, wyjął mój meldunek ze skrzyneczki oszklonej i kazał iść za sobą ze wszystkimi rzeczami. Zdążyłem zaledwie krzyknąć „do widzenia” i znalazłem się w niezwyklej dla mnie porze na korytarzu.

Dozorca powiódł mnie do magazynu, gdzie przechowywaną była garderoba więźniów. Odszukano właściwy worek, skąd w stanie, za prawdę litość budzącym, wygrzebano moją cywilną odzież. Jakże odzwyczajnemi, jakgdyby cudzemi rękoma, wdziawałem na siebie ów ubiór. Z niedokładnością w garderobie, o którą nie stałem, znalazłem się w kancelarji, skąd otrzymałem zabrane mi przedmioty oraz na dodatek świadectwo sprawowania się w więzieniu.

Otworła się ciężka krata. Oto małe podwórze, dzielące od ulicy, i za chwilę byłem już w objęciach rodziny. Zapach wolności odurzył mnie i oszołomił. Zachwiałem się i niemal upadłem...

Jak uderzająca była obojętność przechodniów, kroczących w ubraniach, jakich chcieli, bez asysty dozorczy, podzwaniającego kluczami, bez obawy otrzymania nagłego ciosu! Radowało mnie wszystko napotykanie na drodze...

Przy placu Unji Lubelskiej wysiedliśmy z wiozącej nas od bramy więziennej bryczki i przesiedliśmy się do najbardziej prozaicznego tramwaju warszawskiego. Wciąż trwałem w niemym podziwieniu dla tylu nowości, które przedtem mijałem obojętnie. Wchłaniałem w siebie ruch, jak mocny napój. Chciałem krzyknąć wszystkim, że jestem wolny i pragnąłem budzić wszystkich, bo wydawali mi się śpiący



Benjaminów — Odwiedziny ks. Chelmskiego.

i niedostrzegający uroku życia. Całym podświadomym instynktem wyczuwałem bliskość ludzi. Ogarnęła mnie jakgdyby nieprzytomność wolności.

Skurczonem od wzruszenia sercem powitałem mieszkanie. Wszystko wydało mi się drogie i jedyne. Uśmiechałem się do mebli i obrazków, rozwieszonych na ścianach. Proste krzesło, na którym usiadłem, nie mogło się równać z żadnym złocistym tronem monarchy, a biel obrusa boleśnie niemal raniła wzrok. Dotykałem z rozrzewnieniem wszystkich otaczających mnie przedmiotów, a świadomość, że żaden dozorca nie każe mi się zaraz położyć spać, doprowadzała do spazmatycznego śmiechu.

Myslałem o zamkniętych w celi towarzyszach, spoczywających już na legimatach i rozprawiających o wypadku dnia. Czułem, że nawiązane nici przyjaźni są silne, jak stal.

Uroczyście, nieomal z nabożeństwem, konsumowałem każdy kawałek jadła. Szczytem komfortu wydał mi się nóż, widelec, łyżka. A gdy ległem w czystym łóżku, wydało mi się ono najwspanialszym łóżem, na którym niezastudzenie się znalazłem.

Godzina więziennego wstawania obudziła i znów dziwnem się wydawało, że nikt nie nakazuje w tej chwili podnościć się i słać legimatę. Jeszcze przez wiele dni wrośnięty we mnie porządek gotował mi niespodzianki: stawiał mnie twarzą w twarz z pozorami niemożliwości.

Rozpocząłem wędrówkę po rodzinach siedzących współtowarzyszy. Opowiadałem wszystko i malowałem najautentyczniejszy obraz ich życia. A nazajutrz wystosowałem list do nich, opowiadając im z kolei, co tylko się dało, i stając się ich łącznikiem.

A potem popłynęło znów życie, pełne zabiegów i codziennych kłopotów.

Coraz bardziej załamywał się front niemiecki, coraz większe szczyrby wyrzywała w nim wytrwałość koalicji.

Towarzyszów moich wywieziono do obozu w Modlinie, skąd zrzadka otrzymywałem wieści. Lecz mijał już wrzesień i nadchodził przełomowy listopad 1918 roku.

Aż któregoś dnia spotkaliśmy się znów razem, rozpamiętywując przeżyte razem epokę. Nowe wypadki nie pozwalały trwać w bezczynności. Wypędzanie Niemców, powrót Komendanta, organizacja wojska i rządu porywały wszystko i wszystkich.

Dziś rozproszeni, wspominający tamto przeżyte, jak historję własną, niepowtarzalną, i starannie odsiewając plewy złe, liche, w najgłębszej skrytości czcimy ją, jako najczystsza z nas samych ofiarę na ołtarzu powstającej Ojczyzny.

WACŁAW GROSLIK-WARSKI

W CELACH MOKOTOWA.

Sierpień 1917 roku zastał mnie na stanowisku komendanta poczty okręgu podmiejskiego i pełniącego obowiązki dowódcy 3 kompanji Szkoły Podchorążych P. O. W. Komenda mieściła się w lokalu Związku Muzycznego Młodzieży przy ul. Wspólnej 39. Dnia 27 sierpnia w lokalu tym popołudniu obecni byli wszyscy funkcjonariusze Komendy, a więc Ciołek-Włostowski, komendant Okręgu, Czarny-Kowarski, adjutant, ob. Kucjuszówna, ob. Biruta (nazwiska nie pamiętam) i ja. Około godziny 17 Kowalski wyszedł z lokalu. W 30 minut później usłyszeliśmy gwałtowne dobijanie się do drzwi wejściowych. Oczywiście wszyscy od razu zrozumieli, że to wsypa. Zaczęliśmy niszczyć najważniejsze papiery, pieczęcie powędrowały na piec. Gdy stukanie nie ustawało, Włostowski poszedł otworzyć, jednocześnie p. Kucjuszówna zdołała przez wejście kuchenne uciec. Urzędnicy polowej policji niemieckiej oświadczyli nam od razu, że jesteśmy aresztowani. Do pasji doprowadzał ich pozostawiony przez p. Kucjuszównę kapelusz, jednak mimo półtoragodzinnych poszukiwań w całym domu, p. Kucjuszówny odnaleźć nie zdołali. Zostaliśmy przewiezieni do Komendy policji polowej przy ul. Wierzbowej 1, stąd zaś po przesłuchaniu i zrewidowaniu, odstawiono nas na Pawiak. Na Pawiaku przepędziliśmy około 24 godzin w celach w suterynie, przyczem przez cały czas nie pozwolono nam ani na chwilę opuścić celi. Cała prawie noc przeszła mi na rozmowie stukanej z Włostowskim, bowiem zajmowaliśmy sąsiednie cele. Noc ta była użyta na porozumienie się co do zeznań w czasie śledztwa. Następnego dnia zostaliśmy przeprowadzeni do Cytadeli. Po drodze doznaliśmy wiele dowodów sympatji od przechodniów. Eskortujący nas żołnierze nie przeszkadzali nam porozumiewać się z nimi. W Cytadeli znów zajęliśmy cele sąsiednie, co pozwalało nam na ciągłe utrzymywanie kontaktu. Wypadkowo dostałem się do celi „uprzywilejowanej”, w której zastałem Jana Drozdowskiego,

skazanego na 3 miesiące więzienia za „obrazę władzy niemieckiej” popełnioną w liście oraz Terszta, studenta, skazanego na 6 miesięcy więzienia za to, że występując w czasie zajścia ulicznego w obronie niewiasty, uderzył szpicla. Prócz tego w Cytadeli zastaliśmy komendanta służby łączności POW. ob. Liljenfelda-Szmigielskiego. W innym skrzydle tegoż budynku internowana była cała grupa peowiaków, którzy wkrótce potem wywiezieni zostali do Modlina. Z grupy tej przypominam sobie tylko Beńka-Wądołkowskiego, poprzedniego mojego zwierzchnika w Szkole Podchorążych POW.

Trzy miesiące trwało śledztwo w naszej sprawie, urozmaicane propozycjami natychmiastowego zwolnienia z więzienia, za cenę podpisania zobowiązania do szpiegowania własnej organizacji. I jakkolwiek można było podpisać to zobowiązanie, a uzyskawszy wolność ukryć się i w ten sposób wykręcić się od jego wypełnienia, jednak nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby udaną zgodą na te propozycje okupić wolność. Początkowo wypieraliśmy się naszych stanowisk, niezaprzeczając jednak, że należeliśmy do organizacji, czego zresztą zrobić nie mogliśmy. Kiedy jednak przy badaniu pokazano nam protokół zeznania ob. Biruty, która prawdopodobnie dała się wziąć na kawał prowadzącemu śledztwo p. Rzegotla i wszystko szczegółowo opowiedziała, uznaliśmy sprawę naszą za przesądzoną.

Dnia 6 grudnia 1917 roku stanęliśmy przed sądem (K. O. Gouvernements Gericht) w następującym komplecie: Liljenfeld-Szmigielski, Ciołek-Włostowski, Groszlik-Warski; panie: Halszka Wojciechowska i Biruta (nazwiska nie pamiętam), oraz sympatyk — nauczyciel ludowy, nazwiskiem, zdaje się Aleksandrowicz, który wsypał się przewożąc naszą bibułę na prowincję i w czasie badania wygadał się, skąd dostał wydawnictwo POW. Dzięki niemu znajdowaliśmy się pod sądem. Brenili nas „obrońcy” z urzędu, bowiem wojskowy sąd, który nas sądził, nie dopuszczał obrońców cywilnych. Ob. Biruta odpowiadała z wolności, bowiem w więzieniu zachorowała na tyfus wskutek czego została zwolnicza. Cały przebieg rozprawy sądowej robił bardziej wrażenie przygotowanej uprzednio szopki, niż prawdziwej rozprawy. Humory dopisywały nam do tego stopnia, że przewodniczący sądu zwrócił nam uwagę na to, że jesteśmy przed sądem, a nie w teatrze. W mowie swej prokurator Renner wskazał na ożywioną, mimo represyj, działalność POW. i na wynikające stąd dla Niemców niebezpieczeństwo i zażądał następujących kar: Liljenfeld-Szmigielski i Włostowski-Ciołek po 5 lat ciężkiego więzienia, ob. Biruta i Groszlik-Warski po 3 lata, Aleksandrowicz 4—5 miesięcy więzienia zwykłego; co do ob. Wojciechowskiej zrzekł się oskarżenia. Gdy 11 grudnia odczytano nam zatwierdzony wyrok, okazało się, że ob. Wojciechowska

została również skazana na 2 lata ciężkiego więzienia, ob. Biruta, pozostająca na wolnej stopie, zdołała uniknąć więzienia, wyjeżdżając zaraz po sprawie z Warszawy.

Tak zakończył się pierwszy okres naszego pobytu w więzieniu. W międzyczasie w Cytadeli przebywał również internowany mjr. Trojanowski, którego pobyt był starannie ukrywany.

12 grudnia zostaliśmy przewiezieni do więzienia w Mokotowie. Początkowo umieszczono nas w celach pojedynczych. Brak zupełny książek i dwudziestominutowy tylko spacer raz dziennie, podczas którego z trudem tylko można było parę słów zamienić z towarzyszami, dawał się porządnie we znaki. Po trzech dniach otrzymaliśmy książki,



*Benjaminów — Grupa internowanych
przed zwolnieniem z wojska.*

a po paru tygodniach — dzięki staraniom naszych rodzin uzyskaliśmy zamianę ciężkiego więzienia na zwykłe i przeniesiono nas do celi „ogólnej” mogącej pomieścić 24 osoby. W celi tej zastaliśmy już Wacława Jędrzejewicza oraz Dusoge'a, z których pierwszy odsiadywał wyrok za działalność w P. O. W., drugi zaś, również peowiak, skazany został za przechowywanie rewolweru. Wkrótce przyszedł nam jeszcze jeden towarzysz Ignacy Hanczak-Zauerman, kierownik księgarni „Centnerszvera”, który był sądzony i skazany za wydawnictwo i kolportaż druków i książek P. O. W. Pozatem w więzieniu w czasie mego tam pobytu znajdowali się jeszcze Orwid-Zajączkowski, Puchalski i Nowakowski, którzy cały czas siedzieli w celach pojedynczych i byli od nas zupełnie odseparowani. Jedynie z Puchalskim udawało się nam niekiedy prowadzić rozmowy przez okno. Mieliśmy różne ulgi, wolno

nam było posiadać papier, ołówki, książki otrzymywaliśmy z domu. Nie pozwolono nam jednak na pomaganie nauczycielom szkoły więziennej w nauczaniu, gdyśmy zaś wystąpili z prośbą o przeniesienie nas — politycznych — do oddzielnej celi, oświadczone nam, że wpływ nasz na przesiadujących z nami złodziei jest tak umoralniający, iż szkoda pozbawić ich tego wpływu.

Po zawarciu traktatu Brzeskiego odczytano nam akt, na mocy którego zostaliśmy zwolnieni z więzienia, jednak — „wegen Kriegssicherheit“ zostajemy internowani w obozie jeńców w Modlinie. W parę dni później zostaliśmy przeniesieni do Modlina. Dusoge i Zauerman zostali zwolnieni wcześniej. W obozie znajdowało się wówczas około stu jeńców, którzy tworzyli grupy według przynależności organizacyj-



Szczypiorna.

nej. Była więc grupa peowiaków, w skład której wchodził ppłk. Sławek, Thugutt, b. minister, poseł na sejm, kpt. Skwarczyński, ppłk. Jędrzejewicz, dr. Liljenfeld, Włostowski, Puchalski, Kalinowski, Ferencowicz, Plebeney, Kurek, Szlezynger, Groszlik i kilku innych, grupa P. P. S., z Barlickim, komunistyczna (Kowalski), poale-sjoniści, kilku bundowców i dzikich. Każda grupa prowadziła gospodarstwo wspólne i wszystkie artykuły spożywcze szły do spiżarni grupy. Dzięki temu nikt w obozie nie cierpiał głodu.

Wkrótce po przybyciu do obozu zauważyłem, że każdego dnia znika gdzieś po dwu — trzech członków naszej grupy. Po kilku dniach dopiero ja i moi towarzysze z Mokotowa dowiedzieliśmy się, że grupa nasza przygotowuje podkop, którym ewentualnie będziemy „wytykali“. Podkop wykonany był na głębokości około 2.5 mtr. pod powierzchnią ziemi. Kopaliśmy go na zmianę w pozycji niezbyt wygodnej przy świe-

fle lampki oliwnej. Do przewietrzenia podkopu służył wentylator roboty Ferencowicza. Ziemię wykopaną wynosiło się do piwnic sąsiednich. Robotę tunelu musieliśmy przerwać na 16. metrze, gdyż nie było już miejsca na wykopaną ziemię. Właściwie pozostawało tylko przebić się na powierzchnię i droga do wolności była otwarta. Z podkopu jednak nie było nam sądzone skorzystać.

4. listopada uciekło z obozu dwu peowiaków: Kalinowski i Puchalski. Ucieczkę ich zdołaliśmy ukryć do dnia następnego. Wykrycie ucieczki doprowadziło Niemców do pasji. Wprowadzono ograniczenia, polegające na wcześniejszym apelu (o godz. 17), po którym mieliśmy już pozostawać w barakach. Oczywiście wszystkie grupy zaprotestowały przeciwko tym represjom, odmawiając zarówno stanięcia do apelu, jak i wejścia do baraku. Jednak rewolucja niemiecka wisiała już w powietrzu. Żołnierze odmówili posłuszeństwa i dopiero powtórny rozkaz odniósł skutek. Od tej chwili rozpoczyna się głódówka przez jeden dzień przymusowa, ponieważ Niemcy wstrzymali dostarczanie nam żywności, następnie zaś doprowolna, celem wymuszenia na władzach niemieckich zwolnienia nas z obozu.

W okresie tym zaszło kilka faktów, świadczących niezbicie o silnym rozkładzie w armii niemieckiej. Ponieważ sekcja, pełniąca dotychczas służbę wartowniczą w obozie, wydawała się Niemcom niepewna, zastąpiono ją innym oddziałem. Tegoż dnia zgłosiło się do nas dwu żołnierzy z nowego oddziału, oświadczając, że w nocy mają służbę i podejmują się wyprowadzić kilka osób z obozu. Z oferty tej jednak nie skorzystaliśmy. Wartownicy stale przez cały czas głódówki dostarczali nam papierosów, od nich też pochodziła pierwsza wiadomość o abdykacji Wilhelma.

10. listopada o godz. 16. komendant obozu feldfebel-leutnant Magnuszewicz odczytał nam rozkaz z Modlina, nakazujący natychmiastowe zwolnienie nas z obozu. Warty jednak zdjęte nie zostały i w dalszym ciągu nie wolno nam było wychodzić poza obręb obozu. Dopiero interwencja legionistów, którzy przebywali w szpitalu w Modlinie, spowodowała zdjęcie wart.

11. listopada o godz. 10. opuściliśmy Modlin, a o godz. 13. zameldowaliśmy się w Komendzie P. O. W. w Warszawie.

NIECO O PIŁSUDCZYKACH INTERNOWANYCH W OBOZIE HOLZMÜNDEN.

Było to w roku 1917.

Na tydzień przed internowaniem Komendanta i Szefa Sosnkowskiego w Magdeburgu niemieccy okupanci zaczęli wyławiać wybitniejszych peowiaków, a szczególnie legionistów, delegowanych do pracy w P. O. W. Jako komendant grupy B. okręgu IX (pow. łukowski, bialski, konstantynowski i włodawski Ziemi Siedleckiej) uległem temuż losowi, wraz z częścią moich instruktorów i towarzyszy pracy; ob. ś. p. Stefanem Zdanowskim, Świtem-Kozłowskim, Pługiem-Lewandowskim, obywatelką Siłą-Nowińską oraz serdecznym naszym sympatykiem, finansującym gorliwie naszą sprawę, ob. Teodozjuszem Nowińskim. „Dobrze poinformowani” okupanci internowali wraz z nami Bogu ducha winnego i absolutnie niezasługującego na takie odznaczenie pana X. (obecnie funkcjonariusza P. P.). Nawiasem mówiąc, o ile przymusowe rekolekcje nie poszły nam na zdrowie ani na zmianę przekonań, temu panu posłużyły w obudwu kierunkach. W oryginalnych warunkach została internowana ob. Siła-Nowińska. Mieszkaliśmy wówczas, ja z moją rodziną i ona ze swoją na „letnisku” w Aleksandrowie, o 4 kilometry od Łukowa, gdzie w swoim czasie prowadziłem jedną ze szkół podoficerskich P. O. W. O jednej godzinie zaszczycił nas swą wizytą prokurator przy wojskowym sądzie niemieckim z odpowiednią asystą, zapraszając na „samotne dumanie”. Podczas dokonywania rewizji u ob. Siły-Nowińskiej jeden z agentów tajnej policji niemieckiej położył na stole swój browning; ob. Siła-Nowińska wskazała go oczami swej siostrzenicy, p. Szałowskiej, naówczas pensjonarce jeszcze, która, zbliżywszy się do stołu, ukryła maszynę w mufce. Z wrażenia widocznie szpicel niemiecki zapomniał o swej groźnej zgubie, która tego samego dnia jeszcze dostała się w ręce.. zastępcy komendanta grupy B IX Okr. P. O. W., pozostającego na swobodzie

ob. Jana Kruka-Adamiaka. Sprawa ta jednak w parę miesięcy o mało co nie stała się zgubą ob. Adamiaka, mianowicie, gdy „nakryty” podczas zebrania, uciekał przed Niemcami ostrzeliwując się z tego browninga, schwytany z zasadzki został skazany na śmierć przez wojenny sąd niemiecki w Łukowie; wyrok ten został mu zamieniony na dożywotnie więzienie, które się skończyło wraz z rozbrojeniem Niemców.

Po dwutygodniowym przetrzymaniu w więzieniu przy sądzie wojennym, prokurator, zawezwawszy nas kolejno przed swe oblicze, zakomunikował, iż będziemy wywiezieni do obozów jeńców w Niemczech. Zapytał mnie czy mam jakie żądania, które o ile możliwości spełni. Prosiłem go naturalnie o widzenie się przed wyjazdem z rodziną (żoną i czworgiem dzieci) oraz o internowanie razem z ob. Nowińskimi, gdyż towarzyszy pracy, instruktorów P. O. W., wywieziono w nieznanym kierunku poprzedniej nocy. Co do pierwszego żądania — prokurator się zgodził, co do drugiego — zawarunkował je zgodą Wojennego Gubernatora; nawiasem mówiąc po pół godzinie ekscelencja wyraziła swoją zgodę. Tu trochę humoru; ob. Siła-Nowińska, nieustraszona komendantka poczty pomiędzy Warszawą a Lublinem dzielna opiekunka ukrywających się w bagnach i wertepach uczniów podlaskich szkół podoficerskich, myśląca w chwili aresztowania o zdobyciu niemieckiego browninga dla organizacji — na zapytanie prokuratora o jej żądania, oświadczyła, że jeżeli nie przeniosą jej do celi, w której nie będzie myszy, to narobi krzyku na całe miasto, bo się myszy boi panicznie!

Niemcy obawiali się zamachu przy wywożeniu nas i dlatego — wywieźli o godzinie 17-ej, w biały dzień! Wyjazd mieliśmy triumfalny; wieść o wywożeniu nas, lotem ptaka rozniosła się po mieście (dowiedziano się od naszych rodzin, które gorączkowo szykowały nam „wyprawę”). Literalnie cały Łuków wyległ na stację kolejową, przynosząc całe fury kwiatów. Z wielkim szumem, dwoma ekwipażami, w asyście lejtnantów oraz żandarmów przewieziono nas na stację kolejową, odległą o kilometr od miasta, gdzie byliśmy formalnie zasypiani kwiatami. Po przejściu jednak „Rubikonu”, siatki oddzielającej peron od dworca kolejowego, musieliśmy się rozstać z kwiatami, zatrzymując tylko po różyczce, a to wobec kompletnego napadu szału, któremu uległ na widok kwiecica komendant dworca.

Z chwilą wyjazdu z Łukowa zaczęła się dla nas druga część przeżyć, związanych z naszym internowaniem: odrywanie żywych komórek żywego organizmu. Pociąg, do którego nas załadowano, dowiózł nas bez przesiadania do Hannoweru. Umieszczono nas w przedziale drugiej klasy, a jako aniołów-stróżów dodano nam lejtnanta Niemca z Alzacji oraz feldfebla, śląskiego żyda, właściciela fabryki mebli

w Katowicach. Ten ostatni miał stałą misję zabawiania nas rozmową, co zresztą w swym rodowitym języku czynił i pan lejtnant. Wogóle mieliśmy wrażenie, że nasi aniołowie-stróże mają polecenie przeszkadzać nam, o ile możliwości, w porozumiewaniu się ze sobą podczas jazdy przez Polskę. W pociągu jechali sami Niemcy, za wyjątkiem pana sędziego Abramowicza, właściciela majątku Kamionka pod Garwolinem, z którym spotkaliliśmy się w wagonie restauracyjnym na obiedzie. Zniechęcony stałem wtrącaniem się do naszej rozmowy opiekunów — przyglądałem się przez okno wioskom i polom. Opiekun mój, fabrykant mebli, entuzjasta państwowości niemieckiej i porządków niemieckich i tu nie dał mi spokoju zwracając ciągle moją uwagę na brak chwastów i kamieni na polach, na trzymane na uwięzi psy, na czystość i porządek w osiedlach ludzkich — w porównaniu z moją ojczyzną; wyliczał przytem z matematyczną dokładnością przepisy karne i ilość marek „sztrafu”, pod grozą których ten ład jest utrzymywany. Doprowadzony do kompletnego wyczerpania, wyraziłem nareszcie życzenie, żeby Niemców wzięli wszyscy diabli razem z ich „sztrafami”. To poskutkowało, śląsko-niemiecko-żydowski, mówiący po polsku anioł stróż odczepił się ode mnie i zamilkł nareszcie.

W drodze zwróciliśmy uwagę na trzy charakterystyczne szczegóły: kompletny brak mężczyzn, poza starcami i dziećmi, olbrzymie składy nieobrobionego budulcu na wszystkich, choćby najmniejszych stacjach, oraz — wielkie, przysłowiowe platfusy nóg u spotykanych Niemek.

Po dwugodzinnym postoju w Hannoverze powieziono nas innym pociągiem na północ, do miasteczka Celle, do obozu internowanych Celle-Schloss. Po przybyciu na miejsce zostaliśmy przyjemnie uderzeni przemiłym wyglądem schludnego miasteczka, którego nieomal fronty wszystkich domów pokryte były pnąciami różami. Również miłe wrażenie robił na nas zewnątrz (bo wewnątrz nie dano nam było zapoznać się ze szczegółami) wygląd obozu internowanych, pomieszczonego w prywatnym zamku i parku cesarskim. Komendant obozu oświadczył nam, że ob. Nowiński wraz ze mną pozostanie w tym obozie, ob. Nowińska zaś pojedzie dalej. Ku olbrzymiemu zdumieniu Niemca, oświadczyłem mu, że na to się nie zgadzam! Zdumienie komendanta przeszło po otrzymaniu mojego wyjaśnienia, że mam obietnicę wojennego gubernatora z Łukowa co do nierozdzielania naszej trójki. Natychmiast obiecał skomunikować się z Łukowem, a tymczasem zalecił naszej eskorcie oprowadzić nas po mieście i wskazać zakład Idy Deutschman, w którym możemy pokrzepić nasze siły. Wyjątkowo pocziwa p. Ida, dowiedziawszy się, że wiozą nas do obozu jeńców i, że to może ostatnie „ludzkie” jedzenie, które nam dano spo-

żyć, wystawiła nam wspaniały obiad wraz z wyciągniętymi z ukrycia kilkoma flaszkami oryginalnego Kulmbachera. Po paru godzinach przybiegł podoficer z wiadomością od komendanta, że miałem rację i że mamy się udać do Holzmünden, w zagłębieniu Wezery na pograniczu Brunszwiku i Westfalji.

Zaczął się dla nas trzeci etap przeżyć. Jadąc brekiem (n. b. wynajętym za nasze pieniądze) w pewnym momencie ob. Nowiński, nigdy nie tracący humoru i fantazji, (czego o sobie powiedzieć nie mogę) zwrócił się do lejtnanta z prośbą o protekcję: prosił, by mógł zostać furmanem, a nie konikiem. W tym momencie wskazał ręką na oryginalny zaprząg, który nas mijał: duży wóz wojskowy, naładowany czubatymi płytami piaskowca z kamieniołomów był ciągniony i popychany przez kilkunastu internowanych studentów (cośmy poznali po czapeczkach) z Liège. W tym momencie nasz lejtnant, który przez całą drogę obiecywał nam „życie człowieka pocziwego” w miejscu internowania, zrobił dość głupio-poważną minę; znać i na nim było niespodziankę tego pierwszego przedsmaku życia obozowego. Jakoż zdawszy nas w komendzie obozu „zwiął” nie pożegnawszy się nawet z nami.

I zaczęła się wreszcie dla nas kilkunastomiesięczna „sielanka” obozowa.

Na wstępie przeszliśmy dokładną rewizję naszych „wyprawek”. Zabrano nam do depozytu książki polskie, listy, gazety i zmiany ubrania; jako całkowicie niedozwolone skonfiskowano butelkę czerwonego wina, wodę kolońską, eliksir do zębów, a mnie, poważnie choremu na serce — i lekarstwa. Felfebel z baraku rewizyjnego oświadczył nam, że on „jest z polaków” i uspakajał, że po wypuszczeniu z trzydniowej kwarantanny, oprócz lekarstw, wszystko będziemy mogli z powrotem... nabyć za pieniądze w kantynie obozowej (cośmy też i uczynili, odkupując swoją własność).

Pieniądze zabrano nam również, oświadczając, że będą przechowane w depozycie w kancelarji obozu, z którego to depozytu będziemy mogli rozporządzać pewnymi ograniczonymi kwotami (dokładnie dziś już nie pamiętam — zdaje się do 10 marek); kwoty te asygnowane nam przez cały czas pobytu w obozie specjalnymi bonami.

Po odbyciu kwarantanny, podczas której ozdobiono nasze kostjумы brązowymi lampasami na lewych rękawach i spodniach — przekroczyliśmy bramy obozów (gdyż żeński obóz był oddzielony od męskiego drutami i stanowił autonomiczną jednostkę) — znaleźliśmy się wśród dziesięciu tysięcy towarzyszy i towarzyszek niedoli, poumieszczanych w kilkudziesięciu drewnianych barakach. Baraki te zasadniczo były dzielone na dwie części, mieszczące każda po czterdziestu

internowanych; oprócz tego w obydwu końcach baraków był wydzielony pokój, w którym jako przywilej, umieszczano biurokratów obozowych, a więc: szefów baraków, funkcjonariuszy poczty obozowej, bibliotekarzy oraz zajętych pracą w kancelariach obozowych, jak również lekarzy i sanitariuszy. Prócz tego prawo do małych pokoi (Kleinzimmer) mieli wybitniejsi internowani, do których zaliczono i nas. Baraki dzieliły się na dzielnice, a więc baraki rosyjskie, polskie, rumuńskie, francuskie, belgijskie i t. p. W barakach belgijskich władze obozowe zawsze umieszczały w połowie baraku flamandów, a w drugiej połowie wallonów, wykorzystując w ten sposób niechęć tych dwóch szczepów do siebie, zamienioną w obozie przez „chorobę więzienną” — wprost w nienawiść. W samym środku obozu jeden barak w połowie



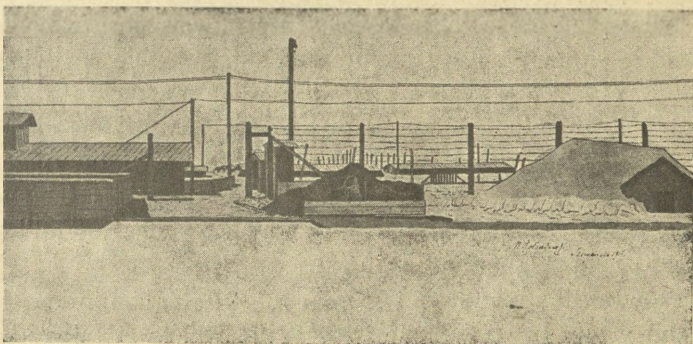
Łomża — Kurs rzemieślniczy.

mieścił katolicką kaplicę, a w drugiej — mieszkanie siedemnastu księży (jednego Polaka z Suwalszczyzny, ks. A. Stasiewicza, oraz szesnastu księży francuzów i belgijczyków). Dziekanem tego kolegium był proboszcz z Lille. W obozie przebywał jeszcze jeden ksiądz Włoch, ale stale był zamykany w izolowanym baraku karnym, gdyż wystarczał mu pobyt jednogodzinny w obozie do zrobienia awantury Niemcom — conajmniej zwymyślenia kogoś z władz obozowych. Na krańcu obozu mieściły się baraki z kantyną, kuchniami, pocztą obozową, bibliotekami, z których francusko-angielska była wprost wspaniała co do ilości i jakości posiadanych dzieł; nasza mieściła się łącznie z rosyjską, była ubożuchna tak co do ilości jak i jakości. Na przecwległym końcu obozu stał barak, podzielony na szkoły dla dzieci, których było kilkadziesiąt w obozie i kaplicę dla ewangelików.

W tym to baraku rozpoczęliśmy z ob. Nowińskim swoje perypetje obozowe, tam umieszczono nas z dwoma oficerami Rumunami. Jak powiedziałem wyżej, barak ten był ostatnim w długim szeregu. O kilka metrów od okien małego pokoiku, zajmowanego przez nas, ciągnęły się druty kolczaste, ogrodzenia, pola doliny Wezery, a horyzont z tej strony zamykały wzgórza za Wezerą z rysującymi się lekko we mgłach konturami — sąsiedniego najbliższego obozu jeńców. Korzystając z topograficznego położenia baraków i małego zaludnienia stałego tegoż, do naszych współlokatorów schodziła się elita rumuńska na gorące, tajne narady. Profan nawet mógł się przekonać, że chodziło o jakąś poważniejszą akcję, o czym świadczyły tajemniczość narad, rozkładane miniaturowe, łatwe do ukrycia, mapki i wykonywane szkice. Po kilku dniach, zasiągnąwszy o nas „języka” wśród kolonji polskiej, nasi współlokatorzy oświadczyli nam po francusku, że chodzi o rzecz niewinną i zgoła nie ryzykowną — o dokonanie podkopu z baraku pod druty i zbiorową ucieczkę. Zrobiło nam się ciepło, gdyż byliśmy w położeniu bez wyjścia: albo przyłączyć się do akcji i uciekać — niewiedomo dokąd, boć przecież nasza ojczyzna była cała w łapach Niemców, albo zachować się neutralnie — a zatem wziąć na siebie całe następstwa ucieczki Rumunów wobec władz obozowych. Na szczęście życie samo nam dopomogło do wypłatania się z tej afery. Mianowicie jeden z naszych współlokatorów porucznik A. był już w trzecim obozie, przenoszony stale za karę za okradanie współtowarzyszy. Zacząwszy od bardzo uprzejmego zaproszenia nas na kakac, przez siebie przyrządzone, stopniowo okradał nas w bezczelny sposób. To nam dało powód do wycofania się, przedstawiliśmy motyw drugiemu współlokatorowi, bardzo zresztą przyzwitemu porucznikowi artylerji rumuńskiej p. Deljanu, który zaaprobował nasze stanowisko w tej sprawie. Po załatwieniu tej sprawy w gronie koleżeńskim, udałem się do komendanta obozu, dzikiego pułkownika Gallusa (w czasie pokojowym był on komendantem wojskowego więzienia niemieckiego) z prośbą o umieszczenie nas z ob. Nowińskim oddzielnie. Po przetrzymaniu nas kilkodniowem na ogólnej sali jednego z baraków polskich, dano nam „mały pokój” — z dodatkiem trzeciego lokatora. Nietrudno się domyśleć, że chodziło o umieszczenie wraz z nami szpicla; był nim p. Ritter von Mitrowic, jak świadczy nazwisko — pochodzący z rodziny serbskiej; urodzony w Galacu — a zatem w Rumunji, z ojca ewangelika, matki polki-katoliczki, długoletni konsul rosyjski w Austrii, władający siedemnastu językami i znający świat, cały z odbytych w swoim życiu podróży. Jednem słowem — typ ciekawy. Za zwolnienie z pracy, zamieszkanie w małym pokoiku i ewentualne spodziewane od nas „oberhabki” p. „Rit-

ter" miał donosić Niemcom o naszych spodziewanych przestępstwach; tymczasem niemiaszki się zawiodły, gdyż nie było o czym donosić, a pan „Ritter” będący w ostatniej nędzy, spełniał posługi ordynansa za dzielenie się posyłkami.

W parę dni po zainstalowaniu się w małym pokoiku, zawezwano nas do komendy obozu. Komendant zaproponował mi objęcie jakiejś dobrowolnej pracy w zarządzie obozu; opierając się na posiadanych wiadomościach z moich personalji, że w „cywilu” byłem instruktorem rolnym, zaproponował mi stanowisko instruktora przy robotach polnych, wykonywanych przez internowanych na terenach należących do obozu. Stanowczo mu odmówiłem, oświadczając, że nie przebywam tu z własnej woli i że nie czuję się obowiązany do wykonywania żadnej pracy, tembardziej zmniejszającej koszt utrzymania internowanych



Obóz w Szczypiornie.

przez Niemców. Konferencja zakończyła się srogą miną pana komendanta i oświadczeniem, że zobaczy jeszcze, jak to będzie. Widocznie jednak nic nie zobaczył, bo pozostawił mnie do końca mojego internowania w spokoju.

Wyszedłszy od komendanta zdążyłem powiadomić o celu naszego wezwania oczekującego na kolejkę ob. Nowińskiego. Dla tego kochanego i zacnego towarzysza niedoli rozmowa z komendantem skończyła się żałością, bo kiedy odmówił dobrowolnego wykonywania pracy w aptece obozowej — został skazany na internowanie w karnym obozie, odległym o 100 klm. od Holzmünden. Obóz ten składał się z kilku wielkich szop, służących w normalnych czasach do suszenia torfu, na którego olbrzymich gołych przestrzeniach był obecnie pomieszczony obóz. Szopy były przedzielone na pół wysokości piętarkami i w tych to warunkach kilkuset skazańców pracowało nad zamianą torfowisk na urodzajną glebę. Ponieważ obóz ten był składową częścią sieci zależ-

nej od Holzmünden i ponieważ dotyczy to dziejów ob. Nowińskiego, muszę dodatkowo skreślić kilka szczegółów nie tylko o Holzmünden.

Znalazłszy się w takich warunkach niejedenby poddał się ze stocyzmem swemu losowi; ob. Nowiński nie poddał się. Zastawszy współtowarzyszy w nędzy i biedzie, pozbawionych literalnie wszelkiej pomocy lekarskiej, nie pod wpływem przymusu, ale działając jako filantrop, proponował dyktatorowi obozu, którym był już tylko feldfebel, urządzenie na swój koszt prowizorycznej apteczki, z której lekarstwa pozwolą mu leczyć towarzyszy niedoli. Niemczysko się zgodziło. Ob. Nowiński zdobył kilkanaście desek, przy pomocy których udało mu się sklecić prowizoryczny pokoik (do którego, nawiasem mówiąc, przyjął jeszcze kilku internowanych), z najbliższego miasta sprowadził lekarstwa i zaczął tak na ciele jak na duchu ratować współtowarzyszy. A że nie znajdowali się oni w rozkosznym położeniu, świadczyć może fakt, że dwu internowanych duńczyków z tego obozu było sądzonych w Holzmünden za... wyjęcie ze świeżego trupa wątroby, serca i t. p., które z głodu zjedli. Zaznaczę tylko, że działalność ob. Nowińskiego okazała dużo dobrego garstce nieszczęśliwców, spędzonych na bagna Brunszwiku z całego świata. A że były to serca wdzięczne, świadczy fakt częstowania ob. Nowińskiego, przez współtowarzyszy — indykami i kaczkami „rekwirowanemi” z gospodarstwa feldfebela, komendanta obozu.

Z ob. Nowińskim widziałem się jeszcze w Holzmünden, kiedy go przewożono w drodze powrotnej do kraju, o parę miesięcy wcześniej ode mnie. Humoru i werwy nie stracił, ale serdeczny druh i towarzysz zmizerniał i pokaszliwał.

Wśród internowanych w Holzmünden Polaków zastaliśmy kilku tylko, z którymi można było nawiązać stosunki: wyżej wspomnianego ks. A. Stasiewicza, inż. Hojeckiego z Liège oraz nauczyciela ludowego z Płocka, którego nazwiska zapomniałem, a który po kilku miesiącach wyjechał do kraju. Reszta Polonji inteligenckiej była dość nieciekawa, a nawet wskazanem była duża rezerwa w obcowaniu, spotykało się nawet typy zbliżone do Rittera von Mitrowica. Poza tem było kilkudziesięciu obieżyśasów, robotników sezonowych, wyjeżdżających na zarobki do Niemiec, internowanych za samowolne porzucenie pracy u chlebodawców; kontygent ten stale się zmieniał, rekrutując się dobrowolnie do robót rolnych, a nowe rzesze napływały z tego samego źródła.

Pewnego dnia, osierocony przez wyjazd ob. Nowińskiego — cierpiąc na dokuczliwą nerwicę serca, połamany reumatyzmem, spotęgowanym warunkami mieszkania w barakach prowizorycznych, w których ściany tylko wiosną i jesienią się schodziły, natomiast zimą

i latem można było dwa palce wsuwać w szpary między deskami ściągany — zostałem zelektryzowany wieścią udzieloną mi przez inż. Hojeckiego, jeneralnego tłumacza w obozie, o przybyciu w najbliższych dniach do obozu jednego z oficerów legionowych. Natychmiast za paczkę cygar otrzymałem przyrzeczenie od feldfebla z baraku rewizyjnego, a zatem pierwszego etapu, który każdy nowoprzybyły przejść musiał — o powiadomieniu mnie o przybyciu oficera — leguna. Po dwu dniach gorączkowego oczekiwania posłaniec, wysłany przez feldfebla, zawiadomił mnie, że przybył oczekiwany. Oczyszczywszy się i zmieniając drewniane saboty na wyszwarcowane buty,



Benjaminów — Msza na „Górze Oliwnej”.

pobiegłem do baraku rewizyjnego, gdzie ujrzałem... ówczesnego majora obecnie generała i dowódcę D. O. K. IX. — Rysia-Trojanowskiego. Stając się na baczność zameldowałem się mu „po legunowemu” i serdecznie przywitałem.

W komendanturze obozu oświadczone majorowi, że może otrzymać oddzielny „mały pokój” — o ile będzie mieszkał sam; jeżeli zaś chce zamieszkiwać wspólnie ze mną, to będzie z nami mieszkał trzeci współlokator, ma się rozumieć p. Ritter von Mitrowic, na co zgodził się major, gdyż uprzednio poinformowano go o naszych warunkach bytowania w Holzmünden.

Z dniem przyjazdu majora Rysia zaczęliśmy prowadzić taktykę oporu względem Niemców. I tak podczas rannych inspekcji obozu przez komendanta Gallusa wszyscy internowani spacerujący po głównej ulicy obozu, o ile zdążyli, schodzili w boczne ulice, byleby nie narażać się na spotkanie z wściekłym Niemcem, ryczącym o sto metrów na każdego spotkanego „Mütze ab” (czapki z głowy) my zaś zaczęliśmy stosować odmienny system. Idąc na spotkanie dyktatora, mijając którego grzecznieśmy się kłaniali. Doprowadziliśmy po paru spotkaniach, do tego, że Niemiec, ujrzawszy nas z daleka, sam schodził w bocznice. W barakach nie wolno było palić papierosów pod grozą 3-dniowego aresztu. W naszym pokoiku dotąd paliliśmy, lecz przyznam się, ukradkiem; z majorem zaczęliśmy palić ostentacyjnie, chcąc sprowokować Niemców do wyraźnego wypowiedzenia się w tej sprawie w stosunku do nas. W rezultacie pewnego wieczora feldfelbel przyniósł nam kilka wielkich kartonów z prośbą, byśmy wieczorami zasłaniali okna, bo — światło latarni zewnątrz baraku razi nas pewnie w oczy!

Co pewien czas wpadał do Holzmünden z oddziałem szpicli rotmistrz żandarmerji z Hannoweru. Działy się wtedy niestworzone rzeczy; natychmiast wszystkich internowanych, bez względu na pogodę, wypędzano po za obóz na plac ogrodzony drutami, gdzie przetrzymywano nas o chłdzie i głodzie „na stojaka”, kilkanaście godzin. W tym czasie szpicle przewracali cały obóz do góry nogami, odrywając nawet podłogi i deski ze ścian, grzebiąc w rzeczach i pościeli w poszukiwaniu nielegalnych kontraband, a w szczególności korespondencji i, broń Boże map lub broni. Poszukiwania te miały nieraz na celu wykrycie stale ginących w poczcie obozowej przesyłek, nadsyłanych dla nas. Te ostatnie znajdowano bardzo często w baraku, sąsiadującym z naszym, a zamieszkałym przez cyganów i żydów rumuńskich. Raz ku naszej wielkiej radości kradzione rzeczy żandarmami znaleźli w jednym z czterech baraków, leżących po za drutami, a służących za pomieszczenie dla oddziałów niemieckiego wojska, które nas strzegło.

Kiedy po przyjeździe majora Trojanowskiego pierwszy raz wpadł zgorączkowany „barakenszeł” p. Cybula, student z Liège, pochodzący z Brześcia, z oznajmieniem, że mamy natychmiast wychodzić poza obóz, gdyż przyjechał żandarm ze swoją eskortą — stanowczo odmówiliśmy spełnienia tego żądania — ku olbrzymiemu zdumieniu p. Cybuli. Za chwilę z podobnem żądaniem przybył feldfelbel (szef naszego oddziału) i również bezskutecznie, a nareszcie zastępca komendanta obozu kapitan (w cywilu fabrykant cygar w Hannowerze, żonaty z hrabianką Stadnicką). Po godzinnych naradach w dowództwie obozu zakomunikował nam kapitan, że możemy zostać w obozie, tylko prosi

o niewydalanie się z pokoju. Rewizja nas ominęła i w taki sposób nadal uzyskaliśmy przebojem choć tak małą ulgę. Wogóle stosowaliśmy stale system oporu i choć tak niewinnej walki, co nam, żołnierzom, dawało słabe wrażenie i satysfakcję zwycięstwa.

W międzyczasie przybył do obozu bardzo sympatyczny i miły towarzysz — sierżant pierwszej Kadrowej ob. Chmielewski. Pozostało mi po nim wspomnienie pogodnego, zrównoważonego, cichego kolegi Zdrowie ob. Chmielewskiego przedstawiało się nietęgo w tym klimacie: był w nieporządku z przestrzelonym płucem.

Teraz nieco o warunkach naszego bytowania wśród narodów świata (gdyż nawet Rzeczpospolita Liberja miała w Holzmünden wśród inter-



Holzmünden — Grupa internowanych z mjr. Ryszardem Trojanowskim.

nowanych swego przedstawiciela, siostrzeńca ministra poczt i telegrafów Rzeczypospolitej Liberyjskiej).

Biorę się najprzód do najrealniejszej strony życia — odżywiania. Zasadniczo — było pod psem. Podstawę odżywiania nas przez Niemców stanowiły: przez sześć tygodni — brukiew, a przez następne sześć — zimowa kapusta, i tak na zmianę — aż do skutku. „Zimowa kapusta“ z wyglądu była podobna do brukselki, w smaku znacznie gorsza, twarda, łykowata. O pożywności tej strawy najlepiej świadczy sposób spasaniania resztek, (których w miarę napływu posyłek internowani dużo pozostawiali) przez wzorową chlewnię, prowadzoną przy obozie, ma się rozumieć na rzecz Niemców. Otóż sześćset tych delikatnych pupiłów spożywało te resztki warunkowo, o ile były okraszone. Najciekawsze, w jaki sposób niemiaszki zdobywały okrasę. Inter-

nowani zgłaszać się musieli po posyłki na pocztę obozową z miskami na które żołnierz niemiecki wykladał zawartość puszek z konserwami, pozostawiając jednak w puszcze resztki przy ściankach puszek na palec grubości. Puszki rzekomo opróżnione wędrowały do kuchni obozowej, gdzie w wielkich kotłach wygotowywano je w wodzie; zebraną pozłotą okraszona „zimową kapustą” stanowiła dopiero jadło, godne niemieckich świnek.

Dla urozmaicenia tego zasadniczego obiadu (rano i wieczorem kawa z małą skibką gliniastego chleba) co 10 dni otrzymywaliśmy na zmianę: pół śledzia, „muschelfleisch” (najzwyklejszą marynatę ze ślimaków) w ilości 4 łyżeczek od herbaty lub pół plasterka, wielkości połowy spodka, kielbasy z krwi i odpadków z końskiego szlachtuza. Ma się rozumieć przy takim odżywianiu bardzo prędko internowani przenieśliby się masowo na zaciszny, schludnie utrzymany cmentarz w Holzmünden. Właściwą podstawę wyżywienia stanowiły posyłki otrzymywane z domu lub od setek komitetów opiekuńczych, istniejących na całym świecie. Za pieniądze można było w obozie dostać wszystkiego, co nadsyłały wszystkie części świata dla swoich synów. Tylko to bieda, że z temi pieniędzmi było kiepsko. Nasza gromadka otrzymywała oprócz posyłek od rodzin, co dwa tygodnie dwie posyłki od panny Stabrowskiej z Londynu. Na tydzień przed moim powrotem do kraju, otrzymałem list od tej zacnej rodaczki, wyjaśniający nam, że p. Stabrowska straciła w Anglii ojca i brata, a otrzymawszy nieznaną nam drogą nasze adresy, chciała w ten sposób ulżyć losowi swych współbraci.

Drugą zasadniczą sprawą w tym klimacie dżdżystym i mglistym wiosną i jesienią, a mroźnym w zimie, była kwestja opału. Niemiaszki sprzedawały nam do małych pokoi raz na tydzień worek korzeni bukowych, którymi paliliśmy w żelaznych, stojących, małych piecykach. Było by to niewystarczające, gdyby nie możność nabywania drogą wymiany za produkty spożywcze lub za pieniądze drobno porabanych desek, pochodzących ze stale i z amatorstwem demolowanych przez francuzów i belgijczyków pewnych ubikacyj, o które taką ciężką walkę obecnie w Polsce musi prowadzić ob. Sławoj Składkowski. Ubraniem i bielizną każdy się obywatel w miarę przywiezionych z sobą zapasów, obuwia można było zaoszczędzić, chodząc w drewnianych sabotach.

Stosunki międzynarodowe ułożyły się dla nas znośnie, ale nie od razu. Początkowo po moim przybyciu do Holzmünden ententa przyjęła nas wrogo i niechętnie; poświęciwszy 3 tygodnie na rozwinięcie ideologii legjonowej (co przeważnie można było dokonywać wieczorami), stopniowo zaczęliśmy zdobywać zrozumienie naszej sprawy,

a wreszcie i uznanie naszego stanowiska. Odtąd datują się nasze dobre stosunki, które w niektórych wypadkach przeszły nawet w serdeczne. Holzmünden był to dziwny obóz: honorationes wszystkich narodów — i szumowiny. A więc ministerstwo kolonji belgijskie wraz z panem ministrem, kompozytor Goens, marszałek dworu króla Alberta, mer miasta Lille, zakładnicy i zakładniczki z Belgji i północnej Francji, wybitniejsi przedstawiciele duchowieństwa i t. p. — a obok tego: najślawniejszy apasz miasta Lille (przedstawiony nam, jako osobliwość przez mera), złodziejaszki i prostytutki z okupowanych terenów. Sporo też było zagadkowo-ciemnych postaci, od których było bezpieczniej trzymać się zdaleka.

Za drutami — obóz kobiecy. Znanie każdemu żołnierzowi uczucie tęsknoty za niewiastami, technicznie tak zw. „głód kobiet” powodowało, że ulubionym miejscem spacerowem była ta część głównej ulicy, gdzie w przerwach między barakami ujrzyć można było choć przełotnie internowane kobiety. Co prawda wśród Francuzów często zdarzały się jednostki, postępujące więcej agresywnie w tej sprawie: za cenę wywiezienia na przymusowe roboty w torfach lub postrzelenie w nocy przez patrol niemiecki, przedostawali się przez druty do kobiecego obozu...

Nasza towarzyszka niedoli ob. Siła-Nowińska odegrała bardzo dodatnią rolę w obozie kobiecym, podnosząc duchowo biedne obieży-saski polskie i umoralniając — niemoralne. Prócz tego uczyła dobrowolnie dzieci polskie w szkole, zorganizowanej przez ludzi dobrej woli w obozie. W szkole tej początkowo i ja próbowałem swoich sił pedagogicznych, ale się wprędce przekonałem, że co innego być nauczycielem rolnictwa i hodowli, a co innego (n. b. znacznie trudniej) wychowawcą i nauczycielem maleńkiej latorośli; trudno! Zrezygnowałem.

Wreszcie stwierdzić muszę, że znany objaw „choroby więziennej” polegający na niespodziewanych i nieusprawiedliwionych wybuchach niechęci i gniewu — na terenie obozu przeniósł się, a może spotęgował nawet istniejącą, niechęć rzekomo bratnich narodów. Najlepszym dowodem tego było szpiegowanie i denuncjowanie wallonów przez flamandów i odwrotnie.

Pisać by można całe tomy na powyższe tematy, a tu i tak rozgadałem się na dobre.

Ze zdrowiem mojem było coraz gorzej; lekarze internowani kręcili głowami i radzili zgłosić się do komendy obozu z zameldowaniem o stanie zdrowia, przy równoczesnych staraniach w kraju przez osoby wpływowe o powrót. Szczęśliwy traf sprawił, że ówczesnym „ministrem” (w Radzie Stanu) był kolega mój uniwersytecki Stefan Dziewulski; zaręczył on przed okupantami za mnie. Zostałem zawezwany

na komisję lekarską; poprzedniego dnia odbyło się formalne konsylium międzynarodowe nade mną, w wyniku którego postanowiono: ryzykuj, możesz klapnąć, ale napewno jeżeli wytrzymasz, to cię Niemcy puszcza. Jutro naczczo wypalisz, zaciągając się, dziesięć mocnych papierosów i wypijesz filiżankę czarnej kawy, będącej ekstraktem $\frac{1}{4}$ funta prawdziwej kawy. Usłuchałem, zaryzykowałem — i pomogło. Niemcy mocno kręcili nosem nademną, a raczej nad stanem mego zdrowia. Wyprawili mnie do domu w asyscie podoficera-sanitarjusza. Na drugi dzień przejeżdżałem przez Magdeburg. Całą duszą i całą siłą mojej jaźni starałem się przebić oczyma duszy mury fortecy, by ujrzeć Jego... Napróżno.

W Łukowie na dworcu uderzyła mnie głupia mina dorożkarza. Zaniepokojony pytam się, co w domu słysząc (eskorta miała mnie odstawić do gubernatora niemieckiego), na co dorożkarz odpowiada: „wszystko dobrze, tylko starszy panicz trochę siedzi”; chodziło o mojego najstarszego syna, ucznia piątej klasy, którego Niemcy zapakowali do kozy za wrogie manifestacje z powodu traktatu brzeskiego.

A po dwóch miesiącach mieliśmy wolną Polskę!

R A S T A T T.

(Kartki z dziennika).

28.IX.1917 r. Dziś rano zostałem aresztowany.

Ot tak poprostu.. przyszedł podoficer niemiecki z listem do mnie i z progu baraku, trzymając list wysoko, zawołał: Choraży N., tu list dla pana". Jak małe dziecko dałem się nabrać na taki nędzny kawał, bo kiedy podbiegłem do niego uprzejmie zaprosił mnie do komendantury. Zrozumiałem o co chodzi, nie tak dawno przecież wywieziono do Niemiec Orlicza-Dreszera, Kołłataja-Szrednickiego, Skotnickiego i innych. Spakowałem dokładnie me rzeczy, które zresztą od paru dni już miałem przygotowane do drogi, spodziewając się lada chwila aresztowania. W komendanturze, jakiś inteligentny podoficer spisał ze mnie protokół. Zrozumiałem z jego pytań, że chce stwierdzić, w jakim celu przybyłem do Szczypiorny, zamiast iść do Benjaminowa, oraz dąży do stwierdzenia zmyślenia między oficerami przybyłymi do Szczypiorny. Powiedziałem mu bez wykrętów, że uważałem za swój obowiązek dzielić losy naszych żołnierzy, zwłaszcza, że jako lekarz mogłem im być pomocny, nadmieniałem, że o kroku moim zameldowałem Komendzie Legjonów (w istocie tak było), naturalnie decyzję tę powziąłem samorzutnie. Odprowadzono mnie do aresztu obozowego. Mała izdebka trzy kroki wszerek, pięć wzdłuż, u góry niewielkie okienko zasłonięte od zewnątrz deską, pod ścianą drewniany tapczan, gorąco i nad wyraz duszno. Serce tłucze się niespokojnie w piersiach. Co u licha, mówię sobie, trzeba się opanować. Kładę się na tapczanie i zapalam papierosa. Za chwilę przychodzi upragniony spokój. Odrzucono deskę, zakrywającą okienko, wówczas na ścianie zauważyłem różne napisy, a między nimi podpisany przez mego poprzednika w tej celi, chor. Szajewskiego: „A mścić się będę, póki starczy siły”.

3/X.17 r. Odwiedził mnie zacny mjr. Knaupisch. Dziękowałem mu za jego uczciwy stosunek do naszych chłopców. Przykro mu było, że nic

nie może mi pomóc, pozwolił tylko bez nadzoru chodzić po rosyjskiej części obozu. Chodzę więc stale do cerkiewki na krańcu obozu, skąd przez druty patrzę na wolny, spokojny świat, tak bliski, a tak daleki ogromnie. Nic nie myślę. Myśl dziwnie zakrzepła w miejscu.

7/X.17 r. Zakomunikowano mi, że jutro będę wywieziony do Niemiec; podoficer, który mi to zapowiedział, zapowiedział równie, że mam jechać po cywilnemu. Zażądałem ludzi do przeniesienia rzeczy. Popołudniu przyniesiono mi z Komitetu Kaliskiego tyle jedzenia, że



Rastatt — Grupa internowanych oficerów legionowych.

wystarczyłoby dla 2-ch ludzi w podróży do bieguna północnego. Całe szczęście, że dziś warty nie pełnią poznańscy. Ilekroć to się zdarzyło, rozmawiali wprawdzie ze mną bardzo życzliwie, ale jednocześnie bardzo dokładnie zamykali drzwi, nie pozwalając nawet wyjść na spacer. Wczoraj pod moją cerkiewką rozmawiałem z Alzatzczykiem, który tam stał na warcie. Ciekawe to było słyszeć od niemieckiego żołnierza, w niemieckim języku zapewnienia, że: „Niemców, panie, diabli napewno wezmą, już bokami robią”.

8/X.17 r. Przybył rano o 6-tej mój Niemczyk z wyznaczonym dla mnie „begleitmannem” i dwoma ludźmi po rzeczy. Zaczęło się od rewizji pakunków, później zamiast rewizji osobistej zapytał, czy nie mam broni, wreszcie zapytał, czemu nie jestem przebrany po cywil-

nemu. Powiedziałem mu, że jestem oficerem, że żaden sąd nie pozbawił mnie prawa do munduru, że dobrowolnie go nie zdejmę i jeśli tego koniecznie chcą, to mogą mi go zdjąć przemocą. Zasalutował bez słowa i odszedł. Wraz z wartownikiem poszedłem do pobliskich Skalmierzyc. Tu na dworcu, niechcący zresztą, zapytałem, do której klasy mamy bilety: „Do trzeciej” powiada. „To ja nie jadę, mnie się należy 2-ga klasa”. Zafrasował się chłopak. „Panie, mówi, to co my zrobimy?” — ja nie mogę wracać do obozu”. „Chodźmy, powiadam, do



Rastatt — Bastjon, w którym mieszkali internowani.

komendanta dworca”. Komendant dworca sprawdził moje papiery i bezzwłocznie zmienił na bilecie klasę III-cią na II-gą. Wkrótce ruszyliśmy przez Lisę, Frankfurt, Karsruhe, Heidelberg. Dojechałem około 4-ej popołudniu do Rastatt, w Badenji. Przejechałem kawał Niemiec i zrozumiałem, dlaczego tak długo walczyć mogą przeciw całemu światu.

10/X.17 r. Tu w Rastatt zastałem aresztowanych przede mną por. Gnoińskiego z 3-ciej baterji, chor. Miszewskiego z 1 p. p., por. Szajewskiego przewiezionych ze Szczypiorny, por. Filipkowskiego, adjutanta Dyonu Haubic, przybyłego z Benjaminowa oraz pana Kazimierza Osowskiego z Włocławka. Ucieszyliśmy się ogromnie. Mieszkamy w starym francuskim forcie, w ciemnej półokrągłej sali bastjonu.

W obozie są cywilni jeńcy francuscy i nieco Rosjan, poznałem kilku miłych, inteligentnych Francuzów. Znalazł się między nimi naturalnie i żyd z Warszawy o twarzy urodzonego zbrodniarza. Pełni przy nas rolę pachciarza, skupuje od francuzów czekoladę.

29/X.1917 r. Otrzymałem dziś pierwszą przesyłkę od Warszawskiego Komitetu Pomocy dla Jeńców, takie same otrzymali Gnoiński, Szajewski i Miszewski. Naturalnie wszystko poszło do wspólnego gospodarstwa, tylko papierosy są prywatną własnością. W tych dniach przybyli tu z Havelberga Orlicz-Dreszer, kpt. Zosik-Tessaró, kpt. Kollataj-Srzednicki, por. Grzmot-Skotnicki, por. Ostrowski, por. Zinth-Rzecki i ppor. Szafranowski. Robi się gwarno. Ale umówiliśmy się już. Wstajemy wszyscy razem, żeby izbę uprzątnąć, a parę godzin musi być zupełnie cicho, żeby można było czytać. Mówić wtedy wolno tylko szepem. Tylko Szafranowskiego nie można nauczyć milczeć, wciąż śpiewa.

30/X.17 r. Wieści ze Szczypiorny, ale złe, smutne. Przeszło 1000 ludzi odpadło. Za mało jednak robiło się w celu należytego uświadomienia ich. Z reszty Legjonów też przykre wiadomości. Tylu dzielnych oficerów zeszło na nędznych austriackich żołnierzy. Triumfują ci, co zostali w Wehrmachcie. Dorobili się stanowisk i szarż. Czy los będzie dla nas sprawiedliwy?

5/XI.17 r. Znow kolonja nasza powiększyła się. Przywiezieni zostali ze Szczypiorny w tych dniach: wachm. Janusz Olszamowski z 1 p. uł., sierż. Wiktor Dunin-Wąsowicz z 1 p. p. (przyjechał z Ameryki do Legjonów), st. sierż. 5 p. p. Tomsa-Zapolski, sierż. 5 p.p. Maksymilian Lewin, podpor. 2 p. p. Jerzy Thomson i sierż. 1 p. p. Rodkiewicz-Konrad. Wyświeżony, pachnący w pięknym mundurze, brzęcząc ostrogami przyjechał mjr. Trojanowski-Ryś. Jakże ucieszyliśmy się tym widokiem. Cała paczka z Havelbergu, taki Dreszer, Skotnicki, Zosik przyjechali po cywilnemu, bo ich Niemcy podstępnie przebrali. Wyglądają jak aresztanci. Patrzeć na nich przykro. Zaraz major został naszym komendantem, jako najstarszy szarżą, a wachm. Olszamowski jego adjutantem. Inteligentny, świetnie wychowany, subtelny bardzo zacny i mądry, a przytem wykwinny. Nikt bardziej od Olszamowskiego nie nadaje się do porozumiewania się z Niemcami. Jaka to jednak strata dla Szczypiorny, której był komendantem, to jego wywiezienie.

7/XI.17 r. Niemiecki komendant obozu, major rezerwy, to stary pijak i awanturnik. Maltretuje przebywających tu jeńców w okropny sposób. Dla lada powodów karze ich bardzo surowo, to też wszyscy są spłoszeni, gdy wchodzi w obręb obozu. Gdy warta zawoła „fixe” wszystko nieruchomieje i w pozycji na baczność z czapką w ręku

czeka, aż Pan Komendant wejdzie do budynku dowództwa. Żeby uniknąć zdejmowania czapek uchwaliliśmy spacerować bez czapek. Dziś rano przybyli tu z Benjaminowa kpt. Wieczorkiewicz, kpt. Dąbkowski, oraz rtm. Janusz Głuchowski. Przyjechali z eskortą oficerską.

10/XI.17 r. Nasz pijaczyna (tak nazywamy niemieckiego komendanta) wpadł dziś w furję. Poszedł do niego rano mjr. Trojanowski z Olszamowskim, jako adjutantem, żeby mu oświadczyć, iż żadanego



Podwórze w Rastatt.

od nas słowa, że nie będziemy próbować uciekać, z powodów zasadniczych złożyć nie możemy. Pijaczyna zaczął się rzucać, wrzeszczał, że on tu jest władzą, że jego wola musi być spełniona, że my postępujemy samowolnie chodząc po mieście do ambulatorjum trotuarem, że bez jego pozwolenia rozstawiliśmy rzeczy na kwaterze, że powinniśmy pamiętać, że choć jesteśmy jeńcami cywilnymi, to on, major, chce nas uważać za oficerów. Na to usłyszał od Trojanowskiego, że my uważamy się za oficerów, że mamy nawet oficerskie odznaczenia bojowe niemieckie i że uważamy, iż należą się nam prawa i wygody oficerskie, których w tym obozie nie mamy. Zmiał pijaczyna i zapewnił, że on radby nam ulżyć, ale nie ma na to środków, o czym złożył już raport swym władzom.

16/XI.17 r. Odwiedził nas pijaczyna. Był bardzo uprzejmy. Oświadczył, że możemy dostać osobny dom w mieście na mieszkanie, byleśmy obiecali, że nie będziemy uciekać. Odmówiliśmy. Nie możemy sprzedawać za lepsze pomieszczenie swego prawa do swobody. Przysłano nam z kraju 1000 mk.; połowę podzielono między wszystkich, połowę przeznaczono na żelazny kapitał.

19/XI.17 r. Wieczorem śpiewał Konrad. Wygrał w karty, może śpiewać. Ale głos ma niezły. Największy kawalarz to Zosik, a największy statysta — Orlicz.

21/XI.17 r. Kłopoty z powodu kończenia się zapasów żywności. Dotąd starczyło przywiezionego z kraju, teraz trzeba będzie poprzestać na cieniutkiej obozowej strawie. Od francuzów nic, prócz czekolady kupić nie można, tak skąpią.

Pan Ostrowski mówi o nich pogardliwie, że „to żydy”. Wieczorem Janusz Głuchowski mówił o sprawie polskiej, zdał również sprawozdanie z obozu w Benjaminowie. Sprowadzamy sobie Frankfurter Zeitung, Kurjera Polskiego, Głos Narodu, i Warschauer Zeitung. Przysyłają nam Nową Gazetę i Kurjer Poznański.

22/XI.17 r. Wrócili nasi ułani ze szpitala i opowiadają, że w mieście rozplakatowano wiadomość, że Rosja zwróciła się oficjalnie do Niemiec z propozycją zawarcia odrębnego pokoju.

Popsuło to nam humory, doszczętnie, wszyscy kwaśni jak ocet. Dziś otrzymaliśmy 4 paczki od Komitetu Kaliskiego. Nawet i tu o nas pamiętają ci zacni ludzie.

23/XI.17 r. Nasz pijaczyna wezwał do siebie Trojanowskiego i oświadczył mu, że otrzymał polecenie traktowania nas ze specjalnymi względami. Obiecał dużo węgla i pozwolił na sprowadzenie książek. Prosił, żeby mieć do niego zaufanie i ze wszystkim zwracać się do niego. Dostaliśmy też ordynansów. Nie trzeba będzie samym wystawać w ogonku przed kuchnią i narażać się na drwiny moskali, którzy nie szczędzą nam przycinków, gdy widzą, jak musimy sami sobie usługiwać.

24/XI.17 r. Uczą się wszyscy niemieckiego i francuskiego. Powstał i kurs angielskiego, bo kilku z nas włada dość poprawnie tym językiem.

25/XI.17 r. Nagle wywieziono mjr. Trojanowskiego do obozu w Holzmünden. „Zivilinternierte gewesene Major der Poln. Legionen” — jak brzmiał urzędowy papier. Skonsternowało to nas ogromnie. Przykro było nam żegnać mjr. Rysia. — A jemu będzie tam napewno ciężko samemu. Zaczynają się widać represje. Cokolwiekbądź będzie, wytrwamy.

28/XI.17 r. Kazali się nam spakować. Jutro gdzieś jedziemy.

29/XI.17 r. Śliczny, słoneczny ranek. Sformowanych w czwórki otoczyła nas warta w wielkich mundurach i błyszczących hełmach. Na dworcu czekał wagon 2. klasy. W dokumentach zaznaczono każdego szarżę. Nie znamy przeznaczenia.

30/XI.17 r. Jedziemy wciąż brzegiem Renu. Prześliczny kraj, bogaty, zagospodarowany. Mijamy małe miasteczka otoczone średnio-wiecznym murem i stare zamczyska, wśród gór groźnie basztami sterczące.

Nie obyło się bez zajść, z których zresztą znów wyszliśmy z honorem. Rano zatrzymano nasz wagon w Kolonji i pomaszerowaliśmy na śniadanie do miasta. Wprowadzają nas do olbrzymiego budynku. Soldatenheim. W jednym okienku otrzymujemy miskę z łyżką, w drugim bon na jedzenie, po które zgłosić się trzeba do trzeciego okna. Wzięliśmy miski i bony, siadamy w kącie sali i czekamy. Nasza eskorta zajada i przygląda się nam. Po chwili przychodzi dowódca eskorty i pyta, czemu nie bierzemy jedzenia. Wyjaśniamy, że jako oficerowie możemy jeść w Offiziersheim'ie. Odszedł, poczekał trochę. Przychodzi znów, zafrasowany, tłumaczy się, że on nic nie winien, bo tu mu kazano nas przyprowadzić, prosi, żebyśmy jedli. Odmówiliśmy. „To cóż”, mówi bezradnie, „to chyba wrócimy na stację?”. Wracamy. Ale tu wprowadzono już nas do salonu 1-ej klasy, gdzie za własne pieniądze mogliśmy dostać czarnej kawy i cebuli. Ale w 1-ej klasie Niemcy w postawie pełnej szacunku patrzyli na nasze śniadanie, stojąc przy drzwiach. W parę godzin potem zatrzymano nas na małej stacyjce przy pięknym Offiziersheim'ie, gdzie zjedliśmy śniadanie i obiad. Nazajutrz popołudniu stanęliśmy w Werl, u celu naszej podróży.

W BARAKACH BYTOWA I CZERSKA.

Podczas ostatniego zjazdu legionistów w Kaliszu słyszałem przemówienie Komendanta J. Piłsudskiego, który podkreślił rozwielnione szpiegostwo obcych agentur nie tylko w stosunku do Jego Osoby, jako Twórcy Legionów i Armji, ale także do wszelkich Jego poczynań, zmierzających do ugruntowania Niepodległości.

Mimowoli nasunęły mi się wówczas pewne refleksje i w głębi duszy pozostał nie tylko głośłowny dźwięk tych słów, ale głębokie przeświadczenie, że Komendant mówił nagą prawdę.

Heroiczny twór Jego silnej woli i energii: Legjony polskie, już od samego zarania swego istnienia były otoczone zewsząd obcemi agenturami, które śledziły bacznie rozwój tej znikomej ilością, ale potężnej duchem gromady.

Kiedy szary żołnierz legionowy, wyszydzany przez część społeczeństwa, z pieśnią na ustach „Nie chcemy już od was uznania” — jak ostatni obrońca szanica na Woli szedł po sławę oręża polskiego — wówczas obce agentury czyhały, aby myśl przewodnia tych ludzi nie stała się udziałem całego narodu.

Pseudo-sprzymierzeńcy nasi rozpoczęli wówczas politykę kurtuazyjną względem Legionów a równocześnie pilnie śledzili i tamowali wszelki ruch, który był związany z ideologią Komendanta.

Jako niezbity przykład polityki pseudo-sprzymierzeńców w stosunku do Legionów polskich w zaraniu ich istnienia, pozwolę sobie przytoczyć skrót własnych przeżyć z tych czasów.

Po przejściu rocznej służby frontowej w Legionach, zostałem wysłany w roku 1915. jako emisariusz Legionów na teren byłej okupacji niemieckiej dla propagandy idei Legionów i związanego z nimi ruchu niepodległościowego.

Praca ta, ze względu na swój charakter musiała być podziemną i polegała na szeregu odbytych zebrań tajnych, organizacji osób w kołach przyjaciół Legionów i kolportaż literatury legionowej.

Etapami mojej pracy były powiaty: Łęczyca, Kutno i Łódź.

Praca początkowo natrafiała na wielkie przeszkody ze względu na liczne orientacje, jednakże w krótkim czasie zjednałem spory zastęp osób, całkowicie oddanych idei legionowej.

Bardzo czynnymi członkami założonej przezemnie organizacji niepodległościowej na terenie Łęczycy byli: Dr. Kocęba, Dr. Zawadzki z rodziną, dyrektorka gimnazjum żeńskiego p. Olszewska, p.p. Chrepińskie, p.p. Pawłoscy, właściciele majątku Mniszki i p. Stankiewiczowa.

W Kutnowskim zaś: p.p. Cygańscy, właściciele majątku Cygany i p.p. Sapalscy, właściciele majątku Kalinów. W Kutnie bardzo życzliwie byłem przyjęty przez p. Staniszkisową (żonę dr. agronomji i posła na Sejm), która przez dłuższy czas ukrywała mnie przed Niemcami w laboratorium męża.

Wymieniając szereg nazwisk muszę podkreślić nazwisko p.p. Kosińskich (nauczycielki gimnazjum w Łodzi) i p.p. Januszewskich (siostry senatora, pułkownika, inż. Januszewskiego), w których domach rodziców ukrywałem się w czasie mojej pracy legionowo-niepodległościowej, aż do chwili mego aresztowania.

Dnia 14 stycznia 1916 roku, wyjeżdżając od p.p. Januszewskich z Nowego Rokicia (Łódź) do Łęczycy, wiozłem ze sobą paczkę literatury legionowej i ta paczka stała się powodem mego aresztowania w tramwaju na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi.

Inwigilowany przez dłuższy czas przez tajną policję niemiecką — wpadłem po cztero miesięcznej pracy niepodległościowej w ręce Prusaków. — Dziwna zaiste była ta indagacja w policji politycznej w Łodzi.

Podczas indagacji oficer niemiecki kazał podać nawet czarną kawę i likier, za co podziękowałem.

Tego samego dnia zostałem odprowadzony do więzienia na ulicy Olgińskiej, gdzie po tygodniu wezwano mnie w celu przesłuchania.

Przesłuchiwał mnie niestety Polak — komisarz niemieckiej policji politycznej Klimaszewski, który na tyle miał bezczelności, iż zaczął zapewniać mnie o swoim patriotyzmie i chęci służenia w organizacji niepodległościowej pod warunkiem wydania członków tej organizacji.

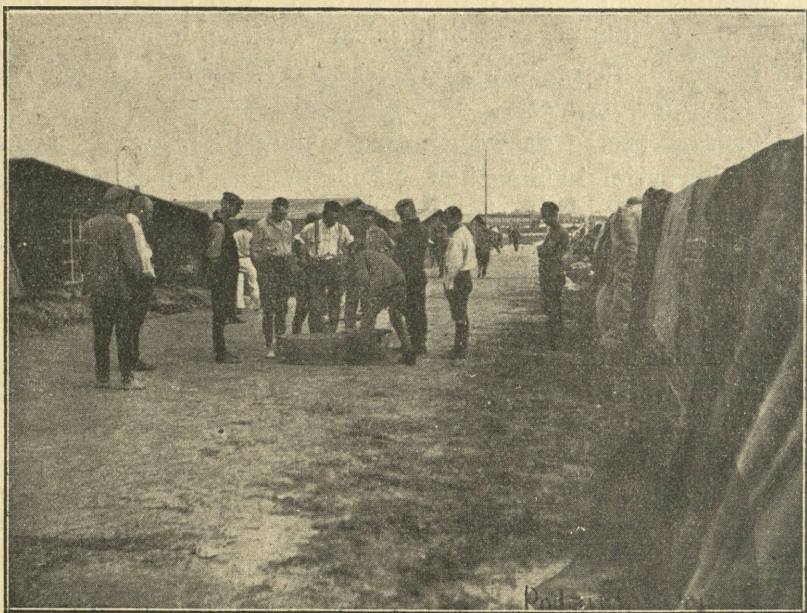
Po odmowie zostałem odprowadzony z powrotem do więzienia na ulicę Olgińską, skąd po 7-tygodniowym siedzeniu zostałem wezwany ponownie do wydania nazwisk członków organizacji.

Po powtórnej odmowie upłynęło 3 dni i dnia 13 marca 1916 roku skuto mnie w kajdanki i przeniesiono do więzienia na ulicy Długiej,

skąd dnia 20 marca 1916 roku bez żadnego już przesłuchania i rozprawy zostałem wywieziony do Niemiec.

Eskortujący mnie żołnierz niemiecki — Alzatzczyk, na prośbę moją, pokazał kartę służbową, która opiewała, że za działalność wrogą państwu niemieckiemu zostaje skazany na pobyt w obozach jeńców w Niemczech do końca wojny bez prawa wyjazdu na pracę, jednakże z zastrzeżeniem, aby komendantura obozu obchodziła się ze mną bardzo dobrze. Powyższą kartę służbową podpisał gen Barth — gubernator Łodzi.

Po przybyciu do obozu w Bytowie, odbyłem przymusową 6-cio



Szczypiorno. Obiad.

tygodniową kwarantannę, polegającą na zupełnej izolacji od świata i spaniu w baraku na gołych deskach bez żadnego okrycia.

Była wówczas pora na pół-zimowa, ale jakoś zniósłem to, nysząc jedynie o kolegach, którym gorzej mogło być wówczas na froncie.

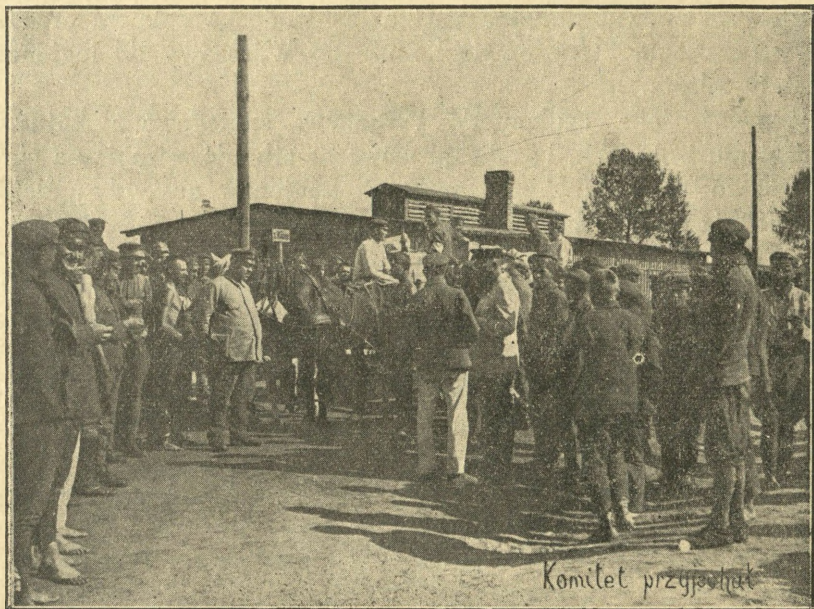
Po 6-ciu tygodniach dostałem się do właściwych baraków, gdzie zastałem około 1000 Polaków, wśród których znalazłem serdecznych przyjaciół w osobach p.p. Woyczyńskich, właścicieli majątku Stara Łomża, internowanych za należenie do „Związku Walki Czynnej” i ś.p. ppor. Kalinowskiego z Płockiego, za pracę w P. O. W.

Wikt w obozie był okropny: zupa z mąki kościanej albo brukiew, jednakże moja twarda natura leguńska wkrótce przyzwyczała się do

tego menu, jednakże cierpiałem dotkliwie, gdyż obok siebie miałem za towarzyszy moskali i ludzi wrogich idei legjonowej.

Nie mając zupełnie polskich pism napisałem do księgarni w Poznaniu, skąd przysłano mi „Wiadomości Polskie“, które do końca mego pobytu w obozach były jedynym łącznikiem z Legjonami i stały się ulubionem pismem internowanych.

Po pewnym czasie dzięki zacnemu cenzurowi listów zacząłem otrzymywać wiadomości z kraju, jak również od osób zupełnie mi nieznanym z Poznańskiego i listy te były jedynym urozmaicheniem w tej okropnej monotonii życia obozowego.



Szczypiorno — Przybycie wozu Kaliskiego Komitetu.

W lipcu w 1916 r. przywieziono do obozu nowy transport internowanych, między innymi p. Wandę Judejko, obecnie p. Cieszkowską, nauczycielkę gimnazjum w Ojcowie i ks. dr. Hałkę, dyr. gimnazjum w Białymstoku, które to osoby wkrótce należały do serdecznych moich przyjaciół.

Nadszedł listopad 1916 r. — ogłoszenie Niepodległości Polski przez Niemców. — Wiadomość tą przyjęliśmy z obojętnością, co widząc Niemcy puścili całą zgraję szpiclów, a na odwach zaciągnięto wzmocnione pogotowie i na górcie zabłyśły lufy armatek polowych.

Internowani wówczas zaczęli tęsknić za wolnością osobistą, kiedy już nastąpił tak wspańiałomyślny akt rzucenia Niepodległości, ale

nadszedł rozkaz z Gdańska, aby cały obóz w Bytowie przenieść do Czerska.

Więc jazda do Czerska — tutaj nowe katusze w norach podziemnych, w których setki Polaków zmarło.

W Czersku poznałem zanego kapelana obozu ks. Jadowskiego, obecnie proboszcza w Myjonicach, pow. Kętno, który żywo zainteresował się mną jako legionistą i wyjednał u władz pozwolenie dla spędzenia u Niego świąt.

Na samą wigilję Bożego Narodzenia w roku 1916. nadszedł rozkaz z niemieckiej komendy korpusu w Gdańsku, aby w związku z ogłoszeniem aktu Niepodległości bezzwłocznie wypuścić mnie z obozu na wolność, ale znowuż obłudna kurtuazja niemiecka dała mi przewodnika — Prusaka, który odwiózł mnie do Warszawy do legjonowej komendy miasta.

Nienawiść, jaką czułem do Prusaków, spotęgowana katuszami w więzieniu i obozach, kazała mi wówczas stłumić w sobie na chwilę to wszystko — a wstąpić z powrotem do Legionów, aby, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, móc spełnić rozkaz Komendanta.

OBÓZ DLA JEŃCOW (OFFIZIERGEFANGENENLAGER) CELLE-SCHLOSS POD HANNOWEREM.

W zamku byłych królów hanowerskich, w mieście Celle założyły wojskowe władze niemieckie niewielki, stosunkowo liberalnie prowadzony obóz na 250 ludzi.

Jeńców wojennych niewielu tam było, bo osadzano w tym obozie przeważnie politycznych, przytem takich, z którymi liczone się stosunkowo bardziej. W miarę wolnych miejsc przenoszono także do Celle-Schloss z innych obozów takich jeńców, którym należał się odpoczynek, lub którzy chcieli być ordynansami. Ci „awansowani” opowiadali okropne rzeczy o stosunkach, panujących w różnych Havelbergach, Celle-Lag'rach i t. p. Piętnowanie ubrań, jak na fotografii, przedstawiającej jeńca, który przybył z obozu Celle-Lager, należało do rzeczy niewinnych.

W obozie Celle-Schloss reprezentowane były wszystkie narodowości: m. in. był tam burmistrz m. Brukselli p. Max, kilku admirałów angielskich, których wybuch wojny zaskoczył w Niemczech, z Rosjan — gubernator warszawski baron Korff, grupa księży belgijskich i francuskich, wreszcie z Polaków — aresztowani za politykę i „deutschfeindliche Gesinnung”: Tad. Hołówko, Winc. Rzymowski, ks. pastor (obecnie senior wojskowy wyznania ewang.-augsb.) Rysz-Paszko, ś. p. Wład. Tarczyński z Łowicza, ś. p. redaktor Wikt. Czajewski z Łodzi i inni.

W roku 1915, z inicjatywy ks. Paszko, Polacy w Celle-Schloss zorganizowali się w odrębną grupę, dawniej nieuznaną ani przez aliantów, ani przez niemiecką „Komendanturę” obozową i dopiero od końca roku 1915 uwzględnianą przy odwiedzaniu obozu przez delegatów Czerwonego Krzyża. Założono „Bratnią Pomoc”, która częściowo, mianowicie w okresie świąt, wspomagała również rodaków w Celle Lager (obóz dla szeregowych), organizowano obchody narodowe i prowadzono bibliotekę.

Księża litewscy nie wstąpili do organizacji polskiej.

„NAJGORSI CI POLACY, KTÓRZY NAPIERAJĄ SIĘ NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI”.

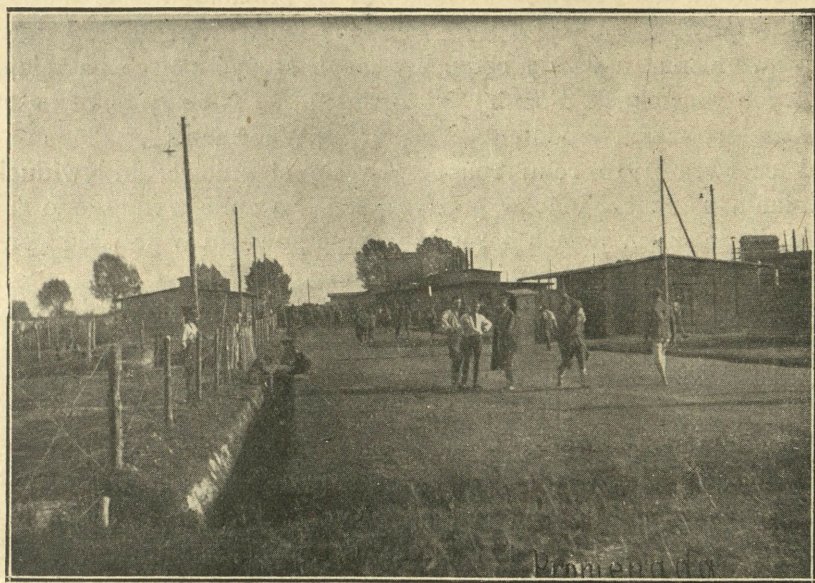
Znużony różnymi szykanami władz okupacyjnych i ich systematycznym osaczaniem, które po powrocie moim z niewoli doprowadziło wreszcie znowu do zawieszenia mnie w urzędzie i wysiedlenia z ziemi łomżyńskiej, rzekłem kiedyś w końcu 1917 roku do wyższego urzędnika niemieckiego w Łomży: „I czego wy się właściwie ciągle czepiacie mnie i naszej małej garstki, która w przeciwieństwie do szerokiego ogółu polskiego, spaliła za sobą radykalnie mosty, prowadzące do Rosji, i dlatego samego nie może sobie życzyć powrotu Rosjan?” — „To proboszcz tego nie rozumie?”, odpowiedział ów Niemiec. — „Tamci nas zapewne jeszcze więcej od was nienawidzą, lecz w swej bierności są nieszkodliwi. W przyszłości zaś, kiedy będzie Polska, — nie taka, jaką proboszcz sobie wyobraża, lecz taka, na którą my się zgodzić możemy, — partja narodowo-demokratyczna będzie w stosunku do nas uprawiała tę samą politykę trzeźwą, liczącą się z siłami i z faktycznem położeniem rzeczy, która jej każe obecnie czekać na powrót Rosjan. To są ludzie, na których można polegać; najgorsi zaś są ci Polacy, którzy napierają się niepodległości Polski”.

Te słowa jednego z najbliższych współpracowników „kreischefa” w Łomży wyjaśniły mi różne moje przejścia z czasów okupacji niemieckiej.

Przed wojną byłem pastorem trzech parafji w ziemi kaliskiej: Koło, Babiak i Izbica. Ponieważ po wybuchu wojny wzywałem z ambony swych parafjan, w olbrzymiej swej większości narodowości niemieckiej, aby nie angażowali się ani w stronę Rosji, ani w stronę Niemiec, bo będzie Polska, — każdy nowy komendant lub kreischef niemiecki wzywał mnie do siebie, celem zażądania stosownych wyjaśnień.

Znamienną była rozmowa, jaką miałem z wysłannikiem komendantury kolskiej w końcu roku 1914, czy też w początku roku 1915. Poprzedniego dnia byli w moim domu dwaj nieznajomi, którzy nie zastali mnie, a którzy na propozycję domowników moich przyjsia nazajutrz, kiedy wrócę z objazdu, odpowiedzieli, że są tylko prze-

jazdem w Kole i że chcieli się osobiście ze mną rozmówić. Otóż komendantura niemiecka już nazajutrz zapowiedziała mi, abym się nie wdawał z „wysłannikami legionów polskich”, którzy u mnie wczoraj byli, bo na żaden werbunek w powiecie kolskim Niemcy nie pozwolą. Zgodne z prawdą oświadczenie moje, że o wizycie legionistów u mnie dowiaduję się dopiero z komendantury, przyjęto z niedowierzaniem, a na uwagę moją, że nasi legioniści to przecież wasi kombatanci, odpowiadano mi jeszcze raz z naciskiem: „Niemcy nie mają nic wspólnego z legionami polskimi i na ich werbunek nie pozwalają!”



Szczypiorno — Droga między blokami.

Od czerwca 1915 roku czułem się coraz ściślej otoczony szpiegami, którzy badali też niemal każdą osobę, wychodzącą odemnie. Wreszcie skorzystano z dwóch moich skarg, zaadresowanych do ówczesnego „Bevollmächtigter des Oberbefelhabers Ost” w Kaliszu w sprawie bicia ludności przez żołnierzy i funkcjonariuszy niemieckich i aresztowano mnie dnia 27 lipca 1915 roku. Przeczytano mi coś o „deutschfeindliche Gesinnung” i „dem Eroberer lästig” i wywieziono najpierw do kwarantanny do obozu oficerskiego w Stralsundzie, a następnie do takiegoż obozu w Celle-Schloss.

Zapisano mnie tak samo, jak i innych Polaków z zaboru rosyjskiego, jako „Russe”. Po wielu zabiegach udało mi się przekonać komendanturę obozu i samych rodaków, że powinniśmy stworzyć własną grupę narodową. Pomimo to i w zorganizowanej grupie polskiej przewa-

żała znacznie orientacja rusofilska. Kiedy jeńcy-Rosjanie na wiosnę 1916 roku otrzymali w paczkach od czekolady wiadomość o przygotowującej się olbrzymiej ofensywie Brusilowa na froncie południowym, radość między rodakami o orientacji rusofilskiej była wielka. Grupa nasza, zaniepokojona o los pułków legjonowych nad Styrem i Stochodem, była odosobniona.

Kilku z nas (rejent Kettlinger z Warszawy, ja i jeszcze ktoś, którego nazwiska nie pamiętam) uradziło prosić Niemców o zwolnienie z niewoli i odesłanie nas do Legjonów. Odpowiedziano mi, że takiego zezwolenia nie otrzymam, i dano mi do zrozumienia, że toczą się jakieś układy, które już za parę miesięcy mogą doprowadzić do naszego zwolnienia, a wtedy będziemy mogli służyć Polsce na miejscu w nowych warunkach. Później zrozumiałem, że Niemcy mieli na myśli „Beselerowską Niepodległą Polskę” i „Wehrmacht”.

Od czerwca 1916 roku rozpoczęły się stopniowe, indywidualne zwalnianie do Polski jeńców politycznych. Na mnie wymuszono zerwanie się dawnych swoich parafii i wogóle powrotu w kaliskie i przyjęcie małej wyludnionej parafii łomżyńskiej.

Praca w C. K. N. i w zarządzie Komitetu Popierania Wojskowości Polskiej (późniejszym Pomocniczym Komitecie Wojskowym), t. j. P. O. W. ściągnęła na mnie znowu różne szykany przykre rozmowy z bezwzględnym kreischefem łomżyńskim Wilkinsem i wreszcie w marcu 1918 roku proces za manifestację i kazanie po pokoju brzeskim. Chociaż Łomża cała protestowała przeciwko oderwniu Chełmszczyzny w mniej lub więcej, lecz przeważnie mniej energiczny sposób, ja jeden zostałem zaszczycony procesem w Sądzie Wojennym. Sędzia śledczy oświadczył mi na wstępie, że jako Wilamowicz będzie się starał sprawę umorzyć, bo jako „recydywiście” groziłaby mi zbyt poważna kara; prosi mnie więc, abym mu zeznaniami swojemi nie utrudniał zamiaru umorzenia sprawy i przekazania jej do załatwienia w drodze administracyjnej. Przepowiedział też z góry wynik: administracyjne zawieszenie w urzędzie i wysiedlenie z całej ziemi łomżyńskiej.

Tak się też stało, poczem od kwietnia 1918 roku pracowałem w szkolnictwie w Łodzi w kompletnej beczynności politycznej, na którą skazały mnie nietyłe meldunki w policji polowej (Feldpolizei), ile stałe wizyty przydzielonego do mnie anioła-stróża wachmistrza Czajki, który nieraz z lekcji mnie wywoływał, aby się upewnić, czy jestem naprawdę w gimnazjum. Gorliwość swoją tłumaczył p. Czajka urgensami z Warszawy, które mu zarzucały beczynność, skoro nie melduje o mojej działalności politycznej.

WIEZIENIE W SIEDLCACH.

(Ze wspomnień Komendanta III okr. P. O. W.)

Aresztowanie czynnych członków organizacji P. O. W. na terenie Podlasia nastąpiło w połowie czerwca 1918 roku, w chwili, gdy ofensywa wojsk niemieckich na froncie zachodnim dobiegała do najwyższych rozmiarów i osiągnęła najkorzystniejsze rezultaty.

W takim to właśnie czasie został aresztowany na terenie Siedlec, podczas przeprowadzania ćwiczeń praktycznych obchodzenia się z bronią, komendant obwodu Siedleckiego ob. M. — człowiek posiadający jak najlepszą opinię w Komendzie Nacz. P. O. W.

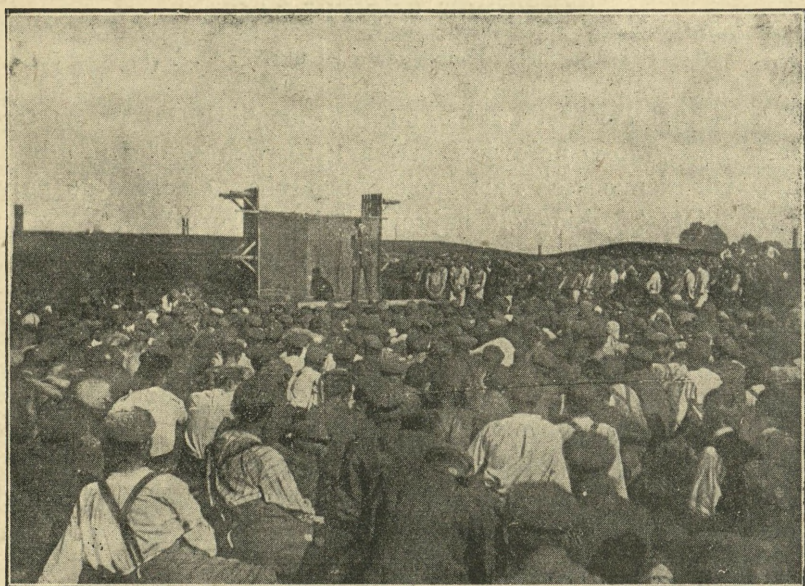
Z chwilą aresztowania ob. M. lokal Komendy Okr. III, jak również lokale komend miejscowych zostały zmienione. Niezwłocznie zarządzono opiekę nad uwięzionym za pomocą podstawienia „narzeczonej” ob. S., której zadaniem było dostarczanie pożywienia. Jednak już na samym wstępie stwierdzono, że forma uwięzienia jest bardzo ostra; nie pozwolono nawet dostarczać pożywienia.

Po kilku tygodniach zostałem aresztowany (byłem na stanowisku komendanta Okr. III.) i osadzony w więzieniu w Siedlcach. Podczas aresztowania zauważyłem, że agenci tajnej policji niemieckiej są doskonale poinformowani o stanie organizacji do najdrobniejszych szczegółów. Ponieważ w mieszkaniu mojem nic nie znaleziono, a z drugiej strony nie potwierdzałem ich przypuszczeń co do mojej osoby, spotkałem się z szyderczą uwagą: „poczekaj Pan, posiedzisz jak tamten, to będziesz śpiewał nam wszystko” — czyżby? Nie to niemożliwe! Wszak obywatel M.?!

Osadzono mnie w celi pojedynczej, odcięto od świata żywego, skazano na bezwzględna samotność.

Po kilku dniach przystąpiono do badania. Okazało się, że w dniu mego aresztowania był również aresztowany instruktor komendy Okr. ob. Wolski-Picheta. Podczas badania zająłem stanowisko nieprzy-

znawania się do niczego, gdyż w przeciwnym razie nastąpiłoby aresztowanie obywateli z najwyższych sfer działaczy społecznych, szkolnych, rolniczych i t. d. Twierdziłem, że denuncjator jest człowiekiem niepoczytalnym i wszystkie jego doniesienia są z gruntu fałszywe. I teraz właśnie dowiedziałem się rzeczy strasznej... Denuncjatorem okazał się M.! Ponieważ w dalszym ciągu zostałem przy swoich przeczących zeznaniach — zarządzono sprowadzenie na badanie M., celem konfrontacji. Kazano mi stanąć twarzą do ściany, żeby nie widzieć wchodzącego. Za chwilę usłyszałem otwieranie drzwi. Do sali ktoś wszedł. Agent uprzedził osobnika, który wszedł



Szczypiorno — Kabaret obozowy.

do sali, żeby mówił prawdę, a dostanie pożywienie i będzie niedługo wolnym. Zapytał: „czy komendantem Okręgu był Przerwic-Horyd, który tam stoi pod ścianą”, usłyszałem szept jak z pod ziemi: „tak”. Obróciłem się i zobaczyłem przed sobą straszne widmo człowieka, zmizerowanego do ostatnich granic, oczy wpadnięte, skóra i kości, chwiał się na nogach — był to M.

Oświadczyłem, że tego człowieka nieznam — jest to zwykła niezręczna prowokacja. To moich agentów doprowadziło do szału wściekłości.

Osadzono mnie do gorszej celi, nie pozwolono mi czytać książek i t. d. To samo działo się z ob. Wolskim-Pichetą.

Dopiero teraz rozwiązałem tę tragiczną zagadkę, dlaczego M. zachwiał się i zaczął zdradzać. Zamknięcie inteligenta do wilgotnej klatki z małym okratowanym okienkiem u sufitu z całkowitem odseparowaniem od życia, obrzydliwe pożywienie w postaci zgniłych kartofli i stęchłej brukwi — może doprowadzić do stanu zupełnej abnegacji i kompletnego wyczerpania moralnego. Niemcy wiedzieli, jaką drogą mogli człowieka doprowadzić do zupełnej bezwoli i swoją metodą zmusić do zeznań. Tak też i stało się z M., któremu po kompletnym wyczerpaniu moralnym i fizycznym zaproponowano, nie oszczędzając pięści, za cenę lepszej strawy, a nawet wolności zdradzenia tajemnic organizacyjnych.

M. zaczął zdradzać*).

Jak już zauważyłem na samym wstępie, w pierwszych dniach aresztowania M. zarządziłem zmianę lokalu wszystkich zakonspirowanych komend. Poleciałem zmagazynowanie broni w innych pomieszczeniach, co ze względu na warunki było bardzo niebezpieczne. Mimo tych zarządzeń aresztowano: instruktora Komendy Okr. ob. Wolskiego-Pichetę, komendanta miejscowego w Czuryłach, ob. Czajkowskiego i ob. Wenusa-Stempnia, oraz wykryto podczas rewizji w Czuryłach 10 karabinów.

Wszystkich aresztowanych osadzono w więzieniu w Siedlcach. Rozmieszczono nas w pojedynczych celach. Komunikowanie się między sobą było bardzo utrudnione. Jednak po pewnym czasie znalazłem drogę, za pomocą której nawiązałem łączność z aresztowanymi i nazewnątrz z organizacją.

Wszyscy uwięzieni przyjęli taktykę nieprzyznawania się do znajomości z M. i twierdzenia, że to człowiek niepoczytalny.

Dzięki szybkiemu zorientowaniu się w sytuacji przez pozostałych instruktorów P. O. W. i zmiany zakonspirowania organizacji — organizacja ocalała.

Dalsze denuncjacje M. padały w próżnię.

Zacięty opór aresztowanych w swoich zeznaniach doprowadził agentów niemieckich do zdumienia. Obostrzono formę więzienia.

Tymczasem wyrok wojny światowej zbliżał się nieubłaganie z zawrotną szybkością (o czym myśmy ze względu na zupełne odseparowanie nic nie wiedzieli) i w takiej właśnie sytuacji znalazłem się na przesłuchaniu u sędziego śledczego Sądu Wojskowego w dniu 1-go li-

*) Nazwiska ob. M. nie wyjawiam, gdyż zrehabilitował się śmiercią żołnierską w wojnie polsko-rosyjskiej w 1919 roku.

stopada. Oczekując na sędziego, zostałem poinformowany przez żołnierza niemieckiego, poznańczyka, który był tłumaczem w sądzie o odwrocie wojsk niemieckich i przegranej wojnie.

W tym momencie zaczyna się zwycięstwo nasze.

Podczas badania u sędziego śledczego, nie wyjawiając tajemnic organizacyjnych, zeznałem, że P. O. W. zorganizowane jest w każdej wsi i miasteczku, że wszyscy mężczyźni, a nawet i kobiety, mogący nosić broń należą do organizacji, że posiadamy broń i amunicję.

Padł strach — i to było nasze zwycięstwo.

Dnia 11-go listopada zameldował się u mnie w celi więziennej komendant plutonu peowiackiego i złożył raport o zdobyciu więzienia.

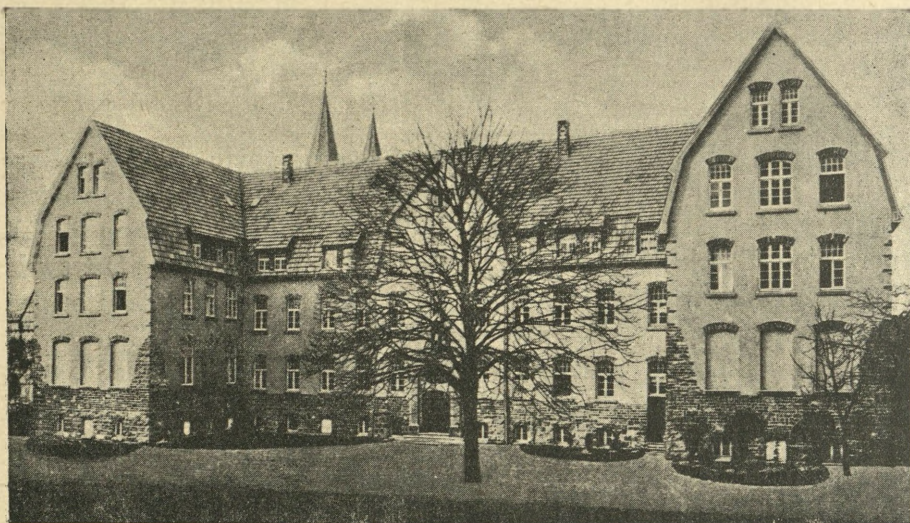
W E R L.

Było nas w Werl 25-ciu, z tej liczby 23-ch przybyło z obozu w Rastatt, a mianowicie: kpt. Zosik-Tessaro (obecnie gen.), kpt. Orlicz-Dreszer (obecnie gen.), kpt. dr. Kołtataj-Srzednicki (obecnie pułk.), por. Zinth-Rzecki (zginął w walkach z ukraińcami), por. Ostrowski (obecnie ppłk.), ppor. Gnoiński (obecnie ppłk.), kpt. Dąbkowski (obecnie gen.), kpt. Krok-Paszkowski (obecnie płk.), rtm. Głuchowski (obecnie gen.), kpt. Scaevola-Wieczorkiewicz (obecnie gener.), rtm. Olszamowski (zmarł na tyfus w czasie wojny, jako adjutant Naczelnego Wodza), por. Grzmot-Skotnicki (obecnie płk.), ppor. Szafranowski (obecnie ppłk.), ppor. Thomson (obecnie w rezerwie), chor. Szajewski (obecnie mjr.), ppor. Filipkowski (obecnie ppłk.), sierżant Lewin (obecnie mjr.), sierżant Dunin-Wąsowicz (obecnie kpt.), sierżant Rodkiewicz (obecnie kpt.), sierżant Tomsa-Zapolski (obecnie mjr.), chor. Majewski (obecnie mjr.), chorąży Naramowski (obecnie kpt.), pan Ossowski, członek Rady miejskiej we Włocławku.

W Werl zastaliśmy już kaprała Rotyńskiego i wachmistrza Nowińskiego. Później przybył mjr. Ryś-Trojanowski (obecnie gen.), z obozu Holzmünden; z Benjaminowa przysłano chor. Sikorskiego i ppor. Dłużniakiewicza. Jako najstarszy rangą komendę nad nami objął kpt. Scaevola-Wieczorkiewicz. Po przybyciu do Werl był później komendantem mjr. Trojanowski. Adjutantem ich był niezapomniany Janusz Olszamowski, wachm. 1 p. ułanów. Niech mi tu będzie wolno poświęcić parę słów jego zacnej pamięci. Z zawodu prawnik, kształcił się Olszamowski w Petersburgu i na Zachodzie. Wyniósł stamtąd obok gruntownego wykształcenia fachowego, doskonałą znajomość języków: francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Doskonale ułożony, wykwinny, natura głębka, uczuciowa, a przytem niezmiernie prosty i ujmujący w obejściu, Olszamowski, jak nikt inny nadawał się do reprezen-

towania nas wobec Niemców. Już przebywając w Szczypiornie, jako komendant obozu, umiał zaskarżyć sobie szacunek i wśród Niemców. Była to dusza subtelna, czysta i nad wyraz szlachetna. Rzucam za Tobą, drogi kolego, tych kilka słów pamięci, niech ci towarzyszą w krainę cieniów, dokąd pójdzie za tobą nasza pamięć.

Werl, to mała miejscina w Westfalji, znana ze swych solanek i z cudownego obrazu Matki Boskiej, do którego rok cały zdążały w naszych oczach rzesze pobożnych. Obozem jeńców był hotel dla pątni-



Werl — Obóz internowanych.

ków, utrzymywany przez tutejszy klasztor. Był to niewielki dwupiętrowy dom, urządzony systemem korytarzowym, otoczony malutkim ogródkiem. My zajmowaliśmy 2-gie piętro, 1-sze internowani tu oficerowie greccy z korpusu przebywającego na Śląsku, parter zajmowały kuchnie, kancelarje, ogromny refektarz, służący nam za pokój stołowy. W piwnicach była łazienka. Każdy miał swój pokój, niewielki wprawdzie, ale widny i czysty. W całym domu panowała ogromna czystość, którą staraliśmy się utrzymać. Rzadko który z dzisiejszych zbiorowych domów oficerskich jest tak porządnie utrzymany, a przecież do utrzymywania tego porządku było raptem 4-ch ordynansów Francuzów. Było to miejsce pobytu naprawdę wygodne, po ponurym obozie jenieckim w Szczypiornie i kazamatach Rastatt'u, obóz ten wydał nam się rajem. Zwłaszcza zachwycaliśmy się owemi pojedynczymi pokojami. Nareszcie mógł każdy z nas pracować, odpoczywać, bawić się, gdy chciał.

Warty i druty otaczały obóz dokoła. W obrębie domu i ogrodu od 7-mej rano do 11-ej wieczorem mieliśmy zupełną swobodę ruchów, to też żywo zabraliśmy się do pracy. Każdy sprowadzał książki i uzupełniał braki swojego wykształcenia. Potworzyły się komplety językowe. Kpt. Dąbkowski, wachm. Olszamowski, rotm. Dreszer, chor. Naramowski miewali pogadanki, chor. Miszewski przekładał wojskowe dzieła. Wszyscy byli tak zajęci pracą, że nieraz, kiedy nagle o 11-ej zgasło światło elektryczne, żałowało się, że dzień jest tak krótki. Nawet tak popularne wśród wojskowych „kartograjstwo” traktowano raczej jako odpoczynek niedzielny. Żeby nie skarłało ciało, hartował je codziennie rano chor. Szajewski, nader umiejętnie prowadzący gimnastykę zbiorową. Ogromna radość zapanowała w obozie, kiedyśmy otrzymali z kraju książki, których liczba wkrótce przekroczyła 200 tomów. Sierżant Lewin pastwił się nad nami, pilnując porządku w korzystaniu z tej biblioteki. A jak oglądał przy oddawaniu, czy czasem nie splamiono jakiej kartki! Pobłażliwie chwalił czytających gorliwiej, pobudzał opieszających, ale biada, jeśliś się o dzień spóźnił z oddaniem.

Codziennie przed obiadem wychodziliśmy na spacer za miasto. Składało się wówczas przy wyjściu pisemne deklaracje (stałe druki), w których słowem honoru poręczaliśmy, że spaceru nie wykorzystamy do przygotowania, lub wykonania ucieczki. Później, gdy lepsze już nastały czasy, gdy mianowicie na froncie działo się coraz gorzej, poczęto nam urządzać wycieczki dalsze. Wówczas to, zwiedziliśmy gwałtowną później dolinę rzeki Ruhr oraz inne miejscowości.

O kraju i świecie mieliśmy wiadomości z licznych dzienników polskich i niemieckich, któreśmy tu otrzymywali przez komitet warszawski. Komitet ten (Warszawski Komitet pomocy dla Jeńców Wojennych) przysyłał nam prócz tego obficie i regularnie paczki, zawierające wędzonkę, cukier i kaszę. Suchary przysyłano nam ogromnemi pakami, w czasie świąt otrzymywaliśmy tak miłe przesyłki z różnych okolic kraju od skautek, od Ligi Kobiet i jedną z najmiłszych, bo od sołtysa z Pomiechówka. Adresowane do poszczególnych oficerów szły do wspólnej spiżarni, którą zawiadywała nieugięta „ciocia Kroka” (kpt. Krok-Paszkowski). Nie wycygałeś od niego ani grama ponad to, co ci się należało, nie wyżebrałeś ani jednego cukierka, a swój pokój-spiżarnię zamykał starannie na dwa spusty.

Dwie rozkosze czekały nas każdego ranka. Jedną było rozdawanie gazet przy śniadaniu przez chor. N., dwa, trzy razy tygodniowo przychodziły w tym czasie też listy. Drugą przyjemnością było oglądanie na olbrzymiej mapie frontu, wiszącej w klatce schodowej, zmian notowanych codziennie zapomocą czarnej włóczkowej linii przez por. Skot-

nickiego. Gdy linja ta posuwała się na zachód, miny nam rzędy, ale cóż to za radość panowała w razie nagłego odchylenia się linji ku wschodowi. Już prędko doszliśmy do przekonania, że wrota naszego więzienia otworzyć nam może tylko generał Foch.

Komendantem obozu był mjr. rezerwy, prawnik z zawodu, nader uprzejmy i dobrze wychowany człowiek. Przez cały czas jego komendantury byliśmy ze sobą w zupełnie poprawnych stosunkach. Jestem przekonany, że jaknajlepsze wrażenie na Niemcach robiła nasza zwar-



Werl — W refektarzu.

tość i wojskowa postawa, którą oni, naród zbiorowego działania, tak wysoko cenią. Pamiętam jak dodatnie wrażenie zrobił na nich pewien, drobny zresztą incydent, jaki miał miejsce na Nowy Rok. Wieczorem urządziliśmy uroczystą kolację, a że w tym czasie nadesłano nam z kraju dużo smakołyków, ciast, cukrów i mięsa, nasza kolacja zmieniła się w ucztę lukullusową. Dodajmy, że reńskiego wina mogliśmy mieć, ile się tylko chciało. To też podochociło sobie bractwo. Koło 11-ej jeden z kolegów począł już tłuc butelki, naturalnie próżne. Trzeba było rzecz zlikwidować przy bardzo już różowych humorach. Wówczas Scaewola znalazł się bardzo dowcipnie. Krzyknął: „Baczność!” zarządził zbiórkę, wprawo zwrot, na górę marsz. To wszystko w oczach zdumionych Niemców i Francuzów.

Wszelkie sprawy z komendą obozu załatwiał się przez naszego komendanta, a więc przez Olszamowskiego, który adjutantował ze zwykłym sobie taktem. Pamiętam, gdy raz zdarzyło się, że niemiecki podoficer zarzucił Olszamowskiemu nieprawdę, ten uniósł się. „W położeniu, w którym się znajduję, nie mogę zareagować na to powiedzenie tak, jak pan na to zasługuje”, powiedział i poprosił obecnego przy tem komendanta obozu o pozwolenie przerwania prowadzonej rozmowy i oddalenie się. Na to komendant w ostry sposób kazał oddalić się swemu podoficerowi. Są to drobiazgi może, a przecież w ówczesnych naszych warunkach to były najważniejsze, bo moralne zwycięstwa. Jednały nam one szacunek u Niemców, wobec których godnie reprezentowaliśmy kraj i naród.

Zasadą naszą przez cały czas niewoli było: o nic nie prosić, domagać się tego tylko, co się nam według prawa należy. Była to najzdrowsza zasada wobec ludzi, przywykłych tak do ładu i porządku, jak niemieccy nasi przełożeni.

Gdybym miał pisać kiedy wskazówki, jak trzeba zachować się w niewoli, brałbym najchętniej wzory z naszego pobytu w Werl. To też w czasie świąt dorocznych, w święto 3 maja, obchodzone przez nas nader uroczystie nabożeństwem, obiadem z przemówieniami i toastami na cześć Polski i Komendanta Piłsudskiego, komendant obozu uważał za stosowne, przybrany w wielki mundur, złożyć nam życzenia.

Również współzycie z greckimi oficerami ułożyło się dość dobrze. Byli to oficerowie zawodowi do pułkownika włącznie, dość zresztą prości i mało towarzysko obcy. Przyjemnem nam było obserwować, że usiłują przejąć nasze zwyczaje towarzyskie i że imponujemy im wszystkim, zwłaszcza zaś pracą i zwartością. Był tam przydzielony do nich na tłumacza podoficer, profesor — znawca greczyzny. Z wielkiem upragnieniem czekał ich przybycia, trochę sobie nas lekceważąc. Za to później stale z nami trzymał, skarżąc się, że „nowi Grecy w niczem klasycznych nie przypominają”.

Podbiliśmy naturalnie i serca niewieście. Niejedno oczko puszczone w naszym kierunku w czasie spacerów, niejedna płowa czuprynka stale czekała na nasze przejście, przytulona do szyby. I mimo wszelkich straży, mimo pilnego śledzenia byli i tacy między nami, którzy dostawali od miłych Gret i Minne nie tylko liściki, ale nawet słodkie „kuchen”.

Zapewniam, że nic więcej. Sukcesy mogły osiągać tylk pół „zbawienia”. A jednak gdyśmy wyjeżdżali, towarzyszyły nam dwie dziewczki, dość daleko, ba, godziły się nawet do Polski zajechać, zaś

o pogodnym dniu, gdy okna z refektarza były otwarte, można było słyszeć grany w sąsiedztwie na naszą cześć chorał, „Boże coś Polskę” i „Mazurka Dąbrowskiego”.

Możnaby mniemać, że pobyt w Werl był jednym pasmem przyjemności. A przecież tak nie było. Najbardziej złota klatka jest przecież klatką tylko. Spacer pod opieką wartownika jest tylko karykaturą spaceru, przytem byliśmy wszyscy młodzi i musieliśmy żyć beczynnie w obozie, gdy świat gorzał dokoła. „Die Sonne nie świeci tak jak słońce”, to też niejedno marzenie przeżyć nam przyszło w noc głuchą, niejeden zamiar dojrzał tam w niewoli. Tymczasem jednak ciążyła ona wszystkim niezmiernie. Wszyscy też byli stale rozdrażnieni i skłonni do ostrego reagowania na słowa i postępowanie drugich. Trzeba było aż tworzyć Radę Honorową, dla której regulamin ułożył Olszamowski, żeby regulować wciąż wybuchające spory i różnice.

Były to sprawy wewnętrzne, których staraliśmy się nie zdradzać obcym, zatruwały jednak współzycie, rozbijając tę małą gromadkę na kółka i koterje, zwalczające się niekiedy. Niewola wszczepia ludziom jad swój, jak gdyby zatruwa ich powietrzem, którem stale wspólnie oddechają. Ogromne usługi naszemu zachowaniu oddała nam w tych warunkach zasada wojskowej organizacji. Z konieczności nakładała pęta na zbyt wybujałe indywidualności, hamowała słowa, ograniczała dowolność w postępowaniu, dawała wzamian uświęcone tradycją formy współżycia.

Te właśnie, z których każdy z nas śmieje się dzisiaj, nie zmniejszają bynajmniej dobrych i pięknych stron dziejów Werl. Waśnie były przecież nawet w otoczeniu Napoleona na wyspie św. Heleny. Jeśli tu wspominam je, to nie gwoli ścisłości, ale raczej dla nauki, dla doświadczenia życiowego. Gdyśmy zwolnieni z obozu wyjeżdżali do Polski wolni, bez warty, już w drodze pękły nagromadzone przez miesiące całe kwasy, mimowoli poczuło się ramię bratnie przy ramieniu i w obliczu czekającej nas w kraju pracy, obiecaliśmy sobie wzajemnie zapomnieć drobne, nieraz mniejsze nieporozumienia niewoli. Później niejeden służył w czasie wojny pod rozkazami swego adwersatora, nie zdarzyło się nigdy, by poruszył ktokolwiek coś z tych dawnych różnic.

W marcu 1918 roku otrzymaliśmy od pani Pełtowskiej z Komitetu Pomocy dla Jeńców w Warszawie tekst deklaracji, złożonej przez kolegów z Benjaminowa. Po dłuższych naradach, kiedy w Benjaminowie otrzymaliśmy potwierdzenie decyzji, złożono 30.III.18 jednobrzmiące podania o przyjęcie do wojska. Jedynie 4 kolegów nieubłagane sta-

nęło na stanowisku, że do wojska wracać nie możemy, wobec niezmienionych warunków przyjmowania. Z obawy, aby ich dłużej nie przetrzymano w obozie złożyli podania o zwolnienie do domu dla ważnych powodów osobistych.

Jak w Łomży, podania te nie wpłynęły na zmianę położenia. Z uczuciem zgrozy czytaliśmy warunki brzeskiego pokoju, z ulgą przyjęliśmy wiadomość o Hallera wyprawie na wschód. Prawy duch legionowy, duch 1-szej brygady wiał z tych postanowień. Zwycięzeni, czuliśmy się zwycięzcami, naszymi bowiem śladami poszli towarzysze z 2-giej brygady.



Werł — Grupa oficerów legionowych i greckich.

A kiedy wreszcie przyszła chwila, żeśmy mogli wrócić do kraju, kiedy już zamajaczyły w oddali wieże Warszawy i stanęliśmy na dworcu, każdy chwycił coprędzej swe rzeczy i prawie bez pożegnania biegł z wagonu. Od tej chwili nie widzieliśmy się nigdy razem. Zda się niema nic, coby nas łączyło. A przecież nie zabrakło w polu żadnego z nas w szeregach walczących. Pędził wroga na czele 2 dywizji jazdy dzielny Dreszer, mając pod sobą Skotnickiego jako dowódcę brygady, wiódł swą dywizję piechoty dawny mjr. Trojanowski, szli na czele brygad i pułków Krok-Paszkowski, Głuchowski, Szafranowski, Wieczorkiewicz i inni, krwią swą serdeczną zrosił ziemię prawy Zinth-Rzecki, wszyscy podoficerowie w obliczu wroga otrzymali wyż-

sze szarże i walczyli na czele bataljonów i kompanij. Nie zabrakło nikogo, prócz poległych, bo

„żadna nas siła zdradziecka
zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść”.

Na zakończenie niech mi wolno będzie podziękować tym wszystkim czcigodnym organizacjom i osobom, które nie zapomniały o nas przez czas smętny naszej włości po wrogich obozach i więzieniach. Głębokie słowa wdzięczności składam tu Komitetowi dla Jeńców w Warszawie i Kaliszu, polskiemu Harcerstwu, zacnym paniom z Ligi Kobiet, wreszcie pani Annie Gackiej, która z niebywałem poświęceniem opiekowała się specjalnie naszym obozem w Rastatt i Werl, doprowadzając do precyzji pomoc, jaką w tych ciężkich warunkach jednostka może dać odległym, a potrzebującym pomocy rodakom. Najlepszym słowem naszej wdzięczności dla Was, słowem jedynie wymownem, jedynie wartościowem, godnem cichej Waszej dla nas pracy, był błysk naszego miecza nad karkiem uciekającego wroga. — Jedyną bowiem odpowiedzią wymaganą od żołnierza za pamięć o nim może być jego bitewny Czyn.

ZA DRUTAMI SZCZYPIORNA, HAWELBERGU I MODLINA.

W 1917 roku byłem zastępcą komendanta obwodu P. O. W. w Mińsku Mazowieckim. Dnia 22 lipca w godzinach obiadowych poszedłem do kawiarenki, nazwanej przez nas „Budką na kółkach”, by zjeść obiad i przytem załatwić sprawy organizacyjne z komendantami lokalnymi, którzy przybyli z powiatu do Mińska, gdyż był to dzień targowy.

Ledwie przyszedłem do „Budki na kółkach” i siadłem przy stoliku, wszedł za mną agent policji politycznej niemieckiej i zbliżywszy się do mnie, zażądał paszportu.

Okazałem mu dowód legjonowy, stwierdzający, iż jestem bezterminowo urlopowany — dokument podpisany przez ówczesnego komendanta Legjonów, Szeptyckiego.

Agent po obejrzeniu dowodu zwrócił mi go i wyszedł. Wtedy posiadany „lewy” paszport, dokumenty oraz rewolwer oddałem córce właścicielki kawiarenki i zacząłem jeść podaną mi supę.

Powtórnie wszedł ten sam agent i podszedłszy do mnie zażądał, abym z nim wyszedł. Po wyjściu z „Budki” — na ulicy agent zrewidował mnie i nałożywszy mi kajdanki, poprowadził do więzienia miejscowego.

P. O. W.-iacy o aresztowaniu mojem natychmiast zawiadomili komendanta obwodu ob. Klaczyńskiego Leona, który był u siebie w domu. Po wyjściu z domu z zamiarem ucieczki, został jednak aresztowany, o czym dowiedziałem się dopiero w więzieniu. Wtedy aresztowano również ob. Bobińskiego, inż. Rummla i Erdmana.

Po przyjściu z agentem do aresztu, wsadzili mnie do celi, w której siedziało 8 złodziei. Po upływie godziny wezwano mnie do kancelarii więziennej, celem zbadania. Odmówiłem wszelkich wyjaśnień, podkreślając, że jestem żołnierzem polskim na urlopie.

Więcej mnie nie badali.

Warunki, w jakich przebyliśmy w więzieniu w Mińsku, były okropne. Przedewszystkiem nikt się nami nie opiekował. Byliśmy

więc skazani na więzienne życie, które, śmiem twierdzić, było gorsze, niż to, które gospodyni dają swojej trzodzie chlewnej. Przytem nie mieliśmy bielizny, robactwo więc dotkliwie dawało się nam we znaki.

W takich warunkach przebyliśmy do pierwszych dni sierpnia 1917 roku. Pewnego dnia, coś około godziny 2 nad ranem, zbudzono nas i polecono nam niezwłocznie się ubrać. Nie wiedzieliśmy nic zgoła, co zamierzają zrobić z nami, dopiero po wyjściu z cel dowiedzieliśmy się w kancelarji że wyjeżdżamy. Dokąd — nie wiadomo.

Znów założyli mnie i ob. Klaczyńskiemu kajdanki i poprowadzili naszą czwórkę na dworzec. Eskortowało nas 4-ch żołnierzy. Przyjechaliśmy rano do Warszawy. Wygląd nasz zewnętrzny był okropny i przykry.

Tutaj wsadzono nas do przygotowanego przedziału i pojechaliśmy głodni dalej. Wreszcie kres podróży. Dowiedzieliśmy się, że internowano nas w obozie w Szczypiornie. Po wejściu do obozu uirzałem za drutami kolegów legionistów — tych legionistów, z którymi przeżyłem najpiękniejsze dni życia swego, jako polski żołnierz.

Była to chwila dla mnie najbardziej przykra i bolesna, że za drutami i pod strażą niemieckich żołnierzy siedzą ci, którzy pod wodzą Komendanta, jako żołnierze polscy poszli walczyć za Polskę i dla Polski.

Myśli! Ach! ileż to myśli przykrych, ileż oskarżeń. Zadumę mą przerywa śpiew kolegów. Tam za drutami śpiewają:

„nie chcemy już od was uznania...”

A inni:

„Bo my żołnierze to jak psy,
bezdumni my włączędzy”.

Dzień sierpniowy, bardzo pogodny. A śpiew coraz donioślejszy, mocniejszy i echem płynie hen daleko: „Do waszych serc, do waszych dusz”, niosąc wieść światu, że żołnierz polski dalej walczy za Polskę.

Po załatwieniu formalności w kancelarji obozu wprowadzili nas do bloku „D” przeznaczonego dla cywilnych.

Zastaliśmy kilku peowiaków z różnych miejscowości b. okupacji niemieckiej między innymi ob. Jaskiewiczową z Płocka.

Ponieważ nie zmieniałem przez cały czas siedzenia w więzieniu bielizny, zaopiekował się więc mną pod tym względem kolega legionista Matuszewski Leonard.

Legjoniści dostarczali nam pożywienia, gdyż narazie nikt się nami nie opiekował. Czas spędzaliśmy na wykładach wojskowych i ćwiczeniach. Ale pomyśleliśmy również o gospodarstwie. Mieliśmy własne naczynia, jak czajniki, miski, kubki i t. p.

Po przebyciu kwarantanny w pierwszych dniach września wywieźli naszą grupę, liczącą około dwudziestu paru osób, do Havelbergu. W dniu wyjazdu ze Szczypiorna przybyła nowa grupa peowiaków z Warszawy, między którymi przybył ob. Górecki Piotr, Stpicznyński Wojciech, Hempel, Wądołkowski i inni. Podróż do Havelbergu z całym naszym inwentarzem była urozmaiconą. Przyczyniło się to, że grupa była liczniejsza.

W Poznaniu zatrzymał się pociąg dłużej. Zbliżały się do nas osoby werbowane śpiewem polskich pieśni z zapytaniami, kto my jesteśmy.



Modlin — Grupa internowanych peowiaków.

To my, żołnierze polscy — padała odpowiedź. Jakże przykro wspominać te rozmowy z tymi, którzy zdobywali się jedynie na radę „a dlaczego żeście nie poszli do wojska, które tworzą Niemcy”.

Śpiewamy „My Pierwsza Brygada”. Pieśń ta przerywa rozmowy — pociąg rusza.

W Berlinie przesiadamy się. Część nas koleją międzydworcową odjechała na inny dworzec, część zaś pozostała. Zamierzamy uciekać; zwrócili na nas jednak uwagę agenci tak, że musieliśmy następnym pociągiem pojechać do naszych towarzyszy. Spotykamy się na innym dworcu, z którego odjeżdżamy do Havelbergu.

Przyjechalіśmy wreszcie do tych pamiętnych baraków. Był to obóz dla jeńców cywilnych, obliczony na 40 tysięcy ludzi.

Obóz robił wrażenie małego miasteczka, posiadał łaźnie, sklep, kościół, służący zarazem za teatr. Jeńcy różnych narodowości. Na miejscu zastaliśmy oficerów legionistów, przywiezionych ze Szczypiorna. Zastaliśmy więc ob. ob. Dreszera-Orlicza, Tessaro-Zosika, Kołłątaja-Srzednieckiego, Skotnickiego, Szafranowskiego, Ostrowskiego i Zinta, który zginął w 1919 roku.

Przeznaczono dla nas specjalny barak, do którego również przewieźli aresztowanych z różnych stronnictw politycznych.

Do czasu skomunikowania się z krajem nie mieliśmy znikąd pomocy, skazani więc byliśmy wyłącznie na obozowe życie, które było bardzo złe.

Przyszła jesień i chłodne dni. Głód i zima dawały nam się coraz bardziej we znaki. W tych warunkach przetrwalіśmy do pierwszych dni stycznia 1918 r. W międzyczasie przybywało do nas coraz więcej aresztowanych.

Z Havelbergu całą grupę z wyjątkiem oficerów legionowych, których internowali w Werl, przewieźli do Modlina. Po drodze koło Włocławka „zwiąło” kilku, między którymi „zwiął” również ob. Drymmer Wiktor.

Po przyjeździe do Modlina, na stacji, również kilku się ulotniło.

Do obozu modlińskiego przybyło nas około 50 peowiaków. Po paru dniach kilku zwolnili. Zastaliśmy tam kilku politycznych i grupę cywilnych jeńców, nie mających żadnego z nami związku.

W obozie modlińskim sytuacja zmieniła się na naszą korzyść jedynie tylko pod względem wyżywienia, gdyż dostawaliśmy na śniadanie i obiad kaszę na wodzie, na kolację czarną kawę. Niemcy stosowali represję, zmuszając nas do pracy fizycznej, jak rąbanie drzewa i t. p. czynności obozowe. Sprzeciwiliśmy się temu kategorycznie, stojąc na stanowisku, że polityczni nie są obowiązani do żadnych prac.

Wówczas sprowadzili kilkudziesięciu żołnierzy z bagnietami i pod presją bicia i klucia zmuszali nas do wyjścia z baraku.

Było to w miesiącu lutym 1918 r. Na dworze ślota, mokro i zimno. Siłą poprostu wypędzano nas z baraku i trzymano po kilka godzin na dworze. Mimo to, nie zmieniliśmy swego stanowiska, dopiero na skutek memorjału złożonego do władz twierdzy modlińskiej i interwencji w Warszawie, zaniechali zmuszać nas do pracy. Było to nasze zwycięstwo. Walka ta jednak pozostawiła po sobie następstwa, gdyż wielu rozchorowało się wskutek parodniowego przebywania na zimnie po kilka godzin.

Tymczasem grupa peowiaków, przybyła z Havelbergu, zmniejszała się. Niemcy niektórych zwalniali, a myśmy zwolnionych odprowadzali, lecz przy tej okazji najbardziej potrzebujących „zwalnialiśmy sami”, ułatwiając im ucieczkę. Aby nie odkrywać ucieczki, a tem samem dać możliwość tym, którzy „zwiali” wydostać się z obrębu forticy, pokrywaliśmy nieobecnych przy apelu wieczornym i porannym wszelkimi sposobami.

Na miejsce zwolnionych przybywali nowi. Przybył ob. Thugutt, ob. Skwarczyński, Malbrodzki i inni.



Modlin.

Z grupy Havelberskiej pozostali jedynie ob. Klaczyński, Ferencowicz (zginął w 1920 r.), Plebanek, Szlezinger i Kusiński.

Dzień imienin Komendanta, dzień 19 marca 1918 r. był przez nas bardzo uroczyście święcony. Urządziliśmy „Akademię”, na której przemawiał ob. Thugutt. W kwietniu już się warunki nieco poprawiły. Spędzaliśmy czas na powietrzu. Zajęcia gimnastyczne, pogadanki polityczne. Ob. Klaczyński z piszącym te słowa zajęli się pracą nad urządzeniem ogródka, w którym mieliśmy zasadzić rzodkiewki. W tym celu wybraliśmy „odpowiednie” miejsce, które w zasadzie nie odpowiadało na ogródek, lecz znajdowało się tuż przy szopie. Przy wejściu

do tej szopy zaczęliśmy kopać i robić przygotowania do ogródka, ale przy tej sposobności po długim wysiłku, by nie zwrócić na siebie uwagi, udało nam się drzwi do tej szopy otworzyć. Po wylosowaniu, kto ma uciekać — a było tych „szczęśliwców” czterech, oraz po odwróceniu uwagi posterunku, stojącego „na bramie” i zabezpieczeniu przed możliwością ujżenia tej „operacji” — czwórka wyznaczonych weszła do szopy, z której po uprzednim wypitowaniu krat, wydostała się nazewnątrz obozu, uzyskując wolność. Jednego z nich, o ile pamiętam, Podniesińskiego, z grupy socjaldemokratów — aresztowano pod Warszawą i ponownie przywieziono do obozu.

Tymczasem Niemcy w obawie przed dalszymi ucieczkami przenieśli nas, t. j. więźniów politycznych, do budynku wewnątrz obozu, ogrodzonego kilkoma rzędami drutów i specjalnie strzeżonego przez 4 żołnierzy, a na noc po apelu, który odbywał się o 18-ej godzinie, zabraniali nam wychodzić z budynku.

Jednak w porównaniu do Havelberskich czasów, w Modlinie powodzić nam się zaczęło dużo lepiej, gdyż opiekowała się nami specjalnie ob. Kudelska Stefania, która prawie w każdą niedzielę przyjeżdżała do obozu, przywożąc paczki z żywnością. Była to jedyna osoba, przez którą utrzymywaliśmy kontakt na zewnątrz. Urządziła nam święta Wielkiej Nocy, które wypadły wspaniale, gdyż mieliśmy nawet ciasto i cukierki. Ob. Kudelska pomyślała również o wydostaniu nas z Modlina. Wskazaliśmy jej adresy, gdzie można otrzymać nasze fotografie, po otrzymaniu których przygotowała w Warszawie paszporty z wszystkimi potrzebnymi pieczęciami i meldunkami. Paszporty wypełniłem kolegom tak, że prawie każdy z nas posiadał w obozie „lewy” paszport. Poza tem ob. Kudelska dostarczała nam książek do czytania, zawiadamiając, że książki w czarnej oprawie, wewnątrz okładki, posiadają paszporty.

Mimo izolowania nas i specjalnie powiększonej straży, myśleliśmy ustawicznie nad sposobami ucieczki. Wykorzystaliśmy piwnicę, z której zaczęto pracę nad podkopem. Była to praca żmudna, ciężka i wymagająca dużego nakładu sił i czasu.

Nie doczekałem jednak doprowadzenia do końca tego „dzieła”, gdyż w czerwcu zostałem zwolniony z tem, że muszę wyjechać do b. okupacji austriackiej t. j. do miejsca zamieszkania mojej rodziny.

Z grupy havelberskiej pozostali: ob. Klaczyński, Ferencowicz, Plebanek, Szlezinger, którzy dopiero 13.XI. 1918 r. wrócili z obozu do wolnej już Polski.

BENJAMINÓW.

W lipcu 1917 r. w obozie benjaminowskim zostali internowani oficerowie legjonowi, byli poddani rosyjscy, za odmówienie złożenia przysięgi, t. zw. „Beselerowskiej”.

Jaka była przysięga i jakie towarzyszyły jej okoliczności?

Legjony znajdowały się od grudnia 1916 r. w kraju, w garnizonach, niedalekich Warszawy.

Akt 5-go listopada 1916 r., ustalający pewne ramy państwowości polskiej (praktycznie w zakresie sądownictwa i szkolnictwa) nie ustalał ani roli ani charakteru wojska polskiego — Legjonów.

Tymczasowa Rada Stanu, ani późniejsza Rada Regencyjna nie miały żadnej ingerencji w sprawach wojskowych. Powołana w niekreślonym charakterze „Komisja Wojskowa” była tworem bezkompetencyjnym, przeznaczonym prawdopodobnie w planach okupantów wyłącznie do propagandy werbunkowej.

Komenda Legjonów nie została podporządkowana, czy to Radzie Stanu, czy też później Radzie Regencyjnej, nie wchodziła więc w skład władz polskich. Zależność jej czy to od Austriaków, czy od Niemców została również aż do czasu nieokreślona.

Nadmienić należy, że Komenda Legjonów była od 1914 r. domeną oficerów austriackich (zugeteilt) do Legjonów i w pojęciach legjonistów, którzy z precyzją odróżniali oficerów własnych od k. u. k. oficerów przydzielonych do Legjonów, nie była nigdy instytucją reprezentującą legjonowego ducha i właściwe dążenia.

Komendant Piłsudski opuścił już Legjony w połowie 1916 r., przejściowo stanąwszy na czele Komisji Wojskowej, którą jednak wkrótce opuścił. Nie przestał jednak kierować pracami P. O. W., którą z organizacji jawnej, mającej początkowo dostarczyć ochotników do Legjonów, przekształcił w silne pogotowie zbrojne, zwrócone w pierwszej linii przeciwko okupantom.

Legjony więc znalazły się we własnym „formującym” się Państwie bez ukochanego Wodza w swych szeregach, bez kierowniczego własnego organu, bez odpowiednika politycznego; natomiast w obliczu wszechwładnie panujących Niemców, brutalizujących ludność na każdym kroku i rujnujących kraj nieograniczonymi rekwizycjami.

Żołnierz powołany do obrony swoich, dusił się w bezczynności, przeżywając najstraszniejszą martyrologię wewnętrzną.

W ogniu na froncie wierzył, że wykuwa Polskę: — rzeczywistość przeczyła temu, pozory wywołane aktem 5-go listopada gmatwały



Benjaminów — 6 pułk piechoty.

jeszcze bardziej sytuację, otoczenie zgnębione panowaniem okupantów, spoglądało na niego niechętnie. Każdy też zamykał się coraz bardziej w sobie, dusząc wzrastającą nienawiść i oglądając się na towarzyszy broni, czekając na znak od Tego, któremu olbrzymia większość legjonistów ufała bezgranicznie.

Brak więzów między poszczególnymi pułkami dawał się wyraźnie odczuć, postarano się temu zaradzić, omijając tych, którzy przystosowywali się do wytworzonych warunków współpracy z Niemcami.

W tym czasie przeprowadzono gruntowne przeszkolenie, zamieniając dotychczasowe regulaminy, wzorowane na austriackich — na regulaminy niemieckie.

Był to jakby pierwszy ostrzegawczy znak bliższego podporządkowania Niemcom.

Przysięgę poprzedziły bezpośrednie zarządzenia, wydzielające byłych poddanych rosyjskich z pułków macierzystych, celem sformowania odrębnych obozów ćwiczebnych, już pod kierownictwem niemieckim.

Przekreślone w 1914 r. wśród legionistów różnice zaborów odżyły w pełni, przeprowadzono wiwisekcję na żywym, jednolitym organizmie.



Benjaminów—5 pułk piechoty (z mjr. Burhardtem, komendantem obozu, na czele).

Jakie było przeznaczenie pozostałych w pułkach b. poddanych austriackich, nie było wiadome.

W obozach ćwiczebnych ingerencja władz niemieckich ogarniała coraz drobniejsze komórki organizacyjne.

Walka o utrzymanie polskości, prowadzona w obozach, stanowi odrębną w pewnym stopniu zwycięską kartę, z której skorzystał „Wehrmacht”, utworzony już po przysiędze z resztek Legionów.

Były to jednak tylko drobne potyczki w stosunku do zbliżającego się definitywnego uderzenia, jakim był tekst przysięgi, normujący prawno-polityczne położenie Legionów, a właściwie części jej tylko „Polskiej Siły Zbrojnej”, złożonej z legionistów b. poddanych rosyjskich.

Przysięga podporządkowywała Polską Siłę Zbrojną generał-gubernatorowi Warszawskiemu — w danym wypadku generałowi „von Beselerowi” i zawierała w tekście ustęp zaprzysiężenia braterstwa broni z armją niemiecką.

Generał Beseler wyrastał w ten sposób na Naczelnego Wodza szumnie nazwanej Polskiej Siły Zbrojnej, zredukowanej do $\frac{1}{3}$ przez wyeliminowanie galicjan.

Forma ta zamiast być krokiem naprzód w kierunku usamodzielnienia Legionów, rozbijała dotychczasową całość, odgradzała wojsko od



Benjaminów — 1 pułk piechoty.

polskich władz i przetwarzała w organ znienawidzonego powszechnie okupanta.

W zestawieniu z przeżyciami legionistów po powrocie do kraju, już nawet formalne potraktowanie przysięgi stało się niemożliwością.

Odpowiedzią była decyzja — „nie przysięgamy”. Czy ktoś dał rozkaz, czy było to wynikiem jakichś specjalnych narad?

Nie! Reakcją żywiołową na stan faktyczny, na prawdę dnia codziennego, na pokorę niektórych swoich, na nędzę ogółu, na prowokacje okupantów.

Wszak po cichu przygotowywała się już wtedy siła czynna przeciw następnym po Moskalach wrogom...

Na niezłożenie przysięgi odpowiedzieli Niemcy, wspomagani przez niektórych zaprzysiężonych, wywiezieniem Komendanta i gen. Sosnkowskiego do twierdzy magdeburskiej, internowaniem oficerów w Benjaminowie, szeregowych w Szczypiornie (następnie Łomży).

Oficerów którzy towarzyszyli szeregowym do Szczypiorny, wywieziono do Werlu.

Zjeżdżaliśmy się do Benjaminowa z różnych stron, zaznając po drodze serdecznej gościny w 5 p. p. w Zegrzu. Benjaminów — szereg murowanych domów z pokojami na 2-ch lub 3-ch z kasynem, łaźnią



Benjaminów — 1 pułk ułanów.

i dość dużą przestrzenią lasu dawał warunki pod względem fizycznym nienajgorsze.

Miejsce internowania ogrodzone było płotem z drutu kolczastego, od płotu w kierunku obozu ciągnął się nieprzekraczalny pas neutralny, szerokości kilkunastu metrów. Wzdłuż płotu wędrowały posterunki Landsturmu. W pierwszym budynku królował nasz „Pan i Władca”, niemiecki kapitan i jego zastępca.

W okresie zjeżdżania się Niemcy zachowywali kurtuazyjny stosunek, jak do niedoszłych braci — pozostawili nam broń białą, o inną nie pytali. Mieliśmy też ordynansów.

Idylla ta trwała krótko. Pewnego dnia zarządzono zbiórkę, kazano nam zdjąć odznaki i oddać broń. Uderzenie było silne!

Nie wiem, z jakimi myślami poszczególni oficerowie zjeżdżali do obozu, czego się spodziewali? Faktem jest, że po przejściu pierwszego okresu oszołomienia, zabrano się energicznie do zorganizowania życia obozowego, odpędzając myśl o terminach, a będąc pewnymi ostatecznego zwycięstwa. Przeprowadzono szereg pracy, obliczonych na czas dłuższy. Takimi były wykłady z szeregu dziedzin wiedzy wojskowej, ujęte w pewną całość, kurs prowadzony przez lekarzy dla medyków i szkoła dla ordynansów.

Zniwelowano plac tenisowy, zorganizowano bibliotekę.

Lecz gdy gros obozu pracowała nad wytworzeniem możliwie pożytecznego *modus vivendi*, od pierwszych dni znalazła się niewielka grupa oficerów, która albo uniesiona prądem powszechnym, albo może spodziewająca się szybkiej ustępliwości ze strony Niemców, znalazła się w obozie, a gdy się przekonała, że jest to sprawa długa i uciążliwa wróciła do Wehrmachtu, składając odmówioną przysięgę. Była to pierwsza bolesna rysa.

Pewnego dnia usłyszeliśmy przytłumione odległością dźwięki „My pierwsza Brygada”; to 5 p. p. odjeżdżał do Przemyśla na niewiadome koleje. Wraz z temi dźwiękami, które brzmiały wtedy, jak marsz pogrzebowy, żegnaliśmy Legjony, własne dzieło krwi i trudu, wyraz zniszczonych snów! Tylko legionista zrozumie, jak fakt ten załamywał się w psychice internowanych.

Życie obozowe szło jednak swoim trybem. Z rana gimnastyka, zbiórka i apel, wykłady, szermierka, różne sporty, książki — nie brakowało i prac artystycznych, nauki języków obcych i t. p.

Wydawano dziennik „Biuletyn”, czasopismo „Benjaminów” i pismo satyryczne „Sprzymierzeniec”. Wszystkie pisane ręcznie — systemem dawnych klasztorów.

Co niedziela na tak zw. „Górze Oliwnej” odprawiał ks. Ciepichall mszę świętą.

Rygor w ramach, ustalonego przez siebie samych, regulaminu wewnętrznego był wzorowy, a Niemcy z ukosa, ale nie bez pewnego podziwu, przyglądali się temu dziwnemu towarzystwu, opanowanemu istotnym poczuciem wewnętrznej dyscypliny i szczeremu koleżeństwu.

Odwiedziny krewnych i przyjaciół odbywały się co pewien czas, ale rozmawiać można było na odległość, przez druty, korzystając z pobłażliwości posterunku.

Oficjalne widzenia w budynku komendy były bardzo rzadkie.

Obok więc Szczypiorny istniał w centrum Polski obóz internowanych oficerów, a fakt ten „pozornie” o małym znaczeniu dokuczał i Radzie

Regencyjnej i gen. Beselerowi. O ile ze strony Rady Regencyjnej istniała tendencja łagodnego wyjścia z sytuacji, o tyle ze strony niemieckiego sztabu — moment prowokacji i rozbicia jednolitego frontu obozu odgrywał rolę dominującą.

W czasie uroczystości w stuletnią rocznicę śmierci Kościuszki w Warszawie — jeden z Regentów ks. Zdzisław Lubomirski odczytał publicznie na Placu Teatralnym pismo od „nieobecnych”, przysłane



Benjaminów — 2 pułk ułanów.

właśnie z Benjaminowa. Po tym fakcie rozeszły się wieści w obozie, potwierdzone przez Niemców, że jeden z Regentów, lub ktoś z ramienia R. R. ma odwiedzić obóz. Oczywiście przyjazdowi temu „odseparowani od świata” przypisywali wyjątkowe znaczenie. Wiadomą jest rzeczą, że wyobrażenia w warunkach internowania pracuje zbyt intensywnie, mając skłonność do wyolbrzymiania faktów — temu procesowi w pewnym stopniu ulegli i więźniowie Benjaminowa.

Pewnego dnia kpt. Cleinow, nasz stróż obozowy, oznajmił, że spodziewany jest przyjazd księcia Lubomirskiego oraz wyznaczył zbiórkę

Wyszukowaliśmy się przed kasynem, jak można najsprawniej, przeprowadzając możliwie najgruntowniej przegląd, nieco już w smętym stanie znajdującego się umundurowania. Korzystniej było stanąć na zbiórkę w płaszczach, były w każdym razie mniej zniszczone.

Nie mieliśmy odznak ani broni, ale postawą i odpowiedniemi wyrównaniem usiłowaliśmy utrzymać jako tako fason. Staliśmy pułkami, a z każdego pułku najstarszy miał się meldować Regentowi. Już wszystko przygotowane. Czegośmy się spodziewali, — nie wiem, w każdym razie miała to być wieść wyjątkowej wagi!...

Czekamy, słychać zdaleka, że ktoś nadjechał. Równanie! Serce bije gwałtownie.

Z lasku wysuwa się kpt. Cleinow, za nim kilkunastu panów, nic nie zdradzało obecności Regenta. Cleinow z całym towarzystwem podsuwa się bliżej, już, już paść mają słowa komendy, w porę jednak wstrzymane; zakazane „roże” gości wydają się zbyt podejrzan!

„Panowie wejdą do kasyna” — odzywa się do nas Cleinow. Wchodzimy, a za nami owi panowie.

Dwunastu szpiclów — rewizja osobista.

W międzyczasie rewidowano też nasze pokoje, walizki, przerzucano papiery...

Tak wyglądała zapowiadzana przez Cleinowa wizyta Regenta. Szczyt brudnej perfidji. Sponiewieranie nas i Rady Regencyjnej. Wzburzenie było oczywiście ogromne.

Następnego dnia obecni generałowie: Wieczorkiewicz, Głuchowski, Dąbkowski i Knoll, jako przedstawiciele poszczególnych broni, w imieniu wszystkich oznajmili na rannej zbiórce, że zrzekamy się samorządu wewnętrznego i wszelkich tak zwanych udogodnień — chcemy być traktowani, jak więźniowie.

Postawa, gest i słowa kpt. Wieczorkiewicza, wypowiedziane tonem rozkazu do niemieckiego podporucznika były i są niezapomnianym momentem obrony godności, nawet w tak ciężkich warunkach.

W odpowiedzi na to, wyżej wymienieni, z wyjątkiem Knolla, wślad za majorem Trojanowskim wywiezieni zostali do niemieckiej twierdzy „Werl”. Żegnaliśmy ich okrzykami: „Niech żyje Polska Niepodległa!”, „Niech żyją!”

Wyrafinowane prowokacje tego typu nie działały korzystnie na odporność psychiczną obozu, nie działały jednak jeszcze rozkładowo. Pobyt w obozie rozświetlony został pięknie zorganizowaną gwiazdką wraz ze znakomitą „Szopką benjaminowską”, pióra ppułk. Kostka

Biernackiego, figurki wykonane były przez dzisiejszego architekta Gołińskiego.

Na gwiazdkę mieliśmy wiele dowodów serdecznej pamięci, z których najwymowniejszym był adres artystów scen polskich, zaopatrzonych w mnóstwo podpisów. Każdy z nas otrzymał egzemplarz tego adresu.

W późniejszym już czasie odwiedzili obóz sekretarz R. R. Ks. Chełmicki i prezes R. G. O. — ks. Sapieha. Informowali się o naszych poglądach i nastrojach, przekonywali nas, że nie umiemy rozumować



Benjaminów — Artylerja.

realnemi kategorjami, a że wiązanie naszego losu z losem Piłsudskiego zamyka wogóle wszelką dyskusję.

W okresie tych odwiedzin stanowiliśmy jeszcze zwartą całość i nie dopuszczaliśmy zwątpień co do naszego programu maksymalnego i minimalnego, jednocześnie zawierającego się w dwóch słowach: „Polska Niepodległa”.

Solidarność całego obozu miała się niebawem zmanifestować przy następującej okazji. Z powodu braku lekarzy w kraju, Niemcy zaproponowali lekarzom internowanym opuszczenie obozu. W okresie tym istniało przeświadczenie (po powrocie do Wehrmachtu, na samym początku, kilkunastu oficerów), że stanowimy nierozzerwalną całość i że wspólnie, jeśli to od nas będzie zależało, dzielić będziemy losy „usque

ad finem", a więc czy to jednostkowe ucieczki, czy jak w tym wypadku, skorzystanie z propozycji otrzymania wolności — jeśli nie dotyczyło wszystkich — było uważane za złamanie jednolitego frontu.

Lekarze pozostawili decyzję w swojej sprawie ogółowi internowanych, a większość wypowiedziała się za odrzuceniem propozycji niemieckich z hasłem „wszyscy albo nikt”.

Na tem kończy się ta piękniejsza część historii obozu. Samotność i odseparowanie od ludzi robiły swoje, obok zbyt wybujałej wyobraźni zaczął panować minorowy ton depresyjny. Nawet brać ułańska, która najdłużej trzymała fason, zakrapiając zresztą dość sówie swą kawalerską samotność, zaczęła tracić minę. Niezrównanym pod względem humoru i jakiejś nieustającej żywiołowej ekspansji był generał Sławoj-Składkowski — popularnie zwany w obozie „Harry Harry — Puff-Puff”, jego też ofiarnej pomysłowości, zresztą wynikłej napewno nie z przemyślanego planu, ale z bezpośredniej potrzeby wewnętrznej, zawdzięczać należy podtrzymanie na duchu obozu i odsunięcie w czasie, jeśli nie zniszczenie całkowite rozkładowych elementów psychicznych.

O wyglądzie bohatera dzikich puszczy, prowokował otoczenie dowcipnemi, nieco żakowskiemi zaczepkami, które doprowadzały do zbiorowych wystąpie przeciwko niemu, mających swój wyraz kulminacyjny w dzikich okrzykach „pod pompę”, schwytaniu niesfornego „Harry'ego” i sprawienia mu zimnej trzeźwiącej kąpieli.

Najbardziej naciерpiał się ks. Ciepichałł, który wysłuchiwać musiał przy stole soczystych, sarmackich opowieści Sławoja.

Byliśmy młodzi w Benjaminowie, ale zabawy nasze były jeszcze młodsze.

Dźwigając jakąś za coś poważną odpowiedzialność, odrzucaliśmy zbyt posępne myśli i przemienialiśmy się w sztubaków.

Nie brakowało obok tego i najpoważniejszych studjów i prac naukowych.

Ale czas w tych warunkach jest złym lekarzem, pacjent się wyczerpuje, a pragnienie wolności osobistej dokucza straszliwie i podsuwa różne myśli.

To też od marca 1918 r. tu i ówdzie dają się słyszeć głosy, że siedzenie w Benjaminowie jest bezcelowe, a jeśli inaczej nie można uzyskać wolności, kto wie, czy nie najlepiej jest wrócić do Wehrmachtu.

Z zewnątrz różne przychodziły wieści, złe i dobre. Traktat brzeski, wyłączenie Chełmszczyzny — olbrzymie sukcesy Niemców na wschodzie, martwa cisza na froncie zachodnim. Wieści jednak o przekroczeniu linii bojowej przez Korpus Posiłkowy, złożony z legionistów galicjan (przeważnie II brygada) była przyjęta triumfalnie — na-

reszcie znaleźliśmy się znowu razem, przecież front szerokich rzesz legjonowych jest wspólny. Dla nas „memento” była przysięga, dla nich „odłączenie Chełmszczyzny” — dla jednych i drugich walka coraz trudniejsza, bo na wszystkie fronty, walka jednak prowadzona ciągle z wiarą o urzeczywistnienie minimalnego i maksymalnego programu!



Benjaminów — Saperzy.

Doszły nas również wieści o formacjach na wschodzie, o Korpusie I i II-gim.

Rozmowy o Wehrmachcie ucichły, ale nie na długo. Już w tym czasie każda nawet najlepsza wiadomość działała tylko jak krótki haszysz.

Przecież odbyły się i manifestacje w Warszawie, zachód i wschód mówił o Polsce, ale racja benjaminowska w oczach wielu upadała.

Ci, którzy odrzucali jakiegokolwiek kompromisy i uważali, że należy zwać przetrwać i będąc internowanymi na ziemi polskiej polskimi oficerami, być tą właśnie jęczącą raną, nie dającą swym istnieniem spokoju nawet najbardziej uległym, chwilowym władzom polskim, do-czekali się złośliwego przezwiska „cierpiętników”.

Solidarność jednak złamana nie została, nikt na własną rękę nie rozpoczynał kroków lub starań, a wiadomo było, że wszyscy do Wehr-machtu nie pójda.



Benjaminów — II Brygada — Karpaczycy.

Niemcy jednak, do których może pewne wiadomości doszły, zako-munikowali nam, że wszyscy zostaniemy zwolnieni, o ile podamy prośbę, w której zaznaczone zostanie, że nie będziemy działać na szkodę Niemiec.

Niezależnie od tego, kto chce, może podać prośbę o przyjęcie do Wehrmachtu.

Pocisk był dobrze wycelowany; przeciwko zwolnieniu wszystkich nie było argumentu, a nieliczni, którzy zwracali uwagę na upokarza-jącą klauzulę nie działania na szkodę Niemiec, zostali zakrzyczani czysto formalnym charakterem tej klauzuli, która przecież nikogo nie będzie obowiązywała.

„Reduta Cierpiętników”, broniąca zasady „żadnych pertraktacyj, żadnych rozmów z Niemcami” została rozbita.

Wszyscy więc podaliśmy prośbę o zwolnienie z obozu w formie, żądanej przez Niemców. Część — może połowa, podała prośbę o przyjęcie do Wehrmachtu.

Czas zrobił swoje!!

Oczywiście, że Niemcy wywiedli nas w pole, nie śniło się więc im wypuścić wszystkich.

Zwolnieni zostali ci, którzy podali prośbę o przyjęcie do Wehrmachtu i którzy zostali przyjęci. Resztę, która składała się z kilku odrzuconych przez Wehrmacht i kilkudziesięciu, którzy zasadniczego stanowiska nie zmienili, zwalniano w zależności od kolejności na czarnej liście po trzech, czterech przez długie jeszcze miesiące. A gen. Burhardta, ks. Ciepichała i dr. Roupperta zwolniła z Benjaminowa już Niem. Rew. Rada Żołnierska.

Niech mi wolno zakończyć żołnierskiem „Cześć” dla tych więźniów Benjaminowa, których pośród nas już niema:

Czubiński, Drojowski, Antoni Jabłoński, Stanisław Krzaczyński, Łapiński-Nilski, Zych-Płodowski, Jerzy Sawicki, Paweł Stefański, Sulistrowski, Zygmunt Żarski-Radoński.

DR. MIECZYSLAW NARAMOWSKI

SZCZYPIORNO I ŁÓMŻA.

5-go listopada 1916 roku państwa centralne proklamowały uroczystie utworzenie państwa polskiego. Powstaje Tymczasowa Rada Stanu, jako zawiązek przyszłego rządu polskiego.

Wszedł do niej również Józef Piłsudski, jako kierownik spraw wojskowych. Legjony miały posłużyć za kadry wojska polskiego. Położenie na frontach w tym czasie było tego rodzaju że trzeba było już poczynić kroki w celu wypełnienia otrzymanych i spodziewanych strat. Polska była rezerwoarem rekruta, którego użycie wymagało pewnych ustępstw na rzecz narodu polskiego. To było przyczyną proklamowania państwa polskiego i powołanie Rady Stanu. Obdarzając Tymczasową Radę Stanu pewnemi uprawnieniami w zakresie sądownictwa i oświecenia, pozbawili ją jednakże okupanci wszelkiego wpływu na sprawy wojska, które zostało oddane pod bezpośrednie dowództwo generał-gubernatora warszawskiego von Beselera. Odtąd sprawy wojska polskiego ogniskowały się w podległym Beselerowi „Polnische Wehrmacht”. Obok tego istniała jeszcze Komenda Legionów, przedstawiająca wpływy austriackie na sprawy wojska. Zarządzenia Beselera zmierzały do rozdzielenia Legionów na galicyjski i królewski. Pod pozorem przeszkolenia potworzono tak zwane centry wyszkolenia, złożone z królewskich, oraz pułki „macierzyste”, składające się przeważnie z galicjan. Pierwszych poddano niemieckiej ustawie karnej, podczas, gdy galicjanie mieli podlegać kodeksowi austriackiemu. Specjalne komisje niemiecko-legionowe jeździły po oddziałach, zwalniające niezdolnych do służby wojskowej, najchętniej galicjan, których władze austriackie wcielały zaraz do swego wojska. Z całego postępowania władz niemieckich wynikało, że dążą one systematycznie do pozbycia się galicjan na rzecz Austrii i rozbicia w ten sposób Legionów polskich. Spowodowało to żywy ferment w oddziałach. W centrach wyszkolenia zażądano polskich dowódców, gdyż na

komendantów obozów Beseler powyznaczał Niemców. W tym czasie komendant Piłsudski ustąpił z Rady Stanu, nie chcąc osobą swą osłaniać dalszej rekrutacyjnej akcji okupantów. Trzeba było odmówić rekruta i znieść kadry. W zamian zato rozszerzyć ramy Polskiej Organizacji Wojskowej (P. O. W.), by stworzyć w ten sposób zakonspirowaną siłę zbrojną.

W obawie o rozpadnięcie się Legjonów, które bez względu na podział na 1-szą, 2-gą i 3-cią brygadę ulegały wpływowi Komendanta Piłsudskiego, — postanawia Komenda Legjonów wzmocnić stosunek wojska do jego niemieckich władz przy przeprowadzeniu przysięgi. Mieli ją złożyć jedynie królewiaczy, z czego wynikało, że galicjan obowiązuje dawna przysięga.

Przysięga brzmiała: „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że Ojczyźnie mojej, Królestwu polskiemu i memu królowi na lądzie i morzu i na każdym miejscu wiernie i uczciwie służyć będę, że w wojnie obecnej dotrzymam wiernie braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier oraz państw z nimi sprzymierzonych, że będę przełożonych swych i dowódców słuchał, dawane mi rozkazy i przepisy wykonywał i wogóle tak się zachowywał, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski, tak mi Boże dopomóż”.

Żołnierz polski zwolniony z przysięgi austriackiej spodziewał się złożyć przysięgę w ręce tworzącej się władzy polskiej. Spotkał go zawód, przysięga bowiem poddawała go faktycznie niemieckim przełożonym: Polnische Wehrmacht oraz generałowi Beselerowi.

W całej rocie przysięgi to jedynie było realne, nie istniało bowiem ani „Królestwo Polskie”, ani „Król”. W 312 rozkazie Komendy Legjonów z dnia 6 lipca 1917 r., ogłoszono we wszystkich pułkach i oddziałach, że w porozumieniu z Tymczasową Radą Stanu, żołnierze i oficerowie, którzy w przepisany dzień nie złożą przysięgi, będą zwolnieni z Legjonów i w najbliższych dniach odesłani do miejsca przynależności. Pomimo to przysięgi, wyznaczonej na dzień 9-go lipca, nie złożyła olbrzymia większość obywateli Królestwa Polskiego, służąca w Legjonach. Według danych Komendy Legjonów przysięgę złożyło tylko 107 oficerów i 1482 szeregowych (przeważnie z formacji tyłowych).

Dnia 10-go lipca poczęła Komenda Legjonów zarządzać zwolnienie niezaprzyśiężonych, znów zapowiadając odesłanie ich na miejsce przynależności. W rażącej sprzeczności z tem stało zachowanie się ówczesnego komendanta 3-go pułku piechoty, majora Zagórskiego (osławionego dzisiaj generała-dezertera), który wszystkich odmawiających przysięgi potraktował jako przestępców, aresztował i obdartych z odzieży, w pożałowania godnym stanie, odesłał do Szczyplorna.

12-go lipca nadszedł rozkaz wywożenia wszystkich niezaprzysiężonych do obozu w Szczypiornie pod Skalmierzycami, rzekomo w celu przebrania w cywilne ubrania i załatwieniu niezbędnych formalności, związanych ze zwolnieniem. Jednocześnie oficerów niezaprzysiężonych internowano w Benjaminowie. Rzeczywistość jednak nie kazała długo na siebie czekać. Na memoriał internowanych w Benjaminowie oficerów wyjaśnił Beseler pismem z dnia 11.VIII 1917 r., że legjoniści zostali internowani „z powodu wykazanej przez nich skłonności do kno-



*Benjaminów — Szkoła dla szeregowych z personelem nauczycielskim
(w środku kpt. Składkowski).*

wań politycznych i niekarności, w interesie bezpieczeństwa niemieckich i sprzymierzonych z nimi wojsk". Tuż po internowaniu oficerów i żołnierzy, władze niemieckie aresztowały i wywiozły do Niemiec Józefa Piłsudskiego i jego szefa sztabu — płk. Kazimierza Sosnkowskiego.

Warunki egzystencji w obozie Szczypiorna były nader niekorzystne, daleko gorsze niż w innych obozach, dla jeńców wojennych, ponieważ Szczypiorno było właściwie obozem kwarantannowym, obliczonym na krótki pobyt jeńców. Drewniane, kryte papą, nawpół w ziemię wkopane baraki, nadawały się do użytku jedynie w ciągu letnich miesięcy. Olbrzymi kompleks tych baraków rozdzielały druty kolczaste

na niewielkie kompleksy, tak zwane „bloki”, liczące po kilka budynków. W całym obozie, mieszczącym kilkanaście tysięcy jeńców, przeważnie rosyjskich, oddzielono dla legionistów 8 (osiem) „bloków”, stanowiących odrębną całość pod zarządem zacnego mjr. rezerwy Kaupischa. Zgromadzono tu około 4.000 internowanych. Troską kierowników było urządzić życie żołnierza tak, by nie uronił nic ze swego wojskowego ducha i humoru. Należało przedewszystkiem utrzymać karność i spoistość gromady. Zaraz więc po przybyciu do obozu zostaje komendantem kpt. Tessaro-Zosik, jako najstarszy rangą ofi-



Benjaminów — Oficerowie w oczekiwaniu rzekomego przyjazdu Regenta.

cer. Naczele poszczególnych „bloków” stoją podoficerowie, wyznaczeni przez komendanta. Każda sala miała swojego komendanta sali. Od pierwszego dnia pobytu internowanych komendant obozu wydawał rozkazy dzienne, odczytywane na zbiórce. Stanowią one ciekawy dokument psychologii żołnierza polskiego i w nader interesujący sposób odwzorowują treść jego życia w tych najcięższych moralnie i fizycznie warunkach. Dążąc do ujęcia w swoje ręce całości życia obozowego, stworzono komitet gospodarczy, który zajął się kuchnią obozową, — uruchomiono pocztę, izbę chorych, stworzono kursa maturalne, kursa dla analfabetów, naukę języków, stenografji, warsztaty rzemieślnicze i artystyczne. Organizowano chóry, przedstawienia amator-

skie, kursa gimnastyczne, koncerty, słowem, aby dostarczyć internowanym pracy i rozrywki.

Powstał również sąd obozowy i kasa zapomogowa. Sanitarjat w porozumieniu z Komitetem kaliskim zorganizował dokarmianie słabych i pozbawionych pomocy z zewnątrz. W Kaliszu w tym czasie oddział komitetu pomocy jeńcom wojennym udzielał nader wydatnej pomocy internowanym przez regularne dostarczanie chleba, jarzyn oraz innych prowiantów. Umożliwiło to polepszenie pożywienia, w nader szczupłych ilościach, udzielanego przez Niemców.



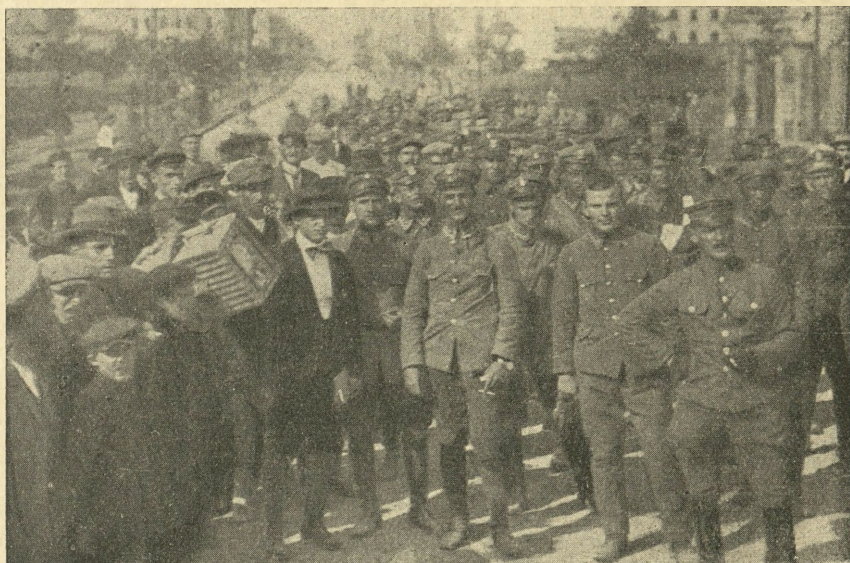
Benjaminów — Obiad w kasynie.

Lato tego roku było nader pogodne i piękne, internowani legioniści zajęci organizowaniem się wewnętrznem, samokształceniem, rzemiosłami, czuli się jako tako w obozie. Liczyli zresztą na to, że kraj nie pozwoli ich więzić zbyt długo. Jednak mijał miesiąc za miesiącem, więzionych poczęło ogarniać zniechęcenie. Wielu zbiegło, przedzierając się z narażeniem życia w nocy przez druty.

W miarę jak przedłużał się pobyt w obozie i stało się jasnem każdemu, że niewola ta potrwa może długie jeszcze miesiące, gdy przytem z nastaniem jesiennych deszczów i chłódów znacznie się pogorszyły warunki pobytu w obozie, trzeba było wielkiego hartu i poczućcia swej godności, żeby nie ulec akcji, rozwijanej przez Niemców i Komendę Legjonów. Akcja ta zmierzała do zdemoralizowania elemen-

tów psychicznie i fizycznie mniej odpornych, przeciągnięcia ich do potrzebnego żołnierza „Polnische Wehrmacht”, zaś izolowanie pozostałych jako czynnika politycznie uświadomionego, prawdopodobnych sprawców nieudania się zaprzysiężenia Legionów.

W ten sposób można było odosbnić element politycznie niebezpieczny i jednocześnie ukarać za wroga dla państw centralnych działalność, przede wszystkim więc aresztowano i wywieziono do Niemiec oficerów oraz tych z podoficerów, którzy zdawali się mieć wybitniejsze znaczenie w obozie. Komenda Legionów ze swej strony nasłała na obóz zauszników, którzy starali się demoralizować internowanych.



Przemarsz internowanych legionistów przez Kalisz do Szczypiorna.

Wraz z szeregowcami udała się do Szczypiorna pewna grupka oficerów. Należało dać dowód żołnierzowi legionowemu, że jego oficer nie opuszcza go w żadnych warunkach. Oficerowie ci złożyli swe oficerskie odznaki i figurowali tu jako szeregowcy lub podoficerowie. Niemcy wiedzieli o tem, powiadomieni przez Zagórskiego. Wyśledzeni — wywiezieni zostali do Niemiec. W ten sposób usunięto naprzód kpt. Tessaro-Zosika, ppor. Szafranowskiego, chor. Szajewskiego i chor. Miszewskiego, por. Zinth-Rzeckiego, rtm. Orlicz-Dreszera, oraz por. Grzmota-Skotnickiego, kpt. Kołłątaja i por. Ostrowskiego, odesłanych do obozu w Havelbergu, później por. Gnoińskiego, por. Filipkowskiego i chor. Naramowskiego, odesłanych do Rastatt w Badeni, dokąd nieco później zesłano również aresztowanych w obozie podoficerów: wachm.

Równocześnie władze niemieckie wprowadzały cały szereg obostrzeń w życie obozowe, a przede wszystkim przestały udzielać skąpo dotąd wydawanych przepustek i urlopów. Do tej akcji władz niemieckich przyłączyła się działalność delegatów Komendy Legionów.

WARSZAWA, D. 24 GRUDNIA 1977 R.

[illegible]

Byli to tak zwani oficerowie łącznikowi, wyznaczeni przez Komendę Legjonów, w celu utrzymywania kontaktu z władzami niemieckimi obozu. Gdy jedni z nich, jak kpt. dr. Kapellner-Kaplicki, por. Mokłowski, chor. Fela korzystali ze swego oficjalnego stanowiska, by przemycać wieści z kraju, rozkazy pułk. Rydza-Śmigłego, zastępcy uwięzionego Józefa Piłsudskiego, wreszcie listy internowanych, pieniądze i t. d., słowem żyli życiem obozu, jednajac tem sobie szacunek

i wdzięczność internowanych, inni niestety, źle rozumieli swe zadanie, pełniąc rolę duchowych katów obozu. Celował w tym p. Sujkowski, którego o mało nie zlinczowali internowani.

Zbrodnicza ta działalność, obliczona na ludzką niedolę i słabość, a prowadzona nawet pod przykrywką spowiedzi, spowodowała zajście, które głęboko wstrząsnęło życiem obozowym.

W sierpniu przybyła do obozu specjalna komisja Wehrmachtu, która wywołanych według list ks. Kwapińskiego miała zbadać i powołać do wojska. Około 840 internowanych nie oparło się tej demoralizującej akcji. Był to naturalnie element przedewszystkiem fizycznie i moralnie słabszy, ideowo niewyrobiony. Odejście jego z obozu było właściwie skonsolidowaniem się, tem niemniej pod wpływem oburzenia za odstępstwo obsypano uciekających kamieniami, księdzu Kwapińskiemu zdarto orzełka legionowego; poważniejszym zajściom zapobiegła interwencja powszechnie szanowanego wachmistrza Olszamowskiego, ówczesnego komendanta obozu. Tem niemniej zajścia posłużyły Niemcom za pretekst do dalszego wzmoczenia rygoru, zaś przeciwnikom I-ej Brygady materiał do szkalowania internowanych.

Pozostałych 2000 internowanych poddano dalszym ograniczeniom i szykanom. Wstrzymano zupełnie urlopowanie, przestano zwalniać chorych i małoletnich, ścieśniono obóz do 4-ch bloków, wreszcie postanowiono zgnieść wewnętrzną organizację obozu przez zupełne ograniczenie komunikowania się między blokami. Utrudniono pracę komisji żywnościowej, nauki szkolnej, wreszcie kazano naszyć na rękawach numery na wzór noszonych przez jeńców. To ostatnie zarządzenie było ciężką zniewagą dla Legionistów, którzy gotowi byli znośić wszelkie przykrości związane z dobrowolnie przyjętą ofiarą swej swobody — nie mogli jednak pogodzić się z myślą noszenia na sobie znaku hańby, niewolniczego numeru. Zarządzenie to musiało rozpętać całą burzę. Internowani odmawiali stanowczo naszycia numerów, nie ustępując nawet, gdy odcięto dowóz żywności z Kalisza, gdy zaś po otoczeniu obozu oddziałami niemieckimi, numery naszyto pod grozą armat i karabinów maszynowych, jakby na jeden znak zostały one natychmiast zdarte w oczach odchodzących Niemców. Władze niemieckie w odpowiedzi na to zniosły łączność z komitetem kaliskim, odebrały obiad, zatrzymały funkcjonowanie poczty, zamknęły sklep obozowy, oraz aresztowały nowego komendanta obozu, wachmistrza Osińskiego (poprzedni został wywieziony do Niemiec). Kapitan niemiecki Gliwitz, następca majora Kaupischa, jako niemiecki komendant obozu, postawił warty u wejść baraków i zabronił wypuszczania legionistów bez numerków. Nie wolno było wychodzić do studni, ani do ustępu. Wówczas internowani uciekli się do masowej

głodówki, która trwała przez 14, 15, 16, 17 listopada. Przyjeżdżali do obozu: Eustachy Sapieha i ś. p. Staniszewski, który w rozmowie z internowanymi wyrażał się pesymistycznie o władzy R. R., za co podobno musiał się podać do dymisji.

Już 16-go pojawiać się zaczęły następstwa głodzenia i nie wychodzenia z baraków. Wydarzały się wypadki omdlenia. Bez numerków nie wolno było chorym zgłaszać się do ambulatorjum, sanitarjuszkom chodzić do szpitala. Gubernator kaliski nie zezwolił lekarzowi obozowemu na wysłanie o tem telegraficznego meldunku do władz pol-



Odjazd szeregowych 5 p. p. Leg. z Zegrza do Szczypiorna.

skich i niemieckich w Warszawie. Nieludzkie zachowanie się kpt. Gliwitsa dochodziło do tego, że na uwagę o możliwości epidemii tyfusu, odpowiedział: „to niech wybuchnie”. Dnia 17-go listopada ilość chorych doszła do 300-tu, 2-ch dysponowano na śmierć. Rada Regencyjna interwenjowała wreszcie u władz niemieckich, powszechne poruszenie opinii publicznej sprawiło, że uzyskano od władz decyzję przeniesienia obozu do Łomży. Przedtem jednak musieli internowani zgodzić się na naszytanie numerków, które musiały być zdjęte przy likwidowaniu Szczypiorna.

W grudniu 1917 roku Koło Polskie w Wiedniu interpelowało w parlamencie w sprawie nieludzkiego traktowania internowanych. W pismach swych do więzionych Rada Regencyjna obiecywała dołożyć

usilnych starań, aby internowani mogli wrócić do wojska. Tymczasem wraz z wieścią o przeniesieniu obozu do Łomży krążyły wieści, że tam utworzone będą bataljony robotnicze, używane do ciężkich najczęściej, prac przyfrontowych. Spowodowało to nowe wrzenie. Obawy te usunięto (pismo Rady Ministrów z dn. 13.XII.1917.), wyjaśniając, że przeniesienie do Łomży ma na celu polepszenie bytu internowanych, którzy zaraz po wyjeździe ze Szczypiorna mają zdjąć numery, dalej tłumaczono, że obóz będzie podlegał władzy Beselera, a nie jak dotąd dowódcy korpusu poznańskiego, że nieletni, starzy, chorzy i kaleki mają być zwolnieni do domu, zaś wszyscy internowani będą wzięci pod opiekę rządu polskiego. Dodano, że „nic nie stoi na



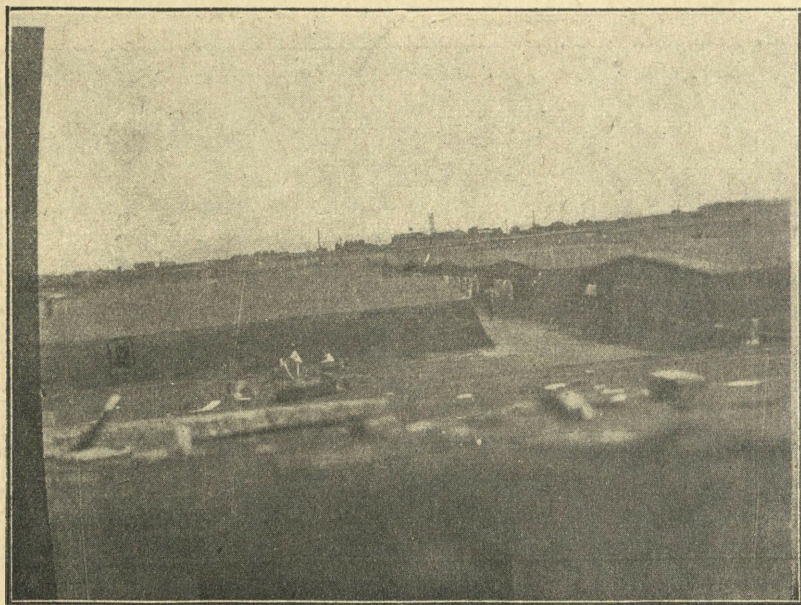
Szczypiorno — Odprawa komendantów bloków.

przeszkodzie, ani ze strony rządu polskiego, ani ze strony władz niemieckich, żeby internowani partjami zgłaszali się do wojska i byli przyjmowani po sprawdzeniu ich wartości moralnej".

Z końcem grudnia przewieziono legionistów do Łomży. Przed wyjazdem wystosowali oni do Oddziału Komitetu Opieki nad jeńcami w Kaliszu (organizacja komitetu: gen. Olszyna-Wilczyński i major Dobrodzicki) pismo, w którym dziękowali za życzliwą i ofiarną pomoc Kalisza, dzięki której „żołnierz polski czuł się częstką żywej siły, zawartej w narodzie i wiedział, że liczne, a nierozzerwalne więzy łączą go ze społeczeństwem". „Kaliszanie niech żyją" kończył to pismo ówczesny komendant obozu, wachm. Dan-Stachlewski. Dziś po 10 latach, na zjeździe legionistów w Kaliszu, ten sam okrzyk przy nie-

milknących oklaskach powtórzyło tysiące ust. Są to w zupełności zasłużone słowa uznania. W najtrudniejszych warunkach prowadzona akcja pomocy odznaczała się niezwykłą sprężystością i zapalczywością, oraz żywą życzliwością dla internowanych. Niema szczypiorniaka, któryby nie wspominał z głębokiem poczuciem wdzięczności Kalisza i tych zacnych obywaterek i obywateli, którzy poświęcali nam swej czas, pracę i pieniądze.

W Łomży umieszczono przybyłych w koszarach. Powiało nową nadzieją. I znów wzięto się do zorganizowania nanowo obozowego życia. Internowanych podzielono na kompanje, na których czele stał

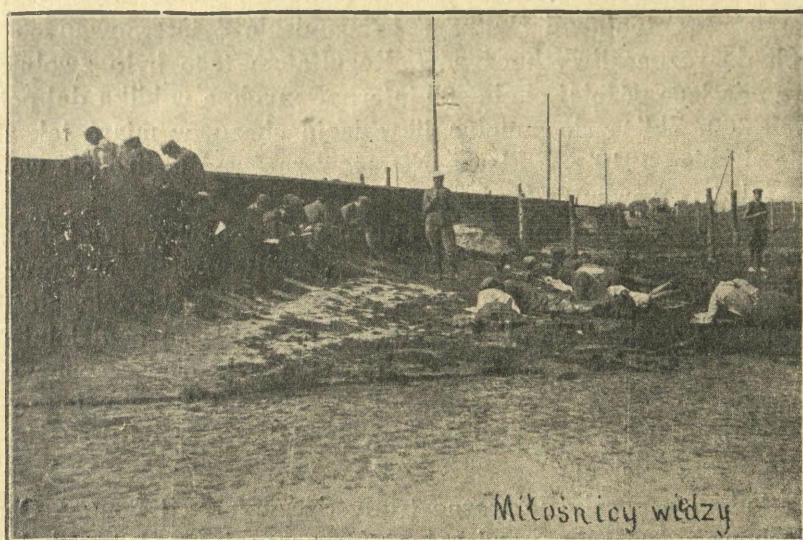


Szczypiorno — Ogólny widok baraków legionowych.

podoficer. Na czele obozu stał wówczas wachm. Dan-Stachlewski. Nadto wybrany został żołnierski komitet obozowy, — najwyższa instancja we wszystkich sprawach, tyczących obozu, począł funkcjonować szpital obozowy, którego tak bardzo potrzebowano, wobec szerzących się chorób. Lekarzem był Polak, niemiecki lekarz Pawlak, nader życzliwie usposobiony dla internowanych, pomocnikiem jego — internowany wachm. Ryll-Nardzewski, niezmordowany w pracy dla chorych współtowarzyszy niedoli. Później, gdy zaszła tego potrzeba, szpital był najlepszą drogą ucieczki z obozu, osłanianej przez dzielnego kolegę Rylla-Nardzewskiego. Rychło wznowiono przerwana pracę w kółkach dla analfabetów, dla maturzystów, oraz na kursach rze-

mieślniczych. Pracy tej przyświecała chęć ułatwienia zwolnionym z obozu wynalezienia zajęcia zarobkowego. Powstał sklep obozowy i szereg warsztatów. Dziś, gdy przegląda się pozostałe po obozie w Łomży papiery, podziwiać należy porządek, w jakim były prowadzone księgi rachunkowe, raporty codzienne, sprawozdania komisji rewizyjnej i t. p. Świadczy to wszystko o wysokim stopniu uspołecznienia tej gromady ludzi, tak przezornie unieruchomionych przez Besselera, aby „nie mogli szkodzić własnemu krajowi oraz wojskom państw centralnych”.

Była to prawdziwa szkoła charakterów. Tężyły w niej zbyt wybujałe indywidualności, zmuszone liczyć się wciąż z otoczeniem, na-



Szczypiorno — Szkoła przy pracy.

bierały odporności natury bierniejsze, hartowane życiem codziennym obozu. I jeśli niewola wyzwała tendencje odśrodkowe, tu widzimy pełną wartości skłonność do działania zbiorowego. Imię Jego, Komendanta, Twórcy i sprawcy tego dzieła było owym niewidzialnym cementem spajającym tę gromadę. Na Jego zew oddali, co każdy ma w sobie najdroższego — pragnienie swobody i tkwili oto w obozie jeńców, jako widomy w narodzie pognębionym znak stałego protestu. Sprawa obczu wbrew woli okupantów i wbrew ich intencjom posyłała jako doskonały czynnik propagandy przeciwko współdziałaniu z nimi.

Dnia 23.III.1918 r. st. sierż. Frenkiel, podówczas komendant obozu, ogłosił w rozkazie dziennym, że: „zastępca Komendanta Piłsudskie-

go, pułk. Rydz-Śmigły, wydał rozkaz, mocą którego należy starać się o zlikwidowanie obozów jaknajszybciej za wszelką cenę". Po krótkiej opozycji pewnej grupy, która była za dalszym trwaniem w obozie i ustąpiła jedynie wobec wyraźnego rozkazu zastępcy Komentanta Piłsudskiego, zameldowano zbiorowo władzom niemieckim chęć powrotu do wojska. Ta zbiorowa deklaracja wydała się władzom podejrzana. Zamiast spodziewanego zwolnienia, Niemcy wstrzymali się od zbiorowego zwalniania. Jedynie drobne grupy kilku lub kilkunastu ludzi zwalniano z obozu, jak od chwili przybycia do Łomży. Mimo to liczba więzionych w tym obozie z pierwotnej 1700 ludzi zmalała w kwietniu do 800. W maju wysłano do Rady Regencyjnej memoriał w sprawie zwolnienia pozostałych uwięzionych. Memoriał przestrzegał przed ewentualnymi skutkami zapomnienia o internowanych gotowych do rozpaczliwych czynów. Rezultatem tego było zwolnienie w dwa miesiące później około 400 internowanych, a w kilka dni potem nowych 200. Zbliża się zupełna likwidacja obozu, w miarę jak zbliżał się sierpień 1918 r. z klęską Niemców zarówno na froncie wojennym, jak i wewnątrz kraju.

Cierpieniom szczypiorniaków bynajmniej nie położył kres ich akces do Wehrmachtu. Tam prócz żelaznej dyscypliny, ślepo wzorowanej na pruskiej metodzie, spotykać ich miały niejednokrotnie złośliwe przyczynki i uwagi. Nie dali się jednak sprowokować ci dzielni żołnierze, doczekali też momentu rozbijania Niemców, opanowania Warszawy, zboczyli krwią swoją ulice Lwowa i Przemyśla, rozsypali się po pułkach, jako instruktorzy, dzielnie przyczynili się do powstania armii polskiej.

Tak tedy nie poszły na marne trudy Szczypiorna i Łomży. Obozy te dochowały wiernie powierzonej im przez los potężny ładunek zdrowego materiału wojskowego, aby oddali go narodowi w chwili wskrzeszenia jego niepodległości.

Przyszły historyk spisie dokładnie dzieje tych 3000 niezłomnych, rozkoszować się nimi będzie powieściopisarz; sami oni rozsypali się po całej Polsce, jak długa i szeroka. Na wszelkich stanowiskach społecznych od ministra nieomal do wyrobnika spotkać można towarzyszków niedoli. Wszędzie ponieśli z sobą przekonanie, że niema sytuacji, w której możnaby opuścić dłonie.

Kiedy w sierpniu bieżącego roku, na zjeździe legjonowym w Kaliszu stanąłem u krzyża wzniesionego na miejscu, skąd niemieckie działa i maszynowe karabiny groziły obozom zagładą w razie buntu, kiedy spojrzałem stamtąd na pola, kędy zaległy niegdyś szeregi tak pamiętnych obozowych baraków, drutów i pali — ogarnęło mię zdumienie. Na całej tej przestrzeni nie było nawet śladu obozu. Szu-

miało sobie polskie żyto, zieleniły się kartofle, białała gryka. Tylko to słońce świeciło złotemi blaskami jak dawniej, jak wówczas.

Wchłonęła ziemia ojczysta trud i znój legionowy, jak wchłonęła w siebie pracę i krew żołnierza legionowego na polach tylu stoczonych przezeń bitew. Przykryła oczy, jak dobra matka niejednemu serdecznemu druhowi. Nam zaś i przyszłym pokoleniom rodzi, jak dawniej chleb powszedni, zawsze gotowa do spłaty rzetelnego trudu.

Przejdą, przeminą, bracie legionisto, najcięższe twe osobiste cierpienia i znoje, której dla Ojczyzny swej w pocie i krwi własnej i przyjaciela twego poniósł, przeminie wszystko, czas zważy na swej obojętnej szali wszelką zasługę i wszelką podłość, zostanie zawsze twa ziemia ojczysta słoneczna, rodząca, dla której życie swe oddałeś! Rozpleni się na niej niby owo faliste zboże życie przyszłych pokoleń, wieść głucha tylko przypomni ciębie twym prawnukom, ale wieść ta ozłoci cię słońcem chwały, o której mówić będą z nabożnem westchnieniem serc — ojcowie nasi.

WIEZIENIE I SĄD W PRZEMYŚLU.

Trudno jest pisać o faktach tak świeżych, tak niedawno w zawierusze wojennej przebrzmiałych, że zdają się być zdarzeniami dnia wczorajszego, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi imiona dobrych żołnierzy, którzy, nie orientując się w zawikłanym splocie wojennych i politycznych wypadków, byli wówczas zaciekłymi wrogami Komendanta.

Miesiące czerwiec i lipiec pamiętnego roku 1917-go brzemiennie były w decydujące zdarzenia.

Pułk nasz, 1-szy ułanów Legionów Polskich, w których byłem wówczas rotmistrzem i dowódcą szwadronu, stał w Ostrołęce.

W lipcu, o ile pamiętam, dowódca pułku, mjr. Władysław Belina-Prażmowski, wskutek rozkazu Komendy Legionów Polskich odjechał do domu. Wkrótce potem nastąpiła demonstracyjna odmowa przysięgi Niemcom przez cały pułk. Oficerowie i żołnierze „królewiaczy” poszli do obozów koncentracyjnych w Szczypiornie i Benjaminowie.

Ja, chociaż całe życie byłem niewiernym poddanym cara, przed samą wojną (mieszkalem wówczas w Zakopanem) przyjąłem obywatelstwo austriackie. Dlatego też pozostałem i z tytułu starszeństwa objąłem dowództwo pułku.

Widziałem wiele dziwów na świecie, ale podobnego „bałaganu” jak ten, który mi pozostał po odejściu towarzyszy broni, nie widziałem w swym życiu. Na głowę mą runęła lawina spraw służbowych, personalnych, politycznych, furażowych, końskich, prowiantowych, „wiernej służby”, nienawiści do Niemców, łażikowych i jak tam one jeszcze urzędownie się nazywały.

A nad tem wszystkim unosiła się ciężka chmura niepewności dnia jutrzejszego.

Formalnie byliśmy teraz pod dowództwem Komendy Legionów Polskich, czyli austriackiego A. O. K.

Nie mam pod ręką dat i notatek swoich. Narazie odtwarzam przebieg wypadków z pamięci.

Niebawem po odejściu królewików, jako zdecydowany żołnierz Komendanta Piłsudskiego, a tem samem nieprawomyślny względem Austrii, otrzymałem rozkaz z Komendy Legjonów Polskich najpierw jeden, a gdy go nie wykonałem, drugi — oddania dowództwa pułku i stawienia się na komisję poborową. Obydwóch tych rozkazów nie wykonałem i pozostałem w pułku. Więcej mię nie nagabywano.

W sierpniu przyszedł rozkaz z Komendy Legjonów przygotowania się do wymarszu. Zawagonowaliśmy się i ruszyliśmy. Nikt nie wie-



Szczypiorno — Konna baterja.

dział, dokąd jedziemy. Gdzieś na południe. Wreszcie któregoś pięknego dnia jesienno z hukiem wtoczyły się nasze eszelony na stację kolejową Przemyśla. Wagony przystrojone były zielenią i niezbyt artystycznymi produkcjami sztuki żołnierskiej, wyobrażającymi np. oficera austriackiego, wiszącego na szubienicy, a dla lepszego zrozumienia zaopatrzonemi w odpowiednie pouczające napisy, w rodzaju: „Oddajcie rum, dziady sakramenckie”. „Oddajcie Stochód”. „Wróci Dziadek — wygarbuje wam... skórę” i t. p. — Specjalnie honorowany był „Wilus”.

Na każdym prawie wagonie pół ściany zajmował niewprawną ręką wycyfrowany napis: „Niech żyje Piłsudski”.

Na stacjach galicyjskich oficerowie austriaccy „interwenjowali” z powodu tych napisów, ale starte napisy automatycznie się odnawiały.

Wwaliliśmy się na s.ację przemyską, gdzie stał zebrany sztab Komendy Legjonów, wraz z całą zielenią i wspomnianymi dekoracjami.

Wrażenie fatalne: dowód oczywisty „zgnilizny”, szerzącej się w I-ej Brygadzie.

Wyznaczono nam miejsce postoju — wieś Torki pod Przemyślem.

Tu właśnie sądzono mi było wraz z 1, 4, 5 i 6-tym pułkami piechoty, rozrzuconymi po wsiach okolicznych, przeżyć długą, jak nieskończoność, a męczącą, jak koszmar snu ciężkiego, epopeję zamierania resztek I-ej Brygady.

W Komendzie Legjonów Polskich głoszone otwarcie, że Brygada jest przeżarta przez rozkład moralny, że żołnierze wybierają tam oficerów, że niema dyscypliny i t. d. i t. d.

Z całą też stanowczością zabrano się do jej zniszczenia.

Nie poszło to jednak gładko.

Bodaj, że każdego dnia, a w każdym razie parę razy na tydzień o 9-ej wieczór siadałem na bryczkę i tłukłem się po wyboistych drogach do Siedlec (wieś), gdzie kwaterował najstarszy z pośród nas rangą dowódca pułku, kpt. (obecnie generał) Karasiewicz-Tokarzewski, na nocną odprawę.

Omawialiśmy sposoby ratunku i wspólnego działania. Widzieliśmy, że Brygady nie uratujemy. Chodziło o honor żołnierski. Ażeby nie rozleść się po świecie, jak kupa robactwa, ale karnie, według rozkazu swoich dowódców, obowiązek żołnierski spełnić do ostatka.

I śmiem twierdzić, że spełniliśmy ten obowiązek.

Zadanie było niełatwe.

Do pomocy Komendzie Legjonów w jej trudnej walce z I-szą Brygadą przysłany został z A. O. K. generał Szylling — taki sobie błyszczący austriacki generał, mniej w każdym razie wart, niż zapowiadało jego nazwisko. Mówił po polsku.

Z początku gen. Szylling, zdawało się, zainteresował się sprawą, badał, słuchał, kombinował i miało się wrażenie, że przemówiło w nim sumienie żołnierskie.

Złudzenie. Niebawem okazało się, że jest tylko dudniącym echem szefa sztabu Komendy Legjonów, majora Włodzimierza Zagórskiego.

Przez kilka dni ważyła się kwestja, czy nie uderzyć na Przemyśl, rozpedzić „dziadów sakramenckich” i tam się umocnić. Dalsza jednak przyszłość przedstawiała się beznadziejnie. Odstąpiono więc od tego zamiaru.

Postanowiono zmusić Komendę Legjonów, ażeby zgodziła się na rozwiązanie I-szej Brygady odrazu; ażeby żołnierze wraz ze swoimi oficerami odeszli do miejsc przeznaczenia, karnie, w ordynku, jak żołnierzom przystało.

Plan zaś działania Komendy Legjonów polegał na tem, ażeby ją zniszczyć niesławnie; usunąć z niej oficerów, ażeby sama się rozlaźla, roztopiła się w nicość. Prośbą, groźbą a i przekupstwem starano się przeciągnąć żołnierzy do II-ej Brygady — resztę wyłapaliby austriaccy żandarmi.

Co kilka dni, zależnie od spraw dnia powszedniego, stawaliśmy do raportu (długa i niemiła procedura), prosząc o pozwolenie stanięcia do raportu u gen. Szyllinga, na co nam zezwalano. Czasem niektórzy z nas, najczęściej jednak mnie ta przyjemność przypadała w udziale.

Każdej niemal nocy przybywali do mnie żandarmi z rozkazem aresztowania tych lub innych ułanów. Odpowiadałem: „Bierzcie, ale za następstwa nie ręczę”. Żandarmi wówczas zostawiali u mnie rozkaz aresztowania i odjeżdżali. W ten sposób miałem pułk w znacznej części złożony z aresztantów, do których również sam należałem. Tymczasem wzięto się do nowego sposobu. Zaczęły z Komendy Legjonów przychodzić rozkazy z imienną listą oficerów i żołnierzy, którzy dnia tego a tego bez broni mają się zawagonować i odjechać w wyznaczonym kierunku — na front ten albo inny.

Zaczęły odchodzić partje po 25 — 30 ludzi.

Zbiórka, odczytanie rozkazu, przemówienie moje, pożegnanie, komenda: czwórkami w prawo zwrot, i kolumnienka z okrzykiem: „Niech żyje Komendant Piłsudski” ruszała na dworzec. Zamiast karabinków wszyscy mieli mocne grube kije — tak, na wszelki wypadek.

Pułk topniał. Żegnałem ze ściśniętym sercem i głuchym uczuciem bezsilności partję za partją, pluton za plutonem. Odeszły już grupy na front włoski, na front galicyjski, a kiedy ostatnia grupa na front wschodni odeszła, zlikwidowałem sprawy najpilniejsze i zameldowałem się w Komendzie Legjonów.

Prokurator Komendy Legjonów, mjr. Artur Ganczarski, czekał już na mnie. Ze źle ukrywaną radością przyjął ode mnie pistolet, szablę, którą poleciłem mu specjalnej opiece do zwrotu i pod eskortą oficera odesłał mię do więzienia.

Gdy ciężkie drzwi celi więziennej zatrzasnęły się za mną, odczynałem z uczuciem bezgranicznej ulgi.

Więc już skończyła się — skończyła się honorowo — beznadziejna szarpanina w matni bez wyjścia? Niezliczone raporty u ekselencji, noce bezsenne, podtrzymywanie karnośći wojskowej na mocy jedynie moralnego nakazu, bo władzy u góry nie było już żadnej? Naprawdę to wszystko już się skończyło? Dziś całą noc spać będę bez przerwy?..

Oprócz mnie z 1-go p. uł. zostali aresztowani: ppor. Edward Klewczyński, ppor. Janusz Żuławski i chor. Węgrzynowski. Dwaj

ostatni pozostawieni zostali na wolności dla zlikwidowania gospodarczych spraw pułku. W sąsiedniej celi siedzieli: kpt. Franciszek Sikorski, — dowódca 4 p. p. legjonowej, por. Erwin Więckowski i ppor. Gustaw Klarsfeld — obaj z 4 p. p. Leg. Pol.

Myśmy siedzieli w więzieniu dla oficerów; w innym więzieniu dla szeregowych — siedziało około 90 podoficerów i szeregowców z różnych pułków. Z mego pułku, między innymi, znajdowali się tam: wachm. sztabowy (ob. rotmistrz), Julian Filipowicz, wachm. (ob. rotmistrz), Józef Grad-Soniński, wachm. Tadeusz Langier i kpr. Józef Poznański.



Szczypiorno — Ruch obozowy.

Popłynęły dobrze mi już znane z carskich więzień dni bytowania za kratą: maszerowanie godzinami po przekątnej — od rogu do rogu, mierzenie czasu od śniadania do obiadu, a potem do kolacji, spacer półgodzinny i znowu to samo od początku.

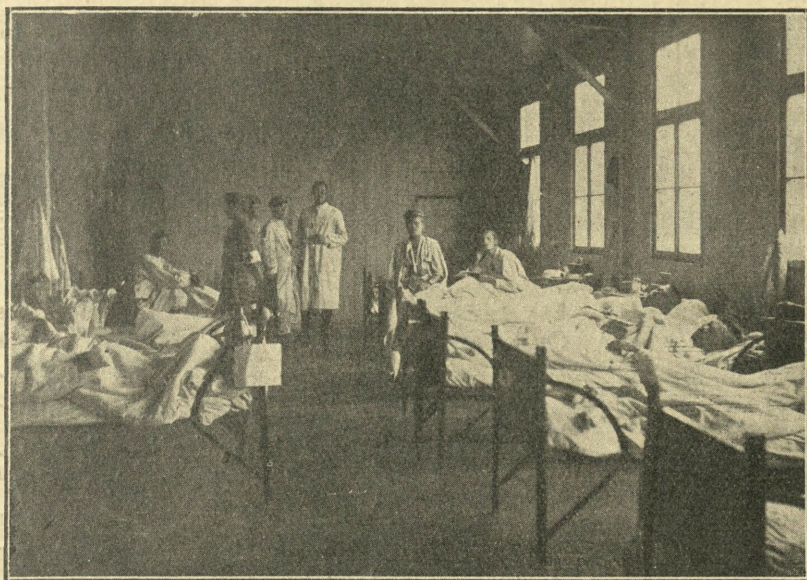
Wkrótce doręczono nam akt oskarżenia — mniej lub więcej ciężki.

Ja byłem oskarżony o zbrodnię rokoszu wojskowego i o niewykonanie wojskowych rozkazów. Sprawa poważna: kula w łeb, albo więzienie. Spałem wszakże dobrze i nie martwiłem się wiele. Mjr. Ganczarski dokumentnie i planowo wszystko ułożył.

Rozprawa sądowa dwa razy była naznaczona i dwa razy jakoś nie mogła dojść do skutku. Za trzecim razem udało się.

Zasiadłem po raz pierwszy w życiu — na ławie oskarżonych. (W Rosji sprawy polityczne załatwiano w trybie administracyjnym).

Przewodniczył kpt. (obecnie generał) Jakób Krzemieński. W skład sądu wchodził: ś. p. mjr. Mężynski, ś. p. kpt. Józef Okołowicz, ś. p. kpt. Jan Łuczyński i kpt. Karol Dziekanowski. Oskarżał kpt. (obecnie generał) Bronisław Sikorski. Obrońcą naszym był adw. dr. Lieberman (obecnie poseł) z Przemyśla. Prokurator z urzędu sypał paragrafami, niczem karabin maszynowy kulami. Wówczas dopiero zrozumiałem jak wielkim — z punktu widzenia kodeksu austriackiego — jestem zbrodniarzem.



Szczypiorno — Izba chorych.

Nie gniewaliśmy się wszakże na „naszego” prokuratora: czuliśmy i widzieliśmy, że sympatje jego są po naszej stronie, że stanowisko nasze uznawał za słuszne. Grzmiał jednak z urzędu. To samo stanowisko zajmował kpt. Krzemieński, znany z resztą oddawna przyjaciel 1-ej Brygady i młodzi oficerowie sądowi.

Na sali rozpraw oprócz oskarżonych i osób urzędowych było jedynastu mężów zaufania od społeczeństwa polskiego, na obecność których A. O. K. łaskawie wyraziło zgodę: czuła już wówczas pod nogami lekkie trzęsienie ziemi.

Były to osoby znane w społeczeństwie. Między innymi wymienię nazwisko ówczesnego profesora uniwersytetu lwowskiego, a obecnego

Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, dr. Janiszewskiego, redaktora „Kurjera Lwowskiego” Wysłoucha, red. Noskowskiego i prof. Franciszka Bujaka.

Przyszła kolej na mnie. Dano mi „ostatnie słowo”, a raczej prawo do niego. Zacząłem mówić. Mówiłem długo, bo coś godzinę i pół. Sam nie spostrzegłem, jak z mowy obronnej wpadłem w ton prokuratorski i na swój sposób zacząłem „grzmieć” przeciw Komendzie Legjonów, a głównie przeciw mjr. Włodzimierzowi Zagórskiemu, którego nazywałem złym duchem Legjonów, a działalność jego porównywałem z czarną nicią, która w historii Legjonów przewija się wszędzie i wszystko oplata.

Jak wypadło moje przemówienie, nie mogę ocenić. Wiem tylko że gdy skończyłem, obecni na sali składali mi gratulacje, a obrońca dr. Lieberman, sam mi oświadczył, że był wzruszony do łez. Po długiej naradzie sąd wyніósł wyrok uniewinniający. Jak dowiedziałem się później, uchwała sądu zapadła jednomyślnie, co świadczy o dużej — wobec istniejących stosunków politycznych i wojskowych — odwadze poszczególnych jego członków.

Mjr. Ganczarski wniósł zażalenie na wyrok sądu.

Wobec tego wróciliśmy do więzienia. A potem został z Komendy Leg. wysłany do A. O. K. wniosek o „abolicję” (piękne to słowo oznacza umorzenie) procesu z tem jednak, ażebyśmy zostali zdegradowani na szeregowców i wysłani na front włoski, gdzie mieliśmy pełnić służbę bez prawa awansowania, nawet na „frajtrów”. A. O. K. odpowiedziało, że takiego wniosku o abolicję nie można stawiać, gdyż abolicja wówczas nie będzie abolicją, ale wyrokiem bez sądu. Major Ganczarski był zmartwiony. Zaczęła się pisanina. A zanim się ona skończyła — skończyła się Austria.

Na zakończenie za miły obowiązek uważam podkreślić tu wielce przychylne dla nas stanowisko miejscowego Oddziału Ligi Kobiet, z panią mecenasową Tarnawską na czele, (p. Kollerowa, Hejdowa, Zeidler-Wiślańska, i inne, nieznane mi z nazwiska), które nie zważając na liczne szykany i przykrości, gorliwie opiekowały się więźniami i dostarczały nam żywności; również należy podziękować siedmiu, nieznanym z nazwiska paniom i pannom, urzędniczkom biura kolejowego, znajdującego się na przeciw więzienia, za zorganizowanie i pełnienie „służby łączności”, „Telegraf wzrokowy” działał w ten sposób, że w biurze kolejowym, w oknie ukazywały się duże litery — jelda za drugą. Słowa i zdania szły tą drogą powietrzną do więzienia, które z kolei za pomocą wielkich liter, wyciętych z gazet, przysyłało odpowiedź.

Z 6 PUŁKU LEGJONÓW DO WIĘZIENIA W PRZEMYŚLU.

Wyjechałem z 5 p. p. leg. (z Zegrza) w lipcu 1917 r. już po odejściu „piętaszków” do „Szczypiorkowa”. Jako królewski z urodzenia, a mia-łopolanin z karty wojskowej, miałem spędzić resztę swego żywota wojskowego w 6 p. p. leg., który to pułk stał w Zajezerzu pod Dęblinem. Był to jedyny pułk legjonowy, stacjonowany na okupacji austriackiej, co niezmiernie utrudniało łączność z pułkami 1-ej brygady.

Jechałem do Zajezerza z niepokojem, gdyż rozumiałem, że czeka mnie tam poważna, a niebezpieczna praca, dostrajania 6 p. p. na nutę 1-ej brygady. W tym czasie chodziło o to, by wszystkie pułki legjonowe występowały jednolicie (bez wyłączeń) ze swymi postulatami, chociażby za cenę ewentualnego, czasowego odejścia do armii austriackiej.

Do Zajezerza przyjechałem 17. lipca i tegoż dnia po zameldowaniu się komendantowi pułku ppłk. Ścibor - Ryłskiemu Witoldowi (ppłk. Norwid Neugebauer b. komendant tego pułku zamieszkiwał wtedy w Nałęczowie) tego dnia objąłem pluton w 5 kompanii. Służba i praca wojskowa w pułku szła normalnie, chociaż żołnierze byli mocno zde-nerwowani swoją niewyraźną pozycją i — przygnębieni losem swych kolegów — królewskich, już zjadających trawkę i żabki za drutami w Szczypiornie. Pułk 6-ty był w tem położeniu, że pewna ilość oficerów szła po linii działań ppłk. Ryłskiego i stąd inicjatywa i solidaryzowanie się z pułkami 1 i 5 p. p. szły nie całkowicie od góry (jak gdzieindziej), a w znacznej mierze — od dołu, t. j. od sierżantów-podchorążych. Ppłk. Ryłski otoczył się pewnym gronem ludzi zaufanych i postanowił ruch 1-brygadowy w pułku stłumić, nie prze-bierając w środkach — uciekał się do pojedynczych zwalniań oficerów (w porozumieniu bezpośrednim z mjr. Włodzimierzem Zagórskim, na co się skarżał płk. Haller, jako ówczesny dowódca brygady II-ej, w skład której wchodził 6 p. p.) i aresztowań. Wystar-

czało, że ktoś z oficerów czy żołnierzy odwiedził ppłk. Norwida w Nałęczowie, by ściągnąć na siebie burzę. Za tego rodzaju przewinienie został usunięty z pułku ppor. Jakubski. Represje nie ominęły i nas sierżantów. W pierwszym rzędzie zamknięty został sierż. Mazurkiewicz Jan, a po dwukrotnych raportach żołnierzy całego pułku, domagających się przeniesienia do wojska austriackiego — i ja zostałem wezwany przed oblicze komendanta pułku, który zwrócił się do mnie z następującem przemówieniem“:

„Panie podchorąży, wiem że Pan tu zjechał po to, by pułk rozbić. Ja do tego nie dopuszczę. Wiem, że Pan ma duży wpływ na pułk i dlatego zmuszony jestem internować Pana; ja was wszystkich zniszczę, a nie pozwolę na odmowę posłuszeństwa Najjaśniejszemu Panu Karolowi; zresztą jakie wy macie prawo stawiać się okoniem, skoro już królewiaków w pułku niema. Najjaśniejszy Pan wam, swoim poddanym litościwie pozwala tylko nosić mundur legjonowy, ale nie pozwoli na krnąbrność. Macie słuchać mnie, który tu jestem z woli cesarza, a opornych oddam pod Sąd polowy“. Przemówieniu temu przysłuchiwał się oficer inspekcyjny pułku chor. Nowosielski, który zaraz odprowadził mnie jako aresztowanego do pokoju oficera inspekcyjnego. W przeddzień przybył do mnie łącznik z 1 p. p. sierż. Wrona, a że w związku z przywiezionymi przezeń instrukcjami należało przeprowadzić jeszcze jeden zbiorowy nacisk na Komendę Legjonów, — odbyło się w moim pokoiku (internowanego) zebranie kilku podchorążych, na którem postanowiliśmy nazajutrz energicznie poprzeć pułki 1-szy i 5-ty przez ponowne stawianie do raportu.

Nieświadomym naszych smutnych warunków ówczesnych muszę nadmienić, że te tajne zebrania nasze nie miały charakteru dosłownie politycznego (a jak dla wojska — destrukcyjnego), a były one wybitnie żołnierskie, bo mające na celu dopomożenie naszym przełożonym oficerom w walce z takimi typami, naślانymi przez Komendę Legjonów, jak ppłk. Ryłski, który pracował dla cesarza Austro-Węgier.

Mjr. Zagórski dla pomocy ppłk. Ryłskiemu przydzielił jako komendanta posterunku żandarmerji plut. Widnera Zdzisława, który szczególnie donosił Komendzie Leg. o wrzeniu w pułku, podając w swych tajnych meldunkach o tem, kto z oficerów złożył podanie o zwolnienie — kto nie złożył, kogo można namówić do „wycofania się“ i t. d. Widner również wskazywał na ppłk. Norwida jako na zarzewie tego, co się działo w Zajezerzu. Prócz żandarmów ppłk. Ryłski miał jeszcze innych swoich zauszniaków, (wewnątrz pułku), którzy mu donosili o nastrojach wśród żołnierzy.

Kilka dni temu pod naciskiem komendanta 2-go baonu kpt. Terleckiego sierż. Mazurkiewicz został uwolniony z aresztu, tak że w czasie

meego przymusowego odbywania „pokuty” — przygotowywał na dzień następny nowy akt presji, oczywista w porozumieniu z większością korpusu oficerskiego. Dnia 20 sierpnia bryg. J. Haller zapowiedział swoją inspekcję w 6 p. p. i rzeczywiście w dniu tym bryczka pułkowa wiozła ze stacji kolejowej brygadiera i towarzyszącego mu kpt. Kukiela. Bryg. Haller wjeżdżając do obozu spostrzegł, że pułk zebrany w carré stoi na placu alarmowym...

Zdziwiła pułkownika ta gorliwość i z racji tej zwrócił on uwagę ppłk. Ryłskiemu, że przedwcześnie zbiórkę pułku zarządził, na co ppłk. Ryłski niezmiernie wyraził zdziwienie, jako że o zbiorce pułku nic nie wiedział. Bo pułk „ktoś” zaalarmował bez wiedzy ppłk. Ryłskiego. W czasie, gdy wszyscy oficerowie oczekiwali w kasynie bryg. Hallera, sierżanci-podchorążowie stali już na czele kompanij... Ppłk. Ryłski, chcąc wykazać twardą rękę przed władzą w tłumieniu ruchu ideowego — przeciwaustriackiego w pułku — postanowił znów „przymknąć” Mazurkiewicza, lecz pułk cały ujął się za nim i na zbiorce chóralnie żądał przyrzeczenia, że ani Mazurkiewicz ani nikt inny tak z oficerów, jak i podoficerów aresztowany nie będzie. Alarm pułku miał na celu przedstawienie płk. Hallerowi rzeczywistego stanu rzeczy, gdyż ppłk. Ryłski próśb żołnierskich o zwolnienie z Legjonów dalej nie odsyłał.

Z okna kasyna bryg. Haller spostrzegłszy, iż zebrany pułk zachowuje się gorączkowo — polecił orkiestrze przestać grać i indagował komendanta pułku: „Panie Ppułkowniku, nic mi Pan nie meldował o tem, co się dzieje w pułku; przeciwnie, z meldunków Pańskich, sądziłem, że w Zajezierzu zupełny porządek”...

Istotnie ppłk. Ryłski pomijał brygadę i w bezpośrednim porozumieniu z Komendą Legjonów (mjr. Zagórskim) tłumił akcję tych, którzy kilkakrotnie przy raportach oświadczali, że po uwięzieniu towarzyszków broni — królewaków nie mogą być zabawkami Beselera i A. O. K.

Z kasyna wysłano na plac alarmowy oficera inspekcyjnego ppor. Wałęgę, celem dokonania aresztowań sierżantów: Mazurkiewicza i Krzyczkowskiego, alisci o wydarcie tych ludzi z środka carrée mowy być nie mogło... Nie dość na tym. Pułk cały głośno ponadto żądał uwolnienia z aresztu piszącego te słowa. Ppłk. Ryłski wystraszony przysłał do mnie ppor. Dziurzyńskiego z rozkazem uwalniającym. Bryg. Haller wysłał na plac zbiórki kpt.: Popowicza i Terleckiego i dopiero po zaręczeniu zebranych żołnierzom, iż nikt w pułku aresztowanym nie będzie — pułk spokojnie, w największym porządku — kompanjami odmaszerował do koszar.

Nadmienić trzeba, że kpt. Popowicz z mądrością swego dojrzałego wieku, łączył entuzjazm dla Armji Narodowej i wprost zadziwiającą energję, to też był lubiany przez wszystkich żołnierzy.

Po południu odbył się przegląd pułku, a żołnierze wyjątkowo dbali o to, by dobre wrażenie na brygadjerze uczynić, chcąc tem samem podkreślić, że nie są zrewoltowanem wojskiem na tle antagonizmu stanowego. Brygadjer Haller okazał zadowolenie na przeglądzie z postawy pułku i widać było, iż dziwił się, jak ten żołnierz, który przed trzema godzinami podniósł „rokosz” zdołał powrócić do dyscypliny i karności.



6 p. p. Leg. na placu alarmowym w dniu 20.8.1917 r. (na pierwszym planie kpt. Popowicz Bolestaw — dziś generał bryg. d-ca 1 Dyw. Piech. Leg. Pol.).

W korpusie oficerskim 6 p. p. było tylko 7-miu oficerów, którzy popierali politykę mjra Zagórskiego. Olbrzymia większość oficerów rozumiała żołnierzy i szła z nimi ręka w rękę, kryjąc się jednak z tem na zewnątrz; żołnierze 6 p. p. popierali od dołu swych oficerów.

Bryg. Haller widząc, że tak niewinnie skończył się „bunt”, postanowił do reszty wybić nam z głowy idee 1-szej brygady i w tym celu postanowił wysłać pułk na 10-dniowe ćwiczenia do obozu Krasnogliny. Tam na ćwiczeniach polowych, w pustym polu miano urządzić nam „kwarantannę”. Do Krasnoglin nie przedrze się żaden „emisariusz” (jak mówił ppłk. Ryłski) z 1-go i 5-go p. p. Sztab opracowywał rozkaz wymarszu. Żołnierze, dowiedziawszy się o tem, krę-

cili głowami i podejrzewali, że jest to manewr. Pocóż nas wysyłać do Krasnoglin, gdy za kilka dni mamy przyrzeczone zwolnienie z formacji legionowej. Żołnierz lękał się zarządzeń ppłk. Rylskiego — nie ufał mu.

Bryg. Hallér chcąc upewnić się, że plan wymarszu na ćwiczenia powiedzie się równie, jak dopiero co odbyty przegląd — zapytał zebranych oficerów, czy w dalszym ciągu pewni są posłuchu żołnierzy. Oficerowie, nie chcąc dopuścić do tych ćwiczeń, które miały przeciągnąć nasz pobyt prowizoryczny w Zajezierzu, — wykręcali się tem, że pułk może się opierać. Mówili to właśnie ci oficerowie, którzy w najwyższym stopniu pewni byli posłuchu u żołnierzy. Jeden tylko por. O... zameldował, że pewny jest 5-ej kompanii, którą zresztą już w tym czasie nie dowodził (ja zastępczo dowodziłem tą kompanją). Bryg. Haller momenem ten opisuje w swym meldunku z dnia 24.VIII. 1917 r. L. 207 w sposób następujący:

„Pułk 6-ty jest zbuntowany. Ukryta sprężyna leży w Krakowie, skąd rozkazy przychodzą. Chcąc przekonać się osobiście, czy jeszcze byłoby możliwem zapanowanie nad pułkiem, byłem w obozie 6 p. p. pomimo, że wysłany na stację kolejową kpt. Popowicz chciał mnie odwieść od tego zamiaru... Po obiedzie zarządziłem zebranie 3-ch dowódców baonów, postawiłem im pytanie, czy panują nad żołnierzami i czy mają posłuch, na co otrzymałem odpowiedź, że nie, gdyż żołnierze stawiają warunki, od których nie odstępują: powrotu ppłk. Norwida i wszystkich zwolnionych oficerów we wszystkich pułkach, oraz zwolnienia internowanych w Szczypiornie. Gdy im odpowiedziałem, że to jest wykluczone, oni oświadczyli mi, że nie mogą ręczyć za posłuszeństwo. Zebrałem wtedy cały korpus oficerski. Na moje pytanie, czy żołnierze są im posłuszni i czy rozkazy ich będą wypełnione, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Jedynie por. O. zameldował, iż jego 5-ta kompanja rozkazu usłucha, chociaż mu tę kompanję nieprawnie odebrano. Pomimo sprzeciwu kpt. Gigiela wydałem rozkaz zaalarmować tę kompanję i zameldować za 15 minut. Gdy powrócił por. O. zameldował, że kilku żołnierzy go posłuchało, ale sierżanci przeszkadzają... dlatego kompanja nie da się zaalarmować“.

...,Dowódcą pułku został zamianowany ppłk. Rylski pomimo mego sprzeciwu. Zwróciłem uwagę wachm. żand. Widnerowi, który już był w drodze do Warszawy, że powinien wytrwać na stanowisku¹⁾.

¹⁾ Plut. żand. Widner na skutek tego rozkazu udał się na stację niemiecką pod opiekę niemieckiej kompanji, nie przerywając obserwacji „zbuntowanego“ 6 p. p.

Wreszcie proszę o jaknajszybsze odtransportowanie 6 p. p. na terytorjum austriackie. Józef Haller płk." ¹⁾).

Stańło na tem, że bryg. Haller przez kpt. Popowicza zaręczył nam słowem, że chodzi mu tylko o zachowanie prestige'u wydanego już wcześniej rozkazu o mających odbyć się ćwiczeniach; że sam dopilnuje, byśmy w najkrótszym czasie przestali być legionistami. Również bryg. Haller zgodził się na to, że na wspomniane ćwiczenia z pułkiem udadzą się tylko ci oficerowie, którzy razem z nami mieli odejść z Legionów Polskich.

W Zajeźdzu miało pozostać 6-ciu oficerów.

Porozumiewanie się tak zw. „rady” z bryg. Hallerem odbywało się w ten sposób, że kpt. Popowicz przedstawiał w kasynie nasze postulaty, odbierając je od nas w parku, gdzieśmy w całości się zebrali. Rankiem następnego dnia, t. j. 21 sierpnia o godz. 8-ej stanął pułk, jako baon na placu, gotowy do wymarszu na ćwiczenia polowe. Pan bryg. Haller przemawiał do nas serdecznie, tłumacząc nam, jaka to nas w przyszłości czeka rola wychowawców narodu, że będziemy w przyszłości czemś w rodzaju szkoły-rezerwoaru, przez którą przechodzić będą obywatele kraju. Przy dźwiękach orkiestry kompanje pomaszzerowały do Krasnoglin. W Krasnoglinach rozbiliśmy namioty i rozpoczęły się ćwiczenia. Po krótkich ćwiczeniach bryg. Haller zażądał, by mu ppłk. Ryłski przedstawił wszystkich tych sierżantów podchorążych, którzy mają ukończoną szkołę oficerską. Stańliśmy sznurkiem, a było nas około 20-tu; dowódca pułku przytem każdego z nas po kolei przedstawiał brygadjerowi, akcentując specjalnie nazwisko moje i Mazurkiewicza. Po sprezentowaniu nas, brygadjer przemówił w te słowa: „Panowie podchorążowie! pragnę wyjednać dla was nominacje oficerskie, słusznie się wam należące i w związku z tem musielibyście więc wyjechać do Warszawy na kilka dni, celem odbycia formalnego komisyjnego egzaminu. Proszę Panów kolejno oświadczyć się, kto z was chce jechać do Warszawy”...

W lot zrozumieliśmy, o co tu chodziło: o pozbycie się nas z pułku, boć w naszej grupie „raportowej” zamykał się właśnie cały sztab „rady”; z zebranych tylko sierż. Wydrz. wyraził zgodę na wyjazd (i wyjechał), reszta zrezygnowała narazie ze stopni oficerskich...

*) Ppłk. Ryłski po usunięciu go z pułku miał zatarg z bryg. Hallerem, na którego składał nawet zażalenie. Bryg. Haller w obecności młodszych oficerów miał mu stawić przykre zarzuty jak np.: „Opuściłeś Pan pułk (w Krasnoglinach) wbrew memu wyraźnemu rozkazowi, a zrobiłeś Pan to dlatego, by u siebie w Dęolinie w towarzystwie kobiet spijać szampana, o czem wiem, gdyż przekonałem się naocznie, znalazłszy na opuszczonem przez Pana pomieszkaniu dwie puste butelki na stole”.

Żołnierze przysłuchujący się temu raportowi, z niepokojem patrzyli na nas, czy też nie mamy zamiaru wyfrunąć z pułku do Warszawy po „szlify”. Chęć zaszachowania nas okazała się nietylko nieowocną, ale wydała rezultaty wprost przeciwne: był to przejaw dalszej próby, przeprowadzania „sanacji” przez odrzucenie na bok elementów niewygodnych.

W nocy (podczas ulewnego deszczu) pod gołym niebem za wspólnym porozumieniem się z korpusem oficerskim, pułk postanowił najjutrz wrócić do koszar i radykalnie położyć kres zakusom Komendy Legionów.

Kpt. Popowicz objął zastępczo komendę pułku i o świcie, zwinawszy namioty, ruszyliśmy z całym pułkiem do Zajezicza. W obawie, że pozostali w koszarach oficerowie, a w szczególności ppłk. Ryłski i por. O., mogą sprowokować niepożądane zamieszanie — adjutant ppor. Strzegocki wyprzedził kolumnę i powiódł do ppłk. Ryłskiego pismo, w którym żądano: niezwłocznego wyjazdu z Zajezicza do Warszawy właśnie ppłk. Ryłskiego i tych 6-ciu oficerów, którzy nie solidaryzowali się z większością korpusu oficerskiego. Oficerowie ci mieli opuścić garnizon do godz. 16.30. Uważaliśmy, że dalsze wspólne pożycie z antagonistami nic dobrego nie wróży, a tylko sprowadza ferment do pułku.

Ażeby dać mnożność i czas wycofania się tym 7-miu oficerom, oraz dla uniknięcia starcia — pułk nie wszedł o godz. 16-ej do koszar, a zatrzymał się na placu ćwiczeń pod Zajeziczem. Kpt. Popowicz wysłał do ppłk. Ryłskiego kompanję honorową po sztandar, który był już zapakowany i miał być wywieziony do Warszawy. W określonym czasie wspomniani oficerowie (wraz z bryg. Hallerem) garnizon opuścili; rozkazowi oparł się jeno por. O., który z racji swego gorącego temperamentu mógł pułkowi nawyczyniać zgola niepożądanych przykrości. Tu nadmienić muszę, że ppłk. Ryłski, chcąc przedstawić swój wyjazd z pułku w formie więcej usprawiedliwionej — rzucił na pułk oskarżenie, że nocą do jego mieszkania (w którym kwaterował i bryg. Haller) wrzucono „bombę”. Była to nieudolnie wykonana blaszanka, napełniona prochem, która nie mogła nawet być niebezpieczną. Oficerowie pułku przeprowadzili ścisłe śledztwo i uznali ten zarzut za prowokację, co nawet żandarm Widner w swoim tajnym meldunku do majora Zagórskiego (L. 199/17) potwierdza jako *robotę prowokatorską*. Pułk wkroczył z orkiestrą do koszar. Atmosfera została oczyszczona, gdyż w pułku nikt się nie ostał taki, by siedł na rękę Komendzie Legionów. Komendant posterunku żandarmerji Widner otrzymał również rozkaz wyjazdu do Warszawy. Dowódca pułku w. z. kpt. Terlecki wysłał przez oficera inspekcyjnego rozkaz piśmienny do

por. O., by bezwzględnie opuścił garnizon i zameldował się w Komen-
dzie Legionów. Por. O. opierał się dalej, wtedy oficer inspekcyjny,
stosownie do rozkazu wystawił przed jego kwaterą posterunek. Nie-
stety, stała się rzecz bardzo przykra i smutna, bo oficer ten wykorzy-
stał okoliczność kwaterowania w domu komendantury niemieckiej
i niewiele sobie co robił z rozkazu dowódcy pułku, wreszcie posteru-
nek legionowy został przez Niemców rozbrojony i wywieziony do
Warszawy. W związku z tem korpus oficerski 6 p. p. wyciągnął ostre
konsekwencje honorowe w stosunku do por. O.



Przemysł — Sąd polowy Polskiego Korpusu Posiłkowego w 1917 roku.

W pułku panował nadzwyczajny porządek, tak, że nawet „obserwa-
tor“ Widner w poufnym meldunku do Komendy Legionów pisze:
„Pułk zachowuje pozory absolutnego porządku; wystawili posterunki,
mają coś w rodzaju żandarmerji“. Istotnie tak oficerowie jak i podofi-
cerowie dbaliśmy wszyscy, by ten stan chorobowy pułku czemprędzej
miał, a pojmując, iż żołnierze po takich przejściach mogą łatwo ulec
demoralizacji i stracie dyscypliny — tego dnia na zebraniu „rady“
wspólnie z oficerami postanowiliśmy wszelkimi środkami wzmocnić
dyscyplinę i najmniejsze przejawy rozluźnienia tępić nielitościwie, dla
przykładu; inaczej mówiąc, wzięliśmy krótko pułk i w żadnym chyba
wojsku nigdy nie było tak harmonijnej współpracy podoficera z ofi-
cerem, jak odtąd w naszym pułku. Gorliwość nasza w służbie tak da-

lece sięgała, że była ona nieomal powodem incydentu z Niemcami, a mianowicie: wieczorem, spotkawszy się z sierż. Krzyczkowskim, dowiedziałem się, że niektórzy nasi żołnierze oddalają się do pobliskich miejscowości — do swoich znajomych. Oczywiście nie były to dezercje w całym tego słowa znaczeniu, jednakże po takich przejściach (otwarta wojna z Komendą Legjonów i Beselerem), nie mogliśmy pozwolić na to, by siły swe osłabiać, tembardziej, że spodziewaliśmy się zbrojnego odwetu. Przymusowy wyjazd ppłk. Rylskiego i jego sztabu nie mógł ująć bezkarnie. Chociaż byłem niezmiernie przemęczony — zaproponowałem Krzyczkowskiemu udać się ze mną wraz z patrolem na stację Dęblin, by ewentualnie napotkanych „łazików” zawrócić do koszar. Wziąłem ze swej kompanji 6-ciu ludzi i razem nas 8-miu pomaszzerowało na stację Dęblin austriacki. Nie spotkawszy nikogo na tej stacji, zaproponowałem Krzyczkowskiemu spatrołowanie stacji Dęblin warszawski (niemiecki). Około północy podeszliśmy cicho pod budynek stacyjny, ale i tam żadnego „szóstaka” nie było. Już mieliśmy zawracać, ale coś mnie tknęło i udałem się z patrolem na stację od strony peronu. Oczom swoim uwierzyć nie mogłem: w kancelarji cesarsko-niemieckiej komendantury dworca — żandarm Widner rozmawiał z niemieckim leutnantem. Ponieważ żandarm ten miał rozkaz udania się do Warszawy, a rozkazu nie wykonawszy, ukrył się na stacji niemieckiej — oburzony z racji jego „pokumania się” z prusactwem, — postanowiłem go aresztować i przyprowadzić do Zajeziera. Wkroczyłem wraz z żołnierzami („bagnet na broń”) do wnętrza kancelarji i poleciłem Widnerowi udać się za mną. Ten zupełnie pewny, że mu Niemcy krzywdy nie dadzą uczynić — odparł, że nie ma zamiaru mnie słuchać, gdyż on tu został postawiony przez bryg. Hallera. Leutnant tymczasem zarepetował pistolet i z progu krzyknął: „ganze Wa-che”, poczem, „Gewehr laden”. Chciano nas rozbroić, ale oświadczyłem Niemcom, że raczej zginę sam i ich wystrzelam, a nie poddam się. Prusacy wystraszeni, choć mieli znaczną przewagę nademną (przeszło 30-tu żołnierzy) — pokojowo dali mi się wycofać; rzecz jasna z za-aresztowania żandarma Widnera zrezygnowałem. Chwilę tę opisuje Widner w protokule z dnia 22.IX 1917 r. (akty procesu przemyskiego).

„...Kompletnego składu „rady żołnierskiej” nie znam, a nawet żołnierze w pułku sami tego nie znali. Do rady tej niewątpliwie należeli: sierżanci: Mazurkiewicz, Krzyczkowski, Kierkowski, Wadas i Czajkowski, Mam na to dowody, nietyle faktyczne, ile moralne, a w szczególności ogromny wpływ tych ludzi w pułku”.

„Gdy po wyjeździe ppłk. Rylskiego z Dęblina do Warszawy przebywałem po prawej stronie Wisły, na dworcu kolejowym niemieckim, w kancelarji cesarsko-niemieckiej komendantury tego dworca, przy-

szli o godz. 12-ej w nocy sierż. Kierkowski Kazimierz i Krzyczkowski Djonizy, mając pod sobą 10—12 żołnierzy, uzbrojonych w karabiny z osadzonymi bagnetami. Część tej patroli była na dworze, a 5—6 z Kierkowskim na czele weszło do kancelarii. Sierż. Kierkowski oznajmił mi, że jestem aresztowany za nieposłuchanie rozkazu i że mam się udać z nim do komendy 6 p. p. Ja na to odpowiedziałem, że mam już rozkazy od mojej władzy przełożonej, a zbuntowany pułk nie jest dla mnie żadną władzą. Na to, Kierkowski zagroził mi użyciem broni. W tej chwili nadeszli zawołani przez obecnego w kancelarii porucznika niemieckiego — żołnierze niemieccy, zamknęli wyjście, otoczywszy legjonistów. Niemiecki porucznik dał rozkaz swoim ludziom naładować broń, a wówczas zwróciłem się do obu wymienionych sierżantów, aby nie dopuścili do dalszych konsekwencji, na co mi odpowiedzieli, że ich ludzie mają także broń naładowaną. Legjoniści, stojący na dworze byli również objęci półkolem żołnierzy niemieckich zamykających przystęp do budynku. Wyszliśmy wszyscy na dwór, a sierż. Kierkowski kazał legjonisom obrócić się przeciw Niemcom frontem. Następnie zrezygnowali obaj sierżanci z zaaresztowania mnie, jednakże Niemcy nie puścili ich, oświadczając im, że są aresztowani do nadejścia kapitana. Gdy nadszedł kapitan — komendant dworca, zawołał mnie do kancelarii i pytał, co on ma z nimi zrobić. Na to mu odpowiedziałem, że chcę ich aresztować, jednakże ów kapitan wyraził wątpliwość, czy należy przedsięwziąć ich aresztowanie; w rezultacie nie bardzo наставаłem i poprosiłem, by kapitan wydał co do tych ludzi jakiś definitywny rozkaz, ażebym ja był kryty przed moją komendą. Wówczas oświadczył mi kapitan, że on tu decyduje i zwróciwszy się do legjonistów powiedział: „Sie können gehen”, wskutek czego legjoniści odeszli, a komendant dworca tłumaczył mi potem, że nie mógł zarządzić ich aresztowania, bo ma do dyspozycji tylko 30-tu ludzi, zaś bataljon niemiecki z Łukowa ma nadejść dopiero na drugi dzień, a gdyby ludzie w 6 p. p. w Zajezierzu spostrzegli, że tych 2-ch sierżantów (o których powiedziałem kapitanowi, że są przywódcami) niema, mógłby pułk o nich upomnieć się na dworcu”.

Szczęśliwie nie doszło do krwawej rozprawy, z której my jako grubo licznie słabsi (6-ciu na 30-tu) nie wyszlibyśmy cało, zresztą za wszelką cenę było tendencją pułku nie dopuścić do rozlewu krwi, gdyż się zdawało, że jeszcze nie dojdzie do całkowitego rozbicia Legjonów i że państwa centralne ulegną naszym narodowym żądaniom. Wracając z tego patrolu (Niemcy w Warszawie podnieśli go do zbrojnego napadu na stację), spostrzegliśmy, że cały teren przyczółka mostowego oświetlony był jak w dzień. To komendant przyczółka gen. Ham wobec postawy 6-go p. p., trzymał w ostrem pogotowiu najbliższe gar-

nizony (i lazarety!), oświetlając sobie na wszelki wypadek teren ewentualnych starć zbrojnych. Awantura z patrolem moim wywołała ożywioną korespondencję między Beselerem, A. O. K. i głównym sztabem niemieckim (akty procesu przemyskiego), a łącznie z wojowniczymi nastrojami 6 p. p. — wpłynęła na szybsze wycofanie wszystkich formacji legjonowych do Przemyśla i jego okolic.

24-go sierpnia o godz. 16-ej Beseler nadszedł na 6 p. p. baony szturmowe z Jabłonny i szwadron ułanów (jako asystencję) pod dowództwem mjr. Philippi'ego. Kpt. Terlecki pertraktował z nim i wspólnie



Na więziennym spacerze (grupa podchorążych 6 p. p. Leg.).

ustaloną została linja demarkacyjna między wspomnianymi bataljonami niemieckimi, a 6 p. p. Niemcy się okopali — my też, wystawiwszy placówki, a cały pułk był w pogotowiu alarmowym. Od strony przeciwnej wysyłałismy patrole cyklistów, wypatrujące, czy nie idą na nas i Austriacy. Pułk był zdecydowany bić się, gdyby Niemcy usiłowali nas rozbrajać. Mjr. Philippi zażądał wydania broni, ale kpt. Terlecki odpowiedział mu, że nastąpić może to wtedy, gdy pułk dostanie w zamian Mauserów — nasze zdobyte w polu Mannlichery. Oddaliśmy Niemcom tylko 2 uszkodzone Maximy, nie mając do nich większej ilości amunicji. Żądanie Niemców, by pułk wydał nas 4-ch (jako „agitatorów”) przez korpus oficerski zostało odparte, pomimo, że Philippi

groził „angryfem”. Bóg raczy wiedzieć, jakby się ta awantura skończyła, gdyby nie to, że nocy krytycznej nadeszły depesze z Komendy Legionów (i Philippi miał je w odpisie), że mamy się wagonować i odjeżdżać do Przemyśla, już jako „oddani” z powrotem ś. p. Austrii.

Philippi otoczył nas pierścieniem swych oddziałów szturmowych i 28 sierpnia opuszczaliśmy Zajezerze w kierunku na Dęblin, a za nami o 200—250 kroków piechota niemiecka postępowała z granatami, ubezpieczona na skrzydłach kawalerją. Tak się skończył pobyt w Kongresówce pułków legionowych. Mniej więcej o tym samym czasie i wszystkie inne pułki wyjeżdżały w kierunku na Przemyśl. Przy odjeździe 6 p. p. pozostała szczupła garstka oficerów, gdyż na parę dni przed tym „exodus” została zwolniona większa część oficerów i — odjechała do stacji zbornej w Krakowie, gdzie już zbierali się oficerowie legionowi wraz z płk. Śmigłym-Rydzem. Wagony naszego transportu bieleły się od rysunków i napisów kredowych przeciwaustriackich i przeciwniemieckich; najpopularniejsze napisy brzmiały: „na szubienicę Wilhelma i Karola”! „śmierć Beselerowi”! „Precz z Zagórskim”! „Niech żyje Polska”! „Niech żyje Brygadjer Piłsudski”! — Na całej długości linii kolejowej Dęblin — Przemyśl stali wzdłuż toru żołnierze, tworząc jakby szpaler: na okupacji niemieckiej — prusacy, a dalej — „trep”. W czasie przejazdu przez stacje kolejowe (miasta) warty przedwcześnie usuwały z dworców publiczność, która pomimo to manifestowała na rzecz naszą. Próby oficerów austriackich ścierania złośliwych karykatur i napisów z wagonów były bezowocne, gdyż żołnierze swych rysunków bronili karabinami.

Jechaliśmy tak do Przemyśla przygnębieni myślą, że wkrótce jednak na serjo rzucimy nasze mundury i pójdziemy na beznadziejną tułaczkę. Aleśmy ufali Komendantowi, że tak, jak się stało musiało być. Wjeżdżających wieczorem do Przemyśla (29 sierpnia) ludność miasta witała radosnymi okrzykami. Za to już przy wyładowaniu transportu stał na uboczu sztab Komendy Legionów z majorem Zagórskim, a ten ostatni wodził szyderczym wzrokiem po nas, jakby czyhajac na ofiary...

Wskazano nam wieś Pikulice jako miejsce zakwaterowania. W nocy z 29 na 30-go zajęliśmy szopy artyleryjskie, tuż obok 4-go p. p., który dnia następnego zjechał. Pierwszy i piąty p. p. kwaterował we wsi Siedliska (w odległości około 7 km. od nas). 30-go sierpnia przyjechał do 6-go i 4-go p. p. gen. austr. Schilling (komendant twierdzy Przemyśl) i osobiście odczytywał nam przed frontem niektóre ważne paragrafy z ustawy karnej i ostrzegał przed skutkami sądu wojenno-

polowego, co chwila grożąc śmiercią winnym. Wiara słuchając tych ostrzeżeń, uśmiechała się tylko i myślała o tem, w jaki sposób ustrzajkom nowego figła spłatać. Schilling porozumiewał się z nami po polsku, w gwarze mazurskiej.

Dnia 31-go sierpnia w rannych godzinach na stację Przemyśl przyjechało 6-ciu oficerów 6 p. p.: kpt. Giegel, podpor.: Dziurzyński, Greszel, Urbański, Jankowski i chor. Jarosz. Oficerowie ci bowiem, przekonawszy się w Krakowie, iż oficerowie innych pułków legjonowych pozostali przy swych żołnierzach,—postanowili wrócić



Wnętrze sali więziennej w Przemyślu (w głębi podchorążowie 6 p. p. leg.).

do Pikulic, owacyjnie witani przez żołnierzy, którzy dotąd zazdrosnym okiem patrzyli na 4 p. p., gdzie każda kompanja niemal posiadała przynajmniej 1-go oficera. Za chwilę telefonuje mjr. Zagórski z Komendy Legjonów i wzywa dowódcę pułku, by się natychmiast zameldował ze „zbiegami“. Dowódca kpt. Terlecki dyplomatycznie pomijał milczeniem rozkaz Zagórskiego, wreszcie ten ostatni zniecierpliwiony zasłaniając się autorytetem gen. Schilinga o godz. 11-ej rano przysłał automobilem por. żand. Witeckiego z 4-ma żandarmami celem przyaresztowania kpt. Gigla z jego 5-ma towarzyszami. Wyprawa skończyła się rozbrojeniem żandarmów i demonstracyjnem, chwilowem

ich aresztowaniem, zresztą w pół godziny później żandarmi odjechali z niczem do Przemyśla. Teraz kości zostały rzucone. Po zaaresztowaniu wysłannika komendanta twierdzy, domyślaliśmy się, że niewątpliwie dojdzie do kwawej rozprawy, a nie mając nic do stracenia, na wspólnym zebraniu 4-go i 6-go p. p. postanowiliśmy zaproponować pułkom 1-ej brygady wspólny zbrojny napad na garnizon austriacki w Przemyśle, skonfiskowanie magazynów austriackich broni i amunicji i ruszenie w kierunku frontu małopolskiego.

Wypadki w dniu 31 sierpnia następowały z tak piorunującą szybkością po sobie, że z decyzją podjęcia walki z austriakami nie można było zwlekać. Wysłaliśmy konno oficera do Siedlisk i tam odbyło się wspólne zebranie oficerów 1-szej brygady, debatujące nad propozycją zbrojną 4-go i 6-go p. p. My w Pikulicach tymczasem przygotowaliśmy się już do akcji, tak, że np. moja kompanja miała obsadzić i zdobyć główny magazyn amunicji. Na zebraniu w Siedliskach nie byłem. Delegat nasz powrócił z tem, że w Siedliskach postanowiono nie dopuścić do rozlewu krwi, a zająć stanowisko wychekujące.

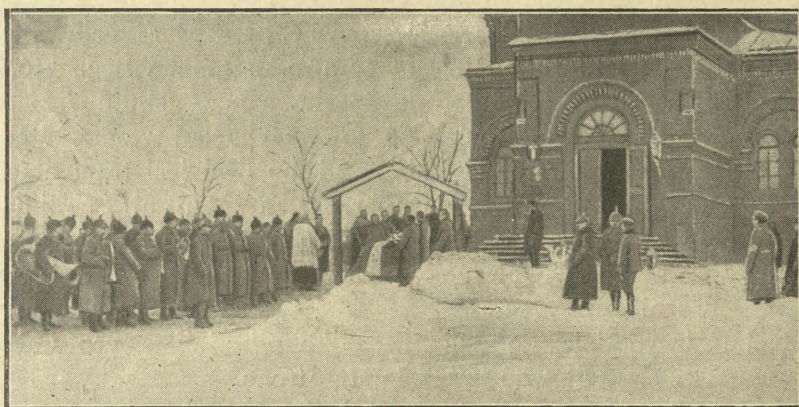
Na wspomnianej naradzie 1-go i 5-go p. p. uznano, że proponowana akcja zbrojna nie miałaby większego powodzenia, a naraziłaby nas tylko na stratę żołnierza, „przed którym w najbliższej przyszłości stoją wielkie zadania”. Z uwagi na autorytet starszych kolegów z 1-ej brygady przyjęliśmy tę decyzję bez szemrania i oczekiwaliśmy dalszych losów... Niedługo było to czekanie. Około godz. 15-ej wyszedł rozkaz oficerski P. K. P. Nr. 155: „Wobec wypadku zaszłego w 6 p. p., że odejściu zwolnionych oficerów oparli się ci sami i żołnierze, ogłasza Eksc. gen. por. v. Schilling, iż potępia bezwzględnie to postępowanie i nie dopuści do powtórzenia, nie cofając się przed najsurowszymi środkami”... (styl autentyczny).

..., Oddziały podadzą do 24 godzin po otrzymaniu tego rozkazu spis podoficerów i żołnierzy, którzy należeli względnie należą do rad podoficerskich, względnie żołnierskich”.

Około godz. 17-ej obóz pikulicki otoczyli austriacy. Ja wtedy byłem w mieszkaniu u kpt. Kustronia i narazie uniknąłem aresztowania. Austriacy (kilka bataljonów piechoty i kawalerja węgierska) wyczytywali z listy pewne nazwiska i tak wsadziwszy na wozy: z 4 p. p.: kpt. Sikorskiego Franciszka, kpt. Zulaufa, por. Więckowskiego Erwina i ppor. Szczerskiego-Klarsfelda, oraz kilku podchorążych 6 p. p.: Mazurkiewicza, Wadasa i Strzelichowskiego powieźli ich do Przemyśla i wtrącili do więzienia. Oficerowie zostali umieszczeni przy ul. Koszarowej; podoficerów — w budynku-magazynie należącym do 18 p. p. obrony krajowej (Bakończyce, ul. Dworskiego). W Przemyśle ludność

cywilna (a głównie kobiety) manifestowała przed Komendą twierdzy na rzecz aresztowanych. Początkowo aresztowani mieli być sądzeni w trybie doraźnym, ale, podobno interwencja Koła Polskiego w Wiedniu wpłynęła na to, że więźniowie mieli być sądzeni przez sąd polowy P. P. P. Po tak zwanym „oblężeniu Pikulic” złe duchy doradzały komendantnowi P. K. P. by dokonywał dalszych aresztowań opornych. Biedny brygadjer Zieliński był wprost terroryzowany przez mjr. Zagórskiego i mjr. audytora Ganczarskiego Artura, referenta „sprawiedliwości”. Odpłacano wtedy 6-mu pułkowi za Dęblin i Pikulice.

Ja jeszcze przez parę dni pozostawałem wolny w pułku, aczkolwiek oddalać się z koszar nie mogłem, gdyż żandarmi czychali na mnie poza



Eksportacja sierżanta 4 p. p. Leg. Gorlickiego zmarłego w obozie intern. legjon. w Łomży.

ściłym terenem pułku: do koszar nie mieli odwagi wejść bez osłony austriackich bataljonów!

Zapomniałem dodać, że jeszcze przed samem najściem Austriaków na Pikulice, tych 6-ciu oficerów 6 p. p., których ścigał mjr. Zagórski, wyjechało z powrotem do Krakowa. W tym czasie komendę 6 p. p. objął kpt. Głowiński (z ramienia Kom. Leg.), 4-ym pułkiem dowodził kpt. Kustroń, a brygadą kpt. Pieracki Bronisław. W pułku 6-ym z tych oficerów, którzy szli razem z rzeszą żołnierską pozostało niewiele (3—4-ch): napływali nasyłani przez Komendę Legjonów oficerowie-„sanatorzy”. Ja musiałem do ostatniej chwili podtrzymać nastrój wśród żołnierzy i byłem wtedy prawie jedynym ich „patronem”. Z czasów tych pozostał mi w zbiorach list ówczesnego por. (dziś pułk. Szt. Gen.) Wacława Stachewicza-Styka, pisany do mnie z Siedlisk: „Ob. chorąży z 6 p. p., który wczoraj był u nas, zawiózł Wam ustne

instrukcje. Ja Wam kilka słów wyjaśnię jeszcze: Komenda Legionów uzyskała najprawdopodobniej w A. O. K. rozkaz o odesłaniu do armji austriackiej wszystkich „zbuntowanych pułków”. To jest jej dążeniem obecnie; chce pozostawić sobie tylko niektóre pułki. Tymczasem A. O. K. nie jest jeszcze zdecydowane, jak to wynika z tego, co wczoraj Schilling mówił rtm. Zaruskiemu przy raporcie. Powiedział mu, że od dwóch dni były już rozkazy o odesłaniu tych, co prosili o zwolnienie, do armji austriackiej np. 4 p. p. Tymczasem wczoraj wieczorem przyszedł nowy rozkaz, że nie będziemy teraz odesłani do komend uzupełniających, a wszystkie pułki *razem* pójdą na front, a tam dopiero będziemy porozdzielani do polskich pułków. Wszystko jedno czy te kombinacje są możliwe, ale w każdym razie świadczy to o tem, że A. O. K. nie jest zdecydowane co do tego, jak ma z nami postąpić, zwłaszcza, że teraz jest, jak wiecie zapewne, poseł Daszyński i Lieberman u Czernina i klarują mu całą sprawę. Komenda Leg., która za wszelką cenę chce doprowadzić do odesłania nas, usiłuje koniecznie nas prowokować, spowodować jakiś nowy wybuch i wtedy przedstawić A. O. K. sprawę w ten sposób, że niemożliwe jest trzymanie nas nadal razem. Np. o aresztowaniu ppor. Dzika z 1 p. uł. Schilling nie wiedział, było ono zarządzone przez Zagórskiego. My na razie nie możemy się dać sprowokować Komendzie Legionów. Nie myślcie, że to jest z naszej strony cofanie się. Teraz co do was: nie upadajcie na duchu; trzymajcie się dzielnie, tylko pilnujcie swych kolegów, żeby nie dali się agitować przez tamtą stronę.

Cześć — Styk”.

List ten charakteryzuje ciężkie chwile przemyskie, pełne depresji. Dwukrotnie zjeżdżał do Pikulic Schilling i osobiście badał każdego czwartaka i szóstaka, czy istotnie chce się przenieść do armji austriackiej. Stary ten generał znał mnie jako „niebezpiecznego” (ktoś mnie z jego sztabu wskazał) i ciągle mi groził sądem i — rozstrzelaniem.... W czasie takiego badania przez Schillinga żołnierzy 4 p. p. został aresztowany (przez kpt. Kleberga) sierż. Kublin Stanisław za notowanie nielicznych zresztą nazwisk tych żołnierzy, którzy będąc wystraszeni „komisją” decydowali się pozostać w Legionach. Prokurator usiłował przymknąć w 4 p. p. t. zw. „radę” w osobach sierżantów: Trelli Stanisława (10-ta komp.), Skrzywanka Franciszka (12-ta komp.), Felisia Zygmunta (5-ta komp.), Bugajskiego Stanisława (8 kmp.), Jarosza Zygmunta (12-ta komp.), Korczyńskiego, Niemczuka, Boddzente (11-ta komp.), plut. Kowalczyka Tomasza (8 komp.) i Tajnera, ale szybkie odtransportowanie 4 p. p. na front włoski uchroniło tych ludzi od magazynu Bakończyckiego (więzienie nasze).

Żegnaliśmy z bólem serca 4 p. p., który już jak i my broni nie posiadał. Podpieraliśmy się mocnymi kijami! Pozbawieni tego jedynego argumentu żołnierskiego, jakim jest karabin, czuliśmy się już jak aresztanci, oczekując zresztą lada dzień zamknięcia. Wreszcie zabrano i mnie. Chor. dr. Kurowski (obecnie notariusz w Drohobyczu), uczciwy człowiek i patriota, który tak, jak i por. aud. Krzemieński Jakób (dziś gen. bryg. — prezes Najwyższego Sądu Wojskowego) i dr. ppor. Polakiewicz Karol (obecnie poseł), potrafił dużo dobrego na swem sta-



Resztką 1-go baonu 5 p. p. Leg. w obozie intern. legjon. w Łomży.

nowisku dla nas uczynić;—po przesłuchaniu smutnie zakomunikował mi, że jestem aresztowany. Nie zdziwiłem się bynajmniej, a nawet rad byłem, że za chwilę ujrzę twarze serdecznych kolegów więźniów. W więzieniu siedziało nas kilkudziesięciu:

Z 1 p. uł.: wachm. Filipowicz Julian, wachm. Langier Tadeusz, wachm. Grad-Soniński Józef i kapr. Poznański Józef.

Z 4 pp. leg.: sierż. Kublin Stanisław (zwolniony po kilku dniach).

Z 1 komp. sap.: plut. Peristy Edward, kaprale: Młodecki Jan, Krajewski Jakób, Czosnyka A., Cisowski Józef, Bartkiewicz Ludwik, st. żołn. Białobrzeski Karol i szeregowcy: Jaroszewski Józef, Buczyński Stanisław.

Z 1 p. art.: ogniom. Hanzlik Tadeusz, plut. Nowotny Stanisław, kapr. Zacharski Edward i szer. Hauser-Ruszkowski Ludwik.

Z 6 pp. leg.: sierż.-podchor. Mazurkiewicz Jan, Kierkowski Kazimierz, Wadas Bronisław, Krzyczkowski Dionizy, Strzelichowski Stanisław, Ciastoń Jan Kazimierz, Czajkowski Bolesław, Kraus Jan; sierżanci; Łysakowski Edward, Kieblesz Piotr, Mąka, Ślusarczyk Ludwik, Maciejewski Bolesław, Stokłoskiński Stanisław. Plutonowi: Tusch Bronisław, Ostrowski Edward, Kawa Zygmunt, Zawisza Mieczysław, Schuster Emil, Łucki Jerzy Michał; sekcyjni Giza Wincenty, Lema Józef, Eustachiewicz Adam, Miarczyński Bolesław; st. żołn.: Rettinger Roman, Bernstein Henryk i Kotlarczuk Franciszek.

W więzieniu oficerskiem przy ul. Koszarowej byli uwięzieni prócz aresztowanych 4-ch oficerów w Pikulicach (4 pp.): kpt. Tokarzewski-Karasiewicz Michał, rtm. Zaruski Marjan, ppor. Kleszczyński-Dzik Edward, ppor. Żuławski Janusz i chor. Węgrzynowski.

W jakich warunkach więziennych znajdowali się oficerowie nie wiem, — nas kilkudziesięciu trzymano w zamknięciu w jednej zimnej sali (betonowanej), gdzie bez łóżek, wprost na podłodze, przesiedzieliśmy do 23-go listopada 1917 roku.

Na początku usiłowaliśmy w energiczny sposób żądać lepszych warunków i — więcej ludzkiego traktowania. Na to zjawił się u nas mjr. aud. Ganczarski i grożąc nam zamknięciem w lochach 10-metrów pod ziemią, nie myślał uwzględniać naszych skarg.

Nasi „opiekunowie“ dwaj profosi: chorwat i czech wybijali nam z głowy jakiegokolwiek pretensje. Rachowali nas kilkakrotnie w ciągu dnia jak ulegalki i segregowali według ciężkości oskarżenia. Na większości nas ciążył § 159 (zbrodnia buntu), ale specjalną już troskliwością otaczali profosi i komendanci wart mnie i Mazurkiewicza. Każdorazowy nowy komendant warty wchodził na salę, a profos Kulauzoff dotykał nas dwóch palcem i mówił: „To—ci“. W oczekiwaniu procesu płynęły nam dni na grze w szachy, a noce na rozmyślaniu, że jednak chleb to jest dobra rzecz... Bywało, że przez noc całą śnił mi się chleb razowy i pachniał mi dręcząco. Po pewnym czasie pani mecenasowa W. Tarnawska (żona pośła) zorganizowała Koło pomocy dla nas „buntowników“, ale musieliśmy z miejsca zrezygnować z tej pomocy, bo żandarmerja więzienna nie pozwalała na wyłączną opiekę nad nami, żądając rozszerzenia tej opieki i na drugą część więzienia: na zwykłych kryminalistów: szykana oczywista. Czynione były przygotowania do rozpoczęcia procesu, który miał być prowadzony grupami według pułków. Na pierwszy ogień miała pójść sprawa 1 p. uł. jako stosunkowo nie tak ostra, jak np. 4-go i 6 pp. Chodziło o zyska-

nie na czasie, gdyż tak obrona (poseł dr. Herman Lieberman i dr. Zygmunt Marek), zarówno jak i Koło Polskie w Wiedniu dążyli do abolicji. Czernin potrzebując głosów polskich do uchwalenia kredytów wojennych—obiecywał, że wyjedna dla nas abolicję. Tymczasem rozpoczęła się pierwsza serja procesu (1 p. uł.) A. O. K. na skutek silnych zabiegów, zgodziło się na obecność na procesie naszym mężów zaufania społeczeństwa, między którymi byli: ówczesny prof. uniw. Ignacy Mościcki (dziś Prezydent Rzeczypospolitej), prof. Bujak, redaktor „Kurjera Lwowskiego” Wysłouch, Marchlewski i inni.

Dzięki świetnej obronie dra. H. Liebermana i — prowadzącemu sprawę por. dr. Krzemińskiemu Jakóbowi, po kilkudniowych rozprawach zapadł wyrok uwalniający od winy i kary oficerów i podoficerów 1-go pułku ułanów. Oskarżyciel por. dr. Sikorski Bronisław również nie zdradzał prokuratorskiej bezwzględności...

Po ukończeniu sprawy 1 p. uł. miał pójść inny pułk pod sąd, tymczasem dni upływały, a żaden z nas pozostałych aktu oskarżenia nie otrzymywał. Trwały dalsze w Wiedniu targi o nas, a wyrok uwalniający „rokoszan” z 1 p. ułanów oburzył srodze wiernych poddanych „Jego Apostolskiej Mości”...

Sąd polowy P. K. P. pomimo wszystko prowadził dalsze śledztwo przeciw nam. Mnie, jako królewiaкови dr. Lieberman zalecił nie przyznawać się do swej przynależności, (i tak zostałem Krakowianinem!), gdyż inaczej zostałbym wyeliminowanym z grupy oskarżonych i — sądzony przez Beselera w Warszawie, co na zdrowie wyjść mi nie mogło, a z nieboszczką Austrią można było licho wie, co wyczyniać; wszak był to już trup cuchnący.

NOTATKI WIEZIENNE.

20 września.

Zawdzięczając przejętemu listowi, wysłanemu przez plut. Schustra do 6 p. p. leg. w sprawie naszego odbicia, w momencie załadowywania się obok naszego więzienia, odchodzącego na front włoski pułku, — Austriacy biorąc list ten serjo, sprowadzili cały prawie garnizon przemyski pod nasz budynek (jako ochronę).

Czajkowski za usiłowanie złożenia zażalenia na profosa został ukarany 3-dniowym postem i twardem łóżem, ale ta druga kara stale nas dotyka jako, że leżymy na posadzce.

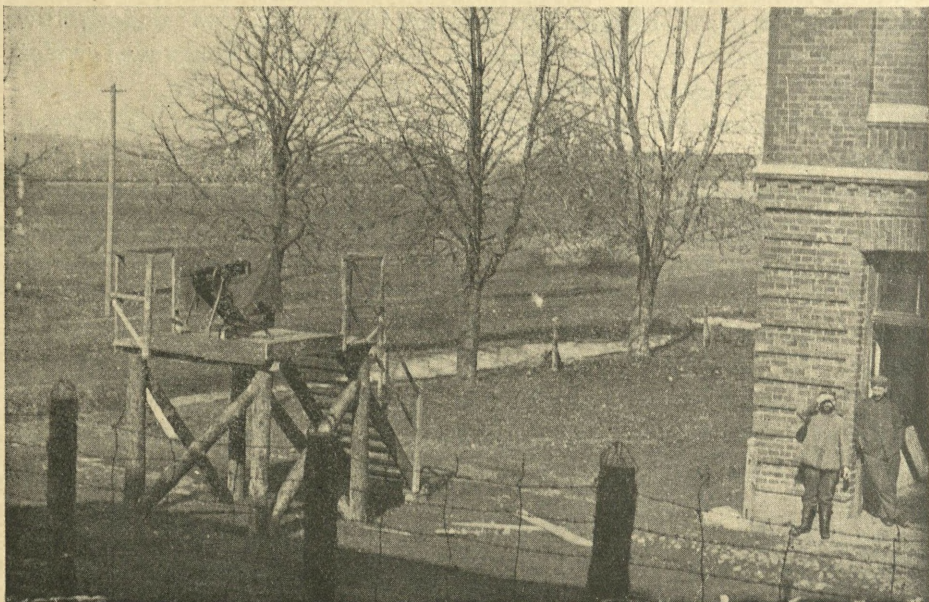
4 października.

Podobno Zagórski wyzywa posłów: Daszyńskiego i Moraczewskiego? Z Czerninem odbywają się konferencje w sprawie Legjonów. Bataljon 3-ci 5 p. p. nadesłał nam 100 marek. Sprowadzono nam ks.

Panasia: mszę odprawił w więzieniu. Wtrącono do naszej sali szpiega, ale się zaraz na nim poznaliśmy i w chwilę potem usunęliśmy go. Podobno wczoraj ppor. Dzieduszycki znieważył czynnie Zagórskiego.

7 października.

Brygada 2-ga (uzupełniona) idzie na front; z tej racji i my otrzymujemy polową, zwiększoną rację tytoniu. Krążą wersje, że więzienie nasze ma być przeniesione do Czerniowiec. Odwiedził nas mjr. Ganczarski i radził „dla zmycia hańby” zgłaszać się na ochotnika na front włoski. Przez cały czas jego inspekcji demonstracyjnie milczeliśmy.



Obóz internowanych legionistów w Łomży. „Ustawiony na wszelki wypadek” karabin maszynowy przeciw internowanym legionistom.

14 października.

Był u nas dr. Lieberman. W Wiedniu poruszono sprawę naszą u Czernina i Seidlera, jest tendencja, by naszemu procesowi łeb ukręcić.

15 października.

Zjechał do sądu polowego hr. Adam Tarnowski i miał naradę z sędziami...

Brak papierosów. Zimno. Kawalerzystom grozi 8—10 lat „cienia”. Dwustu pięćdziesięciu oficerów i podoficerów Polskiego Korpusu Po-

siłkowego jedzie na niedzielną uroczystość intronizacji Regentów w Warszawie.

20 października.

Za głośne śpiewy grożą nam dodatkowemi karami, a przedewszystkiem wstrzymaniem korespondencji. Nowotnego odwiedził stryj jego generał austr.; profos skonsternowany. Jakże to c. i k. generał może być krewnym „buntownika“!... Dziś pozwolono nam na odbycie pierwszego spaceru po podwórzu więziennem. Posterunki gęsto rozstawione.

30 października.

Austrjacy chwalą się wielkiem zwycięstwem nad Włochami; wymieniają 100.000 jeńców i 700 dział zabranych. Jeśli to prawda, to średnia przyjemność! Jutro rozpoczyna się sprawa 1-go pułku ułanów. Podobno sędzia Polakiewicz za „stronnicze“ prowadzenie śledztwa — został usunięty z sądu i jest jakoby zamknięty. Kaprał Poznański w czasie rozpraw przejawia dużo humoru. Gdy zaczął coś mówić o wywożeniu legionistów do Szczypiorny — jeden z sędziów przerwał mu zapytując: „Kto ich wywoził?“ — na to Poznański — „No kto, — maszynista“ — śmiech na sali. Kpt. Karasiewicz chodzi na rozprawy i przysłuchuje się uważnie. Klucznik Biske, prowadząc naszych ułanów do sądu za wysunięcie się naprzód jednego z nich — „szarpał się“; na to nadchodzi por. Krzemiński, a po przedstawieniu mu skargi przez Langiera por. Krzemiński zwymyślał Biske'go i kazał mu stanąć do raportu karnego.

1 listopada.

Dzisiaj ułanów do sądu prowadzili żandarmi, gdyż klucznicy boją się napaści ze strony publiczności, grożącej zlinczowaniem dozorców więziennych.

3 listopada.

Prokurator dr. Sikorski Bronisław w oskarżeniu operował tylko suchemi cyframi i literami kodeksu, zakończywszy swą mowę prośbą o... niski wymiar kary. Lieberman dowcipnie przemawiał. Powiada, że wyjeżdżając z Wiednia na sprawę, ktoś wysoko postawiony powiedział mu: „Lieberman, dokąd Ty jedziesz?... po co?... toć wyrok już z góry... — dokończyć nie mogę panowie sędziowie“...

Sędziowie po 2-godzinnej naradzie wydali wyrok uniewinniający. Lieberman twierdzi, że potem co zaszło, do dalszych rozpraw—innych pułków — nie dojdzie.

9 listopada.

Ułani zostali wezwani do sądu celem podpisania aktu uwalniającego ich. Odchodzą na front włoski. Na pożegnanie krzyknęliśmy sobie kilkakrotnie: „Niech żyje komendant Piłsudski!”.

16 listopada.

Zimno dojmujące. W mieście rozruchy głodowe. Słychać trąbki alarmowe. Dostałem już kartkę od Langiera, Austriacy witają naszych



Łomża — Delegaci rządu: ks. Bliziński i p. Głuchowski.

temi słowy: „Ah, Sie diese Legionäre!“... Otrzymałem dziś również list od kpt. Kustronia, już jako feldwebela austrjackiego. Mówią coś o odezwie brygadjera Roji.

21 listopada.

Profos Fulim każe się nam przygotowywać do opuszczenia jego pałacu: „Lada chwila będziecie panowie zwolnieni“. Jestem w tem położeniu, co i ppor. Kleszczyński który się również podał za koroniarza. Ale co mam teraz czynić? Trzeba się przyznać bryg. Zielińskiemu, że nie Małopolanin; niechaj mnie odeślą do Szczypiorna. Mój Boże! Pójdzie człowiek znów na nową nędzę!

22 listopada.

Wreszcie nadeszło „odroczenie” naszego procesu na czas nieograniczony. Mamy być wypuszczeni na wolną stopę. Fulim zarządził zbiórkę „politycznych” i wesoło zameldował ppor. sądowemu Sierpniowskiemu: „Panie Poruczniku! melduję posłusznie 30-ciu ludzi wolnych”.



Benjaminów — Zima w obozie.

23 listopada.

Dziś się meldowałem u bryg. Zielińskiego. Zwierzyłem mu się, iż jestem królewakiem (przyznałem się, dlaczego zataiłem prawdziwą swoją przynależność) i poprosiłem o wysłanie do Szczypiorny. „Daj mi święty spokój, z tą nieszczęśliwą Szczypiorną” — „Dość już tego!”

„jedź do domu — do cywila, kiedyś gardził Legionami”. — „Cóż ty sobie myślisz, że ja jestem od zamykania legionistów?” Staruszek przytem łzy ronił. Na usilną moją prośbę bryg. Zieliński polecił mi wystawić dokument podróży.

W kilka dni później, zgłosiłem się w Szczypiornie „na ochotnika”. Miałem nieco kłopotu, bo niemiaszki nie chcieli mnie wpuścić do wnętrza obozu, ale jakoś się udało i znalazłem się w bloku 5 p. p. wśród starych kolegów „piętaszków”. Po przejściach w Dęblinie i Przemyśle, „zasłużenie” odpoczywałem. Wkrótce wyjechaliśmy wszyscy ze Szczypiornej na dalsze ciągi do Łomży.

MARMAROS-SZIGET.

(Obozy internowanych: Huszt, Szaldobosz, Dulfalva, Szeklencze, Tarabolfava, Bystyahaza, Tarackköz).

Po przeorganizowaniu resztek Legjonów w jesieni roku 1917 na Polski Korpus Posiłkowy, korpus ten wszedł w skład 7-ej armji austriackiej, operującej na granicy Rumunji i Bukowiny. Po zawarciu pokoju z Rosją, po przewrocie rewolucyjnym, Korpus stał w odwodzie w okolicach Czerniowiec w odległości około 50 klm. od frontu. Komendantem był gen. Zieliński Zygmunt, brygadjerem pułk. Haller Józef, 2-gi pułk piechoty pod dowództwem ppłk. Żymierskiego, 3-ci pułk. piechoty pod dowództwem mjra Zająca, artylerja pod dowództwem mjra Zagórskiego i wojska techniczne — pod kpt. Hellmanem. Większość w tym Korpusie stanowili legjoniści brygady karpackiej, zwanej Żelazną. Pozostali oni w szeregach, by utrzymać choćby niewielkie kadry armji polskiej, ponieważ istniała jeszcze nadzieja, iż kadry te mogą być w sprawie Polski pożyteczne. Korzystano więc z odpoczynku, szkolono się intensywnie i zbierano wiadomości fachowe, przygotowując się do czynnego wystąpienia w razie potrzeby.

Dnia 9 lutego 1918 r. zawarły państwa centralne pokój z Rosją, podpisany w Brześciu, a treść jego doszła do Korpusu w dniu 12 lutego. Przyniosły ją dzienniki krajowe, które ukazały się w żałobnych obwódkach. Spory szmat ziemi rdzennie polskiej sprzedano za zboże ukraińskie. Państwa centralne popełniają względem Polaków zdradę, udając, że chcą tworzyć suwerenne Państwo Polskie, powołując z jednej strony Radę Regencyjną, z drugiej zaś — oddając kilka milionów Polaków pod obce, wrogie panowanie. I zawrzało w całym kraju, a społeczeństwo polskie, ufając do tej pory sprzymierzeńcom zareagowało silnie. Moc odznaczeń austriackich powędrowało z powrotem do Wiednia, a ci, którzy dotychczas wierzyli państwowi centralnym, stali się jawnymi wrogami Austrii i Niemiec i zapragnęli czynu. W Korpusie Posiłkowym czyn mógł być tylko zbrojnym. Lecz wypowiedzenie

wojny przez garstkę lichu uzbrojoną potężnym wówczas mocarstwom, które jednego wroga właśnie położyły, było obecnie conajmniej szaleństwem. Trzeba więc zebrać większe siły, by dłużej móc się utrzymać. Czas biegnie, wzburzenie umysłów rośnie i przenika już szeregi żołnierskie. Zaczynają się ponure szepty o czekającym rozbrojeniu, widać pociągi pędzące bez przerwy w stronę Czerniowiec, pełne i przeładowane zbrojnemi pułkami. Żołnierz nie zna zamiaru Naczelnej Komendy Armji, sądzi więc, że to dla odebrania mu broni ściągają te olbrzymie transporty, ściska silniej karabin, zawział się — broni dobrowolnie nie odda.



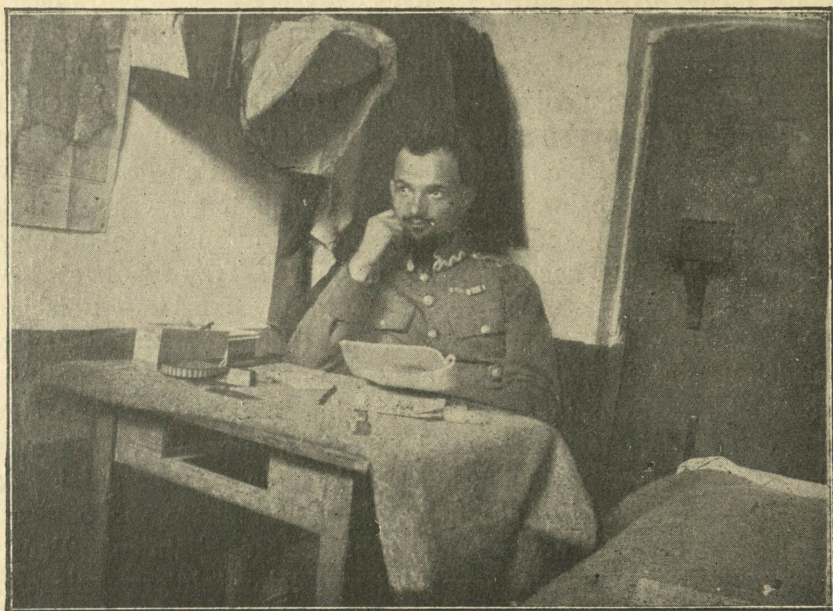
Werl — Internowani oficerowie i podoficerowie.

Myślą też i dowódcy i radzą na swój sposób. Dnia 13 lutego 1918 r. porucznik Malinowski Tadeusz, kierownik kancelarii Komendy Korpusu zawezwał na godzinę 4 m. 30, brygadjera, dowódców pułków i sztabowych oficerów na odprawę do komendanta korpusu gen. Zielińskiego.

Przyjechał brygadjer Haller, ppułk. Żymierski, major Zagórski, kapitan Hellman; prócz wymienionych byli na odprawie ppłk. dr. Rogalski, kpt. Pomazański, Lewartowski i kpt. dr. Górecki. Punktualnie o godz. 4 m. 30 zaczęła się odprawa. Gen. Zieliński nawiązał do 9-go lutego i nakazał, by obecni na odprawie wpływali uspokajająco na żołnierzy, oraz czekali, co zrobi Rząd Polski i jakie wyda rozkazy. „Cokolwiek byśmy chcieli zrobić, to wszystko będzie głupstwo. Bo i cóż? Złożymy odznaczenia? I cóż to za skutek wyrzuci, gdy moja

mizerna osoba złoży medale, albo podamy się do dymisji, czy też poprosimy o przeniesienie do c. i k. armji, tośmy już raz widzieli. Dlatego powtarzam: należy wczekać, jakie rozkazy przyjdą od Rady Regencyjnej. W najgorszym razie, co nas czekać może, to, że nas rozwiążą, i to będzie dla nas honorowe rozwiązanie sprawy, bo przecież zadanie nasze pełniliśmy do końca".

Generał Zieliński w dalszym ciągu napominał i nakazywał spokój. Później wspomniał o ś. p. majorze Mężyńskim, podnosząc jego zasługi. Następnie zapytał generał, czy ma ktoś z zebranych coś do po-



Marmaros-Sziget — Gen. Górecki Roman, główny oskarżony, w celi.

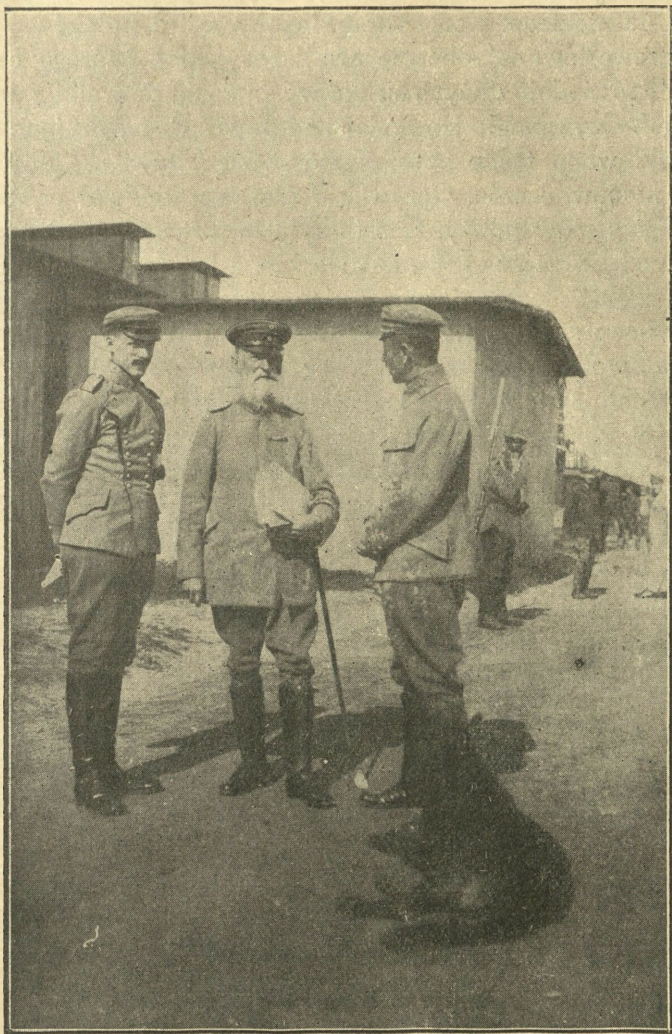
wiedzenia i zapytania. Poprosił o głos ppłk. Żymierski; przedstawił nastrój wśród żołnierzy; oburzenie i zdenerwowanie w najwyższym stopniu. Ogólnie obawiają się rozbrojenia. Chodzą również wieści, że Korpus ma być wysłany na front do Palestyny. Albo zaszedł taki fakt: w nocy budzą żołnierze komendanta kompanji i meldują, że do Sadowóry przyszły bataljony pruskie, by Korpus rozbroić. Oficer uspakaja żołnierzy, każe im spać, jednak oni pomimo to, na własną rękę wysyłają w nocy patrol do Sadowóry, by się przekonać, czy to prawda. Żymierski zaproponował wydanie rozkazu uspakajającego, na co generał oświadczył, że specjalnego rozkazu dziennego w tej sprawie nie będzie wydawał i że jest obowiązkiem oficerów wpływać odpowiednio na żołnierzy. Potem poprosił o głos major Zagórski, oświadczając

z właściwą sobie werwą, że my, jako żołnierze nie możemy i nie powinniśmy politykować. Następnie zabrał głos kpt. Górecki: „Panie Generale, zapytuję posłusznie, czy mogę wypowiedzieć moje zdanie w poruszanej dotychczas sprawie, choćby ono się nie zgadzało z tem, co Pan Generał powiedział? Wychodzę bowiem z tego założenia, że jeżeli mam na innych w danym kierunku wpływać, to przedewszystkiem muszę sam o słuszności tego kierunku być przekonany, gdyż tylko wtedy mój wpływ osiągnie pożądaný skutek. Pan Generał powiedział: „Mamy swój Rząd, czekajmy, co nasz Rząd zrobi i co nam rozkaże”. Tobý było możliwe wtedy, gdybyśmy naprawdę od naszego Rządu byli zależni, ale przecież my zależymy bezpośrednio od c. i k. 7-ej armii i od tego właśnie Rządu, który czwarty rozbiór Polski podpisał. Mamy czekać, co nasz Rząd zrobi, ależ nasz Rząd nic zrobić nie może, bo jest bezsilny, on może tylko zaprotestować, rozwiązać się, ale czyn możemy przedsięwziąć tylko my, żołnierze. Pan generał powiedział, że gdy nas rozbiorą i rozwiążą, będzie to honorowe dla nas rozwiązanie sprawy. Według mego zdania, bynajmniej takie rozwiązanie nie byłoby dla nas honorowe, bo jakże? Trzy i pół lat, krwawych lat walki i trudów po to, aby czwartego rozbioru Polski do czekać, a potem być rozbrojonym i rozpedzonym? Major Zagórski powiedział: „My żołnierze, nie powinniśmy się mieszać do polityki”; gdyby chodziło tu o jaką walkę partyjną, o takie czy inne stanowisko w zagadnieniach polityki bieżącej, wtedy przyznałbym mu rację, gdyż w tych wypadkach chciałbym sam jaknajdalej odsunąć politykę od wojska, ale tu chodzi o co innego, bo o kwestję być albo nie być, o nowy zamach na całość i istnienie Państwa Polskiego i dlatego w tym wypadku my, jako żołnierze, nie możemy sobie powiedzieć: my się w politykę nie bawimy, lecz społeczeństwo całe czeka na czyn i na ten zdobyć się powinniśmy”...

Na to odpowiedział generał Zieliński: „Pan, widzę, nie bierze pod uwagę zupełnie prawno-politycznej podstawy Legjonów. Zostaliśmy powołani do walki z Rosją; z Rosją zawarty pokój faktyczny, z Ukrainą także formalny, a więc nasze zadanie spełnione. I dlatego ja, jako wasz komendant i przełożony proszę i rozkazuję wam, abyście wpływali na swych podwładnych w myśl tego, co poprzednio powiedziałem”. Na tem skończyła się odprawa.

Po wyjściu z pokoju generała, wszedł kapitan Górecki do pokoju Szefa Sztabu, gdzie zastał między innymi majora Zagórskiego i ppłk. Żymierskiego. Major Zagórski dłuższy czas polemizował z kapitanem Góreckim na temat jego przemówienia; w dyskusji brał również udział ppłk. Żymierski, który energicznie występował przeciw twierdzeniom i zapatrywaniom Zagórskiego. Za chwilę wyszedł od generała bry-

gadjer Haller i zabrał ze sobą do powozu kpt. Góreckiego; gdy konie ruszyły, bryg. Haller podał mu rękę i powiedział: „Przedewszystkiem muszę Wam rękę uściśnąć za to, coście na odprawie powiedzieli.



Szczypiorno — Komendant obozu, mjr. Knaupisch w rozmowie z wachm. Olszamowskim i kpt. dr. Kaplickim.

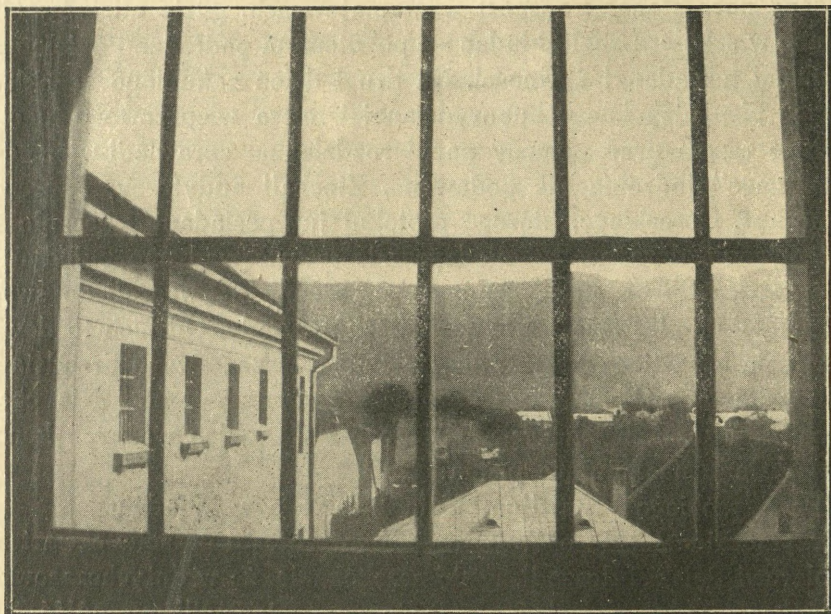
Wypowiedzieliście to, cośmy, chyba, wszyscy czuli; ja nie zabierałem głosu, gdyż równocześnie ze względu na moje stanowisko musiałbym podać plan akcji, a ja planu gotowego jeszcze nie mam; ale jutro wydam rozkaz, który i Wam dam przeczytać, a w którym choć w części spojrzymy prawdzie w oczy”.

Dnia 14 lutego w południe, odbyło się w Mamajowcach zebranie oficerów 2-go i 3-go pułku piechoty, oraz kompanji technicznej. Wiedzano — niejasno wprowadzie — ale chodziły słuchy i głosiły dzienniki, że gdzieś, na Ukrainie formuje się korpus polski, pod wodzą Dowbora-Muśnickiego. Korpus ten złożony jest z Polaków, służących ongiś w zrewoltowanej obecnie armji rosyjskiej, którego celem jest zebranie odpowiednio dużych sił dla wystąpienia do walki z państwami centralnemi. Czyż mogło się lepiej nadarzyć? Czy było inne wyjście? Boć projektowano także zbrojny marsz na Lwów, skazany przecież zgóry na niepowodzenie. Oczywiście nikt nie wiedział pewnie, gdzie Muśnickiego szukać należy, zresztą była to sprawa wagi drugorzędnej. Wpierw trzeba przejść okopy austriackie, a to przy oddaleniu 40 klm. od frontu zrobić nieoczekiwanie i niepostrzeżenie było bardzo trudno. To też w nocy z 14-go na 15-go lutego zebrali się dowódcy pułków 2-go i 3-go, wojsk technicznych i por. Rudka z Dowództwa Brygady, por. Wierzchlejski, jako reprezentant artylerji i kpt. Górecki, jako reprezentant Komendy Korpusu. Ustalono dokładnie czas odmarszu każdej jednostki i naznaczano miejsce spotkania na godzinę 22.30 u zbiegu dróg z Sadogóry i Mahali. Porządek miał być następujący: otwiera przejście 2-gi pułk piechoty, za nim maszeruje artylerja bez armat, do których po tamtej stronie frontu nie byłoby amunicji, następnie tabor i zakłady, a straż tylną tworzyć ma pułk 3-ci. Ponieważ oddziały legionowe stały w rezerwie, stąd też zapas amunicji był bardzo niewielki, a niektóre oddziały nie posiadały jej wcale. Obiecywano więc sobie zdobyć ją podczas przejścia przez okopy austriackie. Ponieważ marsz większości oddziałów odbywał się po szosie wiodącej do Czerniowiec, pełnych obecnie wojska, oddziały techniczne miały się zająć wysadzeniem mostu na Prucie, telefoniści zaś przerwali wszelkie połączenia stałe i polowe dla uniemożliwienia łączności.

Noc była ciemna i zdawała się sprzyjać śmiałemu przedsięwzięciu. To też po drobnych zajściach z „władzami“, zlikwidowanych bezkrwawo, stanęły oddziały, za wyjątkiem artylerji Zagórskiego, na oznaczonym punkcie. Po dwugodzinnem czekaniu na jej nadejście, kiedy Komenda 7-ej armji została zaalarmowana i wysłała na front posiłki — dalsze marnowanie czasu byłoby bezcelowe. Ruszył więc Żymierski ze swoim pułkiem na Rarańczę, staczając krwawą, lecz zwycięską walkę, przeszedł obok wzgórza Dołżoka pułk 3-ci, torując sobie drogę granatami ręcznymi i bagnetem, lecz już tymczasem od strony Czerniowiec zaczęły nadchodzić posiłki: piechota, kawalerja i pociągi pancerne, które odcięły drogę kolumnom taborowym i okrażyły je od zachodu i południa. Daremnie mniejsze grupki legionistów lichy uzbrojone i bez amunicji staczały utarczki, dążąc stale na wschód.

Na miejsce rozbitych oddziałów austriackich nadchodziły nowe, zapasy amunicji wyczerpały się. Przewaga liczebna za nadejściem dnia wzrosła tak znacznie, że „wyłapano” i rozbrojono pojedyncze oddziały, obdarto i obrabowano z mienia, a pojmanych zaprowadzono do dowództwa dywizji.

Przebiły się tylko uzbrojone pułki piechoty, idące zwartą ławą, przeszedł też z nimi brygadjer Haller. Artylerję rozbrojono koło Sadogóry, resztę oddziałów i zakładów — pod Rarańczą. Ponieważ Komenda Korpusu nie chciała się zgodzić na dobrowolne przejście, kapitan Górecki aresztował Sztab, zostawiając protokół, stwierdza-



Marmaros-Sziget — Widok z korytarza więziennego.

jący ten fakt, oraz wypowiedzenie przez legionistów posłuszeństwa Naczelnej komendzie armji austriackiej. Z oficerów sztabu jedynie tylko płk. lek. dr. Rogalski zapytany po aresztowaniu gen. Zielińskiego i majora Ganczarskiego przez kpt. Góreckiego, czy przechodzi razem z Korpusem, oświadczył bez wahania: „Gdy wszyscy idą, to i ja pójdę”.

Pojmanych legionistów, około 100 oficerów, 3 sanitariuszki: p.p.: Germanową, Krzymuską i Kossowską, oraz około 800 żołnierzy zaprowadzono do koszar w okolicach Czerniowiec, dokąd też w ciągu dnia doprowadzono nowe grupki rozbrojonych i pochwyconych w różnych punktach frontu. Po południu 16 lutego nakazano odmarsz. Oto-

czone gęstym szpalerem bagnatów, oddziałów szturmowych i karabinów maszynowych, zmęczone nocną walką, zziębnięte i zgłodniałe, wlokły się resztki Żelaznej Brygady, rozmyślając, dokąd ich wiodą. Zdawano sobie sprawę, że czeka ich sąd doraźny i rozstrzelanie wszystkich oficerów, a dziesiątkowanie żołnierzy. Mimo wszystko, niewielu tylko poddawało się pesymizmowi. Myśli, że spełniono wszystko, co było w ich mocy, że zaprotestowano po żołniersku na nowy rozbiór Polski, że cały naród polski jest z nimi i czyn ten zaaprobuje, myśli te podtrzymywały zmęczone ciało i krzepiły i uodporniały ducha na dalsze przejścia.

Późną nocą stanął transport w Mamajowcach, gdzie oficerów ulokowano w szkole. Usnęli, kładąc się pokotem na podłodze i dzieląc się resztkami posiadanej żywności. Na drugi dzień zakupiono ze składkowych pieniędzy kaszy kukurydzianej i mięsa wieprzowego, ugotowano to razem przy pomocy pań i rozdzielono sprawiedliwie, gdyż „komiśnego” jedzenia nie podawano. Zjechali audytorzy, odprowadzono kpt. Góreckiego, którego protokół już posiadano i zaczęło się postępowanie doraźne. W międzyczasie przyprowadzono pojedynczo oficerów, którzy będąc na urloпах, przerwali je i wracali do swych oddziałów nie pierwszą wieść o przejściu brygady. Od nich to dowiedziano się o nastroju kraju oraz, że Polacy przez swych przedstawicieli w parlamencie starają się aresztowanym dopomóc. Nie chcąc jednak, by kosztem ich życia kraj pozbył się jakich ważnych koncesyj, wysłano następujące pisma:

„Do Wysokiego Prezydjum Koła Polskiego w Wiedniu.

Przyłączając się do ogółu narodowego protestu przeciw czwartemu rozbiorowi Polski i doszedłszy do przekonania, że w dotychczasowych warunkach nadal pozostać nie możemy, postanowiliśmy pójść tam, gdzie za wolność Polski dalej walczyć byśmy mogli. Z przyczyn, o których dziś mówić nie można, nie wszystkim jednak udało się zaimar ten w czyn wprowadzić i dziś ponosimy tego konsekwencje i chcemy je ponosić do końca. Tymczasem doszły nas wieści, jakoby nasza reprezentacja narodowa w Austrii miała zamiar czynić starania o uchylenie tych konsekwencji, a to kosztem ustępstw w sprawach zasadniczej wagi. W ten sposób my nie pomocą, ale ciężarem i przeszkodą byśmy się stali.

Wobec tego, zwracamy się z usilną prośbą: reprezentacja nasza zechce odstąpić od swego zamiaru i nas naszemu losowi zostawi. Niech nas sądzą i karzą, jak oni to uznają za stosowne; my przyjmujemy każdy ich krok w tem głębokiem przekonaniu, że właściwy sąd gdzieindziej i kiedyindziej swój wyrok o nas wypowie”.

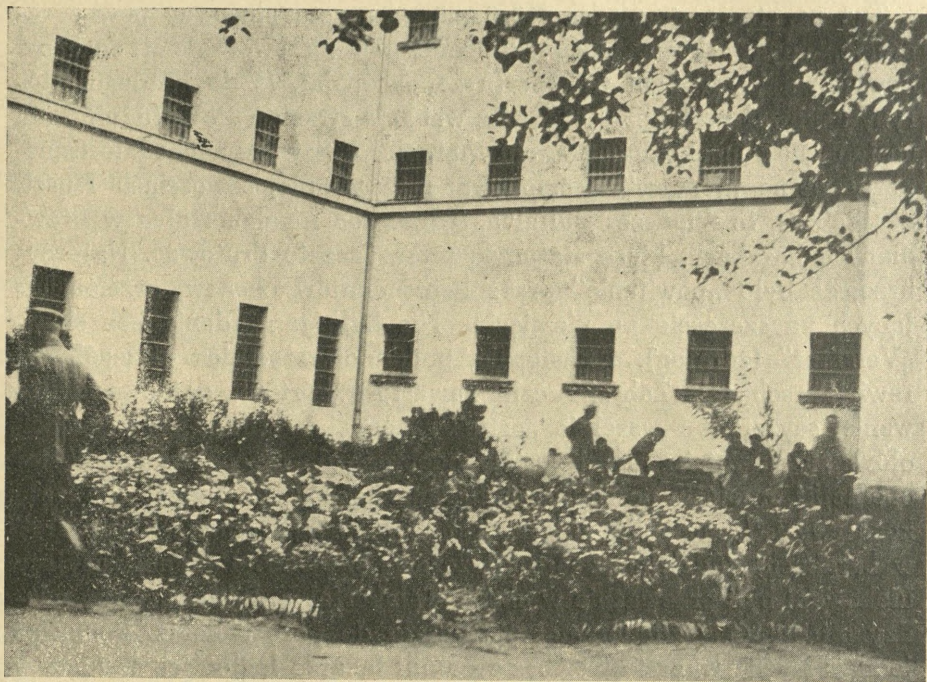
Odpis tego pisma wysłano również do Rady Regencyjnej w Warszawie.

Na czwarty dzień rano zbudzono wszystkich, poczem nastąpił odmarsz do Łużan na stację kolejową, gdzie załadowano wszystkich, obstawiono przedziały 3 klasy wartownikami i pociągi ruszyły w drogę na Kołomyję. Tam, mimo kordonu wojsk, udało się ludności cywilnej wejść w porozumienie z aresztowanymi i urządzić im sympatyczne owacje, poczem po dodaniu kilku wagonów osobowych przez kolejarzy polskich, pociąg ruszył na stronę węgierską.

Tuż za stacją graniczną Körözmőzo zaczęto stosować pewne represje, gdyż eskorta węgierska czuła się na swej ziemi znacznie pewniej, a komendant transportu zapowiedział, iż do każdego, któryby usiłował uciekać — będą bez wahania strzelać. Po południu dnia następnego zaczęły do Komitatu Maramaros-Sziget nadchodzić transporty pełne „jeńców”. Rozlokowano je w miejscowościach Huszt, Szaldobosz, Szeklencze, Dulfalva, Tarackös i Talaborfalva w drewnianych barakach, które starannie teraz zaczęto drutować. Najprzykrzejsze było „powitanie” przez komendantów obozów, przemawiających na szczęście po niemiecku. Nie było tam zdania bez słowa „Verräter” (zdrajca), a następnie, poddano wszystkich szczegółowej rewizji osobistej. Zabrano całą zawartość portfeli, dając pokwitowanie, scyzoryki i wszelkie „ostre” rzeczy jak: pilniki do paznogi, ołówki, a nawet i zapałki zostały odebrane do przechowania. Po tej operacji i przejściu na zaprowiantowanie jeńców wojennych ($\frac{1}{5}$ część konserwy i $\frac{1}{4}$ bochenka chleba dziennie) dostali żołnierze „kwatery” w barakach, oddzielnie zaś umieszczono oficerów. Poddani rosyjscy ulokowani byli przeważnie w obozie Talaborfalva. Pilnowano, by między oficerami, a żołnierzami nie doszło do porozumienia. Ponieważ jednak służbę lekarską w obozie pełnili lekarze legjoniści, wzajemny kontakt został przez nich utrzymany i zeznania w śledztwie mogły być w ten sposób uzgodnione. Audytorzy, którzy prowadzili przesłuchiwanie, byli to Polacy. Starali się więc tak pokierować zeznaniami, by nie było większych sprzeczności, oraz by nie obciążały one zanedo obwinionych. Z powodu dużej ilości przesłuchiwanym, śledztwo toczyło się wolno, a w międzyczasie zaczęły się odwiedziny z kraju, powtórzyły się komitety przesyłające pieniądze, odzież, prowianty i leki — tak, że wkrótce stan internowanych poprawił się pod względem wyżywienia i moralnym, gdyż widziano, że kraj czuwa. Bardzo wielką pomoc udzielał internowanym z narażeniem własnego życia por. Galik, kierownik magazynu prowiantowego w Huszt, u którego był skład ubrań cywilnych dla uciekających, dokumentów podróży i pieniędzy na drogę. Po aresztowaniu przez żandarmerję austriacką

3-ch sanitariuszek, skonfiskowano u nich kompromitujące je politycznie archiwum i wtedy też porucznik Galik archiwum to wykradł z rąk żandarmerji już w Marmaros-Sziget.

Po ukończeniu śledztwa, które trwało prawie do maja 1918 r., zaczęły odpływać transporty zwolnionych od oskarżenia legionistów, a kierowano je na front włoski do miejscowości Udine. Tam podlegali legioniści częściowemu przemundurowaniu, zaprzysięgano ich i szkolono, by wysłać jako uzupełnienie na front. Oczywiście znaczna ilość



Marmaros-Sziget — Spacer po podwórzu więziennym.

potrafiła wydostać się z Udine, przejechać mimo kontroli całą Austrię i wrócić do kraju, gdzie ukrywała się, czekając sposobnej chwili.

Tymczasem sąd miał już materiał gotowy. Opracowano akt oskarżenia przeciwko trzem sanitariuszkom, 91 oficerom i 240 szeregowym oraz zatrzymano drugie tyle, jako świadków, internując ich także. Dnia 28 maja pod silną eskortą przewieziono obwinionych i świadków w koszarach. Doręczono każdemu akt oskarżenia i zjawili się obrońcy: dr. Lieberman, dr. Loewenstein, dr. Przeworski, dr. Ostrowski, dr. Kwieciński i dr. Dwernicki. Za kilka dni rozpoczęła się rozprawa sądowa.

Głos oskarżonych i obrońców wydobywał się z sali sądowej Maramaros-Sziget z taką siłą, iż słyszany był w całym narodzie polskim, a nawet daleko poza granicami ziem polskich. Codzień przybywali w pielgrzymce do tej miejsciny węgierskiej coraz to inni, najwybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa wszystkich warstw i obozów politycznych, by jawnie i z dumą, w oczach sędziów, złożyć hołd i pokłon oskarżonym. Prasa polska pełną była najdokładniejszych sprawozdań z procesu i w ten sposób publiczność znakomicie poinformowana była o wszystkim, co mówili oskarżeni, śmiało i z podniesionem czołem spoglądając w oczy sędziom. Słowa, które padały z ust kapitana Góreckiego, głównego, rzec można, trybuna oskarżonych, wypalały jakby piętno hańby na czołe Austrii, a zarazem elektryzowały całe społeczeństwo, poruszając je do głębi. To nie byli oskarżeni, to byli raczej żołnierze bojowi, którzy pod grozą sądu wojennego i kary śmierci, szli do szturm, do moralnego szturm przeciwko zaborcom. Kto wówczas nie przebywał np. w Małopolsce, ten nie będzie w stanie zdać sobie sprawy z tego niezmiernego entuzjazmu, jaki budziły przemówienia i postawa oskarżonych w całym społeczeństwie. Było to bezgraniczne patriotyczne upojenie, które krzepiło wszystkie umysły. Przemówienia te roztoczyły zarazem przed społeczeństwem pełen bohaterskiego blasku obraz walk i niemal nadludzkich zmagani tych, którzy w nocy z dnia 15-go na 16-ty lutego z bagnietem i granatami w ręku pod Rarańczą przedrzeć się pragnęli przez front wojsk zaborczych, by pójść w dal, służyć ideałowi Ojczyzny wolnej i niepodległej. Podczas procesu w Maramaros-Sziget społeczeństwo polskie, wsłuchane w opowiadanie oskarżonych i tych, co przeciw nim świadczyli, zrozumiało, że owej nocy lutowej narodziła się na polach Rarańczy jedna z owych precudnych, a szczerą prawdą się karmiących, legend bohaterskich, która jak w jednym z przemówień swoich wyraził się obrońca, poseł Lieberman, kiedyś będzie źródłem głębokiego natchnienia dla młodych pokoleń i dla poetów narodu polskiego.

Pierwszy zeznawał kpt. Górecki, jako główny oskarżony, odpierając zarzuty stawiane przez akt oskarżenia — a jako prawnik z zawodu — wyczuwał słabe strony aktu, zbijając je dokumentami, które sąd zmuszały do ciągłych narad i wprawiały w niemały kłopot. Zeznania jego trwały 3 dni, a potem odpowiadali: mjr. Zagórski, ks. Panaś i inni więcej obwinieni, którzy przyznali się do czynu, nieprzyznając się jednak do innych zarzucanych im zbrodni. Koncepcją obrony było, by oskarżeni składali dwojakie zeznania. Jedni jako organizatorzy wdziedzieli, dokąd idą i co chcą uczynić — drudzy, którym tego nie można było udowodnić, mieli się tłumaczyć, iż zarządzone były nocne cwi-

czenia, na które wymaszerowali. Oczywiście ponieważ zeznania drugiej grupy poczynione w śledztwie niezbyt pokrywały się z tą koncepcją obrony, było dużo trudności w naciąganiu faktów i zeznań. To też cały wolny czas popołudniowy upływał na konferencjach z obrońcami. Chodziło w każdym razie o to, by rozprawę przeciągnąć jak najdłużej. Oskarżeni bowiem kupowali węgierskie dzienniki w języku niemieckim i mapki frontu — i wykreślali każdego dnia wedle komunikatów skrupulatnie pozycję frontu zachodniego. Widać było wyraźnie, że front ten powoli, ale stale cofa się na wschód, kurczy się i drga. To była cała nadzieja obwinionych, należało tylko w myśl maksymy sprzymierzeńców „przetrzymać”. Zeznania były długie, upływało



Za kratami więzienia w Huszt.

lato, a jeszcze nie wszyscy byli przesłuchani, a czekało jeszcze przecież postępowanie dowodowe, t. j. przesłuchanie dwa razy tyle świadków.

Życie w więzieniu płynęło jednostajnie i regularnie, jak w zegarku. Rano pobudka i przejście do sądu, koło 1-szej kończyła się rozprawa — wracają na obiad, poczem spacer wokół po podwórzu więzienia, lekcje języków obcych, wykłady z literatury, urządzano „własnymi siłami”. O 21-ej godz. przychodził komendant warty liczyć czy ilość więźniów zgadza się, zaciągano warty nocne, światła jednak nie gaszono, co początkowo ogromnie przeszkadzało w spaniu.

Oczywiście, wikt więzienny był niezbyt smaczny i nieurozmaicony, gdyż przeważało tam mięso końskie. To też wszystkie pobory, jakie

oskarżeni otrzymywali, przeznaczano na zakup żywności. Urządzano to w ten sposób, iż każdy więzień co 1-go miał podaną kwotę, jaka na jego koncie znajdowała się w zarządzie więzienia. Kwotą tą mógł dysponować, nie otrzymując jednak nigdy pieniędzy na rękę. W samym więzieniu założył mały sklepik jakiś węgierski żydek i sprzedawał towary, zapisując to w książce, odbierając należność od profosa.

Po zeznaniach oficerów zaczęło się przesłuchiwanie szeregowych. Obwiniono ich o zabójstwo, za czynny udział w boju pod Rarańczą. Tłumaczyli się jednak, że otrzymali rozkaz strzelania od swoich bezpośrednich przełożonych. Gdy jeden z asesorów wtrącił się z pytaniem, czy nie dziwnem się wydawać musiało legionistom, że kazano im strzelać do żołnierzy austriackich, z którymi razem do tej pory walczone — odpowiedział „legun”: „Dla nas to wcale nie dziwne, gdyż już nieraz i przedtem, gdy Czesi przechodzili na stronę rosyjską, mieliśmy podobne rozkazy, strzelaliśmy za nimi”. Repliki ze strony assessora Czecha już nie było. Gdy znów kpt. Bartak, chcąc wyjaśnić, czy każdy rozkaz musi być wykonany, zapytał jednego z szeregowych, co by zrobił, gdyby otrzymał rozkaz strzelania np. do kogoś z rodziny monarchy — legun odpowiedział bez zająknięcia „gdyby mi mój oficer kazał — zrobiłbym to”.

Bardzo ciekawe były zeznania świadków, oficerów austriackich, przeważnie ze sztabu grupy Kossaka, zagarniętych razem z samochodami przez maszerujące tabory legionowe. Ludzie ci, którzy przy aresztowaniu ich przez legionistów drżeli i błagali o darowanie życia, w sądzie przy zeznaniach robili z siebie bohaterów i nie przyznawali się do otrzymanych wtedy policzków i do tchórzostwa. Klasyczne były zeznania generała Schillinga, który w Przemyślu przeorganizował Legjony na P. K. P. i starał się osobiście przeszkodzić przejściu przez front, lecz został w porę zaaresztowany i zatrzymany, a później objął zwierzchnią władzę nad obozami internowanych. Przyznawał się otwarcie, że legioniści nazwali go starym osłem i chcieli mu w łeb strzelić, a zeznania jego rozśmieszyły i rozruszały wszystkich obecnych, nie wyłączając austriackich oficerów.

Wzruszający znów moment przeżyli oskarżeni, gdy do sali sądowej wszedł jako świadek gen. Zygmunt Zieliński. Wszyscy odruchowo zerwali się ze swych miejsc i stali wyprężeni na baczność, okazując w ten sposób najwyższy hołd i miłość, jaką czuli do swego nieskazitelnego dowódcy.

Obrońcy spisywali się dzielnie i prokurator kpt. audytor Ustjanowicz, ukraińiec, miał z nimi ciężką przeprawę. Niezrównany w argumentacji był poseł Lieberman, złotoustą wymowę posiadał poseł

Loewenstein, doskonale bronili dr. Kwieciński, dr. Ostrowski, dr. Dwernicki i Dr. Przeworski. Władze węgierskie robiły im jednak trudności, szykanując na każdym kroku obrońców mieszkających w mieście, a nawet mandaty poselskie nie chroniły posłów od rewizji, gdyż Węgrzy twierdzili, że posłowie ci są nietykalni tylko na ziemi austriackiej, a nie u nich. Mimo ogromnych kosztów, z jakimi związany był kilkumiesięczny pobyt obrońców na Węgrzech, wytrwali oni na swych stanowiskach do ostatka.

A chwila ta przyszyła nieoczekiwanie. Z końcem września przyjechał do Maramaros-Sziget mjr. audytor z gabinetu cesarskiego. Konferował z obrońcami i oskarżonymi i czempredzej wrócił do Wiednia.



Huszt — Cele oficerów.

W kilka dni później, podczas rozprawy przyniesiono do sądu telegram. Wręczono go kpt. Bartakowi — przeczytał go, schował pod sukno i prowadził rozprawę dalej. Równocześnie jednak podobną wiadomość otrzymała i obrona, a skoro sąd nie śpieszył się z odczytaniem jej, poprosił obrońca o głos. Opowiedział, iż ma urzędową wiadomość o abolicji procesu, przypuszcza więc, że wiadomość ta powinna być także już i w sądzie. Wtedy dopiero telegram wyciągnięto, urzędowo odczytano i — zapanowała niezmierna radość. Uściskom i pocałunkom wzajemnym nie było końca. W chwili takiej nawet najgorszemu wrogowi można było przebaczyć. Ale tu znów wkroczył gen. Schilling. Nie wypuścił więźniów, lecz zwołał komisję poborową i wszystkich austriackich poddanych w sali rozpraw roze-

brano i „asenterowano” do wojska austriackiego. Oficerom przyznano z łaski szarżę sierżantów. Zapanowała konsternacja. Gdy już drzwi więzienia stanąć miały otworem, naraz zaczyna się inna niewola. Wytargowano jednak urlop. „Legun” nie może nic bez urlopu — i „Ekscelencja” zgodził się na 4-tygodniowy urlop, oraz na wyjazd w mundurach legjonowych, ale potem każdy miał się zgłosić w swojej komendzie uzupełniającej. Tego tylko trzeba było, gdyż każdy był przygotowany na niezgłoszenie się.

Po przysiedze, z kryminału zrobił się hotel. Oddano pieniądze, czyniono więc zakupy i zajądano się paprykarzami, oraz nnemi smakołykami węgierskimi. Dnia 10 października, po wspólnej kolacji i zbrataniu się z oficerami węgierskimi, nastąpił odjazd do kraju. W Stanisławowie witano byłych więźniów bardzo serdecznie i owacyjnie, a we Lwowie urządzono im manifestacyjne powitanie, przyjęcie w gospodzie legjonowej, oraz raut wydany przez miasto w ratuszu. Ponieważ w czasie urlopu nastąpił rozpad Austrii, nie było już potrzeby uciekania z jej walecznych wojsk, a z początkiem listopada wstąpili wszyscy do tworzącego się Wojska Polskiego.

SZEKLENCZE.

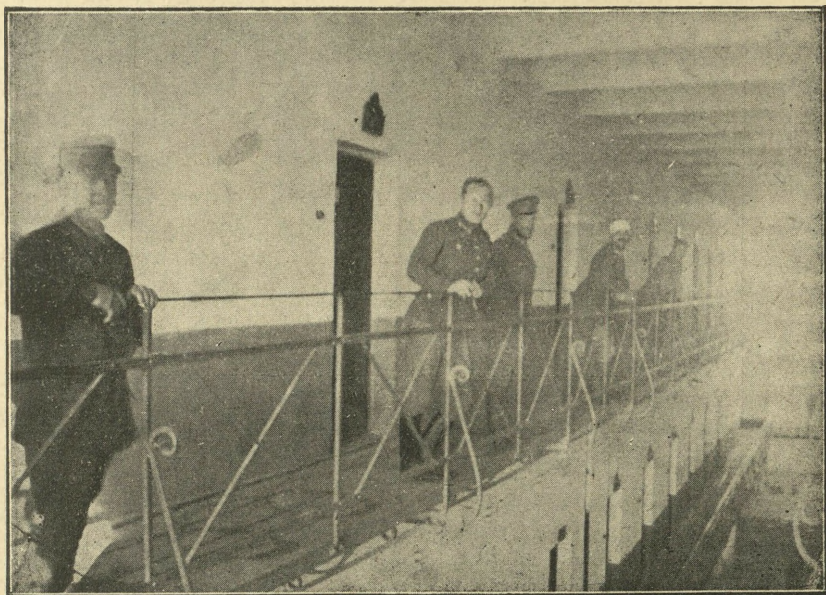
W dniu 15 lutego 1918 r. popołudniu II brygada, t. j. piechota, została zawiadomiona, że mamy wyruszyć na 3-dniowe ćwiczenia — to zawiadomienie było powiedziane głośno, t. j. jawnie. Tajnie zaś powiedziano nam, że udajemy się przez front do Rosji, celem połączenia się z legionistami, stojącymi pod sztandarami polskimi, ale po stronie rosyjskiej. Dowódcy kompanji, zebrawszy swoje kompanje, pytali kto chce zostać, a kto chce iść. Czy zgłosili się ochotnicy do pozostania na ziemi austriackiej, nie wiem. Było to, zdaje mi się, o godz. 2-iej po poł. O godz. 2.30 nastąpiło zaprzysiężenie nas na sztandar. I od tej chwili szybko zaczęły się rozwijać wypadki pamiętnej nocy z dnia 15 na 16 lutego 1918 r.

O godz. 4-iej po poł. w dniu 15-II.1918 r. wyruszyły pierwsze patrole legionowe w stronę Sadogóry z kompanji szturmowej i co pół godziny wymaszerowywały kompanje. Ja jako chwilowo pełniący służbę podoficera poczty polowej 2 p. p., z powodu rany niezagojonej na nodze zostałem wyłączony z kompanji i przydzielony do poczty polowej 2 p. p. Musiałem spełniać czynności, związane z zatarciem wszelkich śladów naszej bytności w Starych Mamajowcach. Otrzymałem rozkaz ustny od ppłk. Żymierskiego spalenia całej poczty, jaka tylko jest, tak też i uczyniłem. Myślałem, że po wykonaniu tego wszystkiego wrócę do kompanji i razem z kompanją wyruszę. Tymczasem stało się inaczej. Wszędzie widać było ruch, gorączka opanowała wszystkich, pocichu pakowano wozy, brano co się tylko dało. Na gwałt. O 6-iej wieczór wszystko było gotowe do marszu. Ja dostałem 8 legionistów, otrzymaliśmy po 150 nabojów ostrych. Po co mi tych ludzi przydzielono, nie wiedziałem.

Za chwilę nadszedł ppłk. Żymierski i wydał mi rozkaz, że mam stanąć na czele tych ludzi i eskortować kasę i że za nic w świecie nie wolno mi od tej bryczki odstępować. Ruszyliśmy razem z taborami. Ko-

mendę nad całością taborów objął kpt. Przepiliński z 3 p. p. Leg. Maszerowaliśmy, okrążając Żuczkę, do Sadogóry. Przez Sadogórę przeszliśmy spokojnie, żołnierze austriacy nic nam nie mówili; po drodze niszczyliśmy wszystkie połączenia telegraficzne i telefoniczne.

Tak spokojnie doszliśmy aż do Buda-Machala. Tu dopiero zostaliśmy zaatakowani przez silne oddziały austriackie. Noc była ciemna i bardzo mroźna, więc trudno było nam się zorientować, skąd i w jakiej sile nieprzyjaciel nas atakuje, tembardziej, że strzały padały ze wszystkich stron. Otworzyliśmy ogień karabinowy i pod osłoną ognia własnych karabinów posuwaliśmy się naprzód. Naraz za Buda-Ma-



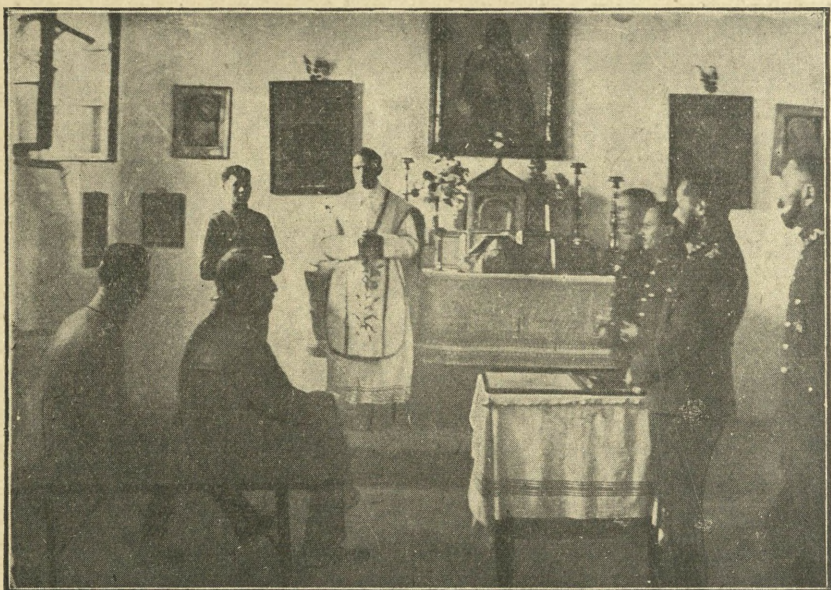
Marmaros-Sziget — Korytorz więzienny.

chala cały tabor został zatrzymany i ktoś podał rozkaz: „Wyprzęgać konie, wozy zostawić i naprzód”. Wyprzęgnięto konie i ruszono. Uszliśmy z półgodziny drogi, gdy znowu podano rozkaz: „Wrócić, zaprzęgać i marsz”.

W takim chaosie trudno było się orjentować, a bitwa wrzała wciąż, rannymi nikt się nie opiekował, bo nie było na to czasu. Gdy zaprzęgnięto konie, ruszyliśmy naprzód. Strzały zaczęły cichnąć i po jakimś czasie zupełnie umilkły. Maszerowaliśmy na Rarańczę.

Zaczął dzień, gdy przechodziliśmy przez wieś Rarańcza. Za wsią trzeba było wozy posuwać i przenosić przez rzeczkę, bo mostu nie było, a konie same nie mogły wozów wyciągnąć. Ta przeprawa zabierała nam bardzo wiele czasu.

Dzień był już biały, gdy mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Ruszyliśmy pod górę i pomału wywlekliśmy się na równą drogę. Zmęczeni byliśmy, ale o tem tylko marzyliśmy, byle prędzej — za okopy i tam dopiero odpocząć. Gdy byliśmy już niedaleko okopów austriackich, powitał nas grad granatów i szrapneli. To artylerja austriacka zaczęła nas ostrzeliwać i równocześnie odezwały się karabiny austriackie maszynowe. Ludzie zaczęli kłaść się pokotem ranni i zabici; granaty rozszarpały konie. Rozpierzchliśmy się na wszystkie strony, każdy na swoją rękę zaczął szukać miejsca, którędy mógłby się dostać do pułków, które już się przedostały, ale okazało się, że wszę-



Marmaros-Sziget — Kaplica więzienna.

dzie już czychali na nas austriacy i zaczęli nas wyłapywać pojedynczo. Znęcali się nad nami, jak tylko mogli. Bili kolbami od karabinów, a nawet dobijali bagnetami rannych legjonistów. Nas zdrowych odstawili do Buda-Machala i tam w szopach, pod silną strażą, siedzieliśmy zziębnięci, czekając, co dalej z nami zrobią. O godz. 2-ej popołudniu wyprowadzili nas z szopy, otoczyli silnemi kordonami wojska i karabinów maszynowych i eskortowali nas do Kruczki.

Z Kruczki odprowadzili nas do Łużan i tu umieścili w szkole, ciągle nas rewidowali i ograbiali ze wszystkiego. W Łużanach trzymali nas 3 dni, jeść nam nie dając. Po 3 dniach załadowali nas na pociągi towarowe i odwieźli na Węgry do Saldobosz.

W Saldobosz przyjęły nas wojska węgierskie na stacji.

Wprost z pociągu zaczęli nas rozdzielać na grupy i każda grupa momentalnie została otoczona przez silne eskorty wojsk węgierskich. Gdy ukończyli już podział, padła komenda w języku węgierskim, której naturalnie nikt z nas nie rozumiał.

Ruszyliśmy. Każda grupa w innym kierunku. Naszą grupę, składającą się z 201 ludzi, zaprowadzono do Szeklencze. Tu na drodze nas zostawiono pod eskortą, a oficerowie węgierscy, gdzieś poszli, wrócili już późno, nocą. My tymczasem kostnieliśmy z zimna na śniegu.

Nareszcie zaprowadzono nas do baraku Nr. 6.

Tu czekały na nas prycze zrobione z desek sosnowych, posypane liśćmi bukowemi.

W kadzi zaś ogromnej, która ustawiona była tuż przy bramie, wewnątrz baraku była woda, podobno kiedyś dobra do picia, ale w tym dniu, kiedyśmy przyzli do baraku, była już zupełnie śmierdząca i do picia niemożliwa. Zaraz po przyjeździe do baraku ułożyliśmy się do snu. Mimo zimna spaliśmy smacznie.

Przez dwa tygodnie żywiono nas w sposób następujący: do kotła wody gorącej wsypywano 1 kg. mąki kukurydzianej na 201 ludzi — to było na śniadanie. Na obiad gotowano 12 kg. cebuli, lub 12 kg. buraków białych — na 201 ludzi. Na wieczór znowu 1 kg. mąki kukurydzianej — na 201 ludzi. Mięsa przez 2 tygodnie nie dano nam zupełnie, ani też chleba.

Dopiero po dwóch tygodniach po raz pierwszy dostaliśmy chleb kukurydziany — 1 bochenek, zdaje się kilowy, na 5 ludzi, a na obiad po kawałku mięsa.

Dopiero poprawiły się nam warunki życia, gdy komitet z Małopolski zaopiekował się nami i zaczął nam dostarczać słoniny, mąki, mięsa i pieniędzy.

ZURAWICA.

18.II.1918 r. Brygada nasza stojąca na Bukowinie w okolicy Łużan i Kocmania przeszła w nocy z 15. na 16 lutego granicę. Wieści o tem, z początku przyjmowane z wielkim niedowierzaniem, doszły do Przemyśla 17.II.1918 r. na dzień przed manifestacjami, urządzonemi w całym kraju na znak protestu przeciw haniebnemu pokojowi, zawartemu w Brześciu z Ukrainą. W obydwu te dni nie wolno było legionistom pokazywać się na mieście. Od dnia tego zaczął się niepokojny żywot w ciągłej niepewności i rozterce, jak właściwie należy się zachować wobec zaszłych wypadków. Rozchodzą się wieści, że lada chwila zostaniemy wszyscy aresztowani. Część więc i to część znaczna przebywających wówczas w Przemyśle legionistów, zwała na wszystkie strony świata, gdzie kto mógł i w najrozmaitszych przebraniach. Ciekawy obraz przedstawiał w tych dniach lokal gospody legionowej, prowadzonej przez miejscową „Ligę Kobiet”: widziało się legunów-kolejarzy, robociarzy, studentów i inne dość podejrzanie, ze względu na swój strój, wyglądające indywidua. Wszyscy gotowi do wyjazdu względnie ukrywając się przed mającem nastąpić internowaniem. Namyslałem się głęboko i poważnie nad tem, co właściwie należy robić i to chwilowe niezdecydowanie było nadzwyczaj męczące. Wreszcie postanowiłem stanowczo pozostać aż do ostatniej chwili i dzielić los innych kolegów.

22.II.1918 r. Rano dostaliśmy rozkaz zebrania się o 3-ciej po poł. przed szkołą Konarskiego, celem wymarszu do c. i k. 9 p. p. w Żurawicy. O godz. 3.30 wymaszerowało nas 64 okólną drogą poza miastem, aby nie zwracać publicznej uwagi. Prowadzili 2 oficerowie austriaccy. Towarzyszył nam daleko za miasto kpt. Dr. Krzemieński Jakób z Sądu polowego Komendy P. K. P. i w odległości kilku kilometrów od miasta serdecznie się z nami pożegnał. Po wejściu do wyznaczonego nam tymczasowo pokoju, natychmiast obstawiono

drzwi i okna posterunkami, a wtedy kapitan Langenholz ogłosił nam rozkaz internowania i przepisy zachowania się z zaznaczeniem, że w razie jakiegoś oporu albo też wykroczeń, posterunki mają rozkaz użycia broni. Przez chwilę zapanowało wśród bractwa przygnębienie, bo nikt z nas takiego zakończenia trzy i pół letniej tułaczki się nie spodziewał, ale leguny nigdy nie potrafią się długo smuć i wnet zabrzmiała potężnie „Rota”, a potem moc innych piosenek żołnierskich i tak humory wróciły całkowicie. Spanie było wyborowe; — w izbie ciasno i duszno, jeden leży na drugim, a o jakiegokolwiek zmianie pozycji ciała ani myśleć. Ale mimo to silne wraże-



Żurawica — Internowani oficerowie.

nia dnia zrobiły swoje i spaliśmy wyśmienicie. Trzymamy się razem — Antek Liguz, Zbyszek Bielański, Ferda Michalski, Staszek Staufer, Tadek Fedorski i ja, — towarzystwo z nieograniczoną poręką i wspólnym magazynem prowiantowym, przechowywanym w plecaku. Rano po umyciu się wychodzimy na pierwszy nasz spacer więzienny po kawałku podwórza pod ścisłą eskortą; następnie przeprowadzamy się na nową kwaterę do stajni. Miejsca moc, ale za to zimno, gdyż szyb prawie zupełnie brak i ciemno. Dwa małe żelazne piecyki dymią tak, że z poza dymu nawet sąsiada rozpoznać nie można, a oczy pieką niemożliwie. Ale mimo to humory wcale nie znikają i bractwo śpiewa i puszcza „wice”, od których „sala” się trzęsie.

Pomieszczenie, jakie nam przeznaczono, poprzednio służyło jako stajnia i do tego celu zupełnie się nadawało; ponieważ władze austriackie z góry przewidywały, że paczka nasza jeszcze się znacznie powiększy, a nie rozporządzały innem „locum” dla tak dostojnych gości, uznały, że stajnia będzie dla nas, choćby w zimie zupełnie odpowiedniem schroniskiem. Małe adaptacje w postaci dwu rzędów z desek zbitych tapczanów, urządzenie przy wejściu wartowni dla naszych opiekunów — i mieszkanie dla „byłych sprzymierzeńców” gotowe. Że tam kilka szyb w okienkach stajennych brakowało i wiatr ze śniegiem czasami swobodnie hulał nad naszemi głowami, to przecież drobnostki, nad któremi nie warto było się zastanawiać.

Pierwsze noce istotnie dały się nam porządnie we znaki; leżenie na twardych deskach, w temperaturze zbliżonej do zera nie usposabiało bynajmniej do snu. Ale po kilku dniach oswoił się z położeniem i z nadejściem godziny 9-ej bractwo zasypiało snem sprawiedliwych, by wczesnym rankiem wstawać na apel i śpieszyć do „umywalni” pod studnię.

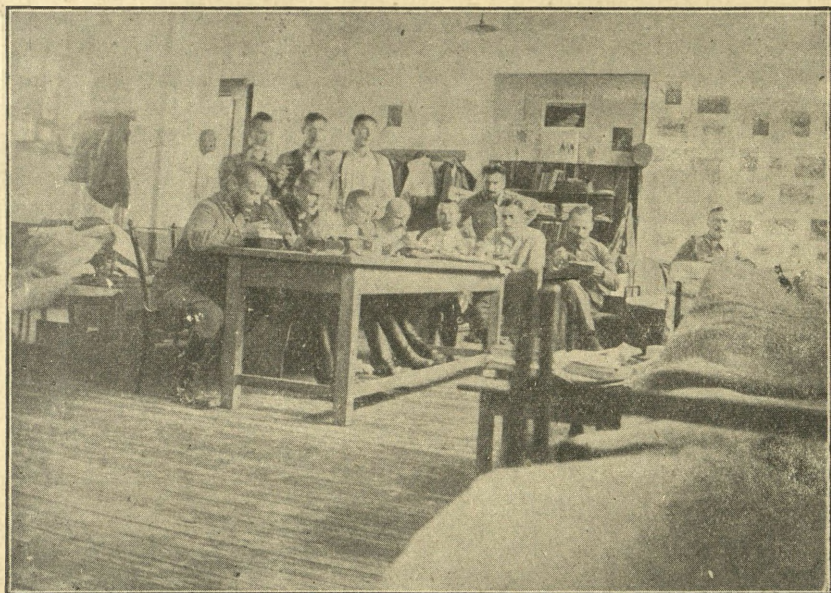
24.II. Niedziela. Po południu ku ogromnej naszej uciechu pierwsza wizyta znajomych z Przemyśla. Godzina wyznaczona na nią minęła jak chwila i znowu głuche pustki i to poczucie, że się jest więźniem, ogarnęło człowieka. Dopiero śpiew wieczorny pozwolił nam znów zapomnieć o niewesołej rzeczywistości.

25.II. Gromadka nasza zaczyna się powiększać; wieczorem przychodzi transport chorych i inwalidów z Nowego Miasta. Widocznie kaleki bez nóg i rąk także mogą zagrażać całości państwa. Jest nas już 147.

26.II. Dzisiaj nadszedł znów nowy transport — 34 ludzi. Gromadka powiększa się więc z dnia na dzień, ale za to miejsca tak mało, że większość śpi na podłodze pokotem. Poprostu zrobiło się tak ciasno, że nie można się prawie ruszać.

27.II. Dzień się nieźle zaczął: pierwszy raz dostałem moc korespondencji i czytałem to wszystko po kilka razy i z ogromną radością, zwłaszcza że od tygodnia nie miałem znikąd wiadomości. O godzinie 9-tej spacer i zabawy na podwórzu koszar. Zaczęło się od kotka i myszki w ogromnem kole. Wszyscy rozbawieni, jak małe dzieci i ma się zupełnie wrażenie, że tym ludziom nic do szczęścia nie potrzeba. Potem znów ulubiony w polu „trzeciak”. Po godzinie wracamy do baraku. Zbiórka wszystkich i sierżant Sakaluk z sądu polowego przemawia. Przedstawia jasno i dobitnie całe nasze położenie, a następnie odczytuje obowiązujące nas przepisy, na które wszyscy godzą się z ochotą. Powstaje sąd koleżeński, który ma rozsądzać ewentualne spory i wykroczenia, by nic z tego, co między nami się dzieje, nie wy-

chodziło poza drzwi baraku. Kończy się uroczystem przyrzeczeniem, złożonem gromadnie, że do odczytanego regulaminu wszyscy zastępują się bezwarunkowo. Na wniosek sierżanta Hartfeldera z sądu polowego powstaje zbiórka na T. S. L. i każdy daje ochotnie co może, a kilku nie mających pieniędzy, ofiaruje swoje papierosy i tytoń, które sprzedaje się drogą licytacji. Zebrano w ciągu kilku minut 426 koron, które ma wręczyć po południu miejscowemu kołu T. S. L. Jemu zawdzięczamy zawiązanie się na miejscu komitetu, który nas zaopatruje codziennie w prowianty. Na czele tego komitetu stoi ks. dziekan Miksiewicz i naczelnik stacji p. Durkacz, gorąco oddani na-



Marmaros-Sziget — Cella Nr 10.

szej sprawie. Wogóle nastrój wśród legionowej braci bardzo serdeczny i jeden drugiemu stara się dopomóc w czem może. Razem przetrzymamy wszystko i postanowiliśmy trzymać się solidarnie i nic nie robić pojedynczo na własną rękę. Jakoś to będzie. O 9-tej wieczór punktualnie, stosownie do uchwalonego regulaminu, gasimy światła i wszyscy zasypiają snem błogosławionych.

Nie wspominałem dotychczas o zastosowanym w stosunku do nas systemie odżywiania; otóż było ono i smaczne, i obfite i bardzo urozmaicone. Rano czarna kawa i pół bochenka t. zw. „betonu”, t. j. chleba żytnio-otrębowo-trocinowego. Przewaga tych dwu ostatnich jego składników (jakie tam jeszcze inne wchodziły w skład tego pożyw-

nego artykułu, wie tylko sam Pan Bóg i piekarze) — wywierała na nasze organizmy bardzo dodatni wpływ; na zatwardzenie nikt nie cierpiał, przeciwnie żołnierze-ukraińcy z warty mieli cały dzień pracowicie zajęty odprowadzaniem coraz to nowych amatorów spacerów do znajdującej się poza barakiem „cloaca maxima“, gdzie panował stale ożywiony ruch i na brak powodzenia ta cenna instytucja bynajmniej nigdy żalić się nie mogła. Ponadto czasami w baraku robiło się zbyt głośno i rozlegały się w rozmaitych jego punktach jakieś przytłumione, jakby z pod ziemi wydobywające się detonacje, ale na takie drobiazgi w czasie wielkiej wojny nikt uwagi nie zwracał.



Marmaros-Sziget — Cella Nr 10 w nocy.

Obiad był zawsze ewenementem dnia; zgadywano już od samego śniadania, czy będą buraki, brukiew czy kapusta. Trzy razy w tygodniu był obiad mięsny; nadzwyczajność owa polegała na tem, że po zupie pływały kwadraciki jakiejś bliżej nieokreślonej zwierzyny. I tu bawiono się w odgadywanie: kot czy pies? Były wprawdzie dni— trzeba to dla sprawiedliwości przyznać, — że i kawałka prawdziwej, nie ersatz — krowy człek się w swej menażce po dłuższym grzebaniu doszukał, no ale to zależało od różnych czynników jak np. szczęście osobiste, stosunek do kucharzy, wygląd gęby i własne poszukiwania warzęchwią w głębokim kotle kuchennym, na którego dnie specjały te zwyczajnie, jako cięższe od wody osiadały.

Wieczorem znów na odmianę czarna kawa albo zupa i każdy z nas kładł się spokojnie na swój barłóg, wolen od złych humorów, bo tak lekkie jedzenie nie mogło mu uderzać do głowy i zwykle bardzo szybko opuszczało organy trawienne.

Toteż już po kilkudniowym pobycie w obozie wszyscy czujemy się dobrze i zaczynamy „nabierać cery” (szaro-ziemistej!), zresztą bardzo twarzowej.

28.II. Pierwsze moje imieniny więzienne. Koledzy składają mi gromadnie życzenia. Będą to imieniny najbardziej pamiętne w mem życiu. Wybieramy się do Przemyśla, ale nie wiadomo, czy otrzymamy przepustkę. Z wycieczki — nici, gdyż po południu wizyta gen. Njegowana. Oznajmia nam powód internowania i „trzyma” ogromnie patriotyczną mowę, w której piorunuje na wszystkich zdrajców ojczyzny. Słuchaliśmy, bo tak trzeba było, ale każdy myślał swoje. Natychmiast po tej wizycie powstała piosenka okolicznościowa, którą zaraz jeden z kolegów odśpiewał ku ogólnemu zadowoleniu.

Zaczynała się ona od słów:

*Był u nas jenerał,
Gadał rzeczy głupie,
Że mamy Vaterland i cesarza w... duszy
Oj dana!
A dusza leguna trochę jest za mała,
Pomieści li tylko pana jenerała,
Oj dana!*

Powodzenie piosenka miała z miejsca zapewnione i weszła do repertuaru wieczornych występów na deskach urządzanego co niedzielę „kabaretu” z udziałem pierwszorzędných sił krajowych i zagranicznych, co zawsze przed każdym przedstawieniem szumnie ogłaszano wszem wobec i każdemu z osobna.

2.III. Dzień prześliczny, prawdziwie wiosenny, to też brak wolności daje się tem bardziej odczuwać. Po południu odwiedziny z Przemyśla, spacerujemy w grupkach po dziesięciu przed naszymi stajniami. I tak miło czas przechodzi, że zapomina się choć na tych kilka chwil o wszystkim.

3.III. Wstajemy o 5.30. Niedziela i wyjątkowo udzielono nam pozwolenia na wzięcie udziału w nabożeństwie w miejscowym kościele. Odmaszerowuje cały oddział, przeszło 200 ludzi, podzielony na plutony, z boku idzie nasza nieodstępna eskorta. W czasie nabożeństwa śpiewa dorywczo zebrany chór, idzie nie nadzwyczajnie, gdyż nie było czasu na lepsze przygotowanie się, dopiero odśpiewana na końcu „Rota” rozbrzmiewa potężnie na dowód, że pomimo wszelkich do

nas stosowanych represyj, ziemi nie rzucim i ducha bronić będziemy do ostatniej kropli krwi.

Po nabożeństwie wracamy do baraku ze śpiewami. Po południu prawdziwa wędrówka narodów (wyłącznie płeć piękna). Przyjeżdża również delegacja komitetu z Jarosławia z całą furą różności. Do 5-tej bawimy się w wyznaczonej na ten cel rozmównicy, a potem gremjalne pożegnanie przed stajnią. Cała nasza sekcja 2-ga zawiązuje komitet 10-ciu, stowarzyszenie dobroczynne ze wspólną kasą i prowiantami.



Żurawica — Barak A, przed „kwatery”.

4.III. Po dwu ślicznych wiosennych dniach dzisiaj zimno niemożliwe i wiatr hula po baraku zwzięcie. Toteż zmarł każdy rzetelnie a o spaniu w nocy ani mowy nie było. Wieczór przybyło znów kilku kolegów tak, że obecnie jest nas już przeszło 250-ciu i 12 oficerów. Od nowoprzybyłych dowiadujemy się, że z kadry z Bolechowa wywieziono legjonistów do Huszt na Węgrzech, którędy przechodziliśmy na początku wojny. Stosunki mają tam być straszne. Według tych opowiadań, to my prowadzimy tu jeszcze idealny żywot.

5.III. — 10.III. Tych kilka dni przeszło bez żadnych ważniejszych wydarzeń. Dzień mija za dniem, przybywa codziennie kilku nowych towarzyszy niedoli, wyłowionych w najrozmaitszych stronach kraju i przyprowadzanych tu skutych, jak jakich zbrodniarzy.

W niedzielę znów nabożeństwo, a wieczorem w baraku A kabaret.

Bractwo uśmieło się rzetelnie, zwłaszcza z kalwaryjskiej „pieśni dziadkowej o Niemcach“, którą dla pamięci tutaj notuję:

*Jęczała Polska gnieciona Moskalem,
A świat był głuchy na jej gorzkie żale,
Aż się nad nami Niemcy zmiłowali,
Nie chcą tak dalej.*

*Ukróć, mówi, moskwicina chciwość,
Niemiec przyniesie Polsce sprawiedliwość,
Sumienie wtedy będę miał spokojne,
Aż wydam wojnę.*

*Przez cztery lata krew się pruska leje,
Coś okropnego na świecie się dzieje;
Ofiarny prusak nic nie pardonuje —
Polskę ratuje.*

*Trza oswobodzić ich literaturę,
Niech rozwijają zachodnią kulturę;
Hindenburg będzie, choć już jest staruszek —
Drugi Kościuszek.*

*Te moskaliska — to dusze sobacze,
Hindenburg płacze i Ludendorff płacze,
Wziął więc Warszawę, oswobodził Kraków —
Dla tych Polaków.*

*Oswobodziwszy — w Warszawie zasiada
I akt piątego robi listopada,
Taki ten Niemiec, patrzaj dziw nad dziwy —
Był dobrotliwy.*

*Poszłyby marnie ziemi polskiej plony,
Zabrała Rosja ze sobą wagony,
Więc dobre Niemce pracę swoją łożą —
Wszystko wywożą.*

*O zły Moskalu, krwiożerczy kacyku,
Tyś nawet wieszał nas w obcym języku,
Po polsku odtąd Polak przez Germany
Będzie wieszany.*

*Ludendorff patrzy na to, co się stało.
Mówi, że jeszcze zrobiono za mało,
Choć jest regencja, ale wszystko na nic —
Bo niema granic.*

*W Brześciu Litewskim długo nad tem myślą,
Ważą pszenicę i granice kreślą,
By przyłagodzić jakąś lepszą dolę —
Für arme Polen.*

*Wszystko nam dają gotowe, zrobione,
Muzyko zagraj Dąbrowskiego marsza,
Powstanie wolne, całe, zjednoczone —
Freie Stadt Warschau!!!*

14.III. Na polu śnieg. Zima wróciła z powrotem, a więc i w naszym baraku temperatura niziutka. Nie chce się człowiekowi ruszyć z barłogu, ale inspekcyjny budzi i spędza, więc trzeba dla miłego spokoju wstać. Wyszliśmy na spacer poza koszary i tak się człek trochę rozgrzał.

15.III. Rano dostaliśmy trzecią stajnię, do której przeprowadzili się inwalidzi i chorzy. Zimno porządne, gdyż nie pali się zupełnie. Nie mam co czytać, toteż nudy szalone.

16.III. Dcwiadujemy się o śmierci jednego z naszych kolegów, który przed kilku dniami odszedł do szpitala w Przemyślu. 50 ludzi ma iść na pogrzeb jako pluton honorowy.

17.III. Cały ranek robimy przygotowania do wymarszu i ćwiczenia plutonu według przepisów musztry polskiej idą doskonale, wiara maszeruje, jak na paradzie. Tymczasem o godz. 11-ej oznajmiamy nam, że zwłoki przewieziono już na stację w Przemyślu i odtransportowano do Berna, skąd zmarły pochodził.

18.III. Rano dowiadujemy się, że wczoraj uciekło 9 ludzi z baraków. Skutki tego dały się nam natychmiast odczuć. Na 3 dni zamknięto nam zupełnie wyjście z baraków, wszelkie odwiedziny są wstrzymane. Dobrze, że mam obecnie książki, bo doprawdy możnaby z nudów i bezczynności zwarjować.

19.III. Rano urządzamy powinszowanie tutejszemu księdzu proboszczowi, który nas często odwiedza. Po przemówieniu sierż. Hartfeldera — gromki okrzyk: „Niech żyje nam“ i śpiewamy „Rotę“ oraz „Mazurka“ Dąbrowskiego.

Po południu był u nas jeden z kolegów, naoczny świadek zająć na froncie, który uciekł z Huszt. Opowiada więc, że koło Rarańczy padło moc naszych ludzi. Treny otoczone na froncie pozostają pod ścisłym nadzorem, natomiast więci w Bolechowie mają większą swobodę.

22.III. Dokonujemy podziału ludzi w baraku na plutony.

Obejmuję komendę nad 1-ym plutonem w sile 29 ludzi.

Z kapitanem szwabem, komendantem obozu, który się stale bardzo nieprzyjaźnie do nas odnosił, były znów dzisiaj dwie awantury.

Rano odchodził bataljon marszowy, 9 p. p. w pole i na dziedzińcu obok naszego baraku odbierał jeden z arcyksiążąt przysięgę, a potem orkiestra pułkowa zagrała hymn austriacki. Ponieważ wychodziliśmy z założenia, że możemy się obecnie uważać za osoby cywilne, czyli w gwarze austriackich wojskowych t. zw. „cywilbagaż“, nie oddaliśmy przepisanych honorów wojskowych, co rozwścieczyło naszego kapitana

do tego stopnia, że wśród ordynarnych przekleństw i wyzwisk kazał nas natychmiast wpędzić do baraku. Pienił się poprostu w bezsilnej złości, bo pogorszyć już naszego położenia niczem nie mógł.

Z powodu ucieczki kilku z naszych mamy odtąd rano i po południu zbiórkę w obecności podporucznika austriackiego i odczytywanie imiennej listy internowanych. Ponadto zagrożono nam w razie zaginięcia któregoś z naszych towarzyszy surowymi represjami i wznowiono znacznie posterunki koło baraków.

24.III. Niedziela palmowa. Pobudka o 5-ej rano, a przed 7-ą ustawiają się wszystkie baraki na polu i maszerujemy do kościoła. Pod-



Marmaros-Sziget — Po abolicji procesu.

czas nabożeństwa śpiewa chór i to wcale dobrze. Następnie odmarsz z powrotem.

Po południu cała masa wizyt i w wyznaczonej na ten cel sali rojno i gwarno jak w ulu. O 5-tej wypraszają wszystkich i wracamy do naszego zadymionego „salonu”.

25.III. Święto, więc znowu idziemy do kościoła. Dzień pochmurny i zimny.

Oświadczono nam, że wizyty są od dzisiaj dopuszczone tylko od godziny 2-ej do 4-ej po południu i jedynie za specjalnem pozwoleniem z bataljonu. Zamiast więc obiecywanych przez gen. Niegovana udogodnień — mamy zaostżenia.

Wobec tego oświadczamy jednogłośnie, że żadnych rozkazów ze strony oficerów austriackich nie uznajemy i salutować ich nie będziemy. Wogóle postanawiamy zachowywać się spokojnie i taktownie, ale jak „cywile“, za jakich nas uważają. Według rozchodzących się pogłosek, ma być jutro asenterunek. Czas już, by raz z nami skończyli, bo i cierpliwość się wyczerpuje i zdrowie niszczy.

Wieczorem zostali zawezwani komendanci baraków do kapitana Langenholza i przedstawili mu zapatrywanie ludzi na wytworzone stosunki.

W większości wypadków przyznał słuszność i obiecał zmianę. Zarządzenie co do odwiedzin ma być zniesione. A więc zaczynają znów z nami politykować; zobaczymy!

26.III. W nocy szalone zimno. Rano budzimy się w czas, przez szybki okien widać drobne płatki padającego śniegu. Zima zawitała z powrotem, wcale w tych warunkach dla nas niepożądana. Dzisiaj nareszcie pierwszy dzień „musterunku“. Bractwo wcale humorów nie traci i przed wyjściem do badania wyśpiewuje niestworzone rzeczy ku ogólnej ucieście. Dziś idzie tylko część, coś około 100. Jako zdolnych uznano przeszło 60. W południe zawezwano ich do przysięgi — odmówili, żądając zniesienia posterunków koło baraków i traktowania takiego, jak żołnierzy austriackich, a gdy im oświadczono, że to narażenie niemożliwe i oświadczenie to poparto wystawieniem naprzeciw kompanii szturmowej w bojowym rynsztunku — przysięgę złożyli. Ostatnie dni tragedji legjonowej dobiegają końca. Za kilka dni rozrzuca nas na wszystkie strony i po 4-letniej tułaczce trzeba będzie zrzucić mundur, do którego tak gorąco człowiek się przywiązał i przyzwyczaić się do nowych stosunków, zupełnie nam obcych. Żal tego życia koleżeńskiego, jakiego, może w żadnym innem wojsku nie spotkamy w tym stopniu, co w Legjonach. A i te ciężkie chwile tu spędzone, pozostaną, jako najmiłsze wspomnienie na żywot cały.

27.III. Mróz rzetelny, to też zimno u nas wprost nie do wytrzymania.

Cały dzień człowiek siedzi w płaszczu i rękawiczkach i goni po całej stajni, bo inaczej skostniałby kompletnie. Jeszcze kilka dni takich, a będzie zupełny szpital. Dzisiaj drugi dzień „musterunku“.

Po przysiedze śpiewamy gremjalnie „Rotę“ na dziedzińcu koszarowym, ku ogólnemu podziwowi zgromadzonych naokoło „trepów“.

30.III. Dzisiaj przyszła i na mnie kolej; zmustrowali mnie dokładnie i uznali za całkiem zdolnego do obrony państwa austriackiego. Ale niedoczekanie ich! Już tam temu kolosowi na papierowych nogach żadnej krzywdy my leguny nie zrobimy, bo on się i tak wywróci.

Po południu zawiadomiono nas o decyzji jakiejś wysokiej c. i k. władzy, że dla zlikwidowania w ciągu 3-ch miesięcy wszelkich mater-

jalnych spraw legionowych zostaje utworzona t. zw. „wspólna kancelaria rachunkowa byłego Pol. Korp. Pos.“, do której ma nas odejść ośmiu podoficerów i czterech oficerów. Po serdecznem więc pożegnaniu z pozostającymi jeszcze w obozie kolegami odmaszerowujemy niezwłocznie do Przemyśla, aby skorzystać z wolności i Święta Zmartwychwstania spędzić u znajomych.

Wśród oficerów internowanych w Żurawicy byli: kpt. Jan Łuszczynski, ppor. Komiński, chor. Leś, chor. Prochaska, chor. dr. Dziech, chor. Dąrowski Tadeusz.

W dwa tygodnie później cały obóz w Żurawicy został zwinięty, a jego uczestnicy rozesłani do pułków austriackich.

DULFALVA.

Kadra II Brygady Legionów (czy też, jak ją Austria oficjalnie nazywała „Polskiego Korpusu Posiłkowego”) znajdowała się od grudnia 1917 r. w miasteczku wschodnio-małopolskim, w Bolechowie. Składała się z 4-ch kompanij uzupełniających i szkoły podoficerskiej. Liczyła około 1000 legjonistów i kilkudziesięciu oficerów.

Wiadomość o faktach, zaszłych 15 lutego na odcinku Brygady na froncie, o przejściu części oddziałów na terytorjum rosyjskie i uwięzieniu reszty przez Austriaków — dotarła do Bolechowa 17-go lutego.

Natychmiast zebrał się cały korpus oficerski i zadeklarował swą solidarność z czynem frontowych oddziałów Legionów.

Nazajutrz, 18-go lutego austriacki inspektorat formacyj marszowych, znajdujący się w odległym o kilkanaście klm. od Bolechowa mieście Dolina, zarządził rozbrojenie i aresztowanie wszystkich legjonistów w Bolechowie. Wysłał w tym celu wszystkie swe rozporządzalne formacje marszowe, które w ilości kilku tysięcy żołnierza obsadziły wszystkie gościńce, wiodące do Bolechowa i rozsypały się gęstą tyraljerą dokoła miasteczka i okolicznych wsi.

Komendant kadry Legionów wydał rozkaz, aby wszyscy oficerowie i szeregowi zebrali się na olbrzymiej Stoce u wylotu miasta. Tu nastąpiło oddanie broni austriakom, poczem pod eskortą zostali wszyscy odstawieni pieszo do drewnianych baraków w Dolinie.

Tam otoczono baraki drutem kolczastym i legjonistów (oficerów i szeregowych pospołu) najzupełniej izolowano od styczności z światem.

Dnia 20-go lutego ogłoszono, że c. i k. Naczelna Komenda Armji rozporządzeniem z 19-go lutego rozwiązała Polski Korpus Posiłkowy, zaś komendant c. i k. 7-ej armji wdrożył przeciw internowanym w Dolinie legjonistom dochodzenia sądowe o bunt i organizację dezercji, przy czem nakazał traktować legjonistów, jako jeńców wojennych...

W trzy dni potem, 23 lutego, późnym wieczorem skierowano wszystkich legionistów na dworzec kolejowy w Dolinie, zawągonowano i wysłano koleją przez Stanisławów — Delatyn — Nadwórnę na Węgry.

Wywagónowanie nastąpiło 25-go lutego na stacji Bustyahaza. Tu odseparowano oficerów od szeregowych.

Oficerowie zostali 26-go pieszo skierowani do wsi Dulfalva, oddalonej od stacji o 20 przeszło klm.

Za wsią Dulfalva znajdował się olbrzymi drewniany barak, wystawiony przed 2 laty przez niemieckie przeciągające oddziały, jako prowizoryczny schron. W baraku znajdowały się wyłącznie tylko drew-



Marmaros-Sziget — Komenda P. K. P. po abolicji

niane tapczany o 2 kondygnacjach. Stołów, ławek i innych przedmiotów urzędzenia nie było. W kącie olbrzymiego, długiego baraku stał jeden żelazny pięcyk. Dach baraku i ściany nie były uszczelnione, wiatry lutowe hasały we wnętrzu baraku dowoli.

Tu zostało umieszczonych około 100 oficerów kadry, do których dołączono po kilku dniach 12 oficerów 2 p. uł., zagarniętych na leżach zimowych w Skolem i również odtransportowanych do Dulfalvy.

We wsi znajdowała się komenda „obozu jeńców” i kompanja węgierska, strzegąca baraku, który został obwiedziony głębokim rowem i kilkoma rzędami drutu kolczastego.

Początkowo traktowanie oficerów legionowych urągało najprymitywniejszym wymogom więziennictwa. W biednej, zubożałej, wy-

niszczonej wsi górskiej Dulfalva nie było żadnych zapasów żywności; ciemny lud rusiński żywił się obierzynami kartofli i kaszą owsianą. Stacja kolejowa była odległa o dwadzieścia kilka km. Komenda armji wydała zarządzenie, by oficerów legjonowych żywić jak włoskich jeńców, a więc bochenek kukurydzianego chleba na 4 dni, raz tygodniowo 100 gr. końskiego mięsa, brukiew jako codzienny „fasunek” i szary odwar cuchnący jako „kawa”. Oto wszystko. Światła w baraku nie było, a świec nie pobierano, — więc od 4-ej ppoł. do 8-ej następnego rana panowały ciemności. Z trudem udało się po pewnym czasie porwać trochę słomy na pościółkę do prycz.



Bustyahaza — Popołudniowe zajęcia.

W odległej od Dulfalwy o 8 klm. wsi Talabor, urzędowali austriaccy sędziowie śledczy i codziennie kilku oficerów pod eskortą węgierskich żołnierzy maszerowało na przesłuchanie.

Mimo chłodu i głodu, mimo zupełnego odcięcia od świata, braku wiadomości, gazet, książek, braku tytoniu, braku światła — oficerowie nie upadali na duchu. Zorganizowali zajęcia tak, by czas zbyt szybko nie dłużył. Na małym placu między barakiem, a fosą i drutami codziennie odbywała się gimnastyka, poczem odbywały się wykłady z dziedziny wojskowej i ogólnej i lekcje języków obcych.

Co niedzieli odprawiał internowany również kapelan legjonowy ks. Koźma-Lenczowski, mszę świętą.

Po kilku tygodniach udało się nawiązać kontakt ze światem. Przez karczmarza wioskowego w Dulfalva zdołano przemyścić kilka listów

i otrzymać kilka gazet budapeszteńskich (Pester Lloyd) i dowiedzieć się o wypadkach zaszłych od czasu uwięzienia.

Potem (pod koniec marca i z początkiem kwietnia) zaczęli zjeżdżać do Dulfalvy przedstawiciele narodu polskiego. Otrzymał więc zezwolenie na odwiedzenie uwięzionych, ówczesny prezes Koła Polskiego w Wiedniu poseł Baworowski, potem dwaj księża, delegaci konsystorza biskupiego lwowskiego, wreszcie dwie delegatki Koła Polek, które prócz listów przywiozły wiele darów i szereg niezbędnych przedmiotów ekwipunku i toaletowych.

Dnia 18 kwietnia przybył do Dulfalvy austriacki generał Schilling i oświadczył, że wszyscy oficerowie zostają zdegradowani i odstawieni (o ile są poddanyymi austriackimi) na front włoski.

23-go kwietnia zostali więc „byli oficerowie legjonowi“, obecnie szeregowcy austriaccy zawagonowani na stacji Bustyahaza i wywiezieni (po 5-dniowej podróży) do Udine, gdzie zostali w okolicznych wioskach pod przewodnictwem „k. u. k. Kommando P.“ (P — Polen) przez dwa miesiące „udyscyplinowani“, poczem zostali rozdzieleni między austriackie pułki na całym froncie włoskim, od Tryestu aż po Piawę.

WITKOWICE.

W dniu 16.II.1918 r. rano otrzymaliśmy w domu uzdrowieńców w Nowem Mieście koło Przemyśla pierwszą wiadomość o przejściu Korpusu Posiłkowego na Ukrainę oraz, że pewna część oddziałów, która nie zdołała przejść, została aresztowana przez wojska austriackie. Z polecenia ś. p. kpt. Bobrowskiego udałem się bezwzględnie do Przemyśla, Krakowa i Piotrkowa pod pozorem załatwienia spraw, związanych z zaopatrzeniem Domu Uzdrowieńców, a w rzeczywistości miałem za zadanie zbadać nasze położenie i dowiedzieć się, co czynić należy. Kiedy wracałem dnia 21.II. 1918 r. z Piotrkowa do Nowego Miasta dowiedziałem się w Przemyśle o zamiarze wysłania jednego bataljonu 10 p. p. armji austriackiej (oczywista samych ukraińców), celem internowania legionistów. Po przybyciu do Nowego Miasta zezmeldowałem o tem ś. p. kpt. Bobrowskiemu. Po krótkiej naradzie oficerowie postanowili pozostać do końca, żołnierzom zaś pozostawiono swobodę działania.

Nim bataljon 10 p. p. c. k. armji zdążył przybyć do Nowego Miasta trzy czwarte legionistów i kilku oficerów, pozostających na kuracji zwało w rozmaitych kierunkach, bądź też pochowało się w okolicy, by po zaopatrzeniu się w ubrania cywilne uzyskać swobodę ruchu. Pozostałych kilkudziesięciu legionistów w zwartej masie odstawiono do obozu w Żurawicy, oficerom, między którymi znajdowali się ś. p. kpt. Bobrowski Zygmunt, por. Góra, por. dr. Szalit, por. dr. Szantruczek, ppor. Rudolf Karol, chor. Michnowicz, chor. Orliński, chor. Feliks Iwanowski, chor. ś. p. Sławiński, chor. Skwirczyński i chor. dr. Świerż (dwaj ostatni uciekli już wcześniej), wydano oddzielne dokumenty podróży do Żurawicy.

Oglądam te dokumenty podróży i powiadam do kolegów „dobra nasza“! Czy my to akurat musimy jechać do Żurawicy, a może tak do Warszawy na te dokumenty pojedziemy?... Ależ to się nie da — po-

wiada kilku kolegów z ponurą miną. Jak się nie da, to się nie da, ale spróbować można, co na tem tracę — odpowiadam. Poruczniku Góra (był adjutantem) — dopiszcie tu na moim dokumencie na tej maszynie jeszcze cztery słowa „über Krakau nach Warschau“.

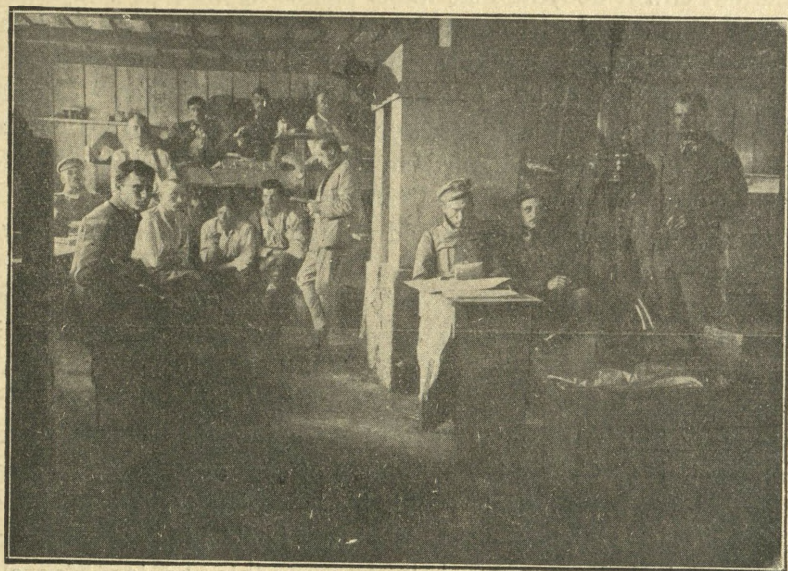
Zajechaliśmy do Przemyśla. Wsiadamy — patrzę na miny kolegów, każdy srodze zamyślony. Zwracam się na dworcu do ś. p. kpt. Bobrowskiego i melduję: „Panie Kapitanie, melduję posłusznie, że wieję do Krakowa lub Warszawy” następnym pociągiem. „Może się zobaczymy jeszcze” powiada ś. p. kpt. Bobrowski, „bo ja jako królewiak będę zdaje się za kilka dni wypuszczony”. Pożegnałem się z kolegami serdecznie i wsiadam do pociągu. Odprowadza mnie por. Góra, który w ostatniej chwili decyduje się także jechać ze mną do Krakowa. Ale cóż? Z Przemyśla do Krakowa kawał drogi, trzeba się jakoś zabezpieczyć. Przychodzi konduktor. Pytam: „Panie — możemy tu spokojnie spać do Krakowa?” (mieliśmy osobny przedział). — Postaram się — odpowiada. Z miny jego wyczytaliśmy, że wie o co chodzi — uniknęliśmy w ten sposób w drodze kontroli żandarmskiej. W Krakowie na dworcu kolejowym wyszliśmy cało. Żegnamy się z por. Górą, miny uradowane, a więc jutro przed południem na A—B tak, dobrze — zgoda.

Nad ranem ktoś puka do mego mieszkania, wstaję niechętnie i myślę sobie „psiakrew już mnie mają — otwieram drzwi — wchodzi jakiś oficer austriacki, a za nim pakuje się kilku żołnierzy austriackich i pytają, czy tu mieszka pan ppor. Rudolf. „Tak — odpowiadam, a jak się masz Lolek, poznajesz nas — ocknąłem się trochę ze strachu, patrzę, to chorąży Orliński w mundurze oficera austriackiego, a reszta żołnierzy, to ś. p. kpt. Bobrowski, biedaczysko, taska walizkę chor. Orlińskiego, chor. Michnowicz, ś. p. chor. Sławiński, sierż Horenberger i inni. „Przyjechaliśmy za Tobą” — powiadają, bo tam słyszeliśmy niema co robić. — No dobrze, a jakąż mieliście podróż, ot jak widzisz, jesteśmy czarni, jak murzyni, bośmy jechali węglarką. Po oczyszczeniu się i skromnym posiłku naradzamy się, co dalej robić. „Jedźmy do Warszawy”, powiada któryś z kolegów — tam swoboda ruchów jest łatwiejsza”. Zaczyna się podrabianie dokumentów i w rezultacie wszyscy, za wyjątkiem ś. p. kpt. Bobrowskiego i mnie wyjeżdżają.

Tak się skończyła likwidacja Domu Uzdrowieńców w Nowem Mieście.

A teraz czeka na nas obóz Żurawica i Witkowcie. W obozie internowanych w Żurawicy Austriacy skoncentrowali legionistów z Domu Uzdrowieńców Nowe Miasto i wszystkich uciekinierów przyłapanych w Małopolsce Wschodniej. Natomiast wszystkich legionistów-uciekierów przyłapanych na terenie Małopolski zachodniej umieścili

austriacy w obozie w Witkowicach. Wiele winy ponosi tu stacja zborna dla legjonistów w Krakowie, że nie zniszczyła ksiąg meldunkowych, przez co ułatwiła austriakom odszukiwanie adresów i aresztowania; — mimo to jednak znaczna ilość legjonistów ukrywała się jeszcze w Krakowie i Galicji Wschodniej, która pozostawała w kontakcie ze swoimi braćmi internowanymi. By i tę resztę legjonistów ubezwładnić, wydaje austr. c. k. Komenda Twierdzy w Krakowie rozkaz w formie publicznego ogłoszenia w dziennikach i plakatami, że wszyscy pozostający na wolności legjoniści mają się w terminie określonym zgłosić w obozie w Witkowicach, w przeciwnym razie zostaną oddani pod sąd wojenny.



Dülfalva — Wnętrze baraku oficerskiego.

Zaczyna się powoli zapełniać obóz w Witkowicach. Jedni przychodzą tu pod konwojem, drudzy zgłaszają się „ochotniczo”. Zbiera się ładna porcja, bo około 470 legjonistów, w tem 19 oficerów. Między internowanymi oficerami znaleźli się: por. Selim Brune, ppor. Rudolf, ppor. Zygmunt Nowakowski, ppor. Czuryło, ppor. Schubert, ppor. Leon Recheński, chor. Blachaczek, chor. Bastgen i inni; z pośród podoficerów i szeregowych: sierż. Procajłowicz, wachmistrz Kwieciński Zdzisław, sierż. ś. p. Marjan Hupczyc, sierż. Dąbrowski Tadeusz, Tyczka Tadeusz, leg. Machinko, Pachel i inni.

Do strzeżenia tych buntowników wyznaczyła c. k. Komenda Twierdzy w Krakowie bataljon Węgrów i bataljon Ukraińców, rozstawiając

gęste posterunki, bo co 6 kroków wokoło obozu, otoczonego siecią drutu kolczastego — dniem i nocą. Jedyną pociechą tych nieszczęśliwych buntowników było dżentelmeńskie i oficerskie zachowanie się ówczesnego komendanta obozu mjr. Podradzkiego oraz wzgórze z drzewem, z którego nieszczęśliwa grupka całymi dniami spoglądała tęsknym zwrokiem z poza drutów kolczastych na piękny widok Krakowa z Wawelem i Kopcem Kościuszki. Wysoce poprawne zachowanie się mjr. Podradzkiego charakteryzuje dbałość jego o wyżywienie oficerów internowanych, jak niemniej przychylne zajęcie stanowiska w czasie obchodu imienin ukochanego Komendanta w dniu 19.III.



Szeklencze — Obóz internowanych.

1918 r., który to obchód odbył się przy zachowaniu pełnej uroczystości wojskowej i przy dźwiękach pieśni narodowych i legjonowych — niestety, pod dozorem gęstych posterunków z nabitą bronią.

O losie naszych kolegów więzionych w różnych obozach, a zwłaszcza pozostających w Marmarosz-Sziget byliśmy informowani między innymi przez prof. uniwersyteckiego hr. Mycielskiego. Niemniej i całe społeczeństwo krakowskie okazywało żywe i serdeczne zainteresowanie się losem więźniów witkowickich, znosząc im ciepłą bieliznę, żywność, papierosy i inne drobiazgi, a co najważniejsze nawet opał, którego brak dawał się dotkliwie odczuwać w drewnianych barakach. Niestety,

stacja zborna Leg. w Krakowie jakkolwiek na wolności, nie zainteresowała się tem). Z szczerem sercem i radością były przyjmowane częste dary żywnościowe (ziemniaki, kapusta, mleko) od właściciela Górki koło Witkowic p. Buszczyńskiego. Niemniej wspomnieć należy o serdecznem i ciepłym zachowaniu się dr. Merunowicza, ówczesnego mjr. lek. i członka austriackiej komisji asenterunkowej, który z 19 oficerów legionowych tylko jednego oficera Stasia Czuryłę, zdrowego jak byk, a czerwonego jak ówik, musiał uznać za zdrowego wobec własnego oświadczenia przed komisją, że mu nic nie brakuje. Tak więc Stasio Czuryło zostaje wielkim dowódcą grupki, wysłanej na włoski front i wcielonej do armji austriackiej, a mającej walczyć „za Austrii skrawek nędzy”.

Reszta pozostałych legionistów po zwolnieniu własnym leguńskim przemysłem, wieje do Krakowa i dalej, organizując i pracując w dalszym ciągu nad sprawą, dla której wstąpiła do Legionów, czego dowodem, że pierwszy odruch w kierunku rozbrojenia zaborców wychodzi potem od niej.

Z czasów pobytu w Witkowicach nie brak także epizodów humorystycznych, jak np.:

Przybycie „dobrowolne” jeńców do obozu w piękną niedzielę w towarzystwie krewnych i przyjaciół, którzy, ażeby ich warty obozowe nie wzięły za buntowników, szli z fantazją do obozu, niosąc na tyczkach białe chustki, któremi powiewali na znak, „dobrowolnego” oddania się jako jeńców.

Wreszcie drugi epizod również charakteryzuje doskonale junactwo legionistów, którzy jakkolwiek więzieni — humoru nie tracili. Otóż mjr. Podradzki niemal codziennie odwiedzał nas w barakach, proszony o wydanie przepustek dla pewnej ograniczonej ilości legionistów na każdy dzień, okazał wielką życzliwość i zainteresowanie się tą sprawą, wyjeżdżając natychmiast do komendy twierdzy z przedstawieniem prośby jeńców — niestety — wrócił z odmową. I oto co się dzieje; leguny mimo licznych posterunków i zasieków „wieją” kupą do Krakowa, aby na linii A—B troszkę popromenować, w lokalach Hawelki pokrzepić ciało i ducha. Nad ranem zaś wracają do obozu, by ich nie brakło przy apelu. Dowcipny sposób swego wiania odkryli nam, oficerom dopiero po kilku dniach, a mianowicie: w tygodniu odwiedzali więźniów krewni i znajomi, przynosząc im w kieszeniach „austriackie czapki”. Legun otrzymawszy taką czapkę, ubierał płaszcz, nasuwał czapę „z bączkiem”, a „nemtudackie” węgierskie posterunki nietylko ich przepuszczają, ale oddawały im jeszcze honory wojskowe.

KAROL MASNY

INTERNOWANIE LEGJONISTÓW W WIEDNIU.

W czasie przejścia II Brygady pod Rarańczą, w Wiedniu przebywała stosunkowo niewielka ilość legjonistów; byli to, prócz personelu oficera placu Polskiego Korpusu Posiłkowego przy komendzie placu w Wiedniu („Platzofizzier des polnischen Hilfskorps beim k. u. k. Platzkommando Wien”), oficerowie II Brygady, odkomenderowani jeszcze przed zawarciem pokoju brzeskiego na rozmaite kursa wojskowe w Wiedniu i w miejscowościach niedaleko Wiednia położonych, np. kurs miotaczy ognia, kurs łączności, na którym wówczas był por.



Dülfaiva.

(obecny płk.) Rotarski i kurs aspirantów intendenty w Wiedniu, na którym w tym czasie byli: ppor. (obecny płk. int.) Masny Karol, ppor. Grodyński i ppor. dr. Mroczek.

O zamierzonym przejściu II Brygady przebywający w Wiedniu legionści nie mieli żadnych wiadomości, dopiero po internowaniu dowiedzieli się o fakcie przejścia brygady i bliższych szczegółów, dotyczących przejścia od posłów polskich do parlamentu austriackiego.

Władze austriackie powodu internowania legionistów nie podawały. Wylapywanie legionistów rozpoczęło się z dniem 19. lutego 1918 r., a samo internowanie miało miejsce w „k. k. Schützenregiment Nr. 24” w Wiedniu. Polegało ono, — dzięki energicznym staraniom ppor. dr. Szaroty, oficera placu Polskiego Korpusu Posiłkowego i jego dobrym stosunkom z władzami austriackimi, unikającami starannie rozgłaszania faktu przejścia Brygady — na codziennem meldowaniu się internowanych w 24-ym pułku strzelców, poza tem internowani mogli przebywać w dotychczasowych mieszkaniach; aresztowano tych tylko legionistów, których przyłapano na ucieczce z Wiednia. Ogółem internowanych zostało kilkudziesięciu legionistów (oficerów, podoficerów i szeregowych). Obejście się z internowanymi było zupełnie poprawne, dzięki stałej opiece ppor. leg. dr. Szaroty. Trwało to aż do przeglądu wojskowego internowanych, który miał miejsce w marcu, poczem zdatnych odsyłano wprost na front włoski, uznanych za niezdatnych, zwalniano od obowiązku austriackiej służby wojskowej.

LEGUNY POD WŁOSKIEM NIEBEM.

— Gdzieś ty siedział w kryminale — spytał mnie uczony legun. Ano w Dolinie — odpowiedziałem — później na Węgrzech, a wreszcie w słonecznej Italji, w Faedis i Ravosa koło Udine pod wodzą Generallejtanta Lewandowskiego, komendanta Polengrupy. — Musisz coś napisać z tamtych sron, jak leguny „kiwali“ awstryjców“, ale szybko, bo na jutro musi być gotowe. Nie pomogły wymówki, że nie mam daru pisarskiego, że zapomniałem nazwisk i t. d. Uczony legun skorzystał ze swych praw i dał rozkaz, mówiąc: — wszystko jedno, pisz jak chcesz, ale dawaj materiał...

Spełniając zatem rozkaz, piszę, a jeśli szanowny komitet redakcyjny dostanie chwilowego zaćmienia i przepuści te gryzmoły, to proszę Was, Cni Czytelnicy, nie gubcie swemi przekleństwami mej nieśczęsnej duszy, lecz okażcie litość godną mężnych Polaków.

Było nas oficerów legjonowych, internowanych w Ravosie, ze czterdziestu chłopów, przeważnie sami „krüpple“, których c. i k. komisja uznała za niezdatnych, lub mniej zdatnych, sam kwiat rycerstwa polskiego. Nazwisk nie wspominam, bo mógłbym którego opuścić i w ten sposób, niechcący, uszczknąć kwiatu sławy zasłużonego. W tej samej miejscowości obozowało około 500 legunów nieasenterowanych, obdarzonych w sposób okrutny, a im bardziej był który oberwany, tem więcej miał humoru i wesołości.

Wiara obijała się bosko, wygrzewając na głodno swe grzeszne cielska nad brzegiem rzeki i obmyślając tylko, czemby uprzyjemnić życie naszemu władcy. Wymyślano codziennie delegacje, na czele której stawał zwykle, obecny płk. Modelski Izydor, które wypytywały nieśczęśnika o naszą sytuację, urągały mu, jakim prawem nas, niezdatnych do służby, przetrzymuje w internowaniu; poszczególni oficerowie żądali wydania rozkazów wyjazdu, postarawszy się przedtem w kancelarji o dokumenty, stwierdzające ich niezdatność. Porucznik, który

je nam powydawał, dostał „wcirę”, a panowie feldfeble gonili od jednego do drugiego oficera i prosili, by im pozwracali wydane przedtem potwierdzenia. Generał, któremu zależało na opinii polskiej i którego zjechały gazety krakowskie za jego nieprzychylny do nas stosunek, składał się przed delegacjami, skamląc, że przecież jego zachowanie się względem nas i szeregowych jest więcej niż przychylne, że nam daje większe ulgi, aniżeli mu na to zezwala instrukcja, że rozwiązanie naszej sprawy leży na najlepszej drodze, tylko trzeba poczekać, póki się Kriegsministerium nie pogodzi z Armeeoherkommando.

Czekając na tę zgodę, ćwiczyły leguny z zapalą musztrę pruską, a specjalnie marsz paradny bosemi nogami, starając się jak najwięcej robić przytem kurzu. Było to przygotowywane dla gen. Lewandow-



Magredis — Ostatni transport z Husztu po przybyciu na front włoski.

skiego, który od czasu do czasu odwiedzał obóz. Gdy taką wizytę zapowiadano, leguny musiały zamieść drogę; robili to tak uczenie, że zbierali kurz w jednej linji, a podczas przeglądu biły chłopaczki bosą lewą nóżką z takim tupetem, że podnosiły się gęste tumany kurzu, pokrywające i zasłaniające wszystko.

Ekscelencja prychała i kaszłała, musiała jednak robić zadowoloną minę, że chłopaczki tak ostro defilują. Po powrocie do dowództwa, odbijał się na komendancie obozu, który przysięgał, że przed wizytacją była droga dobrze wymieciona.

Koledzy, mniej zdadni do służby, byli przeznaczeni na komendantów eskort, które odwoziły, uznanych za zdatnych, legjonowych rekrutów do ich kadr.

Pamiętam komiczne wydarzenie z transportem, prowadzonym przez ś. p. kpt. Terleckiego. Dostał on do pomocy jednego eskortanta żydka i miał odwieźć transport do Ołomuńca. Całe towarzystwo miało jednakże interesy gdzieindziej i wobec tego, po przybyciu do Wiednia, rozpuścił ś. p. kpt. Terlecki swoich chłopaczków.

W parę dni po wyjeździe, wraca eskortant żydek. Dopytujemy się, co słyhać z transportem i jego komendantem. „Ładny komendant”, mówi z wściekłością żydek, „on nas puścił we Widniu. Je sze pitam, co jest ze mną eskortantem, cy ja mam iść do Olomounci, a ten, jak



Ravosa — Leguny na włoskim froncie.

buł duży, zrobiał sze jeszcze dłuższy i krzyknie: Idź na złomiony pisk. I ja tu wróciłem”.

Ale à propos eskort. Po powrocie z internowania, zostałem przydzielony do tajnej komendy placu w Krakowie do dziadka Szerauca i miałem za zadanie przyjmowanie legunów dezertarów z armji austriackiej, oraz formowanie transportów via Kielce i Piotrków do Warszawy. W tym celu mieliśmy wszędzie naszych ludzi, szczególnie w austriackiej komendzie placu, w komendzie dworca i w kancelarji t. zw. oficera dla spraw legjonowych.

W c. i k. komendzie placu był nam oddany całą duszą mjr. Łasiński, który dostarczał nam zmienianych ciągle formularzy i oryginalnych

podpisów tych osób, które w danym dniu podpisywały dokumenty podróży.

W sposób artystyczny powielał te dokumenty porusznik legionowy, obecny saper por. Krzanowski.

Doszły mnie słuchy, iż mjr. Łasiński, który w owych czasach z narażeniem swego życia, oddawał nam z całą bezinteresownością tak ważne usługi, miał z tego powodu wytoczone przeciwko sobie dochodzenie honorowe, które się miały dla niego niekorzystnie skończyć.



Ravosa — Grupa oficerów legionowych na froncie włoskim.

O niespodziankach na dworcu informował nas feldfobel, którego nazwiska, niestety, nie pamiętam, przy życziwej neutralności komendy dworcowej.

W komendzie uzupełniającej funkcjonował, jako „Offizier für Legionsangelegenheiten” kpt. Dostał, człowiek zupełnie Legionom oddany.

Przyznam się, że podczas mego urzędowania, miałem parę razy duszę na ramieniu.

Raz wchodzi do pokoju, w którym urzędowałem, żandarm austriacki, prowadząc przed sobą dwóch żołnierzy i dopytując się o tego oficera od legionistów.

Wskazano mu mnie, siedzącego w ubraniu cywilnem. Przypatrzył się podejrzliwie, lecz w końcu wzruszył ramionami i zameldował zu-

pełnie przepisowo, że przywozi tych ludzi według rozkazu, a na moje zapytanie o dokumenty odpowiedział, iż pozostawił wszystko na komendzie dworca, gdzie wskazano mu adres na Gołębią, dokąd miał ich, jako dezterterów, oddać do dyspozycji oficera legjonowego. Na Gołębiej mieściła się tajna komenda leguńska. Ładne qui pro quo!

W połowie września 1918 r. zaczęły się sypać z frontu włoskiego lub rumuńskiego całe partje uciekinierów.

Jedna partja przybyła w sile 12 ludzi z podoficerem, 4 ludzi z założonemi bagnetami, a 8 skutych parami.

Podoficer melduje: „Panie poruczniku! Z frontu włoskiego, na lewy dokument, jako eskorta więźniów do sądu w Krakowie. Chcemy do Warszawy”.

Transporty oczekiwały odmarszu na kolej w lokalu „Gońca Krakowskiego” na piętterku.

Opiekę lekarską sprawował dr. Korolewicz, pełniący wówczas służbę w armji austriackiej, jako lekarz pułkowy.

Proszę sobie wyobrazić popłoch w sali, gdzie znajdowało się z 20 ludzi, dezterterów, gdy nagle wchodził oficer.

Raz, gdy zapomniałem uprzedzić chłopców o wizycie lekarskiej, o mało nie zabił mi kochanego doktora jeden z podoficerów. W ostatniej chwili spostrzegł, że i ja jestem z nim razem.

Pewien legun, przebrany w mundur austriackiego chorążego, którego brat został przydzielony do wojska austriackiego, do tego samego oddziału, jako sanitet, przyjechał na lewy dokument w całej paradzie, bo niesiony na noszach sanitarnych. Z nim razem przyjechał drugi legun, jako ordynans.

Udany chorąży przeklinał całą drogę i skarżąc się na ból kości, za pociechę sobie poczytywał, że go przy każdej zmianie pociągu musieli jasio (jasiami nazywał żołnierzy austriackich) wnosić na noszach do osobnego przedziału.

KOSACZÓW.

Kosaczów jest to przedmieście Kołomyi, na którego błoniach do dziś stoi pomnik potęgi ramienia Rzeczypospolitej, pomnik hołdu złożonego królowi polskiemu przez hospodara wołoskiego.

Jakby dla ironji losu rok 1918/19 zapisał tę samą miejscowość w historii naszej, jako miejsce ciężkiego męczeństwa tysięcy obywateli i bojowników o przynależność do pnia macierzystego słonecznych ziem wschodniej Małopolski.

Kosaczów bowiem władze efemerycznej „Zahidno-ukraińskiej Republiki” obrały na „obóz internowanych” Polaków, niebezpiecznych dla „ukraińskiej derżawy”.

Obozów takich potworzyły władze ukraińskie kilka na terenie okupowanych przez siebie powiatów wschodniej Małopolski, jednak Kosaczów ogólnie był uznawany jako najsroższe i najpewniejsze miejsce zesłania dla wszelkich elementów, niebezpiecznych dla „ukraińskiej racji stanu”.

Nie będę narazie wyliczał wszystkich tych, którzy, jako mieszkańcy tych obozów — znosząc katusze internowania dla idei — zdobyli sobie prawo obywatelstwa w niniejszej publikacji. Zbyt wielka ich była liczba, aby w krótkim przeciągu czasu, przeznaczonym na redakcję, można było zebrać dokumenty i zestawić sumienne wykazy. Jako zadanie postawiłem sobie tylko przypomnieć ogólnie tło historyczne i podać charakterystykę obozu kosaczowskiego, w którym, jako uwięziony za pracę w P. O. W., miałem zaszczyt dzielić niedolę tysięcy współtowarzyszy, jeńców i internowanych.

Prowincjonalne miejscowości wschodniej Małopolski były zbyt zaskoczzone, nieprzygotowane i słabe, aby się mogły — na wzór Lwowa — oprzeć zorganizowanej w szczegółach akcji ukraińskiej.

Znękane społeczeństwo polskie z chciwością łowiło skąpe wieści o zmartwychwstającej po tyloletniej niewoli Macierzy. Początkowo

wiadomości przenikały różnemi drogami przez coraz silniej zarysowujący się front polsko-ukraiński, potem dostawały się wieści różne, a ileż razy sprzeczne, przez rzadko i z opóźnieniem wielkiem przychodzącą, a mocno cenzurowaną, prasę wiedeńską i czeską, wreszcie jedynem źródłem o tem, co się w Polsce dzieje, były tylko rzadkie okazje konspiracyjnych przyjazdów i pantoflowa poczta żydowska. Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że społeczeństwo polskie poddało się zupełnie biernie zaszłym wypadkom i z rezygnacją oczekiwało kompletnej klęski, lub ocalenia z zewnątrz. Zbyt wielki był procent polskiej narodowości na ziemiach objętych ukraińskim regimem, zbyt ważkim czynnikiem życia tej połaci kraju byli Polacy, aby nie czuli swej siły i znaczenia zwartej postawy. Pierwsi dali sygnał zorganizowani w związki zawodowe kolejarze, rzucają pracę i zobowiązując się do niepodjęcia jej, aż do rozstrzygnięcia się sporu polsko-ukraińskiego. Był to dla władz ukraińskich cios niesłychanie ważki, zważywszy brak inteligentniejszych, fachowych kolejarzy-ukraińców. Za kolejarzami poszły związki urzędnicze i pracowników różnych publicznych zakładów i instytucyj. Wreszcie opuścili swe stanowiska i wszyscy ci, co jakkolwiek działalność ich nie mogła zawazyć bezpośrednio na losach państwa i wojny, jednakże będąc zmuszonymi do składania przysięgi na wierność „Ukr. Zachodniej Republice” woleli stracić kawałek chleba, a nie zdradzić w ten sposób swych moralnych obowiązków wobec państwa polskiego.

Gest piękny i świadczący o wyrobieniu patriotycznym wschodnio-małopolskich Polaków, ale gest to był zaiste bohaterski, jeśli się zważy, że nie było wiadomem, jak długo potrwa cała ta zawierucha i jaki obrót końcowy mogą wziąć sprawy, a przez ten czas trzeba było utrzymywać swe rodziny i to przez najprzykrzejsze miesiące roku, zaś od władz ukraińskich nie można się było domagać pensyj i płac, skoro się służbę dobrowolnie i z pobudek politycznych opuściło. Nadsyłane od czasu do czasu przez Rząd polski drogą okrężną większe sumy na wypłatę zaliczek dla strajkujących, były jednak o wiele za małe, aby zaspokoić w zupełności najprymitywniejsze bodaj potrzeby życia i wyżycia. Radzono sobie więc różnie i kiedyś historyk znajdzie przy studjowaniu tego działu bardzo dużo ciekawych i budujących przykładów pomysłowości, ofiarności, poświęcenia i solidarności miejscowej Polonji.

Samo negowanie jednak rządów ukraińskich i utrzymywanie niezłomnego, jednolitego frontu polskiego wobec narzuconego zagadnienia przynależności państwowej, jakkolwiek wymagało dużo zaparcia się i ofiar, nie zadowalało przecież w pełni znanych z temperamentu i przedsiębiorczości naszych południowo-wschodnich rodaków. Coraz

natarczywiej nasuwała się potrzeba pomyślenia o bardziej czynnej i skuteczniejszej akcji, zarówno dla ewentualnej samoobrony, gdyby ustawiczne krwawe groźby pod adresem Polaków miały się zacząć



Kosaczów — Krzyż pamiątkowy w Kołomyży.

spełniać, jak też dla czynnego przyczynienia się do zwycięstwa polskiej racji stanu, gdyby tego zaszła potrzeba.

Wtedy to zaczęto coraz bardziej zwracać uwagę na poczynania i rozwój Polskiej Organizacji Wojskowej. Przedstawiciele poważnych organizacji obywatelskich chętnie szukali kontaktu z komendami P. O. W.,

zdając sobie sprawę z potrzeby oparcia się o czynnik zorganizowanej siły. Były jednak w tych organizacjach i jednostki, że tak powiem z natury „zawsze przeostrożne” i „realnie na zjawiska tego świata patrzące”, którym na kontakcie z P. O. W. zależało jedynie dlatego, aby móc wczas zapobiec jakimś „nierozważnym krokom” tej organizacji.

P. O. W. ze swej strony kontaktu tego nie unikało, gdyż — licząc wcześniej, czy później na wystąpienie — chciało być dokładnie zorjentowane w przydatności tych organizacji obywatelskich do przejęcia przez nie w tym wypadku ciężaru zorganizowania aparatu cywilnego władz i urzędów, co też rzeczywiście nastąpiło i np. w Stanisławowie, Kołomyji i innych miejscowościach dało stosunkowo ładne wyniki.

P. O. W. we wschodniej Małopolsce zaczęło się organizować dopiero po pokoju brzeskim. Nie chcę przedłużać tego artykułu rozstraszaniem przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych, które wpłynęły na to, że w pierwszych dniach listopada 1918 r. organizacja ta nie mogła wszędzie się ujawnić i czynnie przeciwstawić akcji ukraińskiej. Faktem jest jednak, że ze swej roli nie zrezygnowała, a prześladowania ukraińskie tylko wzmogły jej rozwój i siłę, mimo, że ofiar było dużo i szczyrby personalne znaczne.

Pierwsze aresztowania przypadają akurat na daty listopadowe, kiedy w innych, poza-wschodnio-małopolskich okręgach P. O. W. otwierają się bramy więzień i obozów, a zwłaszcza, gdy ukochany Wódz opuszcza twierdzą-więzienie i zjawia się w rozentuzjasmowanej Warszawie, aby utwierdzić niepodległość i rozszerzyć ją na wszystkie zakątki Rzeczypospolitej. Ofiarami „kontrrazwiedek” ukraińskich padają przedewszystkiem legjoniści i bardziej zewnętrznie czynni, a znani z kontaktu z legjonistami, obywatele.

Pominąwszy nieliczne zresztą wypadki zdrady, lub nieostrożności mniej wyrobionych jednostek, naogół aresztowania te można nazwać „na wszelki wypadek”, słusznie bowiem mogli wnioskować agenci ukraińscy i ich przełożeni, że skoro ktoś był legjonistą, lub blisko z legjonistami związany, nie może być biernym, a tem samem dla nich bezpiecznym. Zapełniły się więc natychmiast więzienia Sambora, Drohobycza, Stryja, Stanisławowa, Złoczowa, Tarnopola i tylu innych miast wschodniej Małopolski, a skoro szła aresztowań owładnął poszczególnych kacyków powiatowych i wojskowych komend lokalnych wkrótce i więzień nie stało i trzeba było potworzyć obozy internowanych. Szły więc etapami liczne konwoje więźniów politycznych do Kołomyji, Tarnopola, Trembowli i innych miejsc zbornych, czy obozów dla internowanych.

Największy i bodaj najokropniejszy z tych obozów, to „Kosaczów” na przedmieściu Kołomyji. Stało tam, zdala od miasta, kilka wielkich, letnich baraków, ogrodzonych gęsto drutem kolczastym i otoczonych silną strażą wojskową. Kiedy w dniu 3 grudnia 1918 r. przykonwojowano mnie tam ze Stryja i dano do zrozumienia, że tu już będę zimował, przyznam się, że choć o teorii Einsteina wówczas pojęcia nie miałem, jednak — w sytuacji w jakiej się znalazłem wraz z kilkuset in-

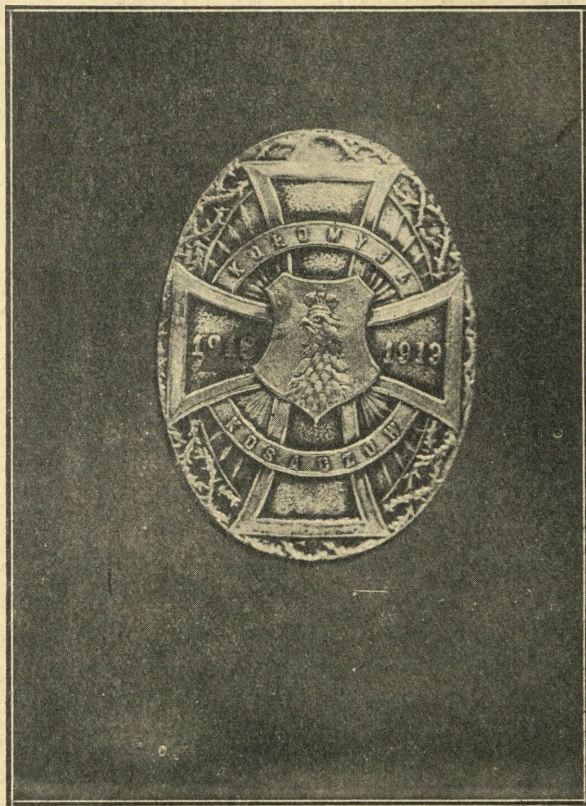


Attimis (front włoski) — Grupa ćwiczeń art. leg.

nymi towarzyszami niedoli — zacząłem mocno wątpić w pewnik dotychczas przezemnie uznawany, że człowiek, to przecież coś lepszego od bydłęcia i nie powinien być gorzej od niego traktowany.

Przy mrozie, w zimnych, wilgotnych i napewno na zimę na stażnię nawet nienadających się barakach, zaczęła się nasza wegetacja, której nędzy opisać się nie podejmuję. Bez zdźbła słomy, na gołych przyczach tulił się jeden do drugiego, drżąc z zimna i szczęśliwy, jeśli trzewiki, lub cieplejsza część garderoby nie stała się jeszcze łupem zdzi-

czalej eskorty po drodze. Na skutek interwencji miejscowego „Komitetu Pań” i ludzkości komendanta miasta sotnika Halibeja, wydano wprawdzie po kilku dniach po jednym starym kocu na czterech internowanych, jednak w miarę przybywania coraz nowych mas nieszczęśliwców i tego drobiazgu zaniechano. Dla więźniów rozpoczęło się życie, którego porównania nie można znaleźć w żadnym z obrazów piekła dantejskiego. Prócz innych braków i utrapień doskwierał niestłuchany



Odznaka Kosaczowska.

głód, dość powiedzieć, że po kilku tygodniach doszło do tego, iż ludzie nawet z akademickim wykształceniem — skwapliwie kawałkiem drutu wyszukiwali w śmietniku kuchennym jakiegokolwiek strzępu nadającego się do zjedzenia. Przypadkowo znaleziona łupa z ziemniaka, kawałek kości dość miękki do spożycia po zmiążdżeniu kamieniem, padlina lub t. p., wszystko miało swych amatorów. Pies, kot, czy szczur, o ile okazał się w obrębie obozu, już z niego nie wyszedł, stanowiąc smakowity kąsek świeżego mięsa dla zgłodniałych. A inter-

nowanych wciąż przybywało, zwłaszcza, że i jeńców zaczęto tu zwozić z frontu polsko-ukraińskiego — jeńców, których traktowano jeszcze gorzej od internowanych cywilnych. Dla tych tysięcy zęgnanych zewsząd ludzi, obóz stawał się już za ciasny, lecz tu jakby sama natura zaczęła wybawiać i ukraińców z kłopotu i słabszych nędzarzy z niedoli. Ludzie zaczęli padać z wycieńczenia, a oprócz tego tyfus zagościł w barakach na dobre. Nie starczyło snąć sił roboczych ukraińcom do kopania grobów dla zmarłych internowanych, więc codziennie niemal oddziały ślaniających się z osłabienia więźniów Kosaczowa, z łopatami na ramionach, a pod silną eskortą maszerowały na odległy cmentarz do tej pracy żałobnej dla współtowarzyszy. A ileż było wypadków, że kopający grób nagle się pochyła, wypuszcza łopatę z ręki i kładzie się z jękiem w własną ręką wykopanym dole, gdzie już pozostał na wieki!

Nie uwierzy, kto tego nie przeżył osobiście, lub nie widział na własne oczy, lecz zapewniam, że pomijam tu obrazy jeszcze drastyczniejsze, przeżywanej na Kosaczowie niedoli.

Komitet Pań, pod przewodnictwem p. Miziewiczowej Leokadii, z p. Sozańską, Ludwigową, Łopatkową, Dobrucką i innemi na czele, znany jeszcze tak dobrze więźniom z Huszt i Marmaros-Siget, robił nadludzkie niemal wysiłki, aby bodaj częściowo ulżyć doli nieszczęśliwych. Dzięki pracowitości, energii i zaparciu się pań komitetowych, udało się wyjednać dla kilkudziesięciu internowanych zwolnienie z obozu i pozostawienie w charakterze „konfinowanych” na mieszkaniach prywatnych w Kołomyji. Kilkudziesięciu z pośród najbardziej osłabionych i młodzieży szkolnej udało się przenieść z obozu na miasto za poręczeniem poważniejszych obywateli i umieścić w szpitalach i bursie, gdzie pomoc i opieka były możliwsze, niż w odległych i niedostępnych barakach kosaczowskich. Codziennie niemal starano się poprawić wikt pozostałych rzesz internowanych przez dowożenie do kuchni obozu na Kosaczowie krup, słoniny, chleba i t. p. prowiantów, zbieranych drogą składek i ofiar w naturze. Stosunki były jednak tak rozpaczliwe, liczba nieszczęśliwych tak wielka, że owoc wysiłków Komitetu był zda się tylko drobną deską ratunku w morzu nieszczęścia i miał raczej znaczenie moralne, dla ogółu internowanych, jakkolwiek nie można nie przyznać, że nawet mimo to tylko dzięki Komitetowi udało się dopomóc do przetrwania tym, którzy doczekali się dnia wybawienia.

Dzień ten zajaśniał, gdy pod ciosami świeżo przez Naczelnego Wodza zorganizowanych dywizyj polskich zaczął się chwiać i uginać front ukraiński, kiedy dzięki niepowodzeniom na froncie zapanowała panika i rozprzężenie w administracji cywilnej i wojskowej na tyłach ukraińskich. Silnie zakonspirowane, a jednak czujne oddziały P. O. W.,

wśród których bardzo czynną i inicjatywną rolę grali konfinowani na mieście peowiaci z innych obwodów, postanowili wykorzystać moment zachwiania się władzy ukraińskiej. Dnia 24 maja 1919 r. zniemacka wypadła na miasto bojówki P. O. W. opanowały Kołomyję w tempie błyskawicznym, a w ramach akcji rozbijania resztek oddziałów ukraińskich i zajmowania poszczególnych obiektów, za jedno z najważniejszych zadań uważano uwolnienie internowanych na Kosaczowie. Niestety — uwolnieni, o ile zdolni byli jeszcze odczuć znaczenie niesionej im wolności, o tyle — w większości swej — o własnej mocy i na własnych nogach nie byli w stanie opuścić obozu... Musiano ich naprędce zmobilizowaną kolumną aut i wozów wywieźć do szpitali, gdzie dopiero po kilku i kilkunastu nieraz dniach troskliwej opieki odzyskali na tyle siły, aby móc znieść trudy podróży do swych miejsc rodzinnych i długo jeszcze straszyć tam ludzi swoim upiornym wyglądem szkieletów. A iluż było takich, którzy za jedyną pociechę mieli tylko świadomość faktu, że umierają już na wolności i pochowani będą po ludzku. A byli to ludzie różni. I młodzież szkolna i ich rodzice i wychowawcy, byli żołnierze i księża, obok świadomego przyczyny internowania roboczarza-peowiaka i również peowiaka-kolejarza, byli poczciwi, znękani kmiotkowie z pod Rawy Ruskiej, czy Winnik, których jedyną winą było to, że byli Polakami. Byli to jednym słowem świadomi i nieświadomi przyczyn swego nieszczęścia, ale jednakowo nieszczęśliwi więźniowie — ideowi...

NA SZLAKU MURMANIA.

Gdy w ciągu lat 1914—1916 wśród krwawych bojów legionowych dostał się ktoś do niewoli ranny, czy żyw, myślał przede wszystkim o tem, by jaknajprędzej uciec, by wrócić do swoich pod sztandary, które wyobrażał sobie zapewne wkraczające zwycięsko do polskiej Warszawy.

Nie myślał ten biedny legun, że przyjdzie mu uczestniczyć w tworzeniu wojska polskiego gdzieś pod Kijowem czy Mohylowem — w Moskwie, czy nawet na Uralu — ba w okolicy podbiegunowej — na Murmanie, w Archangielsku, czy wreszcie na Syberji, która była dotychczas jedynie miejscem zesłania na katorgę powstańców polskich.

Nie wyobrażał on sobie, że za sprawę wojska polskiego przyjdzie mu może gnić długie miesiące w tiurmach rosyjskich lub zginąć gdzieś pod płotem z polecenia kacyka, jakiejś tam czerezwyczajki.

Wojsko polskie, stworzone dnia 6 sierpnia 1914 r. wymarszem kompanji kadrowej z Krakowa ma swoje bogate dzieje do chwili tej, która nazywa się popularnie „wybuchem Polski”.

Równolegle do dziejów wojska polskiego idą dzieje więźniów polskich, dzieje różnych obozów, twierdz, tjurm, w których wszyscy trzej zaborcy trzymali miesiącami i latami wszystkich, którym starali się udowodnić dążenie do niepodległości Polski.

„Niepodległość Polski” była też dla następców rządów carskich w Rosji, rządów sowjetów — największem przestępstwem politycznem i zdradą główną. Wyraźny zupełnie front antypolski Sowietów nastąpił z chwilą zawarcia traktatu brzeskiego i wkrótce potem wznowienie stosunków dyplomatycznych z Niemcami. W lipcu i sierpniu 1918 r. w chwili właśnie, gdy cała akcja P. O. W. skierowana była na ratowanie rozbitków korpusów wschodnich, których uratować niestety nie udało się już, nastąpiło jednostronne ze strony kremlńskiego rządu jedynie wypowiedzenie wojny wszystkiemu, co było Polską.

Stare tury, pamiętające dobrze z carskich czasów polskich „miałeżników” zapełniły szeregi polskich żołnierzy, legionistów wszystkich trzech brygad, peowiaków, byłych strzelców, Polaków jeńców z armii austriackiej i niemieckiej, dowórczyków, kaniowczyków i byłych wojskowych polskich z armii rosyjskiej. W więzieniach sowieckich nastąpiło zjednoczenie tych wszystkich żołnierzy, którym intrygi i polityczne ambicje osobistych liderów partyjnych utrudniały to przedtem w okresie powstawania różnych korpusów i oddziałów.

Duchowym Wodzem tych wszystkich był już wtedy więzień Magdeburga Komendant Piłsudski.

Moskwa, Piotrogród, Wołogda, Orzeł, Niżny Nowogród, droga kolejowa na Murman i Syberję — to etap więzień polskich w 1918 r. Szef czerezwyczajki Dzierżyński wykonywał swoje zadanie bezwzględnego aresztowania wszystkich wojskowych Polaków lepiej może, niż uczyniłby to w dawniejszych czasach carski generał.

Miesiącami siedzieli w tych czasach żołnierze polscy patrząc, jak codziennie wyprowadzano kilku jakichś „kontrrewolucjonistów” bez sądu na rozstrzelanie. W więzieniu jeszcze doczekało się wielu listopada 1918 r.

Niewielu było stosunkowo tych szczęśliwych, którym udało się mimo wszystko przedostać na Murman czy na Syberję i tam współdziałać w tworzeniu oddziałów wojska polskiego. Jeszcze mniej było tych, którym udało się przedostać do wojska polskiego we Francji i tam w „błękitnej armii” doczekać chwili zakończenia targów politycznych, otwierających jej powrót do Polski.

Po bitwie kaniowskiej i rozbrojeniu 1-go korpusu Dowbora w maju 1918 r. sytuacja w Rosji, a przede wszystkim w samej Moskwie, była bardzo ciężka. Zamachy na poszczególnych komisarzy, zamach na Lenina, wywoływały szaloną reakcję, która od Brześcia Litewskiego w lutym 1918 r. kierowana była nie tylko już przeciwko samym białym Rosjanom, lecz również przeciwko Polakom, Francuzom, Anglikom i Włochom. Były to chwile, kiedy po porozumieniu się K. N. III P.O.W. w Kijowie z gen. Hallerem i innymi organizacjami wojskowymi, skierowano cały wysiłek na ratowanie żołnierzy polskich, pozbawionych wskutek rozwiązania korpusów dowództwa i oparcia. Do Moskwy i Rosji centralnej odsyłano partjami oficerów i żołnierzy wszystkich trzech korpusów wschodnich, drugiej brygady hallerowskiej, byłych jeńców i wszystkich ochotników.

W Moskwie pracowała dawna misja hallerowska pułkownika Czumy, pracowała również komenda P. O. W., którą sprawował najpierw obywatel Płotnicki, a następnie Adam Sikorski. P. O. W. w Moskwie to dawny związek piłsudczyków, założony w styczniu 1918 r. przez

jeńców legionistów, którzy zdołali uciec do Moskwy — związek, zamieniony później w marcu po przyjeździe z kraju obywatela Tadeusza Hołówki na komendę miejscową P. O. W. W korpusach wschodnich pracowali już poprzednio oficerowie legionowi z ramienia P. O. W., wysyłając obecnie chętnych do dalszej pracy wojennej, a nie do powrotu do kraju pod niemiecką okupację — do Moskwy, lub też wprost do oznaczonych zgóry miejsc koncentracyjnych jak Niżny Nowogród, Wołogda, Orzeł.

Oprócz oddziałów murmańskiego i dywizji syberyjskiej próbowano tworzyć w samej Rosji, w Orle i Nowogrodzie oddziały polskie nibyto w porozumieniu z władzami sowieckimi. Chciano w ten sposób zebrać w jednym miejscu żołnierzy, masowo podówczas napływających z wszystkich stron.

Był to piękny, upalny, czerwiec 1918 r. Gorąco było w Rosji pod każdym względem. Nie było bowiem wtedy dnia, w którymby na mocy rozkazu Czeki nie rozstrzelano parę osób na podwórzu więziennym lub gdzieś pod płotem.

W Moskwie na Milutyńskim pod 17 pracowała komenda P. O. W., mając jeszcze kilka zakonspirowanych lokali na mieście, przeważnie w mieszkaniach sympatyków.

Na Małym Gołowinie pod 5, niedaleko od Łubienki, gdzie urzędowała czerezwyczajka — pracował sztab hallerowski, pułkownik Czuma z kilku oficerami.

Pracowano również w dawnym internacie C. K. O. na Bolszym Uspińskim pod 5-tym, gdzie zawsze nocowało kilkudziesięciu oficerów i żołnierzy.

Na dworcach kolejowych ustanowiono stałe dyżury przy pociągach. Poznawano się według umówionych znaków. Miejscami schadzek dla wydania dalszych rozkazów przyjezdnym, wręczania im paszportów i pieniędzy na drogę oraz wskazówek, były parki, ogrody, miejsca nad rzeką, cmentarze i t. p.

Fabrykowano masowo lub wydostawano w jakiś inny sposób papiery i paszporty bolszewickie, czy też stare carskie jeszcze. Była to robota nadzwyczaj wyczerpująca i denerwująca, gdyż już wogóle sam pobyt w państwie ówczesnym czerezwyczajki był wprost nużący. Szpicle dawnej ochrony carskiej przeszli teraz na żołd czerezwyczajki i pełnili swoją wstrętą służbę prowokatorską i wywiadowczą tym samym, dawnym systemem. Przyznać trzeba, że prowokacje zdarzały się bardzo często, już to z powodu łatwowierności niektórych nieobznajmionych ze stosunkami rosyjskimi, już to dlatego, że prowokatorami byli przeważnie Polacy, którzy podawali się nawet za legionistów. Dwu takich prowokatorów, którzy zwrócili się do komen-

dy P. O. W. w Moskwie, podając się za żołnierzy III Brygady uczestniczyło następnie w czasie aresztowania całej komendy P. O. W. i nie kryjąc się zupełnie, wskazywali czekistom poszczególnych członków.

Historja więźniów polskich w Rosji Sowieckiej w r. 1918 — 1919 jest bardzo mało znana. Wiadomo, że wszystkie więzienia w punktach, gdzie pracowali wojskowi Polacy wypełniały się w miesiącu lipcu i sierpniu młodymi „przestępcami”. Zapełniły się w Moskwie Butyrki i Taganka. Siedziano w więzieniach w Piotrogradzie, Wołogdzie, Orle, Nowogrodzie, w więzieniach na Syberji. Wszystkie ekspozytury czeiki od Moskwy począwszy, na wszystkich drogach kolejowych i wodnych, które prowadziły od wschodnich korpusów do nowych miejsc koncentracji wojskowej pełne były aresztowanych.

Aresztowania Polaków przez rząd Sowiecki przechodziły zresztą przez różne fazy. Już w samym początku dojścia do władzy aresztowano cały szereg oficerów. Jeden z pułków 1-go wschodniego korpusu w potyczce pod Uszą został rozbrojony, a kilkudziesięciu jego oficerów przesiedziało kilka miesięcy w Butyrkach, w warunkach urągających wszelkim pojęciom elementarnym o „ludzkość”. Wielu jeńców wojska austriackiego i niemieckiego, a przede wszystkim legjonistów przypłaciło nieudaną ucieczkę z obozu kilkumiesięcznem więzieniem. Były chwile, gdy stosunek ówczesnej Bolszewji do ruchu niepodległościowo-wojskowego był mniej ostry, poto jedynie jednak, by po paru tygodniach „odpoczynku” mozolnie stworzoną organizację rozpędzić, a przywódców aresztować. Tak stało się z całym pułkiem polskim, utworzonym w Moskwie dla ochrony zabytków polskich. Pułk ten im. Bartosza Głowackiego istniał legalnie przez pewien czas, w chwili jednak ostatecznej rozprawy z organizacjami polskimi sztab pułku i większość oficerów i podoficerów została aresztowana i przesiedziała kilka miesięcy w więzieniu.

Lipiec i sierpień 1918 r. to najbardziej fatalne miesiące dla polskich organizacyj wojskowych. Był to czas zerwania przez rząd kremliński stosunków dyplomatycznych z dotychczasowymi sojusznikami i wyjazd ambasadorów państw ententy i Stanów Zjednoczonych z Rosji.

Olbrzymie afisze, rozlepione po wszystkich drogach, na wszystkich dworcach, donosiły o łączeniu się Polaków z ententą. Pełne kłamstw i agitacyjnych, demagogicznych haseł wzywały wszystkich do bezwzględnego zatrzymywania Polaków, dążących na Murman i Syberję. Wzywano ludność do wydawania ukrywających się. Czeika otrzymała prawo rozstrzeliwania wszystkich bez sądu. Wtedy to nastąpiły masowe aresztowania.

W drodze już na Murman został aresztowany na dworcu obecny pułkownik Wieniawa-Długoszowski, który pod obcym nazwiskiem z ramienia komendy P. O. W. udawał się do gen. Hallera. Z aresztowanym „adjutantem Piłsudskiego”, jak o aresztowanym mówili bolszewicy, rozmawiał sam szef czerezwyczajki Dzierżyński. W Butyrkach przesiedziała również dłuższy lub krótszy czas cała komenda P. O. W. z ob. Płotnickim i Sikorskim na czele.

Dzierżyński badał osobiście niektórych oficerów.

W Wołogdzie aresztowano porucznika Turkowskiego i por. Komierowskiego (obecnie podpułkowników) oraz zatrzymano kilkuset żołnierzy, podoficerów i oficerów, którzy nie zdążyli wyjechać na Murman. Wśród więźniów agitowano za wstąpieniem do armii czerwonej. Pod tym względem jednak agitatorzy nie mieli żadnych wyników. W więzieniu pomiędzy poszczególnymi oficerami aresztowanymi nie było kontaktu. Wszyscy aresztowani musieli zachowywać zresztą wielką ostrożność, gdyż nawet w celach więziennych pełno było szpiclów i prowokatorów.

W końcu października wypuszczono niektórych na wolność. Innych dopiero w listopadzie i grudniu 1918 r. Wielu zresztą siedziało jeszcze znacznie dłużej. Głód i tyfus plamisty oraz wszelkie inne choroby były również stałymi towarzyszami więźniów polskich, w sowieckich więzieniach zamkniętych.

Tegoroczny zjazd więźniów ideowych pozwoli dopiero po raz pierwszy zebrać się tym wszystkim, przypomnieć sobie te ciężkie chwile, a równocześnie da możliwość zebrania materiałów, dokumentów, pamiętników i wspomnień tego okresu najnowszych dziejów polskich, nieznanego prawie zupełnie szerokiemu ogółowi.

KARTKA Z DZIEJÓW DYWIZJI SYBERYJSKIEJ.

I.

Po półtorarocznym okresie walk na froncie t. zw. „ufimskim” i na olbrzymiej przestrzeni stepów zach. Syberyjskich wzdłuż wielkiej magistrali kolejowej i jej odnóg — przypadło w udziale V Dyw. W. P. na Syberji, krycie odwrotu wojsk koalicyjnych.

W ciągu paru miesięcy z olbrzymiej armji dyktatora syberyjskiego Kołczaka zostały resztki niezdolne nietylko do walki, ale nawet do wycofania się z niej. Razem z armją runął rząd i cały aparat państwowy kozacko-czarnosecińskiego-monarchiczno-dyktatorskiego państwa.

Likwidacja „Kołczakowszczyzny” stała się niestety spóźnionem hasłem do likwidacji wszystkich przedsięwzięć koalicyjnych na Syberji.

Wojska koalicyjne zajęły dla odwrotu jedyną linię kolejową, syberyjską magistralę, pozostawiając „Kołczakowcom” trakt syberyjski i boczne drogi. V Dywizja stanowiła straż tylną wojsk koalicyjnych — za nami posuwały się jeszcze transporty Kołczakowskie wojskowe i półwojskowe, kilka pociągów pancernych i parę transportów serbskich, zapomnianych jakimś cudem w Czelabińsku. Dalej za tym wszystkim posuwała się 5 armja bolszewicka, której siły rosły z dnia na dzień wskutek przechodzenia na jej stronę całych oddziałów Kołczakowskich i zlewania się z nią wojsk partyzanckich, obficie rozsianych po całej Syberji.

Szliśmy już nieuchronnie ku katastrofie, którą przewidzieć łatwo było, gdyby z mniejszą ufnością i szacunkiem spoglądano na ten cały „kapitał mądrości i doświadczenia wojskowego”, który się dostał Kołczakowi po starej carskiej armji.

Mieliśmy organa, których obowiązkiem było na czas prawdziwy stan rzeczy zauważyć, mieliśmy swoich łączników w sztabie Kołcza-

ka, mieliśmy wreszcie oficerów, którzy wprost ze sztabu gen. Kołczaka poszli na kierownicze stanowiska u nas.

Rozpoczynając odwrót jeszcze łudzono się, a tymczasem: to co było między nami i bolszewikami po paru dniach rozwiało się zupełnie jak mgła — poczynając od 6 grudnia aż do 13 stycznia 1920 r. — byliśmy już w bezustannej walce, bądź to z regularnymi wojskami czerwonemi, bądź to z oddziałami partyzanckimi lub też ze zdraźdieckimi Kołczakowcami.

II.

Półtora miesiąca takich walk wyczerpało moralne i fizyczne siły dywizji. Pogarszały stan rzeczy jeszcze fatalne warunki zawagonywania wojsk linjowych razem z rodzinami i emigrantami polskimi, nadmierna ilość transportów przeładowanych prywatnym dorobkiem, niedołączna organizacja całej ewakuacji, brak paliwa, brak lokomotyw i t. d. Istniał wprawdzie bataljon inżynieryjny V D. P. a po nim Kompanja Kolejowa ale o jej roli w dobie ewakuacji niczego powiedzieć nie można.

Jak słusznie o tem pisze prof. Dyboski, przez nadmierną usłużność wielu z wyższych oficerów naszych, względem dygnitarzy kołczakowskich — pomiędzy nasze pociągi wojskowe wcisnęły się transporty rosyjskie o zupełnie nie wojskowym charakterze. Nastąpił ogólny chaos, który powiększały jeszcze rozkazy dowództwa koalicyjnego ogłaszającego bądź to neutralność wojsk koalicyjnych, bądź też neutralność pasa kolejowego. Były nawet wypadki rozbrajania małych oddziałków rosyjskich, płaczących się około stacyj kolejowych. Dowodzenie całością sił naszych wymknęło się dawno z rąk, część oddziałów stanowiących straż tylną odcięta od reszty cywilnymi transportami rosyjskimi, nie mając nad sobą dowódcy, któryby zdecydował się na przebicie się, — w pierwszych dniach stycznia pod stacją Bałaj kapitulowała. Kilkudziesięciu żołnierzy i oficerów dotarło do nas następnego dnia pieszo, przynosząc pierwsze wiadomości. Dowódca tego oddziału płk. Bołdok chwilowo internowany, został później przez bolszewików wypuszczonym na wolność.

Dowódca całości płk. Czuma zwrócił się wówczas do dowodzącego wojskiem koalicyjnym gen. Janina o złuzowaniu nas w służbie straży tylnej przez jedną z dywizji czeskich. Zamiast tego nadeszła odpowiedź od gen. czeskiego Syrovego, kategorycznie odmawiająca najmniejszej chociażby pomocy.

Równocześnie bolszewicy zwrócili się do nas z propozycją układow, komunikując nam równocześnie, że pomiędzy Państwem Pol-

skiem a Rosją Sowiecką toczą się już rokowania i walk na froncie zachodnim niema.

W takich warunkach wysłana została do dowódcy 5 armii bolszewickiej delegacja dowódcy 5 D. P. w składzie: płk. Skirgiełło-Jacewicza, por. Dyboskiego i st. szer. Koziółkiewicza, która w pierwszych dniach stycznia podpisała umowę kapitulacyjną.

Kilkunastu wyższych oficerów w tym czasie porzuciło swoje oddziały i wyjechało w transportach czeskich na wschód, stwarzając dla



*Grupa oficerów i żołnierzy z dywizji syberyjskiej.
(Nowomikołajewsk 1919 rok)*

dywizji już zupełnie beznadziejne warunki jakiegokolwiek akcji i posuwając tem samem demoralizację żołnierza do najdalszych granic. Próba aresztowania dowódcy dywizji przez żołnierzy 1 p. była incydentem bardzo smutnym, ale wywołanym ogólnem rozgoryczeniem, jakie zapanowało wśród dywizji na wiadomość o ucieczce oficerów w najcięższym momencie.

III.

Pierwszem następstwem wysłania delegacji było zaprzestanie walk i dalszego pcsuwania się na wschód, które zresztą było już niemożli-

wem z powodu bądź to zawalenia torów kolejowych przez porzucone wagony i całe pociągi czeskie, serbskie, łotewskie, rosyjskie i t. d., bądź to z powodu braku lokomotyw — węgla i wody u nas. Rokowania przeciągnęły się, a tymczasem oddziały 5 armji sowieckiej wyminęły nas posuwając się dalej na wschód w ślad za Czechami. Byliśmy w zupełnej nieświadomości tego, co nas czekało. Według tego, co dotarło do uszu naszych, mieliśmy po złożeniu broni do zaplombowanych wagonów, być odstawieni do zachodniej granicy Rzeczypospolitej Sowieckiej.

Czy jednak, te wiadomości nie były prawdziwe, czy też zobowiązania poczynione przez dowódcę jednej armji nie rozciągały się na inne instytucje państwowe Rosji Sowieckiej, czy też Bolszewicy, ustalającym się już wówczas u nich sposobem uważali łamanie zobowiązań, jako środek walki taki sam dobry, jak każdy inny — dość, że ani jeden punkt z rzekomych warunków kapitulacji nie był dotrzymany. Po złożeniu broni do wagonów, zgłosili się po nią odbiorcy w postaci nowo utworzonej z byłych jeńców austr-niemieckich, brygady międzynarodowej, zaś po zabraniu broni poczęto obchodzić się z nami nawet nie jak z jeńcami wojennymi, ale jak ze schwytanymi na gorącym uczynku „zbrodniarzami” politycznymi.

Kapitulacja zastała, większość pociągów i ludzi należących do V Dywizji skupionych około stacji Klukwiennaja — trudno bowiem mi nazwać, siłami dywizji tę zbieraninę żołnierzy, zdrowych, chorych i rannych, kobiet, dzieci, ludzi cywilnych młodych i starych o niewiadomym bliżej stosunku do polskości wogóle, a do V D. P. w szczególności. Klukwienna leży około 700 wiorst na wschód od Krasnojarska. Przestrzeń tę przebyły transporty nasze w sposób taki, jak głosiły warunki kapitulacji — t. zn. broń była złożoną w specjalnych wagonach, na każdy pociąg zatrzymano pewną ilość broni dla ochrony, zachowaliśmy swoją organizację, intendenturę i t. d. W ten sposób dojechaliśmy do st. Jenisiej pod Krasnojarskiem, położonej u wyjścia na most na rzece Jenisiej. Na zachodnim brzegu Jenisieja koło stacji Bałaj stały poprzednio już uzbrojone transporty naszej straży.

Znaleźliśmy się na etapach armji walczącej i weszliśmy w strefę, gdzie gospodarowały „Czeki” Weczeka i Gubczeka (Wsierosyjskaja Czerezwyczajnaja Komisja i Gubernskaja Czerezwycz. Kom.) i organizowała się „Brygada międzynarodowa”, napróżno oczekująca na uzupełnienie swoich szeregów kosztem rozbitków z V D. P. Ich zabiegi agitacyjne wobec naszych żołnierzy, nie mówiąc już o oficerach i urzędnikach wojskowych, skończyły się zupełnem fiaskiem. Całą zdobyczą była broń, złożona przez nas w myśl umowy kapitulacyjnej do osobnych wagonów, prócz broni maszynowej i armat, które prze-

ważnie zniszczono. Pozatem uzupełniali oni swoje „odkucie” się przy osobistych rewizjach, aresztowaniach i t. d., przez konfiskatę zegarków, portfeli, scyzoryków, butów, spodni i t. p. i t. p.

IV.

W czasie podróży z Klukwiennej do st. Jeniesiej kilkakrotnie żądano od nas różnych wykazów, ankiet, spisów i t. d. — na te rzeczy przestaliśmy już wogóle zwracać uwagę. Toteż kiedy po wciągnięciu na bocznice kolejową t. zw. „karjer”, wszystkich naszych pociągów, zarządzono rejestrację oficerów (po zabranii już broni z wagonów) —



*Dywizja syberyjska — Defilada Baonu Szturmowego w r. 1919
w Nowo - Nikołajewsku.*

wyszliśmy, nie przeczuwając niczego, do budynku stacyjnego, gdzie odbywała się rejestracja. Odbywała się ona niesłychanie niedołężnie, widocznem było, że starano się ją przeciągnąć możliwie najdłużej. Nie wiem nawet, czy zarejestrować zdołano 100 oficerów, kiedy oświadczone nam, że dla dalszej rejestracji musimy udać się do Krasnojarska t. zn. na drugi brzeg Jeniseja. Uprzedzano nas jeszcze, ażeby nie brać ze sobą żadnych rzeczy, ponieważ wkrótce wrócimy.

Równocześnie zjawił się silny oddział wojskowy, około 2 kompanij i kilku jeźdźców, który otoczył budynek stacyjny.

Nie pozwolono, oczywista rzecz, już na powrót do wagonów, nawet dla zabrania najniezbędniejszych rzeczy — kiedy ktoś wspomniał ko-

misarzowi czy też komendantowi eskorty, o mydle, ręczniku i szczoteczce do zębów, wywołał u niego istny paroksyzm śmiechu i zapewnienie, że to jest zupełnie zbyteczne, ponieważ najpóźniej jutro popołudniu wrócimy do transportów ażeby jechać dalej. Doprowadzono nas do t. zw. „Wojennego gorodka” na zachodnim brzegu rzeki Jeniseja i zatrzymano się przed budynkiem komendantury. Była to godzina 6 — 7 wieczorem w styczniu, a więc zupełnie już ciemno — w komendanturze nikogo nie było, czekaliśmy niecierpliwiąc się razem z dowódcą eskorty. Ostatecznie po jakiejś półtorej godzinie czekania na mrozie, pod wpływem naszych perswazyj zdecydowano się sprowadzić nas do budynku, gdzieśmy mieli zaczekać rzekomo do rana, do godzin urzędowych.

Ostatecznie okazało się, że nikt nie wie, w jakim celu nas przyprowadzono.

Było nas około 300, wypełniliśmy wszelkie wszystkie korytarze, celki odwachu, wszelkie możliwe skrytki i komórki, było tak ciasno, że o siedzeniu nawet mowy być nie mogło, noc całą przestaliśmy na nogach, ponieważ chodzić również nie było gdzie. Szczęśliwsi dopadli ściany, o którą mogli się oprzeć.

Eskortanci zaś nasi, odrazu zwyczajem rosyjskim obskoczyli nas z propozycjami kupna lub wymiany wszystkiego, co tylko mogło się nacokolwiek przydać, nie wyłączając czapek na głowach i butów na nogach.

Niemal równocześnie z nami, w podobny sposób, postąpiono z oficerami tych transportów, które zostały zatrzymane na stacji Bałaj.

Następnego dnia rano okazało się, że o dalszej rejestracji nikt już nie myśli; natomiast zaczęto poszukiwać na gwałt jakiegoś pomieszczenia, gdzieby można było nas zapakować i uwolnić korytarze komendantury.

V.

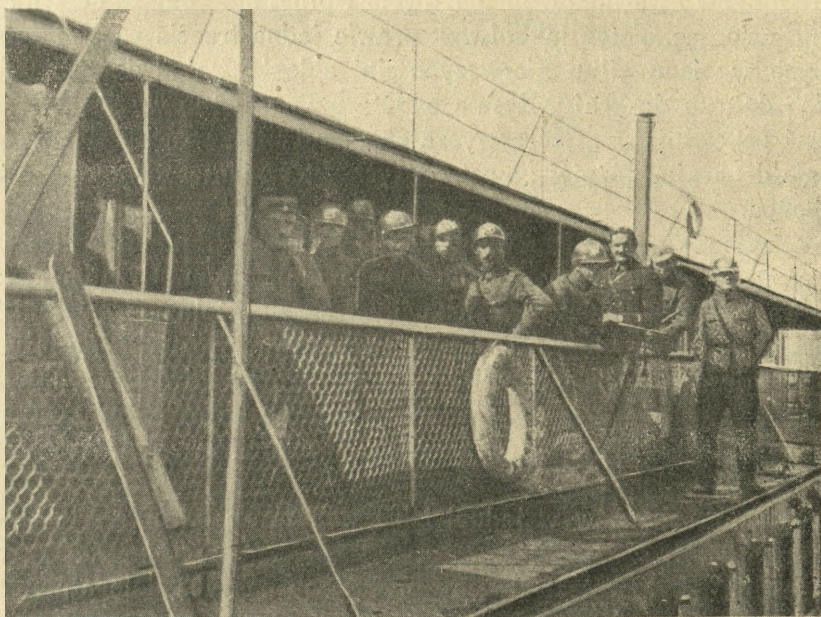
Znalezienie takiego pomieszczenia nie było rzeczą łatwą, nawet dla mało wymagających bolszewików.

Koszary „Wojennego gorodka”, położone na wzgórzach panujących nad Krasnojarskiem, były przeznaczone niegdyś dla pomieszczenia 1 brygady strzelców Syberyjskich a więc dla 2 — 3 tys. ludzi.

W styczniu 1920 r. były one przepełnione bądź to oddziałami i kładami czerwonej armji, bądźto jeńcami z byłej armji Kołczaka, lub wreszcie starymi jeńcami austriackimi, węgierskimi i tureckimi z wojny światowej. Z grubsza licząc musiało się tam mieścić około 20 — 30 tysięcy ludzi.

Nikt nie pomyślał nawet o tem by w związku z powiększeniem się gwałtownem liczby przewidzianych mieszkańców „gorodka”, odpowiednio zwiększyć różne urządzenia sanitarne — było to zresztą w stosunkach rosyjskich zjawiskiem niemal naturalnem.

Starzy jeńcy z wojny światowej mieli swoje własne kuchnie, szpitale, kąpiele i t. d. — co prawda w stanie potężnie nadszarpniętym przez czas i różne rekwizycje wojskowe czeskie, kołczakowskie, a następnie bolszewickie. Kwaterujące dorywczo oddziały czerwonej armji nie okazywały najmniejszego zainteresowania się potrzebami higieny, żywiąc się przeważnie z kuchni polowych.



Dywizja Syberyjska — Ekspedycja Baonu Szturmowego do Kamieni (sierpień 1919).

W okropnem położeniu byli natomiast jeńcy wojskowi, a częściowo cywilni z bylej armji Kołczaka. Ludzie ci nie mieli tygodniami wody do mycia się, instytucji ustępów nie znali zupełnie. Dostawali jako jedzenie zupę ze zgniłych ryb i z padłych koni. Spali na ziemi całym tłumem rozgrzewając się wzajemnie.

Brud, wszy, cynga, tyfus plamisty i powrotny, czerwotka. Wszystko to się zaczęło głównie z tych nieszczęsnych baraków, zajętych przez kołczakowców.

Dziesiątkami umierali na tyfus, który już wszechwładnie zaczynał panować w Krasnojarsku i na całym obszarze zachodniej Syberji.

Przez czas pobytu w Komendanturze nikt się nami zupełnie nie zajmował, żywiliśmy się przyniesionymi ze sobą zapasami produktów, względnie tem, co nam zdołali żołnierze nasi lub rodziny dostarczyć. Eskortą naszą żywiła się również przygodnie, pełniąc swą służbę bez zmiany przez kilka dni.

Ten brak jakiegokolwiek planu względem nas, utrzymywał wszystkich w mniemaniu, że mamy do czynienia z jakimś nieporozumieniem lub co najwyżej zarządzeniem chwilowem jakiegos lokalnego dygnitarza.

Ten motyw głównie wstrzymywał od ucieczek, które w pierwszych szczególnie dniach były względnie łatwe. Trudnem, a bez odpowiednich środków i warunków niemożliwem wprost było dalsze utrzymanie się po ucieczce. Toteż jakkolwiek prawie jedna trzecia część internowanych w ciągu kilku pierwszych dni zbiegła, zaledwie kilkunastu z nich dotarła do kraju. Reszta bądźto wymarła lub wyginęła w tajgach i podziemiach „Czerezwyczajek“, bądź też wróciła dopiero po wojnie do kraju, później nawet od tych, którzy internowani pozostali do końca.

Po 2 dniach znaleziono wreszcie dla nas odpowiednie pomieszczenie w starym murowanym składzie poamunicyjnym. Urządzono tam na gwałt prycze 2-piętrowe, ustawiono piecyki żelazne, zamieniając wentylatory na kcominy. Światło do tych ubikacyj, które składały się z kilku dość dużych izb, wchodziło przez małe piwniczne okienka, umieszczone pod sufitem, a powietrze przez drzwi, o ile były otwarte. Dym, który się nie mieścił w wąskich szczelinach wentylatorów, rozchodził się po izbie.

Liczba mieszkańców w jednej izbie wahała się od 50 — 150.

Pierwszą rzeczą, na którą zdobyliśmy się po wejściu do naszego „magazynu“, był protest złożony przez 2-ch naszych delegatów: płk. Prokopowicza i por. Dyboskiego przeciwko internowaniu i pomieszczeniu nas w warunkach gorzej, niż więziennych.

Dodać należy, że w miejsce ustępu wykopano nam tuż pod drzwiami dół, zresztą dopiero na nasze energiczne żądanie.

Zanim jeszcze zdołaliśmy się ulokować w „magazynie“, u paru kolegów pojawiła się gorączka i pierwsze objawy tyfusu. Trzeba było nieustannych, kilkudniowych zabiegów próśb i protestów, ażeby uzyskać malutką izdebkę w sąsiednim „magazynie“, gdzie urządzono wyłącznie już naszym kosztem i pracą malutki szpitalik.

Kilku kolegów podjęło się roli sanitariuszy.

W stosunku do wszystkich naszych żądań, najzupełniej zrozumiałych zresztą i prostych, jak żądanie wody do mycia, kąpieli, spaceru, drzewa, wietrzenia izb i t. d., zachowywał się komendant obozu jak

do aktów sabotażu, uważając, że wszystkie te wymysły mają na celu jedynie manifestację i utrudniają mu pracę.

Następnego dnia po zamknięciu nas w „magazynie” zjawił się nareszcie jakiś oficjalny reprezentant władzy sowieckiej w postaci członka komitetu gubernjalnego, który wysłuchawszy dość niedbale naszych zażaleń, załatwił je krótko, powiedziawszy przy odejściu: „Nu wot zdzieś wam haraszo”. Przedtem jednak oświadczył nam, że rokowania z Polską zostały zerwane i wskutek tego zastosowano do nas nowy, zresztą zapewne chwilowy regime. Jesteśmy narazie więc zakładnikami rządu sowieckiego.

Położenie nasze wobec tego było nareszcie jasne, nietylko dla nas, ale i zdaje się dla komendanta „gorodka”. Przystąpiono natychmiast do ogradzania naszego budynku drutem kolczastym, zabroniono jakiegokolwiek komunikowania się z rodzinami, no i wreszcie pomyślano o urządzeniu dla nas kuchni.

Do tego czasu dosłownie przez 4 — 5 dni jako gorącą strawę mieliśmy tylko własną herbatę, do której wydawano nam gorącą wodę, pozatem chleb, mięso, masło i t. d. wszystko własne, dostarczane nam z transportów naszych przez żołnierzy, krewnych i znajomych.

Wodę do picia i do mycia się przynosiliśmy sobie sami w kociołkach, menażkach i t. d. z jakiegoś kranu na drugim końcu obozu, gdzie nas prowadzono pod eskortą.

Po pierwszy obiad do kuchni wybraliśmy się wszyscy zaopatrzeni w najróżnorodniejszej pojemności naczyń. Dostaliśmy zupełną rybą, której właściwie nikt nie doniósł do mieszkania, ażeby niezatrwać powietrza. Była to jakaś cuchnąca rzadka ciecz żółtawa, z pływającymi kawałkami ości i łusek rybich. Później przyzwyczailiśmy się już, w miarę jak zaczęło brakować własnych produktów, zaczęliśmy się karmić „kazionnym jedzeniem”.

Lekarze nasi nie zostali internowani, niektórzy jednak uważając, że ich obowiązki względem nas nie ustały, pozostali wśród żołnierzy, względnie zjawili się dobrowolnie u nas.

Wielu z nich przypłaciło życiem swoją ofiarność i niechaj mi w tym miejscu wolno będzie wspomnieć o zmarłych na tyfus: Dr. Mazurkiewicz, Hubickim, Sokole, st. med. Dubaju i innych, których nazwiska w pamięci mi się zatarły.

Niektórzy jednak z lekarzy tak byli pochłonięci obfitą praktyką prywatną w różnych zapadłych stronach gubernji Jenisejskiej, dokąd się schronili po kapitulacji V. dywizji, że częściowo z braku czasu, a częściowo z obawy przed represjami, woleli nie mieć z nami nic do czynienia; jeden nawet odchodząc z transportu do miasta, wziął ze sobą całą apteczkę baonową naszego 3 pułku.

Z czasem jedzenie też się podobno (piszę podobno, ponieważ ja się już tego nie doczekałem) poprawiło, zamiast zupy rybnej dawano zupę gotowaną na kościach końskich i 2 — 3 razy w tygodniu dawano po okruszynce mięsa końskiego, pozatem jeszcze gorącą wodę i chleb lepki, czarny z plewami.

Służbę wartowniczą pełnili na zmianę żołnierze regularnej armii czerwonej i brygady międzynarodowej, przeważnie Niemcy, znacznie mniej Węgrzy i paru Żydów galicyjskich, między nimi często jako dowódca warty zjawiał się jakiś Brauning ze Stanisławowa; po paru dniach zjawili się również na warcie Litwini z byłego baonu litewskiego V Dyw., który na parę tygodni przed ewakuacją przeszedł był na stronę bolszewicką.

Wartownicy zachowywali się różnie. Niemcy przeważnie butnie i arogancko, Rosjanie chcieli handlować, pośredniczyć w zakupach i t. d., Węgrzy obojętnie, Litwini wstydliwie.

Gdy służbę pełnili Rosjanie, a szczególnie gdy oni eskortowali nas do kuchni po wodę lub drzewo na opał — stwarzały się odrazu sposobności do ucieczek i eskapad na miasto. Naturalnie każdy, kto tylko mógł mieć nadzieję na możliwość dalszej ucieczki do kraju, a nawet możliwego przeżycia gdzieś w ukryciu, korzystał z tego. W ten sposób w ciągu 2 miesięcy z 300 internowanych, pozostało około 100.

Pomimo posterunków, drutów kolczastych i różnych zakazów stosunki z miastem i transportami, które jeszcze ciągle stały na stacji Jenisiej były utrzymywane, bądźto przez różne wycieczki dzienne i nocne do miasta, bądźto przez odwiedzające nas panie, żony internowanych, bądź też przez żołnierzy naszych, a szczególnie żołnierzy baonu szturmowego, którzy samodzielnie zorganizowali rodzaj doraźnej pomocy dla nas. Z pozostałych zapasów maki, wypiekali chleb, piekli i gotowali pozostałe tusze mięsa, które prócz tego musieli jeszcze ukryć przed rekwizycją bolszewicką. Nocami, różnymi sposobami często z narażeniem życia, a w każdym razie względnej wolności dostarczali nam tych rzeczy całemi saniami.

Kilkakrotnie próbowali występować do nas bolszewicy, a w szczególności do oficerów posiadających wykształcenie techniczne, z propozycjami różnych służb — pozostawała to jednak jakoś bez większych rezultatów. Wśród żołnierzy poczęli rozwijać agitację bolszewicką i ku olbrzymiemu swemu zdumieniu nie spotkali ani posłuchu ani oporu, a poprostu obojętność. Jak widać ze wzmianek — w gazetach i ze słów wybitniejszych osobistości z pośród bolszewików, sądzili oni, że kapitulacja nasza była wywołana buntem, czy też wprost przejściem dywizji na stronę bolszewicką. Dawali nawet do pewnego stopnia poznać, że dziwią się, dlaczego nasi żołnierze poprostu nie wy-

różni chociażby połowy oficerów. Podejrzewając, że to obojętne zachowanie się względem agitatorów bolszewickich, żołnierzy dywizji, jest następstwem jakiejś kontragitacji — zaczęli skrupulatnie przeszukiwać transporty w celu wyszukania ukrywających się tam oficerów, których w razie odkrycia natychmiast odstawiano do więzienia, a następnie poczęli więzić wszystkich inteligentniejszych szeregowców i podoficerów.

W końcu zaczęto wysyłać poszczególne partje żołnierzy na różne roboty, przeważnie do lasów — jedna z takich partyj przybyła do „gorodka” w celu kopania ogromnych wspólnych grobów dla zmarłych na tyfus, przeważnie kołczakowców. Od nich dowiedzieliśmy się, że codziennie niemal grzebią około 400-tu ludzi.

Z kolei przyszły represje i na nasz obóz — przedewszystkiem więc wszystkich oficerów sztabowych przeniesiono do więzienia, gdzie już przebywał płk. Czuma.

Trudno by mi było w tym szkicu nawet w przybliżeniu określić to, co przedstawiało w tym czasie więzienie Krasnojarskie, razem ze swoimi „Podwałami”, „Kamionkami”, „Izolatorami” i t. d.

Te też nie wielu przetrzymało je — jako jedni z pierwszych padli ofiarami tyfusu ś. p. płk. Kodlec, Święcicki, Skiergełło-Jacewicz, Kinic.

Z kolei pod najrozamitszymi pretekstami, a przeważnie bez nich przetransportowywano do więzienia w pierwszym rzędzie oficerów baonu szturmowego i sędziów.

Dlaczego właśnie tych, a nie innych, próżno by się głowić nad tem. Zdaje się, że poprostu jedno lub drugie „Czeka” szukało ofiar. Internowani Polacy przedstawiali materiał łatwy do przyczepiania się — niestety jako znajdujący się pod eskortą wojskową poniekąd wymykali się z rąk „Czeki”. To też szukano przedewszystkiem oficerów na mieście; każdy, którego tam przyłapano, nie wracał już do obozu ale szedł do więzienia a „Czeka” względem każdego stosowała identyczną metodę postępowania. Oskarżano o służbę w polskich kontrewolucyjnych oddziałach, doczepiając czasami zarzut próby ucieczki lub ułatwianie jej innym.

Wypadków takiego schwytania oficera na mieście było względnie mało, chwymano się więc pierwszego lepszego zasłyszanego nazwiska któregoś z internowanych oficerów i posyłano rodzaj zapotrzebowania po takiego oficera do komendanta „ogrodka”, wzywając owego oficera rzekomo jako świadka.

Przypuszczalnie w ten sposób dostali się do rąk „Czeki” oficerowie z sądu wojskowego dywizji i baonu szturmowego, ponieważ jakiś szewc baonu szturmowego nazwiskiem Brożych podobno wstąpił na

służbę wywiadowczą do „Czeki” i nie jest wykluczone, że jako pierwszą swą zdobycz podał poprostu nazwiska znajomych oficerów: przypuszczenie to o tyle jeszcze ma cechy prawopodobieństwa, że szewc ów miał swego czasu sprawę sądową o handel wódką, mógł więc znać i nazwiska oficerów sądowych.

Prof. Dyboski w swoich wspomnieniach uważa, że prześladowania, znęcanie się i rozstrzeliwanie „Szturmaków” nie było rzeczą przypadkową ale wyraźnie skierowaną przeciwko łączności pomiędzy ideologią legjonową i peowiacką, a V Dywizją, którą stanowił właśnie Baon Szturmowy tej dywizji.

Tak było rzeczywiście, ale żeby bolszewicy, a w dodatku syberyjscy bolszewicy mieli to rozumieć, w to wątpię.

Z chwilą odseparowania nas od oddziałów i uniemożliwienie nam utrzymania z nimi łączności, mogliśmy dopiero pomyśleć o ratowaniu własnych głów.

Jednym z pierwszych, który zbiegł z obozu, był dowódca baonu szturmowego kpt. Dojan, skoro tylko stało się wiadomem, że zaczynają się nim interesować w komendanturze.

Rzeczywiście następnego dnia po ucieczce zażądano odstawienia go do „Czeki” — kpt. Dojan był jedynym z oficerów Baonu Szturmowego, któremu ucieczka udała się w całej pełni.

Po kilku oficerów baonu szturmowego przysłano eskortę i przeprowadzono do więzienia, a dwóch wskutek jakiegoś przypadku schwytano na mieście, trzech zamordowano w czasie przewożenia do więzienia.

Po uwięzieniu jeszcze oficerów korpusu sądowego z niewiadomych nam powodów, został nagle cały obóz przewiezony do Omska, a następnie do Tuły.

Uwięzieni pozostali jednak w Krasnojarsku, a liczba ich powiększała się wskutek ciągłych aresztowań po okolicznych lasach i na mieście, żołnierzy i oficerów.

Wielu aresztowanych zamordowano po drodze, czem się głównie wstawili Niemcy i Węgrzy z brygady międzynarodowej. Tak zginęli: por. Zongołowicz, chor. Stolarz, por. Koza, chor. Kamiński i chor. Filowicz.

Z tych nawet, którzy do więzienia doszli, nie wielu pozostało przy życiu, kto przeżył tyfus i cynkę, ten padał jako ofiara „wyroku” Czeki względnie jakiegoś samosądu eskortantów.

Dlaczego tych, a nie innych rozstrzeliwano, dlaczego jednych wysyłano do Omska i Irkucka i albo dowożono na miejsce, albo nie, a innych znowu pozostawiano na miejscu, aż do zawarcia pokoju z Pol-

ską, poczem jednych „amnestjonowano“, a innych nie — to nikomu nie jest wiadomem.

Wszystkich obciążano jednym przestępstwem: służbą w wojsku polskim, które walczyło, a co gorsza jeszcze walczy z Rosją Sowiecką.

Prześladowania przyjęły wyraźnie narodowy charakter, co się wyraziło w amnestji w dniu 1-go maja 1920 r., gdzie powiedziano, że nie dotyczy ona przestępców narodowości polskiej.

Wśród rozstrzelanych byli też: sędzia-porucznik Pfajfer-Dąbrowski, pochodzący z Górnego Śląska i sanitarjusz Bujak, pochodzący z Gdańska, obydwaj rozstrzelani przez Niemców-komunistów, co było wyraźnie porachunkiem nacjonalistycznym.

WIĘZIENIE W KRASNOJARSKU.

Zarówno schwytanych gdziekolwiek, jak i „zapotrzebowanych” z obozu sprowadzano wpierw do obszernej, 2-piętrowej kamienicy, gdzie mieściły się biura „Weczeka” — i uprzedzając wszelkie badania i śledztwa umieszczano na razie w piwnicach, czyli w tak zw. „Podwałach”.

Prócz „Weczeki” (Wsierosyjskaja Czerezwyczajnaja Komisja) była jeszcze instytucja pokrewna jej, o lokalnym zakresie działania t. zw. „Gubczeka” (Gubernskaja Czerezwyczajnaja Komisja). Obie te instytucje zazębiały się w swojej pracy, uzupełniając się, lub działając w przeciwnych kierunkach. Na porządku dziennym bywały wypadki, że obywatel, którego Weczeka osatecznie zwolniło, w parę godzin później był znowu aresztowany pod tym samym zarzutem przez Gubczeka — co gorsza fakt, że był już raz aresztowanym przez Weczeka, pogarszał jeszcze jego położenie.

Nikt absolutnie nietylko z Polaków lub byłych wojskowych kołczakowskich, ale z ludności miejscowej, a nawet z funkcjonariuszy instytucji sowieckich nie był pewnym czy każdej chwili nie zostanie aresztowanym.

Poza „Gubczekiem”, „Weczeką” była jeszcze „milicja czerwona” i „razwiedka” wojskowa i różne „Czeki” kolejowe, wodne, powiatowe i t. d., z których każda posiadała swoje podwały, swoich agentów i swoje oddziały egzekucyjne „Czeka” kolejowe posiadało, w każdym pociągu własny wagon więzienny. W „Czeka” służyli przeważnie Niemcy i Węgrzy (b. jeńcy), kilka wyższych stanowisk zajmowali żydzi, a nawet żydówki (Brande) było też paru Polaków (Kenig, Piekarz, a przez jakiś czas niejaki Marcinkowski był szefem „Weczek”). W Gubczeka służyli przeważnie Rosjanie i Łotysze, oraz trochę żydów, w milicji wyłącznie Rosjanie (prócz byłego majora V. D. P. Piątkowskiego) a w „rozwidce” znowu żydzi.

W miarę przeprowadzanych badań, względnie gdy wypełniały się już szczelnie „podwały”, odsyłano aresztowanych partjami do więzienia. W tych czasach, gdy istnieli tylko albo kandydaci na aresztantów albo agenci wywiadowczy różnych szczebli i kategorii, można było być pewnym, że co drugi spotkany człowiek jest szpiclem.

Całe miasto roiło się od wywiadowców, wywiadowczyń, półwywiadowców, agentów, prowokatorów, różnych milicjantów, komendantów i t. d. i t. d.

Naprawdę, pobyt w więzieniu należał do najspokojniejszych i najbezpieczniejszych.

Piwnica „Weczeki” składała się z dwu ubikacyj, oświetlanych dwiema żarówkami elektrycznymi, a schodziło się do niej po schodach z podwórza.

Na drzwiach, nie wiadomo dlaczego, był odcisk ręki ludzkiej zamazanej w czerwonej farbie — na ludzi nerwowych robiło to jednak silne wrażenie. Delikwent czy delikwentka sprowadzony do „podwału” musiał sobie wyszukać gdziekolwiek miejsce na podłodze. Na środku pierwszej ubikacji stał olbrzymi samowar, z którym chodzono po wodę i rozpalano na podwórzu. Kobiety siedziały i spędzały tam noce i dni razem z mężczyznami, leżąc pokotem na ziemi.

Trudno sobie wyobrazić bardziej rozmaity dobór towarzystwa, jak ten, który przepływał przez „podwał”. — Starzy b. urzędnicy, ludzie z inteligencji miejskiej, kupcy, b. oficerowie, bandyci schwytani na gorącym uczynku, działacze polityczni obozów wrogich bolszewikom, popi, Polacy z tytułu swego pochodzenia, b. jeńcy wojenni, przeważnie oficerowie węgierscy i tureccy, złodzieje uliczni, różne szumowiny, różni podejrzani o najrozmaitsze rzeczy, żony oficerów rosyjskich, b. siostry miłosierdzia, przekupki, żony i córki miejscowych obywateli, prostytutki, złodziejki i t. d. — jednym słowem wszyscy, ponieważ bardzo często siedzieli tam nawet komuniści, którym powinna się gdzieś noga, oficerowie i żołnierze czerwonej armji i t. d. Poza tem, oczywista rzecz, cała falanga różnych szpicli i prowokatorów. Wszyscy czekali na badania, czasami po parę tygodni, a co najmniej po parę dni, śpiąc tam, gdzie przebywali cały dzień, to znaczy na podłodze kamiennej.

Jedynym spacerem było wyjście do ustępu wspólnego dla wszystkich, ewentualnie rozpalanie samowaru, o co się ogromnie ubiegano.

Jako jedzenie wydawano stale jedynie chleb i 1 kawałek herbaty (t. zw. kirpiczny czaj), prasowanej, na cały „podwał” — poza tem czasami trochę oleju z ziarenek słonecznikowych, czasem sól, czasem śledzie.

Pobyty w podwale miał jedną dobrą stronę, że tam można było każdej chwili przynosić t. zw. „peredacze” — t. zn. przesyłki z miasta — o ile naturalnie krewni lub znajomi delikwenta wiedzieli, że on jest w podwale.

Z podwału wyprowadzano delikwenta na górę na „dopros”, z którego albo wracał wkrótce, albo szedł na „lednik”, gdy prowadzący śledztwo byli niezadowoleni z zeznań.

Wychodzący na śledztwo nie brał ze sobą rzeczy i stąd w języku podwału nazywało się to wyjściem „bez wieszczej”.

Często dochodziły do podwału rozpaczliwe krzyki, zwłaszcza kobiet, nad którymi znęcano się w czasie śledztwa. Jeżeli nie pomogły argumenty pięści czy buta, badanego lub badaną rozbierano do koszuli i wprowadzano do „lednika”, t. j. piwnicy z lodem, gdzie go przetrzymywano zależnie od kaprysu sędziego śledczego.

Bywały wypadki, że kobiety badane, wyrываły się z rąk „sędziów” i wpadały do podwału, trzymając w rękach całą garderobę, w którą dopiero ubierały się w podwale, przy ogólnym śmiechu eskortantów, stojących na dziedzińcu.

Drugim sposobem opuszczenia podwału było wyjście „na swabodu”, również z „wieszczami” lub „bez wieszczej”. Pierwsze oznaczało oczywiście otrzymanie wolności, należało jednak do zjawisk rzadkich i nigdy prawie nie dotyczyło tych, którzy na śledztwo byli sprowadzeni z więzienia, lecz aresztowanych na mieście. Drugie było tylko ironicznie ochrzczonem wyjściem „na swabodu bez wieszczej”, oznaczało bowiem wyjście na egzekucję — wyprowadzano skazanych pojedynczo lub partjami i tracono gdzieś za miastem lub też gdzieś względnie blisko, ponieważ czasami było słychać strzały, poza tem stale stojący na dziedzińcu okrwawiony wóz wskazywał na to, że straconych zabierali później eskortanci.

Trzecim sposobem wyjścia było odejście z całą partją do więzienia — i było ono prawdziwą ulgą, ludzie bowiem nie tęsknili już tak do wolności, jak do spokoju, które bądź co bądź dawało więzienie.

Co parę dni odchodziły takie partje pod silną eskortą do jednego z dwu więzień albo t. zw. „Kamionki” czyli więzienia stałego mурованого lub „peresyłki” czyli do więzienia etapowego.

Cały aparat śledczy i sądowy był ogromnie uproszczony. Aresztował kogoś agent „Czeki” w domu lub na ulicy pod jakimkolwiek zarzutem. Ten sam agent przeprowadzał następnie śledztwo, ten sam agent sądził, jeżeli sprawę delikwenta Czeka załatwiało samo, lub występował jako oskarżyciel, gdy sprawę rozstrzygał trybunał rewolucyjny — wreszcie on sam przeprowadzał egzekucję.

Względem oskarżonych, względnie posądzonych, postępowano rozmaicie, czasem względnie grzecznie, czasem brutalnie, czasem dziko — bardzo często najrozmaitszemi groźbami przy użyciu rewolwerów starano się wymusić zeznania na swoją niekorzyść, względnie pytano aresztowanych, którzy już nieraz miesiącami przebywali w więzieniu, za co zostali aresztowani.

Por. Raczyński, w którego starano się wmówić wpierw, że jest kpt. Dojanem, a następnie jakimś nieznanym nam bliżej brodaczem z posiadanej przez „Czeka” fotografii zjazdu delegatów polskich towarzystw na Syberji — był w okrutny sposób zbity, następnie przez noc całą trzymany na lodzie, a w końcu odesłany do więzienia, skąd wyjechać miał do Omska i po drodze podobno zmarł na tyfus. W każdym razie wyjeżdżał z gorączką i wyraźnymi cechami początkowego tyfusu. Według innej niestwierdzonej wersji, został w Omsku rozstrzelany.

W okropny sposób znęcano się nad braćmi Dunajewskimi, których aresztowano w transporcie żołnierskim. Jeden z nich w czasie śledztwa spoliczkował sędziego śledczego za ordynarne wyzwiska. Wielkie wrażenie zrobiło wśród towarzystwa „podwałowego” nagłe pojawienie się tam dowódcy brygady międzynarodowej, b. austriackiego porucznika Dima. Został on z bliżej nieznanых powodów aresztowany, w czasie śledztwa zbity do krwi, siedział jakiś czas w więzieniu, a później podobno był wywieziony do Irkucka i rozstrzelany.

Położenie tego człowieka było rzeczywiście straszne — w więzieniu zbrojotowany przez współwięźniów zarówno białych jak i czerwonych. Umieszczono go początkowo w celi, gdzie siedzieli sami czerwoni dygnitarze — pierwszej nocy urządzono mu takiego „koca”, że rano został odesłany do szpitala. Następnie siedział w celi z b. oficerami rosyjskimi, którzy mu dokuczali na każdym kroku. Nikt z miasta nim się nie opiekował, żywił się wyłącznie jedzeniem więziennem.

Przez jakiś czas przebywała też w podwale „W-czeki” znana organizatorka kobiecych bataljonów, Boczkarewa.

Więzienie krasnojarskie składało się z kompleksu budynków przedzielonych wysokim częstokołem i otoczonych jednym wspólnym murem. Właściwe więzienie stanowił ogromny 2-piętrowy gmach murywany, t. zw. „tjurennny zamok” albo „Kamionka” — kilka obok stojących drewnianych piętrowych budynków stanowiło t. zw. „tjurme peresylną”, resztę miejsca zajmowało więzienie kobiece, łaźnia, szpital i budynki gospodarcze.

W „Peresyłce” umieszczano mniej groźnych przestępców, wolno było tam wychodzić cały dzień na dziedziniec i odwiedzać sąsiednie budynki.

Po parudniowym pobycie w „podwale“ bez żadnego śledztwa zostałem odesłany do „peresyłki“. Z Polaków byli tam już wspomniani bracia Dunajewscy i były por. 3 p. Głębocki (pseud.). Wraz ze mną przyprowadzono sędziów naszych por. Hoszarda, Olszewskiego i majora Kamińskiego.

Mieszkaliśmy w jednej olbrzymiej sali, gdzie pomieszczono nas około 100 — w tej liczbie było kilku żołnierzy polskich, aresztowanych jeszcze w transportach lub na robotach, przeważnie pod zarzutem utrzymywania stosunków z oficerami.

O godzinie 9-ej wieczorem zamykano na całą noc drzwi, a do celi musieliśmy sobie wnosić t. zw. „paraszę“. Z instytucją tą, znaną mi dotąd tylko z „Martwego domu“, spotkałem się realnie poraz pierwszy.

Sala posiadała wybranego „starostę“, który pobierał i dzielił chleb i mięso naturalnie końskie — zupe, rano gorącą wodę przynosiliśmy na zmianę w olbrzymich kadziach.

Przy pobieraniu jedzenia, zmiataniu sali i wynoszeniu „paraszy“ i innych czynnościach — pilnie przestrzegano kolejki i porządku. Trzeba przyznać, że Rosjanie posiadają pewien zmysł w organizacji życia więziennego.

Mogliśmy się również przekonać, o ile wikt więzienny był lepszy od jedzenia danego w „Grodku“.

Po kilku dniach, pojedynczo przeważnie, wyciągano nas na śledztwa do „Czeki“. Odbywało się znowu znany „podwał“ a stamtąd przeważnie już się do peresyłki nie wracało, ale zależnie od sposobu badania, albo do szpitala, albo do „Kamionki“ — albo się nie wracało wcale.

Pierwsze pytanie, które mi zadano na śledztwie, było — za co mnie aresztowano. Ni stąd ni zowąd zaczęto mię płać z jakimś kapitanem rosyjskim, ale ostatecznie sam „sędzia śledczy“, jakiś łotysz, skonstratował, że to chyba pomyłka i trochę zmieszany tem zdecydował się odesłać mię z powrotem do więzienia.

Tym razem zaprowadzono mnie do „kamionki“ i umieszczono na 3-cim korytarzu na 2-giem piętrze, gdzie przebywali przeważnie Polacy. Z moimi dotychczasowymi współtowarzyszami rozstałem się, prócz jednego mjra Kamińskiego, którego zastałem już w jednej z cel 3-go korytarza. Przez parę pierwszych dni pozwalano nam odwiedzać się wzajemnie w celach, a nawet w pewnych godzinach otwierano wogóle cele i pozwalano na spacer na korytarzu, zamknięm zresztą. Pozatem była jedna godzina dziennie spaceru po dziedzińcu. Spacer taki odbywało kilka korytarzy równocześnie. W niedzielę i we czwartek (później tylko w niedzielę) w porze południowej odbywały się tak zw. „peredacze“. W te dni od wczesnego rana stały

przed bramą wiezienną długie sznury, przeważnie kobiet, niosących jakieś naczynia lub kosze z jedzeniem ewentualnie ubraniem i bielizną. Można było również dołączyć do tego małą kartkę z paroma słowami. W czasie peredaczy wolno było chodzić po korytarzach i dziedzińcu wewnętrznym „kamionki”.

Były to wszystko zwyczaje i przywileje więzienne z dawnych lat. Bolszewicy na razie je uszanowali, później jednak zaczęli stopniowo odbierać.

Charakterystyczne jest, że odbierano przywileje wyłącznie tylko nam, t. j. więźniom politycznym. Kryminaliści zajmujący w więzieniu jeden oddzielny korytarz na I-szem piętrze zachowali wszystkie poprzednie zwyczaje więzienne. Stanowili oni jakby pewien rodzaj arystokracji więziennej — zajmowali różne „wysokie” w hierarchji więziennej stanowiska, jak pisarzy w kancelarji więziennej, kucharzy, piekarzy, sanitarjuszy i t. d.

Naszego towarzystwa naogół unikali, tworząc na wszystkich spacerach odrębną grupę, wogóle utrzymywali stosunki towarzyskie tylko między sobą lub z dozorcami. Był wśród nich jakiś młody żyd, który miał niegdyś fabrykę fałszywych rubli — zajmował on stanowiska fryzjera więziennego i miał wstęp zawsze i wszędzie, nie wyłączając wychodzenia na miasto — w czasie świąt żydowskich otrzymał nawet formalny urlop. W sprawach więziennych był on powagą, z którą liczyli się wszyscy dozorcy. Dla nas był on źródłem wszystkich plotek i wiadomości tak z miasta, jak i z sąsiednich korytarzy.

Na 3-im korytarzu zastałem już aresztowanych bądźto wcześniej odemnie, bądź też w czasie mego pobytu w „peresyłce” — chor. Skurkiego, Łaptasia, Kamińskiego i Długoszewskiego, wszystkich z Baonu Szturmowego. Wkrótce po mnie przyprowadzono tam por. Racyńskiego, plut. Dobrusia, chor. Filowicza, por. Smołuchę, por. Kozę i sierż. Gruszeckiego, również z Baonu Szturmowego. Pozatem z Polaków byli tam por. Howard, por. Pfeifer-Dąbrowski, por. Wereszczyński, p. Fedorowicz, emisariusz z Polskiego Komitetu Wojennego, oraz kilku żołnierzy, których nazwisk nie pamiętam.

W jednej z cel przebywał też b. dowódca taborów V D. P. płk. Rokicki, którego następnie uwolniono z powodu jego złożenia się na służbę w Czerwonej Armji.

W czasie spacerów spotykaliśmy się bardzo często z Polakami, przebywającymi na innych korytarzach. W tym czasie (marzec 1920 r.) byli tam por. Trojnarowski, pułk. Medwadowski, pułk. Piekarski, pułk. Czuma, por. Worwa, por. Baonu Szturmowego Knotz, któremu udało się pierwszy raz jakoś wydostać na wolność — w parę miesięcy później został on aresztowany po raz drugi i rozstrzelany.

Życie wewnętrzne „Kamionki” w celach nie różniło się zasadniczo od „peresyłki”. W celach było tylko niemożliwie ciasno — cele przeznaczone niegdyś na 4—6 osób zajmowało obecnie 15—20 osób. Spaliśmy na pryczach, na stole, na ławce, pod stołem i na środku celi. Istniała ściśle przestrzegana kolejka zajmowania miejsca na spanie. Do najgorszych miejsc należało oczywiście miejsce przy „paraszy” — to miejsce dostawał ten, kto przychodził ostatni do celi, w miarę wydobywania lokatorów celi na śledztwa lub do szpitala posuwał się on dalej na środek celi, później pod stół, następnie na ławkę, na stół i t.d.

Codziennie ktoś z tej lub innej celi odchodził do szpitala, do izby chorych, względnie izolatora. Tyfus grasował w okropny sposób. W szpitalu urzędował lekarz przychodni, czasem zaglądał on do izby chorych, natomiast w izolatorze, w początkach przynajmniej, nigdy lekarza nie było. Izolator zajmował jeden z korytarzy na 2-iem piętrze, gdzie niegdyś mieściła się katorga. Chorych nikt tam nie leczył, sanitariuszami byli zawodowi kryminaliści, którzy zajmowali się równocześnie wywożeniem i grzebaniem zmarłych.

Wysłanie chorego do izolatora uważane było powszechnie za nie-napisany wyrok śmierci.

OSTATNIE DNI P. O. W. W KIJOWIE.

Czułość władz sowieckich w stosunku do polskiego społeczeństwa po 1920 roku została posunięta do ostatnich granic. Węsząc istnienie tajnej organizacji, śledzili i aresztowali wiele osób. Badali, niejednokrotnie zwalniając, by usilniej śledzić na swobodzie i żeby uchwycić wreszcie w ręce ciągle im się rwącą nić.

Podejrzenia ich były słuszne. P. O. W. istniało i chociaż nieliczne, miało masę nieoficjalnych sympatyków i pomocników wśród polskiej ludności Kijowa, pozostałych tam jeszcze w 1921 roku.

Leon Korzeniowski, ówczesny zastępca komendanta P. O. W., Marja Przedromirska, adjutant i Żeligowski, stanowili jądro organizacji.

Osoby Korzeniowskiego i Żeligowskiego, mogły być bardzo podejrzane władzom sowieckim ze względu na brak określonego zajęcia a więc stałych środków do życia i ich zewnętrznego wyglądu. Korzeniowski miał postać konspiratora przedwojennych rosyjskich czasów. Czarny, duży zarost, w czarnej oprawie okulary i czarny, głęboko na głowę wsunięty kapelusz z opuszczonem rondem. Żeligowski, słuszny, zgrabny chłopak, z wiecznie kpiarskim uśmiechem na ładnej i energicznej, młodzieńczej twarzy. Doskonale pamiętam, jakieśmy się raz wypadkowo spotkali w drzwiach więzienia, otoczeni strażą i czekistami i jak mi z butnie podniesioną głową szepnął: „Nigdy pani nie widziałem. Nieznam Pani”. Miało to służyć jako ostrzeżenie, abym i ja do znajomości z nim się nie przyznawała. Z werwą spełniał wzięte na siebie obowiązki. Z dziecinną niemal uciechą opowiadał mi nieraz, jak oprowadzał za sobą po całym Kijowie szpicli, zawsze ginąc im ostatecznie z oczu. Pewnego dnia, w kościele, w czasie nabożeństwa, Żeligowski oddawał papiery komuś, kto je miał dostarczyć do Warszawy. Wyszedłszy z kościoła od razu zobaczył za sobą szpicla, którego nieudało mu się zgubić, pomimo całodziennej wędrówki po mieście, a nawet cmentarzach. Późnym wieczorem, będąc pewnym, że już nie

jest śledzonym, został schwytany pod domem, w którym mieszkał z Korzeniowskim. W nocy zabrano Korzeniowskiego, Halkiewiczową, właścicielkę mieszkania, kuzynkę Korzeniowskiego i jego młodszego brata Antoniego.

Wszystkie pieczęcie, papiery i pieniądze, wręczone mu na czas jakiś przedtem na demobilizację P. O. W., wpadły w ręce aresztujących.

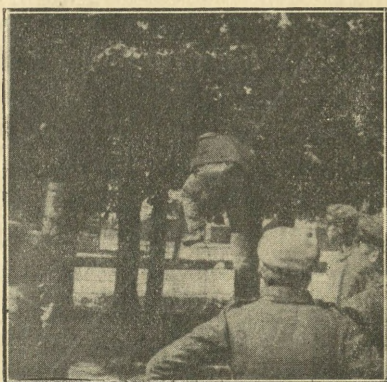
Nie mogąc odszyfrować rozkazu, przysłanego z Warszawy, zwlekał z ostateczną likwidacją wszystkiego, pomimo niejednokrotnego mojego ostrzeżenia o grożącym niebezpieczeństwie.

Tej samej nocy zabrali Marję Przedromirską i Metelską, o której współudziale w robocie bliższych szczegółów nie posiadam.

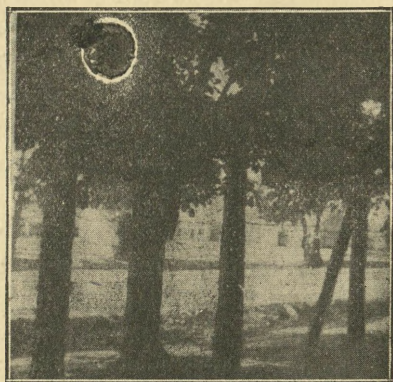
Żadnych obciążających dowodów nie znaleziono przy nich. Obie dziewczyny poznałam dopiero w więzieniu. Metelska, ładne, słabe dziewczátko, od pierwszej chwili więzienia twierdziła, że będzie zabita i cały czas przebywania w więzieniu była smutna i płacząca. Mało ją pamiętam, bo na ogólnej sali byłam tylko parę dni. Pozatem siedziałam sama jedna z oddziałem żołnierzy, stanowiących ochronę „osobowo odtieła”, mając za towarzysza nieudolnego szpicla. Po jakimś czasie przyprowadzono Marję Przedromirską. A w kilka dni później przeniesiono nas obie wraz z nieszczęsnym szpiclem (przerazony i ogłupiały szlachcic z nad granicy ówczesnej, którego całą winą było, że kogoś tam z organizacji przemycił przez granicę. Dla odkupienia win swoich zobowiązał się do prowokacji i szpiegowania nas. Rozstrzelano go wraz ze wszystkimi) do osobnego pokoju i postawiono wewnątrz żołnierza.

Szpicli zmieniali i zabierali, a żołnierz trwał przy drzwiach dzień i noc, doprowadzając mię wprost do wściekłości i ostatecznego zdemotowania. Dopiero pod koniec nauczyłam się wyprawiać go, dając mu jedzenie, które chętnie przyjmował i pożerał za drzwiami celi. Czujny na każdy ruch na dole, wracał na odgłos kroków na schodach na swe stanowisko z karabinem w rękę i zdecydowanie groźną miną. Powiedziano bowiem żołnierzom, że pilnują okropnie ważne przestępczynię „Burżuaznoję Kontrrazwiedki”. Marja znosiła jego obecność zupełnie obojętnie. Opisuując te przeżycia, jestem zupełnie pochłonięta wspomnieniem przesłicznej postaci Marji Przedromirskiej. Dwa miesiące byłyśmy nierozłączne, kazała się kochać i szanować. Jasne, złociste włosy, szafirowe oczy, świeża, młoda twarz, pełna siły i energii. Bito ją i mordowano badaniami, nieosłabła, niezawahała się. Nienawidziła i jawnie głośno o tem mówiła. Na jednym z badań, kiedy jak zwykle namawiano ją usilnie na przejście do komunizmu, obiecywano zaszczyty i wdzięczność za odkrycie wszelkiej prawdy, którą rzekomo całą posiadali z zabranych dokumentów i słów rozmaitych

sterroryzowanych członków i sympatyków organizacji, nie powiedziała nic. Zaproponowano jej przysłanie do naszej celi Korzeniowskiego, żeby się ostatecznie naradzili nad ocaleniem siebie i całej organizacji, przez wydanie tych, co jeszcze byli na swobodzie. Bo jak mówili: mając wszystkich w rękę, unieszkodliwiwszy P. O. W., wysłalibyśmy was na ewentualną zamianę z Warszawą na naszych. Nie chcemy waszej śmierci, zapewniali. Potwierdzał to peowiak Dobrzyński, który przeszedł na stronę wrogów wraz z paru jeszcze członkami organizacji, będąc posłanym na placówkę do Moskwy jako komendant, a przyjechał do Kijowa do pomocy w badaniu znanej sobie organizacji i agitowania na komunizm, jako jedynego środka do uszczęśliwienia ludzkości. Na Marję głównie starali się wszelkimi sposobami wpływać,



Łomża — Ucieczka przez druty.



Łomża — Obóz internowanych.

ceniać silną jednostkę. Gdyby ona została komendantem, a Korzeniowski adjutantem, tobyśmy mieli trudniejszą sprawę.

Jednego ze strasznych i długich wieczorów dwóch drabów wprowadziło do nas Korzeniowskiego.

Zabrali ze sobą stałego naszego stróża i wyszli za drzwi, pozostawiając nas samych.

Wicher szalony targał szczątkami niesamowicie i żałośnie skrzypiących okiennic. Konająca lampka jakaś, ledwo oświeślała długi i pusty pokój. Przez zepsute drzwi oddawna wygasłego pieca wiał chłód nie do wytrzymania. U progu stał Korzeniowski. Było to raczej widmo człowieka. Sterany, zmęczony, uderzał wzrok i serce jakimś bezbrzeżnym cierpieniem i beznadziejnym, ostatecznym wyczerpaniem. Siedząca przy mnie Przedromirska zerwała się z legowiska, potrząsnęła K. za obie ręce i pociągnęła go ku mnie.

Przez długą chwilę żadne z nas nie przemówiło słowa. Bałam się odezwać, bo czułam, że mogę ryknąć okropnym płaczem na widok tej ruiny człowieka. Nie potrafię opisać grozy tej parugodzinnej narady, przepojonej męką tych dwojga, w ręce których składano los i życie kilkudziesięciu więźniów uzależniając ocalenie ich od śmierci od stopnia szczerości przywódców. Zda się życie całe przeżyliśmy tej nocy. Tak samo gwałtownie i niespodzianie zabrano Korzeniowskiego od nas, jak przyprowadzono.

Nad ranem, po tej ciężkiej nocy, wzywano Marję na badanie. Myślałam, że oszaleję z trwogi o nich wszystkich, czekając na jakąkolwiek wieść cały dzień; pod wieczór Marja powróciła ostatecznie wyčerpana i zamęczona. Był to ostatni atak, który ze wściekłością zwrócili do niej, zawiedzeni w swych nadziejach, że jednak zachwieją i wydobędą od niej szczegóły brakujące im, oraz że przeciągną ją na swoją stronę, bo jednak naprawdę imponowała im urodą, rozumem i siłą, z jaką potrafiła oprzeć się wszystkim ich sposobom.

Nazajutrz najzupełniej nieoczekiwanie przeniesiono nas obie do Czerezwyczajki. Niepamiętam już, jakim cudem dowiedziałyśmy się, że w ten sposób wydzielono nas z ogólnej sprawy, chcąc Marję w dalszym ciągu agitować dla komunizmu, a mnie przez dawnych znajomych, a na on czas wpływowych komunistów, ocalić. Straciliśmy wszelki kontakt z pozostałymi w „Osobom Otdiele” bo nawet i pani doktorowa Bogucka, będąca w tym czasie siostrą miłosierdzia, której zawdzięczamy jaśniejsze chwile i pomoc lekarską w więzieniu, nie miała już wstępu do Czerezwyczajki. W kancelarii Czeki powiedziano nam, że mają rozkaz dać nam możliwie dobre warunki więzienne i wyłączyć od pracy fizycznej, którą musiały spełniać inne uwięzione. Pierwsze jednak parę dni dały nam przedsmak raczej piekła, a nie przywileji.

Z ciemnego korytarza wepchnięto nas do izby przepełnionej; nie mogę tego zespołu nazwać kobietami: prostytutki, złodziejki i wprost wiemy, bo na inne miano nie zasługiwały. Bójki, piosnki i połajanki, przechodzące najbujniejszą w tym kierunku wyobraźnię. Marja i dwie panny B., które wtłoczyli za nami do tej izby, prawie całą dobę przesiadywały w kucki pod ścianą, z uszami skrytymi w dłoniach.

Będąc zupełnie chora, położyłam się, w braku innego miejsca, pod narami, z których od czasu do czasu spadały na mnie wszy nadnaturalnej wielkości.

Po północy trochę się uciszyło, a nad ranem zjawił się z łoskotem i klątwami jakiś dygnitarz, chcący własnymi oczami stwierdzić obecność w więzieniu Przedromirskiej i Czarnockiej.

Nazajutrz przeszłyśmy do następnej celi, którą potem nazwano „inteligencką”, bo tak się jakoś samorzutnie podzieliła społeczność

więzienna, że w pierwszej izbie zebrana była publiczność proletariacka, w drugiej — inteligencka, trzecią zappełniły fałszerki pieniędzy i fabrykantki aniołków.

Popłynęły beznadziejnie długie dnie, choć względnie spokojne.

Marja odzyskała wrodzoną wesołość, wypiękniała, była tak śmiała i wyniosła wobec dygnitarzy Czeki, że musiałam ją niejednokrotnie mitygować w obawie jakiejś katastrofy.

Pewną była, że będzie wywieziona do Moskwy na wymianę, planowała nowe życie i pracę społeczną w Warszawie, marzyła o zobaczeniu ukochanego Wodza-Komendanta Piłsudskiego.

Należy stwierdzić, że imię Wskrzesiciela Polski było dla kresowej młodzieży synonimem Ojczyzny i Wolności.

Imię Piłsudskiego streszczało dla nich nakaz podjęcia pracy, pociągającej za sobą dla wielu bezmiar katuszy fizycznych i moralnych, z Jego imieniem żyli i pracowali. Jego imię szeptały ich wargi stygnące w godzinę śmierci męczeńskiej.

W ostatnim okresie wspólnego naszego pobytu w Czece, Marja, dla braku miejsca, sypiała w poprzek moich nar, mając nogi moje, jako oparcie pod głowę. Budząc się po ciężkiej drzemce nad ranem miałam przed oczami jej śliczną twarz, zaróżowioną snem, jej wesołe oczy i młodzieńcze usta, gotowe do żartu.

Przyszli po nią z „Osobowo Otdieła”.

„Jedziemy do Moskwy” — mówiła i pożegnała mnie prawie wesołym „dowidzenia, matko, w Warszawie!”

Na trzeci dzień przedostała się do nas głucha wieść, że jej już nie ma. Nikt ze znajdujących się we wszystkich trzech celach nie miał odwagi powiedzieć mi o tem — miano ją za moją córkę.

Jak mi potem opowiadano — nie usłuchała ostatniego rozkazu odwrócenia się w chwili rozstrzelania, pozostała z twarzą, zwróconą do zabijających ją katów. Śmiało patrzyła w oblicze śmierci i zginęła ze słowami — „niech żyje Polska i Piłsudski”.

Powszechnie powtarzano potem słowa czekistów: „papaliś, kak dzeti, umirali, kak gieroji”.

WSPOMNIENIA Z WIĘZIEŃ BOLSZEWICKICH.

Nim nadejdzie chwila, gdy będę w stanie zabrać się do pisania pamiętników, dotyczących rewolucji rosyjskiej w latach 1917—1921, korzystam obecnie z okazji, by choć w niewielu słowach wskrzzeć wspomnienia pobytu Polaków w więzieniach bolszewickich w Moskwie.

W roku 1918 przeniosłem się z Petersburga (Piotrogradu) do Moskwy, gdzie, w chwilach wolnych od pracy zarobkowej, przyjmowałem czynny udział w Prezydjum Towarzystwa Ochrony Zabytków Polskich.

Uzyskawszy dnia 22 lutego 1919 roku paszporty za podpisem Karahana, mieliśmy się udać wraz z W. Dybczyńskim do Warszawy, jako delegaci wzmiankowanego towarzystwa.

W tymże czasie nadeszła do Przedstawicielstwa Polskiego wiadomość, że do Moskwy, w celu pertraktacji z Sowietami, przyjeżdża delegat Rządu Polskiego, Aleksander Więckowski; po krótkiej naradzie z Dybczyńskim zdecydowaliśmy odłożyć nasz wyjazd do kraju, by zdać A. Więckowskiemu sprawozdanie ze stanu, w jakim się znajdują nasze zabytki.

Podczas widzenia się ze mną, A. Więckowski prosił mnie o pozostanie do jego dyspozycji w Moskwie; z czasem proponował mi on, abym towarzyszył przedstawicielom prasy amerykańskiej, bawiącym w Rosji, w ich podróży do Polski i ułatwił im widzenie się z władzami polskimi, a następnie, gdy władze sowieckie skierowały Amerykanów w ostatniej chwili na Helsingfors, miałem kierować repatracją i rewakuacją Przedstawicielstwa Polskiego z Moskwy do kraju.

Niestety, dn. 27 kwietnia delegat polski, nie bacząc na glejty, które posiadał od W. C. I. K-a, wywieziony w brutalny sposób przez moskiewskie Cze-ka na granicę Finlandji; wraz z nim opuściło Moskwę i jego otoczenie, na czele którego stał wówczas kapitan, a obecnie pułkownik szt. gen. Janusz Gąsiorowski.

Tegoż wieczoru aresztowano cały zespół przedstawicielstwa i kilku obywateli polskich, zamieszkałych w Moskwie, w tej liczbie był również aresztowany w gmachu przedstawicielstwa piszący niniejsze wspomnienia. Dnia 28 kwietnia aresztowano członków z Przedstawicielstwa Polskiego w Piotrogradzie.

W zimną i słotną noc przeprowadzili nas czekaści z gmachu Przedstawicielstwa na ulicę i, trzymając rewolwery w rękę, gotowe do strzału, powiedli na Łubiankę, do W. Cz. Ka, gdzie nas oczekiwali matadorzy tej ponurej instytucji. Zaczęto badania, lecz wkrótce zrozumiałwszy śmieszność sytuacji badających nas, przerwano je i oznajmiono aresztowanym, iż są oni zakładnikami, gwarantującymi głową za życie bolszewickich dygnitarzy, ujętych w Wilnie przez Wojsko Polskie...

Wedle zwyczaju, panującego w więzieniach za czasów carskich, a tolerowanego przez bolszewików, należało przystąpić do wyboru przedstawiciela aresztowanych — „starosty“... Jednogłośnie oddali w me ręce „berło prowodyra“ koledzy moi.

28 kwietnia o godz. 8-ej rano odstawiono nas do więzienia (piwnicy) w M. Cz. K., gdzie odrazu jako „starosta“ byłem zmuszony przemówić do „komisarza śmierci“ (w państwach burżuazyjnych — to pomocnik kata) językiem dlań zrozumiałym za chamskie zwracanie się do więźniów. Potwór ten w ludzkim ciele speszył się i tłumaczył się, że nie wiedział, iż nowoprzybyli „arestanty“ są członkami „Misji zagranicznej!“

Nadeszła noc!... Jakaż straszna!... Od 11-ej wieczorem do 5-ej rano wyprowadzano z naszej celi skazańców i rozstrzeliwano w piwnicy obok położonej... Nie bacząc na turkot, umyślnie puszczonego motoru motocykletki, słyszeliśmy przez całą noc strzały i krzyki mordowanych. W piwnicy naszej wśród pozostałych przy życiu panowała cisza, przerywana od czasu do czasu li tylko westchnieniem, lub szeptem modlitwy, wypowiedanej w różnych językach.

Dnia 29-go kwietnia o 3-ej popoł., otoczeni kordonami piechoty i kawalerji, wędrowaliśmy z pieśnią na ustach do Butyńskiego więzienia. Pieśń nasza mieszała się z płaczem naszych rodzin i wykrzykami oburzenia, jeszcze dość odważnej wtedy — publiczności rosyjskiej

Ramki tej notatki nie pozwalają mi nawet pobieżnie opisać żywot nasz więzienny; niechaj mi wolno będzie jednak zaznaczyć, że ówczesni zakładnicy, na czele z senatorem D. Mierzyńskim, nie bacząc na niepewność jutra, na grozę rozstrzelania, zachowywali się z taką godnością w „Butyrkach“, iż bardzo prędko pozyskali szacunek nawet władz więziennych bolszewickich... Tak, nie traciliśmy animuszu, wiedząc, że tam na zachodzie organizuje się wskrzeszona — wolna

Polska, utęskniona przez dziadów naszych i ojców, a o której my marzyliśmy od kolebki...

Dnia 2-go czerwca 1919 roku zostałem wraz z kilkoma kolegami, na zasadzie świadectwa lekarskiego (byłem po operacji karbunkułu) zwolniony i, przekazawszy me czynności „starosty” J. bar. Danglowi, powszechnie przez więźniów zwanemu „Josephin'ką” opuściłem mury „Butyrskiego Hotelu”.

Tegoż dnia wraz z mą żoną, Stanisławowstwem Schultz'ami, Krausem i Jerniewiczami rozpoczęliśmy pracę, mającą na celu dokarmianie więźniów, a dotarłszy przy pomocy przyjaciół polskich dozorców do celi więziennych mych druhów, uzyskałem plenipotencję od ówczesnego starszego radcy Przedstawicielstwa ś. p. J. Żarnowskiego i radców J. bar. Dangla i T. Mierzyńskiego do występowania wobec władz bolszewickich w charakterze pełnomocnika Polaków i do dysponowania sumami Przedstawicielstwa, ukrytymi przez ś. p. L. Kozłowskiego i jego żonę w Duńskim Czerwonym Krzyżu.

Teraz chodziło o zgodę na „akredytowanie” mnie przez władze bolszewickie. Zwróciłem się do Prezydium „Komisji dla spraw zakładniczych”. Wówczas prezesem jej był Brodzki, a wice-prezesem Sosnowski. Pierwszy z nich neurastenik, ale kulturalny człowiek, drugi — szalony wiecznie ślusarz, ale szczerze ideowy.

I to ku memu zdziwieniu zgodzili się oni uznać mnie jako pełnomocnika, o ile wyrazi na to swą zgodę Cze-ka.

Uważałem sprawę za przegraną!... Rosja jednak, przy wszelkich rządach jest „krajem niespodzianek”. Prezes M. Cz. K., Messing, gdy mu zreferowano mą prośbę, upewniwszy się, że petentem jest ów Barylski, który nie omijał żadnego wiecu, aby walczyć z pracą destrukcyjną bolszewików wśród ludności polskiej, a szczególnie pośród żołnierza naszego, oznajmił: „Podoba mi się ten Barylski, bo jest szczerzy chłop, i wierzę, że jeżeli zapewni on, iż praca jego polegać będzie wyłącznie na opiekowaniu się więźniami, jeńcami i uchodźcami, a od polityki stronić będzie, to tak zrobię! Niechaj-że będzie on tym pełnomocnikiem!”

Teraz śmiało stanąłem do pracy! Biuro swe zorganizowałem w lokalu Stowarzyszenia Techników na Łubiance, mając na wsze strony, jako miłych sąsiadów: biura i mieszkania Cze-ka!

Składy żywnościowe i kuchnia były otworzone przy biurze. Rodzina Jewniewiczów, Morzkowski, Poczobutt-Odlanicki, Szczygielski, Schultz, Łubieński, ś. p. Grekowicz, E. Barylska, Bełżecki, Kraszowsky, S. Ludkiewicz, ś. p. Piętkowski, H. Malhomme, A. Bellier, Łempicka i szereg innych osób, którzy niech mi wybaczą, jeśli nazwiska

ich w pośpiechu przeoczę, byli wiernymi w tym okresie mymi towarzyszami pracy.

Karmiliśmy więźniów w więzieniach, w obozach... A liczba ich z dniem każdym wzrastała.. Obawiając się terroru Cze-ka poczyniłem starania, aby „Komisja” możliwie koncentrowała więźniów polskich w Moskwie... To też nadchodził ten „polski żywy towar” wszystkimi drogami do „Białokamiennoj”.

Posiadałem sprężystą organizację i po paru godzinach wiedziałem o każdym nowym przybyszu.

Poza akcją karmienia i odziewania trza było walczyć z „Komisją”, „Cze-ka”, nieraz z Komisarjatem do spraw zagranicznych o zwalnianie tych ludzi, bez wszelkiej z ich strony winy, więzionych...

Dla zwalnianych stwarzaliśmy ruter; wypuszczonym z więzienia urzędnikom przedstawicielstwa płaciłem pobory!

A skądże brałem na to środki? — spyta czytelnik.

Po wyczerpaniu się sum, złożonych, jakem wyżej wspominał w Duńskim Czerwonym Krzyżu, doszedłem do wniosku, że należy zaciągać pożyczki od Polaków i, poparty przez zwolnionych już w tym czasie z więzienia Ks. Arcybiskupa E. bar. Roppa, T. Mierzyńskiego, ś. p. L. Kozłowskiego, A. Szczygielskiego, uzyskałem zgodę na to ś. p. S. Żarnowskiego. Chodziło mi o powagę wydawanych zobowiązań. Byłem przeświadczony, że Rząd Polski ureguluje z czasem te długi, a ja w ten sposób uratuję część pieniędzy polskich przed rabunkiem bolszewickim i będę chronił przed śmiercią głodową masę Polaków!

Zobowiązania te były podpisane w tym czasie przez ś. p. S. Żarnowskiego, T. Mierzyńskiego, ś. p. L. Kozłowskiego i przeze mnie... A pisane były na płótnie z koszul, prześcieradeł i t. d., by łatwiej ich posiadacze mogli je ukryć, wszywając pod podszewki swych ubrań!

Nadszedł listopad! Rozpoczęły się pertraktacje w Mikaszewiczach komisji polsko-rosyjskiej odnośnie wymiany więźniów. Zostały ustalone listy osób, podlegających tej wymianie... Pierwszym pociągiem wraz z b. kierownikami przedstawicielstwa miałem i ja wyjechać! Rozpacz Polaków, bądź więzionych, bądź też pozostających na wolności, wywołana lękiem, że z chwilą mojej nieobecności pozostaną oni bez wszelkiej opieki, skłoniła mnie do zrezygnowania z wyjazdu, czemu sprzeciwiał się wzmiankowany wyżej Sosnowski do chwili, kiedy zakładnicy złożyli mu odnośne masowe podanie.

Wobec przewidzianego wyjazdu prawie w całym swym składzie Przedstawicielstwa z Moskwy, zwróciłem się do ś. p. S. Żarnowskiego o wyznaczenie mi komisji kontrolującej.

Na zasadzie wspólnego porozumienia komisję tę po wyjeździe ś. p. S. Żarnowskiego stanowili: S. Morzkowski i A. Schennert. We trzech

w dalszym ciągu podpisywaliśmy zobowiązania na zaciąganie pożyczki.

W tymże czasie zmuszony byłem wobec bezradności władz bolszewickich, sam wyszukać odpowiedni pociąg dla wyjeżdżających zakładników, a wspólnie z K. Tyszką wagon sypialny dla przedstawicieli komisji, aby jadąc wygodnie, nie dręczyli powracających do kraju zakładników.

Dnia 14 grudnia 1919 r. wyszedł z Moskwy pierwszy pociąg z zakładnikami, uzupełniony więźniami w Smoleńsku.

14 stycznia 1920 r. opuścił Moskwę drugi eszelon.

Zgodnie z życzeniem Radkowej trzeci miał wyjść najdalej za tydzień.

Tejże nocy byłem aresztowany po dokonanej u mnie w mieszkaniu rewizji (podczas której nic nie znaleziono) i osadzony w więzieniu („Osobowgo Oddieła”) specjalnego oddziału Cze-Ka dla walki z kontrewolucją i szpiegostwem.

Dnia 19 marca tegoż roku zostali aresztowani w Moskwie moi współpracownicy na czele z Szennartem, Krasickimi, Jewniewiczem K. 4 kwietnia aresztowano Morzkowskiego, w czerwcu moją żonę i wszystkich, kto miał jakąś styczność ze mną. Po aresztach w Moskwie rozpoczęła się orgja aresztowań i rozstrzeliwań w całej Rosji Sowieckiej.

Rok 1920/21 był zdaje się najstraszniejszym rokiem terroru Cze-ka i jeśli ocaleliśmy, to należy to uważać za cud, gdyż z skazanych w Moskwie nas dziesięciu członków t. zw. Komittu pomocy zaocznie dn. 30 czerwca 1920 r. na śmierć, trzech najmłodszych rozstrzelano 6 lipca 1920 r. (Zamrzyckiego, Lecha, Budkiewicza) siedmiu zaś pozostałych, jako „towar bardziej cenny”, miano przywieźć do Warszawy, po jej wzięciu przez wojska bolszewickie i tutaj rozstrzelać.

Opis gehenny, którą przechodzili więźniowie Polacy w latach 1920 – 1921, opis zezwierzęcenia władców Bolszewji uważam za swój obowiązek wynieść przed opinię publiczną, gdy czas mi na to tylko pozwoli.

TUŁACZE POLSCY NA ZIEMI KAUKASKIEJ.

Podczas wojny ostatniej Kaukaz zaroił się od żołnierzy polskich, których sztab generalny rosyjski chętnie przerzucał w góry Azji Mniejszej w tem przekonaniu, że tam na kresach cywilizacji europejskiej, a nawet już poza jej kresami, w oddali od Polski, żołnierz ten łatwo ulegnie rusyfikacji i jako taki stanie się powolnem narzędziem w rękach władzy. Nie pierwszy to raz tysiące i dziesiątki tysięcy synów Polski przemierzyły piękną ziemię Kaukazu, po stłumieniu walk o niepodległość w roku 1831 rząd carski całe pułki polskie pod nazwą bataljonów dyscyplinarnych zesłał na Kaukaz i kazał go podbijać. Nieszczęśliwi bojownicy wolności szli naprzód z rozpaczą w sercu, znacząc gęsto swój pochód mogiłami, siejąc śmierć i zniszczenie dokoła, znienawidzeni, jako żołnierze w rosyjskie ubrani mundury przez ludy, tracące swą niepodległość.

Ciężkie warunki polityczne i ekonomiczne, w jakich znalazła się Polska po utracie niepodległości, zmusiły setki tysięcy rodaków do opuszczenia ziemi ojczystej i do szukania chleba na obczyźnie. Rodacy ci chętnie osiedlali się na Kaukazie, gdzie oprócz ludów sobie przychylnych, znajdowali licznych osiedleńców — rozbitków z roku 1831. Powoli wiele rodzin polskich, nie mając szkolnictwa rodzinnego ani nawet duszpasterza, wynarodowiło się: pozostało tylko nazwisko oraz tradycja polska, która płonęła zazwyczaj żywym płomieniem. Znałem w czasie wielkiej wojny liczne rodziny gruzińskie i ormiańskie, które miały się za Polaków, mimo to, że ani słowa po polsku wymówić nie potrafiły. E. Strumf, autor pięknej książki p. t. „Obrazy Kaukazu”, wspomina o starcu-polaku z pod Wilna, żołnierzu-inwalidzie, który utrzymywał ogień wieczny w świątyni sekty czcicieli ognia pod miastem Baku.

Inną stokroć lepszą przyszłość zgotował los nowej fali polskich tułaczy, żołnierzy rosyjskiej Armji Kaukaskiej. Wieści o upadku niena-

wistnego caratu przyjęte były radośnie przez żołnierza polskiego, poczęto się zaraz łączyć w związki, mimo niesłychane przeszkody, stawiane przez komitety i przeróżne sowdepy rewolucyjne, dla których Polacy nie przestawali być przedstawicielami zgniłego zachodu. Powstały liczne związki, przeważnie samorzutnie. O niektórych, związanych w zapadłych kątach Kaukazu, dowiedzieliśmy się dopiero po ukończonej wojnie. Najważniejsze związki powstały w Tyflisie, Baku, Batumie, Aleksandropolu, Erzerumie, Sadakamyszu i Piatigorsku.

W związkach zaczęto intensywną pracę kulturalno-oświatową, omawiano sytuację polityczną, jaka się wytworzyła na Kaukazie, tudzież obmyślano środki jaknajprędszego powrotu do kraju, gdzie wreszcie możnaby walczyć o jego wyzwolenie. We wrześniu 1917 r. zwołano I-szy Zjazd przedstawicieli wszystkich polskich organizacyj na Kaukazie do Tyflisu pod przewodnictwem inż. Krzyżanowskiego, na którym ustalono wytyczne polityki polskiej, w duchu zasad szczerze demokratycznych i niepodległościowych, przedstawiciele zaś związków wojskowych powołali do życia Polską Centralę Wojskową, jako instytucję naczelną i kierowniczą dla Związków W. P. Kiedy dostrzeżono, że żołnierz rosyjski nie umie korzystać z wolności, że w armji rosyjskiej zaczyna się rozprężenie i rozkład, grożące nam zalewem, bez wahania postanowiono wydzielić żołnierza polskiego z szeregów rosyjskich. Mimo toczących się już wówczas walk na terytorjum południowej Rosji oraz północnego Kaukazu, gdzie wybuchło powstanie plemion górskich, z początkiem grudnia wysłano umyślnego delegata do prezesa Naczpola Raczkiewicza z usilną prośbą o objęcie prac związanych z organizacją Wojsk Polskich na Kaukazie. Prezes Raczkiewicz delegował niezwłocznie na Kaukaz oficera, kapitana Przeździeckiego, obiecując przysłać jeszcze jednego.

Ażeby akcję organizacyjną uzgodnić, zwołano z końcem grudnia tegoż roku walny zjazd wojskowych Polaków, na którym, pod przewodnictwem dra Wł. Jareckiego, prezesa Polskiej Rady Okręgowej i Polskiej Centrali Wojskowej na Kaukazie, powzięto cały szereg decyzyj, chlubnie świadczących o patryjotyzmie polskiego żołnierza. Delegaci Naczpola zawiedli, widząc cały kraj objęty zarzewiem walk, zawrócili z drogi. Tworzenie polskich oddziałów powierzono Polskiej Centrali Wojskowej. Praca nad wydzielaniem polskich żołnierzy zawrzała, niebawem zaroily się od nich miasta Tyflis, Batum i Baku, które były obrane przez centralę, jako miejsca koncentracji oddziałów wojskowych polskich.

Wartki potok życia ówczesnego przynosił ciągłe zmiany. Oddziały wojskowe ormiańskie i gruzińskie okazały się zbyt słabe, żeby mogły stawić czoło turkom lub bolszewikom. Oddziały polskie poczęły zwol-

na opuszczać Kaukaz. W Batumie, doskonale zorganizowany i składający się z różnych gatunków broni, oddział polski, prawie w przeddzień zajęcia miasta przez Turków wyruszył w drogę powrotną do kraju. Oddziały polskie w Baku zostały zalane przez nawałę bolszewicką. Wielu żołnierzy opuściło Kaukaz wraz z cofającymi się resztkami armji rosyjskiej. Stosunkowo najdłużej trzymał się oddział tyfliski, pełniący służbę garnizonową aż do połowy 1918 roku, mając pod swoją strażą wszystkie banki i drukarnię pieniędzy kaukaskich, poczem i ten wyruszył na północ.

Kilkumiesięczny okres gościny żołnierza polskiego u wolnych ludów kaukaskich świadczy, że żołnierz ten zdał egzamin dojrzałości politycznej, a więc zerwał i nie przyjął stale i uporczywie narzucanej sobie opieki rosyjskiej, czując odrazę do wczorajszego satrapy, przestoczonego dzisiaj w podstępного agitatora, wrzekomo wolnościowego i instynktownie zbliżył się do tych ludów, które z upadkiem Rosji wolność odzyskały. Odnowił tradycyjną przyjaźń z muzułmanami, z niepokojem i napróżno szukając po całym Kaukazie pamiątkowych sztandarów z białym orłem i półksiężycem, zdobytych przez zwycięskie wojska rosyjskie w 1878 roku pod Karsem, otoczył opieką i przyjaźnią naród gruziński, który ekonomicznie wyczerpany przez ormian, politycznie przez moskali, był tem dzieckiem, nie mogącym jeszcze ustać na własnych nogach.

Dzięki tej zdrowej polityce żołnierza polskiego przy odejściu jego nie żegnano go przekleństwem, jak białogwardzistę lub bolszewika rosyjskiego, lecz żegnano go ze wzruszeniem jako starszego brata, idącego już w rozpalających się blaskach wolności. A już poszczycić się może żołnierz polski tem, że mimo to, iż życie w związkach W. P. tętniło silnie, do rozłamu partyjnego nie doszło nigdy. Zwolennicy różnych programów politycznych, z elementarzem w ręku, z zaparciem się siebie, pracowali nad oświatą żołnierza, często nieznanego mowy ojczystej. Spierano się i dyskutowano zawzięcie, lecz pracowano zgodnie, rozumiejąc, że rozłam wśród emigracji polskiej wyrządziłby jej dotkliwe krzywdy. Zdrowy instynkt narodowy zwyciężał tam stale, garnięto się do tych, którzy łączyli, unikając tych, którzy chcieli dzielić i waśnić. Wsłuchiowano się z zaparciem oddechu w poszumy, idące od kraju, na skrzydłach wichrowych chcąc przebyć tysiące wiorst, aby siły swe i życie złożyć w ofierze Tej, co „nie zginęła“.

¶ chociaż poza nielicznymi, oderwanymi wypadkami polscy wygnancy na ziemi ludów kaukaskich nie byli więzieni, to jednak w powrotnej drodze nie uniknęli pozbawienia wolności. Niemcy, rządzący się w Rumunji i na Ukrainie, jak u siebie w domu, oraz bolszewicy zatrzymy-

wali małe i większe oddziały Brygady Kaukaskiej wtrącając je już to do obozów koncentracyjnych, już to do więzień.

Historja kiedyś osądzi, jakie zasługi położyła Rada Okręgowa, Centrala Wojskowa na Kaukazie oraz Brygada W. P. Jedno tylko zdaje się nie ulegać wątpliwości, że, jednocząc żołnierza polskiego pod jedynym sztandarem niepodległej i demokratycznej Polski, Centrala uchroniła go od rozkładowych wpływów Wschodu, zniechęciła do krańcowych eksperymentów państwowo-politycznych i przygotowała do późniejszej pracy w kraju i dla kraju.

MĘCZEŃSTWO POLSKIE NA ŚLĄSKU.

Sprawa przyłączenia Górnego Śląska do Polski przez całą Polskę traktowana była jako sprawa dla państwa pierwszorzędnej wagi, cały kraj odnosił się do tej dzielnicy i do zamieszkującej ją bratniej ludności z niesłychanym sentymentem, a żadne może przeżycia innej dzielnicy, czy to Lwowa, czy Wilna, nie były przyjmowane z tak niekłamanymi uczuciami bądź radości i entuzjazmu, bądź gorzkiego zawodu i rozczarowania, jak właśnie przeżycia i rozwój wypadków na Śląsku.

Bo też i dzielnica ta, tak pod względem dziejowego tragizmu i nieoczekiwanego odrodzenia polskości, jak również pod względem wartości gospodarczych i znaczenia międzynarodowego w całokształcie budowy Państwa zajmowała i zajmuje wyjątkowe stanowisko, zwłaszcza odrodzenie ludu śląskiego z 600-letniej niewoli, dynamika tego odrodzenia, druzgocąca nie tylko psychiczne okowy niewoli, lecz i fizyczne w samorzutnych trzykrotnych porywach powstańczych, wymusza w społeczeństwie odruch prawdziwego podziwu.

Bo, gdy reszta dzielnic ponosiła ofiary, gdy broczyła krwią w powstaniach, gdy ofiarne jednostki wypełniały więzienia i tajgi, to na patriotyzm ten składała się przechowywana z pokolenia na pokolenie tradycja świetnej niepodległości, żywotność i ilość inteligencji, całość swoistej kultury polskiej wogóle; — tymczasem na Śląsku czynniki powyższe nie istniały — chłop i robotnik śląski z podświadomości poprostu wy dobył pchające go na trudy wojenne i męczeństwo siły.

A droga do wolności ludności śląskiej nie była prosta i łatwa. W dwóch kierunkach prowadzona praca — wewnętrzna, polegająca na odrodzeniu polskości, rozpoczęciu nieznaney zupełnie kultury polskiej i zewnętrzna, uosobiona w codziennej zjadłej walce z przemocą zorganizowanej siły zaborczej niemieckiej, wymagała trudu, po-

święcenia i ofiar, będących jedną z zaszczytniejszych kart dla czynnego patriotyzmu polskiego.

Bez przesady można stwierdzić, że w okresie budzenia się polskości na Śląsku i jej utrwalania i rozszerzania, t. j. od r. 1822—1914 (od rozpoczęcia działalności Lompy przez wydanie w Opolu „Rysu dziejów Śląska” do wybuchu wojny światowej), nie było ani jednego wybitniejszego działacza, któryby działalności swojej nie przypłacił krótszem lub dłuższem więzieniem. Zwłaszcza r. 1848 i zjazd słowiański w Pradze, gdzie sekcja śląska zgłosiła przystąpienie do sekcji polskiej i złożyła oświadczenie, że w przyszłości ślązacy będą dzielić losy polskiego narodu, zwróciła uwagę władz berlińskich na budzący się ruch narodowy polski. Również wybrani ze Śląska posłowie do Sejmu ks. Szafranek i Gorzela przystąpili do Koła polskiego.

Najwybitniejszym, świadomym działaczem polskim z tego okresu był biedny nauczyciel Józef Lompa, pisarz i organizator wspólnie z Łepkowskim i Smółką Towarzystwa pracujących dla ludu śląskiego, z którego nazwiskiem nierozdzielnie związane jest przebudzenie się polskości na Śląsku. On też pierwszy padł ofiarą reakcji po r. 1848. Ciągłe szykany władz niemieckich oraz więzienie nie zdołały jednak ugasić nieustraszonego szermierza polskości.

Wkrótce jednak, bo w roku 1869 rozpoczął działalność Karol Miarka, który pod wpływem rozmyślań i prześladowań polskości po r. 1864, oraz pod moralnym naciskiem redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej” Pawła Stalmacha stał się z niemieckiego nauczyciela obrońcą i krzewicielem polskości, redagując „Katolika” w Królewskiej Hucie, zakładając czytelnie, towarzystwa, księgarnie i t. d. Zwłaszcza osławiony „Kulturkampf” Bismarka po wojnie 1871 r. uderzający w kler katolicki, wzmógł ruch polski i działalność Miarki do niebywałych rozmiarów, jako związanych ściśle wówczas z katolicyzmem.

Ta owocna działalność Miarki ściągnęła nań blisko dwuletnie więzienie, lecz to nie ugasiło już spotężnionego ruchu polskiego.

Zaczął się napływ inteligencji i kupców z Poznańskiego. Pracę Miarki objęli Koraszewski, Napieralski, Wolski i inni, rozwijała się swojska poezja (ks. Damroth, Juljusz Ligoń-Kołodziej).

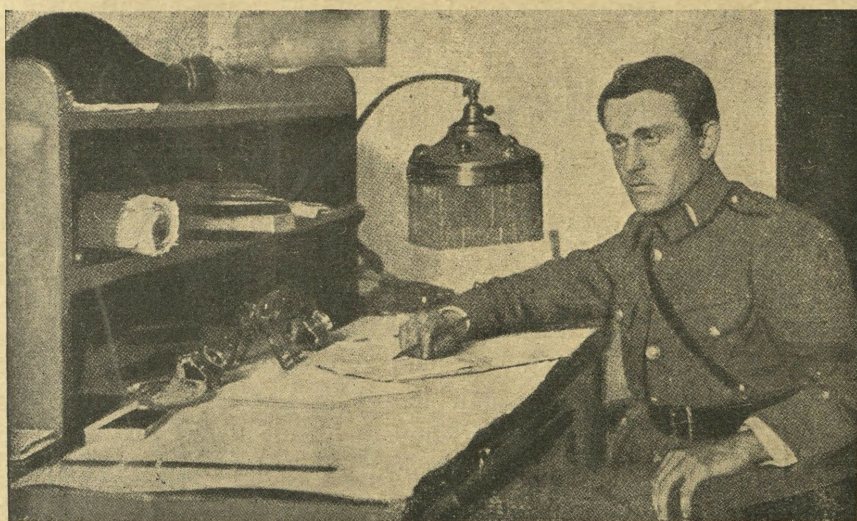
To zespolenie katolicyzmu z polskością zostało zerwane ostatecznie hakatystyczną działalnością arcybiskupa wrocławskiego ks. kard. Koppa, który doprowadził do zupełnego prawie zniemczenia duchowieństwa śląskiego, tembardziej, że walka z Bismarkiem została zażegnana. Wtedy zaczął się rozwijać ruch ściśle narodowy polski, którego kierownikami byli: ks. Pośpiech, Wolski, ks. Brandys i inni.

Ruch ten rozwijał się ściśle z ruchem robotniczym polskim.

Robotnik ten rekrutował się z biednych warstw włościaństwa, wyzyskiwanych z jednej strony przez fideikomisy magnatów, z drugiej — przez kolonizację niemiecką, prowadzoną olbrzymim nakładem pieniężnym przez państwo.

Aczkolwiek częściowo sprawy agrarne polepszoano w latach 1848 do 1857, to jednak pamiętny głód w r. 1879 wykazał całą nędzę śląskiego chłopca.

To też rozwój wielkiego przemysłu ściągał nędzarzy ze wsi do pracy fabrycznej, wskutek czego wytworzyła się potężna, zwarta masa polskiego robotnika. Ruch polski, jako wychodzący z tych środowisk, opierać się musiał na podkreśleniu różnic społecznych między Pola-



*Zgrzebiński Alfons, komendant P. O. W. Górnego Śląska 1919—1920 r.
i więzień polityczny, aresztowany w Koźlu 1919 r.*

kami i Niemcami, którzy byli tylko wielkimi właścicielami ziemskimi i fabrycznymi, urzędnikami lub bogatymi kolonistami i majstrami fabrycznymi.

Te przyczyny złożyły się na zwycięstwo polskie przy wyborach do parlamentu w r. 1903, przez wybór na posła Korfańskiego. Jednak świadomość i siła ruchu polskiego nie zostawała bez odpowiedzi. Mocarstwowe stanowisko Niemiec, szowinistyczna wewnętrzna polityka Prus pod rządami Bismarcka, potrafiła z urzędów administracyjnych, szkolnych, sądowych i z duchowieństwa zorganizować cały germanizacyjny system, współdziałający w świadomy i celowy sposób.

Po roku 1903 rozpoczął się zorganizowany administracyjno-państwowy terror, rozpoczynający się od szkoły powszechnej, a sięgający

do najdrobniejszych komórek życia politycznego, społecznego, gospodarczego i kościelnego.

Wówczas rozpoczął się okres codziennych szykan, dotyczący znanych Polaków, a oprócz tego okres politycznych procesów, których ofiarą padali wszyscy działacze narodowi.

W każdym objawie społecznym, w zebraniu, czy organizacji władze doszukiwały się tajnych związków, każde nieostrożne słowo w dzienniku polskim wywoływało proces, kończący się pozbawieniem wolności lub wysoką grzywną.

Pamiętne są również w latach 1904—1905 t. zw. „abstynenckie procesy gliwickie”, skazujące członków kółek abstynenckich i samokształceniowych, założonych przez prof. Wincentego Lutosławskiego i redaktora „Iskry” Joachima Sołtysa, za należenie do tajnych kółek, grożących całości państwa; zwłaszcza organizacja „Sokoła” wspa- niale się rozwijająca pod opieką Wolskiego i Dreyzy wśród młodzieży, cieszyła się wyjątkową opieką żandarmerji, gdyż władze czuły potężną wartość rozwojową tej organizacji dla polskośći.

Na porządku dziennym były procesy o nauczanie polskiego języka, śpiewanie polskich pieśni i t. d. Również organizacje robotnicze, które rozwinęły się w zadziwiający sposób, były solą w oku władzom która na gruncie Śląska zrzeszyła potężne szeregi.

Jednak działalność tutaj była mniej administracyjna, a raczej gospodarcza. Celowo zupełnie zagłębie przemysłowe śląskie otrzymywało najniższe płace z całego przemysłu niemieckiego, to też robotnicy ruchliwsi i energiczniejsi emigrowali do lepiej płatnych i więcej humanitarnych ośrodków przemysłowych Nadrenji. Tam zapoznawszy się z potężnym ruchem zawodowym niemieckim, polscy robotnicy z ś. p. Rymerem Józefem (pierwszym wojewodą śląskim) na czele utworzyli polską organizację Zjednoczenia Zawodowego Polskiego.

Jeżeli chodzi o ruch polski socjalistyczny, to sami socjaliści niemieccy uznali, że robotnika polskiego jedynie polskim językiem poruszyć można i dlatego w Berlinie w r. 1890 założyli „Gazetę Robotniczą”, przeniesioną w r. 1901 do Katowic.

Istnienie i rozwój P. P. S. na Śląsku utrwalił ideowy i czołowy członek P. P. S. — Morawski, który znękany prześladowaniami i więzieniem, zmarł w 1906 r., pozostawiając dalsze losy P.P.S. w rękach dotychczas żyjącego Biniszkiewicza.

Z powyższych punktów widzimy, że ten wieniec męczeństwa, który okalał wówczas społeczeństwo polskie na Śląsku, był jednocześnie jego siłą, że więzienia, szykany i terror germanizacyjny raczej potęgowały rozmach ilościowy i jakościowy polskośći, niż go osłabiały.

Wybuch wojny z r. 1914 zastał społeczeństwo polskie na Śląsku, świadome swej polskości, dowodem zaś tego jest masowa dezercja z szeregów niemieckich do wojsk koalicyjnych. Dezerterzy ci stali się później podstawą dla tworzącej się armji Hallera. Lecz nikt nie zliczy tych, którzy wskutek dezercji zostali rozstrzelani.

Również w polityce Koła Polskiego w Berlinie, w miarę postępów wojny, zwyciężał kierunek radykalniejszy, sama zaś ludność polska nękana wojną, czekała tylko odpowiedniej chwili, aby plan swoich serc zrealizować przez odzyskanie Niepodległości...

Chwila ta nastąpiła w r. 1918 po przegranej Niemiec. W Niemczech zawrzała rewolucja, władze ujęły w ręce Rady robotniczo - żołnierskie, a po uchwaleniu konstytucji w Wejmarze, zgniceniu rewolucji Spartakusów, rząd socjalistów niemieckich.

Jednocześnie jesień 1918 r. stanowi epokę w życiu państwowem Polski.

Ujawnia się, zorganizowana przez Komendanta Józefa Piłsudskiego, Polska Organizacja Wojskowa.

Pierwszy Kraków rozbraja garnizony austriackie; 2. listopada z pod okupacji zostaje zwolniona część austriacka, gdzie w Lublinie tworzy się Rząd Ludowy z Daszyńskim na czele. Wreszcie dnia 11 listopada powraca „więzień Magdeburga”, Józef Piłsudski, witany i naznaczony entuzjazmem narodu na Naczelnika Państwa, a z jego powrotem w stolicy i okupacji niemieckiej P. O. W. rozbraja Niemców. Polska staje się faktem dokonanym.

Pod zaborem pruskim, w Poznańskim, gdzie Rady robotniczo-żołnierskie są opanowane przez Polaków, dnia 10. listopada powstaje Rada Ludowa, która w dn. 5 — 6 grudnia zwołuje sejmik Naczelnej Rady Ludowej, złożony ze wszystkich kierowników życia politycznego Poznańskiego, Pomorza i Śląska.

Wreszcie Poznańskie, nie bez wpływu P. O. W. Królestwa i Galicji, dnia 27 grudnia zrzuca jarzmo niewoli niemieckiej, wznosząc sztandar powstania, tak, że jedynie Górny - Śląsk jest jeszcze pod zaborem.

Nie trzeba sądzić jednak, że Górny - Śląsk był pozbawiony ludzi, którzyby nie chcieli samorzutnym czynem odzyskać wolności.

Nie mogę na tem miejscu analizować przyczyn, które nie pozwoliły na jasny, w myśl samookreślenia, ruch, zaznaczyć jednak muszę, że ówczesny kierownik narodowy Śląska, Korfanty, nigdy nie doceniał wartości politycznej ruchów wyzwoleniczych, kładąc większy nacisk na działalność dyplomatyczno - propagandową.

Nawiasem dodam, że przez cały czas walki o Górny Śląsk od czasów pierwszego powstania 1919 roku, aż do trzeciego powstania,

zwalczały się te dwa prądy. Z jednej strony grupa ślązaków z kpt. Zgrzebniokiem na czele, wyczuwających, że Śląsk nie zostanie odzyskany bez walki powstańczej, z drugiej zaś Korfanty, paraliżujący stale ich działalność organizacyjną P. O. W., a pokładający nadzieję jedynie w konszachtach dyplomatycznych i w wyniku plebiscytu.

Oczywisty był tutaj wpływ Poznańskiej Rady Ludowej, której członkiem był Korfanty, wstrzymujący zdrowe odruchy powstańcze w okresie, gdy wewnętrzne położenie Niemiec dawało poprostu gwarancję udania się powstania.

Niemcy szybko na Śląsku zaczęli likwidować chaos rewolucyjny. Od 1. stycznia 1919 r. systematycznie opracowywali plan utrzyma-



Barak I-szy obozu internowanych w Neuhammer w r. 1919.

nia Górnego-Śląska. Kierownictwo rejencji objął osławiony Hörsing, który wprowadził stan oblężenia, skoncentrował olbrzymie masy wojsk po miastach i osadach śląskich w formie t. zw. „Grenzschutz'u” i terrorem z jednej strony, a prowokacją z drugiej dążył do unicestwienia wszelkiego odruchu.

Nastąpił wówczas ciężki okres dla ludności śląskiej. Więzienia wszystkie na Śląsku były przepełnione, również całe grupy ludności internowano w obozach koncentracyjnych w Chociebużu, Lamsdorf i Neuhammer. Więźniami byli Polacy, będący mężami zaufania lub kierownikami jakichś organizacji w poszczególnych miejscowościach. Początek aresztowania dały polskie manifestacje po ogłoszeniu 13

punkтів Wilsona, a następnie przygotowania do wyborów gminnych. Każdy śmielszy mówca był, na zasadzie ogłoszonego stanu oblężenia, aresztowany i oskarżony o zdradę stanu, przyczem bicia i znęcania się nad aresztowanymi były na porządku dziennym, jak również rabunek mienia i dobytku.

Stwierdzić należy, że katowanie aresztowanych przez Grenzschutz, rabunek i niszczenie dobytku było skutkiem nie tylko wrodzonego Niemcom okrucieństwa i brutalności; był to również szczegółowo opracowany przez władze niemieckie instrukcjami system, mający na celu prowokowanie przede wszystkim gorętszych jednostek do działania i wywołania przedwcześnie skoordynowanego ruchu, który by przez przeważające siły Grenzschutzu był krwawo i doszczętnie zlikwidowany.

Ogólny nastrój wrzenia polskość był przez władze niemieckie doskonale wyczuwany. Przez zimę całą Hörsing czynił gorączkowe przygotowania wojskowe, a z wiosną był już na tyle silny, że świadomie terrorem prowokował powstanie.

Skutkiem tego w obozach jeńców Neuhammer, Chociebuż i Lamsdorf zostało internowanych mężczyzn i kobiet około 800 osób. Oprócz tego wszystkie więzienia na Śląsku, jak Wrocław, Opole, Strzelce, Racibórz, Gliwice, Mysłowice, Tarnowskie Góry były przepełnione. Wśród ludności zapanował rozpaczliwy nastrój. Przyszłość rysowała się ponuro. Czynniki polityczne były prawie bezczynne. P. O. W. powstrzymywana od akcji.

Na tle tego nastroju dnia 1 i 3 maja 1919 r. odbyły się potężne manifestacje polskie, połączone z wiecami politycznymi, żądającymi przywrócenia swobód, na które rząd niemiecki odpowiedział rozwiązaniem Podkomisarjatu Naczelnej Rady Ludowej i wzmożeniem terroru. To doprowadziło do masowej ucieczki ludności za polską granicę. Wśród takich warunków działała Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska.

Jak wiadomo już 26 października 1918 r. p. Dreyza, naczelnik Sokoła śląskiego rzucił pierwszy myśl, ruchu zbrojnego przez organizowanie tajnych „Straży obywatelskich”, a później jawnych „związków wojskowych”. Lecz niewyraźne to poczynania skonkretyzowała dopiero inicjatywa p. Grzegorzka, który w dniu 19 lutego założył komitet wykonawczy Polskiej Organizacji Wojskowej z jasnym celem przeprowadzenia siłą oderwania się od Niemiec, w myśl ogłoszonych w grudniu 1918 r. 13-tu punktów Wilsona.

Dnia 22 kwietnia na konferencji w Poznaniu z Radą Ludową, przeprowadzoną z wysłannikami Komitetu Wykonawczego P. O. W. poseł Korfanty, poparty depeszą z Paryża wstrzymał wybuch powstania.

Również oparty o wrzenie ludności oznaczony wybuch na 22 czerwca 1919 r. został wstrzymany przez Korfanteo, lecz na nieszczęście rozkazy odwołujące wybuch nie dotarły do powiatów oleskiego i kozielskiego, gdzie wybuchły rozruchy szybko, krwawo i masowymi aresztowaniami stłumione.

Lecz rząd niemiecki postanowił jeszcze silniejszych użyć metod. W jednym dniu zwolniono bezprawnie na kopalniach kilka tysięcy robotników, wskutek czego 11 sierpnia wybuchł strajk generalny. Kopalnie zajęło wojsko, a gdy 15 sierpnia robotnicy przyszli po zarobki, zastali bramy kopalni zamknięte. Na Mysłowickiej zaś kopalni wojsko otworzyło ogień do zebranych, zabijając 6 osób, kilkadziesiąt ra-



Przejście przez most graniczny w Modrzejowie uchodźców-powstańców, którzy na skutek amnestji udają się po kilkumiesięcznej tułaczce do swoich domów rodzinnych.

niąc. Ten wypadek doprowadził do wybuchu pierwszego powstania.

Na domiar złego władze niemieckie w ten sam dzień tragiczny 15 sierpnia aresztują członków P. O. W. na drodze do Strumienia w osobach Jamszczyka, Fojerka, Rejscha i Góreckiego, następnego dnia zaś aresztują głównych kurjerów Dowództwa P. O. W. Gajdzika, Szczepaniaka i Mikołaja wraz ze znajdującymi się przy nich rozkazami do komendantów powiatowych. Na skutek śledztwa aresztowano Hagera Janusza, komendanta powiatu gliwickiego i Pykę Jana, komendanta powiatu rabiskiego.

16-go sierpnia aresztowano w Pawłowicach jeszcze kilku wybitniejszych członków P. O. W., mianowicie szefa sztabu, Bułę Józefa, Grzegorzka Józefa, Jędrostkę Józefa i Szafarczyka, przychwytyując ważne

materiały organizacyjne. Na skutek otrzymanego materiału zarządziły władze niemieckie ostre pogotowie Grenzschatzu, oraz przeprowadziły dalsze aresztowania ogółem do 80 osób. Wszystkich aresztowanych osadzono w obozie w Neuhammer.

W takim tragicznym zbiegu okoliczności wybuchło powstanie na skutek nieprawego rozkazu obozu uchodźców w Piotrowicach do powiatu Pszczyńskiego. Pomimo bohaterstwa poszczególnych jednostek, zostało powstanie szybko przez Niemców zlikwidowane.

Dnia 18-go sierpnia władze niemieckie ogłaszają stan doraźny, który uprawniał do rozstrzeliwania na miejscu pochwyconych z bronią w ręku.

Rozpoczął się najstraszliwszy okres terroru. Wszyscy ranni powstańcy byli na miejscu mordowani, wioski odebrane nawpół niszczone, ludność, nie wyłączając kobiet, bita i katowana. To też ludność tysiącami uciekała zagranicę, koncentrując się w obozach w Jaworznie, Oświęcimiu, Szczakowie, Sosnowcu, Zawierciu i Grodźcu, do liczby przeszło 20.000 osób.

Powstanie oficjalnie zakończono uchwałą Podkomisarjatu Rad Ludowych w dn. 26 sierpnia 1919 r. Lecz terror nie ustał.

Zwycięzcy Niemcy przez aresztowania, rozstrzeliwania i uchodźstwa wytępiłi po polsku czującą ludność prawie doszczętnie. Wiele osób z tych czasów zaginęło bez wieści. Prawdopodobnie zostali zamordowani. Również wiele osób zupełnie niewinnych zostało w oczach rodzin zastrzelonych. Dotąd wciąż ludu śląskiego otaczane są nazwiska Niedurnego z Nowego Bytomia, Janasa z Rudy, Koszyka z Gliwic i innych.

Kres tym bezprawiom położył dopiero przyjazd Komisji Międzysojuszniczej w początkach września 1919 r.

Jednocześnie rozpoczęto likwidacyjne rokowania polsko-niemieckie w Berlinie, gdzie w dn. 1 października 1919 r. zawarto umowę, złożoną z 12 artykułów, która postanawiała zwolnienie wszystkich aresztowanych i internowanych na skutek polityczno-wojskowej działalności i zezwalała na powrót do domów uchodźcom.

Dopiero w październiku więźniowie z aresztów i obozów koncentracyjnych, oraz uchodźcy powrócili do domów rodzinnych.

Na Śląsku zaszła zasadnicza zmiana. Dnia 27. stycznia 1920 r. przybyszą pierwsze oddziały wojsk koalicyjnych, a dn. 11. lutego 20 r. zjawia się Komisja Międzysojusznicza i rządząca dla Śląska z gen. le Rond'em na czele.

Grenzschatz zostaje z terenu całkowicie usunięty, pozostaje jedynie nadal t. zw. „Sicherheitspolizei.” (Sipo).

Była to w zasadzie policja, lecz zupełnie wojskowo zorganizowana, złożona z dawnych podoficerów armji, bezwzględnych Niemców. Oficerowie tej policji byli również dobierani.

Aczkolwiek zatem zasadniczo aparat ten był podległy władzom międzysojuszniczym, to ze względu na ideowość i wyrobienie członków, wykonywał on skrupulatnie program obrony niemczyzny, za zasadę przyjmując aresztowania wybitniejszych jednostek, kontrolowanie organizacji polskich, a popieranie i organizowanie bojówek niemieckich przez dostarczanie broni i instruktorów.

To też aresztowania przez „Sipo” ogólnie z powodu zielonych mundurów, zwanych „zielonkami”, były na porządku dziennym. Interwencje w Komisji Międzysojuszniczej nie odnosiły przeważnie żadnego rezultatu, szczególnie w okręgach, gdzie kontrolerami powiatów byli Anglicy lub Włosi, przychylni naogół Niemcom.

Lecz mimoto stosunki były już o wiele lepsze niż za czasów Hörsinga. Istniał Polski Komisarjat Plebiscytowy w Bytomiu, widomy kierownik polskości, o który opierały się serca i nadzieje polskie.

Również dotkliwe ciosy P. O. W. w pierwszym powstaniu zmusiły dowództwo do reorganizacji, idącej w kierunku ściągnięcia zawodowych sił organizacyjnych i zwiększenia zakonspirowania.

Długi pobyt oficerów Głównego Dowództwa P. O. W. w Sosnowcu, a szczególnie Komendanta Głównego Zgrzebnioka zetknął ich ze starymi pracownikami Związków Strzeleckich, Legjonów i Polskiej Organizacji Wojskowej Królestwa. Tam zapoznali się z głębokimi metodami, które stworzył dla organizacji wojskowych Komendant Piłsudski. Te stosunki zniweczyły zupełnie na P. O. W. Górnego Śląska wpływy Poznańskiego, wlewając nowe życie i siły w ideowy śląski lud.

Działalność P. O. W. była solą w oku władz niemieckich, które niejednokrotnie współpracowały z kontrolerami angielskimi. To też za wybitniejszymi działaczami, jak Kornke, Paul i t. d., były rozsłane listy gończe, lecz zwykle z powodu przekupienia przez P. O. W. kilku członków policji, poszukiwania były bezskuteczne. Niejednokrotnie zdarzały się jednak krwawe starcia z członkami Sipo, jak w Karbie, Piekarach i t. d.

Z drugiej strony Niemcy wykazywali dużą agresywność. Szczególnie w miastach i powiatach nadodrzańskich, gdzie byli w przewadze, wykazywali swoje bohaterstwo w rozbijaniu wieców i prac kulturalno-oświatowych, napadaniu na siedziby polskich komisarjatów jak w Koblu, Głogówku, Strzeleckach. Zwłaszcza bezczelnym był w dniu 17. maja 1920 r. atak na hotel „Lomnitz” w Bytomiu, siedzibę Główn. Kom. Pleb., zorganizowany wspólnie z Sipo. Dzięki jednak bohater-

stwu 5-ciu wybitniejszych członków P. O. W., hotel nie został zdobyty, a Niemcy ponieśli dotkliwe straty.

Oprócz tego Niemcy zorganizowali bojówki, mające za zadanie mordować wybitniejszych kierowników polskości i jej przyjaciół. Z ofiar tych bojówek przypominam sobie, ś. p. Szczepnika, zamordowanego w Bytomiu, ojca 9-ga dzieci.

Były to jednak akcje drobne.

Dopiero zbliżanie się wojsk rosyjskich pod Warszawę w sierpniu 1920 r. sprowokowało Niemców do wystąpień, które skończyły się



„Grenzschutz” niemiecki znęcał się nad ludnością polską w bezlitośny sposób. Na zdjęciu tem widzimy jak polską ludność męską z okolic Katowic odprowadzają żołnierze niemieccy do koszar w Katowicach, gdzie ich następnie bezlitośnie katowano.

dla nich sromotną klęską. Dnia 19. sierpnia w Katowicach zmobilizowano blisko 10-cio tysięczny tłum, który wspólnie ze zorganizowanymi oddziałami t. zw. „Orgesch'u” miał rozpocząć powstanie niemieckie, zniszczyć żywiół polski i rozbroić Francuzów.

W Katowicach zamordowano Dr. Mieleckiego oraz spalono „Deutsches Haus” siedzibę Powiatowego Polskiego Komitetu Plebiscytowego. Z Francuzami poszło trochę trudniej, gdyż gen. Gratier, który objął dowództwo, w przeciągu 3-ch godzin samymi słowami zlikwidował powstanie.

Wypadki te jednak wywołały II. powstanie, które przyniosło klęskę Niemcom i zniesienie znielowanej Sipo, a zastąpienie jej partytetyczną policją plebiscytową.

Wyniki powstania drugiego zapewniły na Śląsku plebiscyt bez terroru administracyjnego. Warunki bezpieczeństwa dla Polski poprawiły się wydatnio. To też, aż do czasów trzeciego powstania w dn. 3. maja 1921 r., oprócz poszczególnych wypadków aresztowań, wywołanych może być nawet wrodzoną polską krewkością, nie mam do zanotowania żadnych poważniejszych wypadków męczeństwa polskiego.

Dopiero wybuch powstania trzeciego rozkiełznał zduszone dotąd uczucia nienawiści w Niemczech.

Przeciwko siłom powstańczym, które opanowały linię Odry, Niemcy wystawiły pod komendą gen. Hofera dobrze na sposób wojskowy zorganizowane oddziały Orgeschu, ściągnięte z Bawarii, oraz części przemundurowanej w cywila Reichswehry. Oddziały te na froncie zachowywały się w barbarzyński sposób. Rannych dobijano kolbami, bagnietami lub poprostu obcasami.

Niejakiego Romanowskiego, znaleziono wśród rannych pod Gogolinem, dobito wbijając mu 9 gwoździ kolbą karabinu w głowę. Z pojmanych do niewoli 24 członków kompanji z W. Dąbrówki pod górą św. Anny rozstrzelano 23, prócz jednego, który skoczył do wody i zdołał uciec. W opuszczonym przez powstańców Kędzierzynie zamordowano w straszny sposób 8 kolejarzy, których posądzano o polskość.

Powyższe fakty podaję jedynie dla charakterystyki, gdyż wszystkich pomordowanych i zaginionych zliczyć niepodobna.

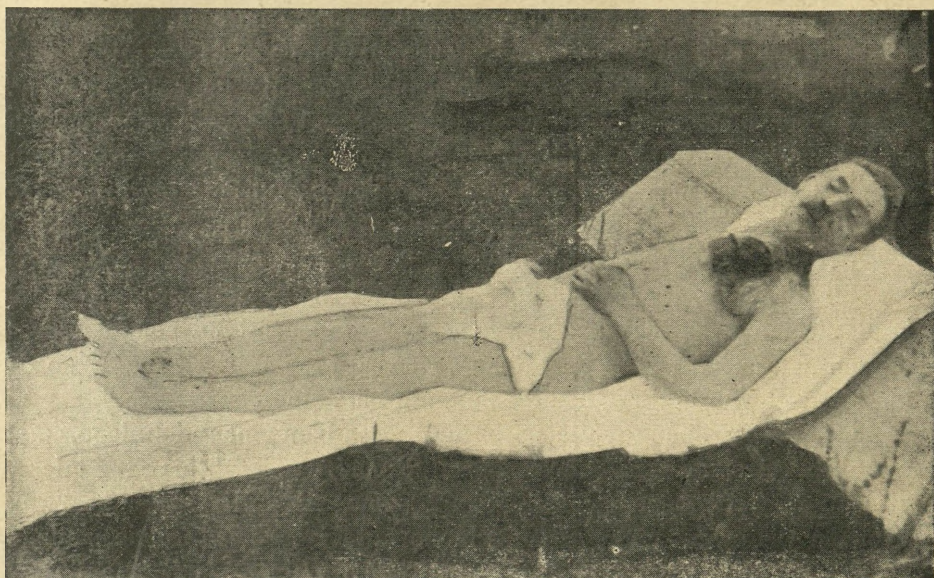
Na terenie opanowanym przez Niemców, po lewej stronie Odry, był szczególnie prześladowany polski element. Wszyscy Polacy wśród znęcań się nad nimi ludności i band cywilnych, zostali internowani w obozie koncentracyjnym w Chociebużu, lub punktach wysyłkowych Racibórz, Opole, Kluczbork, Nysa. Zwykłą niemiecką metodą dobytek i mienie rabowano i niszczone. Wśród ludności niemieckiej szerzono w systematyczny sposób wadomości o gwałtach polskich i w ten sposób rozpalano do białości szowinizm, który uzmysławiał się w napadaniu Heimatstreuer'ów na transporty więźniów polskich, bitych laskami i parasolkami bez litości.

Wiele z osób aresztowanych wówczas nie powróciło do swych domów rodzinnych.

Również wiele kobiet przez eskorty zostało zgwałconych. Niejednokrotnie zdarzały się wypadki zwierzęcego sadyzmu. Do obozu w Chocieburzu przywieziona została kobieta, której w organa płciowe

eskorta policji Schupo włożyła lufę od rewolweru, obracając nią do chwili, aż nieszczęśliwa zemdląca. Ofiara tej bezkarnej zbrodni, której nazwiska niestety nie można ustalić, podobno zmarła w chacieburskim szpitalu.

Postępowanie Niemców wywołane było bezsilną wściekłością wobec zwycięskich wyników III-go powstania, a zwłaszcza wobec skutków akcji oddziałów destrukcyjnych kpt. Wawelberga, które na terenie wybitnie niemieckim, po lewej stronie Odry, zniszczyły w ciągu jednej nocy, wszystkie połączenia kolejowe, w tem olbrzymi dwutorowy most pod Opolem.



Trup polskiego kolejarza, nieznanego z nazwiska, zamordowanego w Kędzieżynie podczas III powstania.

Wobec tych faktów opinia niemiecka widziała w każdym Polaku sprawcę, lub conajmniej współdziałającego w akcji wysadzenia mostów. Tymczasem właściwi sprawcy w dużej ilości nie zdołali przedostać się na polską stronę i dostali się w ilości około 15 ludzi do więzień niemieckich w Chocieburzu, Opolu i Nysie.

Szczęście dla Niemców było tak blisko, a jednak śledztwo w sprawie mostów nie znalazło nikogo ze sprawców, tak, że ci członkowie albo szczytą się noszeniem polskiego munduru, albo są pożytecznymi członkami społeczeństwa.

Od jednego z członków, który przeszedł gehennę obozu w Chocieburzu posiadam dokładny opis jego przeżyć, z którego wyjątki,

ze względu na opisy typowego niemieckiego barbarzyństwa, pozwa-
lam sobie zamieścić:

„Dwóch aresztowanych wprowadzono pod „parabellum” do młyna
parowego.

Zobaczyłem jedynie jakieś olbrzymie koło rozpędowe i transmi-
sję i zamroczyło mi się w oczach — chmara Niemców z nieludzkim
wrzaskiem i wyciem rzuciła się na nas z „gummenknüpplami” — za-
cząłem tracić przytomność i czucie, przestałem osłaniać głowę, bo od
razów omdlały mi ręce, wreszcie wrzask mego towarzysza zmusił mię
do ocknięcia się. Spojrzałem w jego stronę i zrozumiałem, że go chcą
Niemcy wrzucić do motoru, gdzie byłby zmiażdżony nieuchronnie.
Widziałem jak się uczeplił jakiejsz sztaby. Leżąc na ziemi, tratowany
i bity bez litości, odczułem w pewnym momencie, że wloką mię w tym
samym kierunku; zdołałem się po drodze uczeplić tej samej sztaby.
Chmara Niemców ciągnęła mię w stronę motoru, ja zaś ze wszystkich
sił opierałem się. Jakaś wściekła chęć życia, czy też rozpacz dodała
mi siły. Nierówna ta walka trwała długą chwilę, dopiero wejście ja-
kiegoś nadleśnego i żandarma przerwało katownię...”

Po rewizji rzucono ich na ławę.

„Nie upłynęło 15 minut, nie zdążyłem jeszcze ochłonać, gdy roz-
legły się ponowne nieludzkie wycia i wpadła do młyna banda uzbro-
jonych „stosstruppów”, rzuciła się na nas dwóch, — egzekucja zaczę-
ła się na nowo. Jaki miała przebieg, nie pamiętam.

Po 2-ch godzinach wyjechało auto, wsadzono nas do niego, po-
czem przyprowadzono jeszcze 6-ciu osobników, w których zdaleka
nie mogłem rozpoznać swych towarzyszy, tak byli zbici i pokrwa-
wieni. Wpakowano nas jak śledzie do auta i eskorta prawie siedząc
na nas, tratując nas swemi podkutymi buciarami i waląc gumami, po-
wiozła w niewiadomym kierunku.

Do stacji kolejowej z aresztu gminnego prowadzono nas w czwór-
kach, biegiem pod eskortą cyklistów. Bieg ten trwał 5 km. Wsadzony
transport do wagonu skierowano na Kluczbork.

W Kluczborku dostaliśmy naturalnie małe „łanie” od kolejarzy,
ale było to jeszcze do wytrzymania. Na każdej stacyjce po drodze
zatrzymywano się, — ludność oglądała nas, a każdy tłukł gumą w na-
sze głowy i ręce.

Eskorta z pobłażliwością traktowała te wyczyny, a czasem z iro-
nią nam przygadywała.

Dojechalismy do Oels i tu ściany dworca zatrzęsły się od wściek-
łych wyci tłuszczy, która gwałtem chciała nas żywcem dostać w swe
ręce. Drewniane ściany baraku, gdzie nas umieszczono czasowo, zda-
wało się, że nie wytrzymają naporu tłumu. Błdzi, ale spokojni i na

wszystko już przygotowani, oczekiwaliśmy z rezygnacją na dalsze nasze losy, oczekując z każdą chwilą, że tłum się wdrze do baraku i rozedrze nas w sztuki. Słyszałem przez ścianki wściekłe mowy podżegaczy i agitatorów, widziałem przez małe okienko przekrwione oczy meger niemieckich i wasserpolskich, słyszałem, jak zakrzywionymi pazurami drapały do drzwi i okien, aż się zachłystując od wściekłości, pragnienia krwi, ofiar i zemsty, od spazmatycznego ryku i histerycznego steku obelg, przezwisk i plugawych wyrażań.

Wreszcie ktoś ze straży wpadł na concept uspokojenia tłumu — donośnym głosem parę razy wrzasnął, że przed wejściem do pociągu



JĘDRASIK JÓZEF

*Komendant powiatu oleskiego w r. 1920
i więzień obozu w Neuhammer.*

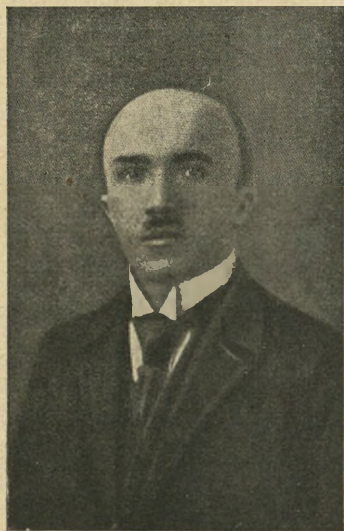


PYKA JAN

*Najstarszy organizator powiatowy P.O.W.
Górnego Śląska i więzień w Neuhammer.*

będą mieli sposobność pobawić się naszym kosztem. To cokolwiek uspokoiło i zadowoliło tłumy. Faktycznie straż przed odejściem pociągu ustawiła się w luźnych odstępach na przestrzeni 200 — 250 kroków i zaczęła nas puszczać pojedynczo poprzez tłum w kierunku pociągu. I tu jednak nikt z nas nie zginął. Nie pamiętam, kto poszedł pierwszy. Zobaczyłem po wyjściu las parasoli, lasek, prętów, sztab, sztachet, — być może było tego za dużo i łamało się o siebie. Pierwszy z nas zrazu chciał iść prędko, otrzymał jednak uderzenie, które nim zachwiała; zauważyłem, iż osłonił sobie rękami głowę i rzucił się jak pływak do wody, torując sobie głową drogę jak taranem. I tak szło po kolei szesćciu. Ile otrzymali razów, ile ran, o tem nigdy nie rozmawialiśmy.

Dzisiaj po 6-ciu latach jeszcze mną wstrząsa dreszcz. Jako clou teutońskiej zabawy wysłano na końcu dwu warszawiaków (jeden z nich był por. Helcman, jako przedostatni). Ja ruszyłem pędem, do-



GRZEGORZEK JÓZEF

Organizator główny pierwszego powstania śląskiego i więzień obozu w Neuhammer.

biegłem do połowy nie czując bólu, tylko jakiś nieustanny prąd, który przebiegał moje ręce i plecy. Do połowy czułem jeszcze w sobie siły, poczem tłum się zwarł, wyrwałem jakiś pręt i zacząłem tłuc wściekle na prawo i lewo, zauważyłem twarz jakiegoś eskortanta, który nie wiem dlaczego, zaczął walić kolbą nie mnie, lecz tłum dookoła siebie. Uczyniło się trochę luźniej. Okładany bezlitośnie dopadłem do drzwiczek pociągu, lecz otrzymałem cios szablą w głowę tak dotkliwie, że się zachwiałem i zwałem na ziemię. Błysnęła mi myśl: już po mnie. Ostatkiem sił podniosłem się i mimo zbitia binokli, dostrzegłem litościwą dłoń któregoś z towarzyszków, który nie bacząc na rany i ciosy, nie wahał się wyciągnąć ręki i wciągnąć mnie na górę. Ostatni z mych kolegów wyszedł z tych tortur najbardziej poszko-

dowany, dość, gdy powiem, że laski i parasole połamały się na nas, dla niego zostały pręty, gumy, sztaby i szpady. Jak wyglądała jego głowa? Wszystkie nasze chustki były nią skrwawione, a rąk podnosić nie mógł przez cały czas pobytu w więzieniu we Wrocławiu.

Transport z Oes odstawiono do więzienia we Wrocławiu, skąd po 5 dniach połączono go w ujeżdżalni Schutzpolitzei z transportem aresztowanych 80 Polaków z okolic Kluczborka i Opola. Tam szepciem opowiadano sobie o katuszach, o tem, że kilka transportów skatowanych odstawiono już do Chocieburza, o zabawach szupo, która każe kłaść się więźniom na ziemi i chodzi po nich ćwiczebnym krokiem, zwartym oddziałem.

Ostatnia masakra odbyła się w Cottbus. Tłum podszczuty przez agitatorów, opadł nas tuż przy wyjściu i gnał od stacji aż do samych baraków, które leżały opodal za miastem. Rozgrywały się tutaj sceny nie do opisanego, było 4 zabitych i prawie wszyscy ranni. W liczbie zabitych był radny z Koźła, niezawisły socjalista Stera, któremu kamieniem zmiażdżono głowę. Cudem otrzymałem tylko parę uderzeń,

gdyż gestykulując i wrzeszcząc biegłem razem z tłumem i dopiero w bramie ogrodzenia baraków dostałem parę uderzeń laską.

W taki barbarzyński sposób odbywały się wszystkie transporty uwięzionych Polaków, których przybyło jeszcze do Chocieburza 5-ciu tak, że razem ilość uwięzionych przenosiła 700 osób.

W Opolu znów władze więzienné wypuszczonych więźniów zostawiały w pośrodku specjalnie zwołanego tłumu, zamykając za nimi bramę, aby tłum mógł wyrzucić na nich swoją zemstę. Specjalnie w tych wypadkach odznaczały się Niemki, które z wrzaskiem: „Für unsere Brüder“ rzucały się na więźniów, bijąc ich parasolkami i kijami.

Czytając te opisy wierzyć się poprostu nie chce, aby to były rzeczy możliwe w wieku XX-ym w środku Europy i wśród Niemców, którzy butnie twierdzą, że niosą kulturę na Wschód. Barbarzyństwa powyższe w zupełności charakteryzują głąb duszy Prusaka — dzika jest i brutalna, z wierzchu jedynie pociągnięta cienką warstwą cywilizacji.

Również warunki, jakie panowały w obozie chocieburskim, nie przynoszą zaszczytu Niemcom. Ze względu, że tysiące górnoślązaków przewinęło się w różnych czasach przez takie obozy (Neuhammer, Lamsdorf, Cottbus), pozwolę sobie poniżej zamieścić opis tego osiedla.

„Obóz był to obszerny plac, dawniej plac wyścigowy, pokryty żwirem na którym rosły jedynie krzaki — trawy ani ujrzyć. Na czterech rogach stały wieżycy drewniane z karabinami maszynowymi, a piąta pośrodku. Wokoło placu stały baraki drewniane prowizoryczne, z dwupiętrowymi przyczmami wewnątrz, na które rozłożono nas pokotem jeden obok drugiego. Ścisk, ciemnota, wyziew kału, zaduch, brud i robactwo. Regulamin nakazywał, że od 18-ej do 6-ej drzwi baraku są zamknięte i nikt nie ma prawa wyjść pod groźbą zastrzelenia. Można sobie wyobrazić co się działo w małym baraku, który obliczony na 40 ludzi, mieścił w sobie blisko 100, przyczem bez żadnej pomocy sanitarnej. Na domiar nieszczęścia lato było tak upalne, że na piasku nie można było wyleżeć, gdyż prażył.

Przed barakami stała jedyna studnia artezyjska, koło której chlupaliśmy się lub praliśmy bieliznę przez cały dzień. Ran nam nikt nie opatrywał, leczyły się same wodą i słońcem i leczyły się,



BULA JÓZEF

*Pierwszy szef sztabu P.
O. W. Górnego Śląska
w obozie w Neuhammer.*

trzeba przyznać, skutecznie. Mężczyzn oddzielono od kobiet, które miały tylko o tyle mniej ohydne warunki, że ich mniej było na sali.

Baraki okalał drut kolczasty podwójny, pomiędzy drutami chodzili dozorczy, uzbrojeni w karabiny i upoważnieni do zastrzelenia każdego, kto się zbliży do drutów, — pozatem poszczególne grupy baraków, złożone z 3—4, też były otoczone drutem.

Jedzenie było wstrętne — tłusty flaps (grochówka), w której nie-rzadko znajdowały się robaki, kaszanka, rolmopsy dwa razy na ty-dzeń, kartoflanka na zmianę, chleba 300 gr. i rano i wieczór kawa.

Jedzenie przynosiliśmy sobie sami w olbrzymich sażanach w takiej coprawda ilości, żeśmy zjeść nie mogli, za to jednak żołądki nasze cierpiały tak, że lepiej o tem nie pisać.

Z kobietami obchodzono się łagodniej, za to wypadki zgwałcenia były na porządku dziennym.

Urozmaicaliśmy sobie dzień jak mogliśmy, gdyż poza apelem po-rannym i wieczornym pozostawieni byliśmy sami sobie, poza poszcze-gólnymi wypadkami wzywania na śledztwo.

Pamiętam, jak agent pruskiej policji trzymał w jednej ręce rewol-wer, w drugiej gumę, a w zębach nóż bawarski i kazał mi przyznawać się, że należę do powstania."

Kończę wyjątki ze wspomnień sądząc, że i powyższe wystarczą dla charakterystyki warunków i cierpień, jakie przeżywał śląski lud, nim nad nim zaświtało słońce Wolności.

Poprawa warunków w obozie chacieburskim nastąpiła dopiero na skutek demonstracji socjalistów i komunistów w Chocieburzu, którzy wzburzeni śmiercią Sterna i szykanami w stosunku do socjalistów, ża-dali zasadniczych zmian. Zupełne zwolnienie aresztowanych z obozu nastąpiło po dwumiesięcznym pobycie, po likwidacji III powstania przez zobopólną wymianę czerwonych krzyży. Został zorganizowany punkt wymienny w Raciborzu, skąd pod opieką delegata polskiego poszczególne transporty odchodziły do Lublińca, Goszadkowic i do domów. Jednak nie wszyscy. Dziesiątki jeńców skazanych przez sądy niemieckie jeszcze dotąd gniją w Niemczech, a nawet i w Polsce. Każdy czyn Niemcy potrafili przedstawić w formie pospolitego prze-stępstwa i nałożyć odpowiednią karę. Sądy polskie naturalnie respek-tować muszą te wyroki, gdyż są poparte powagą Komisji Międzyso-juszniczej, a faktycznego stanu, uprawniającego do rewizji, nie można już obecnie ustalić.

Charakterystycznym przykładem tego typu więźniów jest powsta-niec Górka Paweł z Czarnego Lasu (Nowy Bytom). Oskarżony w okre-sie III powstania o zabójstwo sierżanta angielskiego (który zresztą był na usługach wywiadu niemieckiego), i skazany, aczkolwiek winy

ściśle mu nie udowodniono przez sąd koalicyjny na śmierć, ułaskawiony na dożywotnie więzienie, dotąd odsiadyuje karę w więzieniu polskim, a wszelkie starania o zwolnienie go z więzienia pozostają bez skutku.

Lecz niedole poszczególnych osób nikną na Śląsku w powodzi nieszczęścia, które jak fala zalewa cały kraj i tysiące ludzi.



EMIL WIECZOREK

*Główny oskarżony w procesie lipskim w r. 1924
w więzieniu w Galnow (Pomorze).*

Oto powstanie skończone dnia 12 października 1921 r. Zapada decyzja Ligi Narodów o podziale Śląska; zdawałoby się, że tragedia skończona, że zaczynają się czasy spokoju i zablizniania ran. Ale krzyżak nie śpi. Po stronie przyznanej Niemcom zostają całe powiaty szczeropolskie, zostają gorące serca, przywiązane do swego kraju. Zniszczyć to zarzewie polskości — oto najpilniejsze zadanie niemieckie.

Dla tego celu mobilizują się skoncentrowane po majątkach niemieckich bandy orgeschu, rozdziela się na wsie z zadaniem usunięcia wszystkich Polaków terrorem. I zaczyna się orgja żołdactwa pruskiego nad bezbronną ludnością polską. Pijane i uzbrojone bojówki wpadają do domów polskich, biją i katują Polaków, niszczą sprzęty, rozpędzają lub uprowadzają bydło i drób. Zaczyna się systematyczny, przeszło pół roku trwający, okres terroru, posuwający się, po oczyszczeniu lewego brzegu Odry, coraz bliżej do okręgu przemysłowego. Polska jest bezsilna, koalicja bezczynna, tymczasem zdrowie i mienie Polaków ginie bezpowrotnie. Następnie masowa ucieczka ludności polskiej ze Śląska Opolskiego na teren Polski, padają organizacje, po bujnym życiu polskim pozostaje pustka. Liczba uchodźców przekracza 30.000 ludzi, straty przeszło 6 milionów mkp. W Gliwicach zostaje zamordowany podstępnie zasłużony działacz narodowy ś. p. dr. Styczyński.

Kres temu straszmemu terrorowi kładzie objęcie Śląska przez władze państwowe w dniu 21 lipca 1922 roku. Nic dziwnego, że Śląsk Opolski obecnie w głosowaniu wykazuje nadwyżkę głosów niemieckich. Polacy zostali wytępieni metodami Krzyżaków z średniowiecza.

Ale to nie wystarczyło Niemcom. Jeszcze w dwa lata później na Śląsku Opolskim pozostała garstka Polaków wytrzymać musiała nowe ciosy szowinizmu niemieckiego. Dawni uczestnicy powstań na polskim Śląsku utworzyli potężną organizację — Związek Powstańców Śląskich, owianą duchem patriotyzmu i oddania Ojczyźnie. Poszczególne jednostki z terenu opolskiego wpisały się przez koleżeństwo do powyższej organizacji, otrzymując legitymacje członkowskie. Było to ogromną lekkomyślnością, którą wykorzystały władze pruskie, aresztując na Śląsku Opolskim przeszło 130 osób i wytaczając im proces w Lipsku o zdradę stanu. Zdradą stanu był fakt znalezienia przy oskarżonych legitymacyj Związku Powstańców Śląskich. Z powyższych 130 ludzi głównym oskarżonym uznany został Wieczorek, skazany na 2^{1/2} lata twierdzy, następnie Buchta — 3 lata twierdzy i jeszcze 7-iu innych po 1^{1/2} roku i 6 miesięcy, osadzając ich w więzieniu Golnow na Pomorzu. Resztę oskarżonych częściowo zwolniono zupełnie, częściowo naznaczono lekkie kary z zaliczeniem aresztu prewencyjnego tak, że po wyroku zostali wypuszczeni.

Z powyższego widać, że na Śląsku Opolskim walka z polskością wre dalej. Szkolnictwo polskie szykanowane, prawie nie istnieje, rząd pruski uchwała kredyty na kolonizację niemiecką, władze administracyjne stosują w dalszym ciągu system szykan w stosunku do Polaków. Naprzeciw tego całego aparatu państwowego stoi mała garstka polska,

która mimo wszystko nie wyparła się języka i narodu swego. Udzielajmy jej chociaż moralnego poparcia troską i zainteresowaniem się jej losami.

Na Śląsku polskim słońce wolności świeci pełnym blaskiem. Okropne czasy przeszłości nie wrócą. Dzielny i twardy lud śląski stał się narówni z braćmi innych dzielnic podporą mocarstwowego stanowiska Polski. Polacy z innych dzielnic cierpiący za Wolność i Niepodległość po przeczytaniu tych kartek winni uznać Lud śląski godnym tego, aby w rodzinie polskiej był za swe cierpienia i ofiary, swoją twardą, ciężką pracę i swoją głęboką miłość Ojczyzny, — najbardziej drogim polskiemu sercu.

LISTA KOMITETU ORGANIZACYJNEGO ZJAZDU BYŁYCH WIĘŹNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914—1921.

PREZYDJUM:

Gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski (prezes), dyrektor Górecki Piotr, gen. bryg. dr. Górecki Roman, gen. bryg. Orlicz-Dreszer Gustaw, płk. dr. Kołłątaj-Srzednicki Jan, płk. dr. Wasserab Zygmunt, mjr. Lewin Maksymilian, dyr. Pruszkowski Roman, kpt. Śliwa Roman, por. Kusiński Bolesław.

CZŁONKOWIE:

Marszałkowa Piłsudska Aleksandra, majorowa Jaroszewiczowa, prezesowa Jaworowska, pułkownikowa Kołłątaj-Srzednicka, prezes Abram Adolf, płk. Barzykowski Stanisław, płk. Bold Jan Maciej, inż. Budzyński Jerzy, gen. bryg. Burhardt-Bukacki, kpt. Caspaeri-Chrząszczewski Tadeusz, inż. Czyż Witold, ppłk. Dojan-Surówka, radny Downarowicz Medard, rejent Dreszer Jan, prof. Uniw. Dyboski Roman, gen. bryg. Fabrycy Kazimierz, mjr. Felsztyński Stefan, prezes Filipowicz Feliks, nacz. Hołówek Tadeusz, dr. Jarecki W., dyr. Józefski Henryk, płk. S. G. Koc Adam, poseł Kościalkowski Marjan, dr. Krzewski-Liljenfeld S., płk. Krok-Paszkowski Henryk, płk. Koźmiński Julian, starosta Łopuski Zenon, ppłk. S. G. Maruszewski Artur, gen. bryg. Olszyna-Wilczyński Józef, podinspektor P. P. Plotnicki Jan, płk. Podgórski, gen. bryg. Przedziecki Wacław, kpt. Rogowski Bazyli, mecenas Rudziński M., nacz. Siedlecki Krzysztof, płk. Sikorski Bolesław, płk. Skotnicki Stanisław, redaktor Skwarczyński Adam, ppłk. S. G. Stawek Walery, gen. bryg. Stawoj-Składkowski, mjr. Tatkowski Rudolf, kpt. Wądołkowski Ignacy, płk. Wieniawa-Długoszowski Bolesław, gen. bryg. Wieczorkiewicz Wacław, gen. bryg. Trojanowski Mieczysław, dyr. Turowicz Feliks, gen. bryg. Zaruski Marjusz.



Prezydium Komitetu Organizacyjnego Zjazdu b. więźniów ideowych z lat 1914 — 1921.

(Posiedzenie w dniu 16.X 1927 r. z udziałem przedstawicieli Wojsk. Biura Historycznego).

Siedzą od lewej — gen. brigg. Stachiewicz Julian, gen. dyw. Sosnkowski Kazimierz, gen. brigg. Orlitz-Dresser Gustaw i gen. brigg. dr. Roman Górecki. Stoją od lewej — kpt. Roman Sitwa, pułk. dr. Zigmunt Wasserab, pułk. dr. Jan Kollątaj, dyr. Piotr Górecki, mjr. Makymilian Lewin, mjr. dr. Wacław Lipiński, por. Bolesław Kusiński.

SPIS NAZWISK

A.

Abramowicz — 89.
Adamiak-Kruk — 88.
Aleksandrowicz — 83.
Alter — 40.

B.

Bastgen — 230.
Babiański — 25.
Bartkiewicz — 185.
Bełzecki — 280.
Barlicki — 51, 85.
Bartak — 205, 206.
Barth — 1100.
Barzykowski — 193.
Baworowski — 227.
Belina-Prażmowski — 162.
Bełzecki — 280.
Benedykt — 248.
Beseler — 30, 138, 141, 148, 149, 150,
157, 171, 177, 179, 180, 187.
Bernstein — 186.
Białobrzęski — 185.
Biernacki-Dąb — 50, 68, 142, 143.
Biniszkiewicz — 280.
Biruta — 82, 83, 84.
Bielański — 213.
Blachaczek — 230.
Bobrowski — 228, 229.
Bobiński — 129.
Boczkarew — 269.
Bodzenta — 184.
Bogucka — 276.
Böldok — 254.
Brandys — 288.
Brauning — 262.
Briens — 24.

Brodzki — 280.
Brożych — 263.
Brusiłow — 116.
Brune-Selim — 230.
Buczyński — 185.
Bugajski — 184.
Budzyński — 16.
Bujak — 168.
Budkiewicz — 282.
Burhardt-Bukacki — 68, 147.
Buszczyński — 232.
Buła — 294, 303.
Buchta — 306.

C.

Cederbaum-Biały — 21.
Chmielewski — 97.
Charwat — 46.
Chelmicki — 80, 143.
Chrepińska — 109.
Chrzęszczewski-Caspaeri — 30, 32, 37.
Ciastoń — 186.
Ciepichali — 140, 144, 147.
Ciszewski — 25.
Cisowski — 185.
Cleinov — 142.
Cygańscy — 109.
Cybula — 96.
Cukerwar — 40.
Czarnocka-Majewska — 273, 276.
Czarnecki — 44.
Czajewski — 113.
Czermuczakewicz — 25.
Czernin — 184, 187, 188.
Czajka — 116.
Czajkowski — 119, 177, 186, 187.
Czosnyk — 185.
Czyż — 41, 42.

Czubiński — 147.
Czuryłło-Poreba — 230, 232.
Czuma — 249, 250, 254, 263, 271.

D.

Daszyński — 184, 187, 291.
Damroszówna — 35.
Danal — 289.
Danrot — 288.
Dąbkowski — 105, 121, 123, 142.
Dąbrowski — 223, 230.
Dąbrowski-Pfeifer — 265, 271.
Delianu — 92.
Deutschman — 89.
Dim — 269.
Długoszowski-Wieniawa — 252.
Długoszewski — 271.
Dłużniakiewicz — 121.
Dobrudzka — 246.
Dobruś — 271.
Dobrzyński — 275.
Dobrodzicki — 157.
Dostal — 238.
Downarowicz — 34, 48, 49.
Dobruś — 271.
Dreszer-Orlicz — 19, 37, 38, 101, 104,
106, 121, 123, 127, 132, 153.
Dreyza — 290, 293.
Drojowski — 147.
Drozdowski — 82.
Drymer — 132.
Dwernicki — 202, 206.
Dusoge — 84, 85.
Dzik — 184.
Dziech — 223.
Dziewulski — 99.
Dzieduszycki — 188.
Dziekanowski — 167.
Dzierżyński — 249, 252.
Dziurzyński — 171, 181.
Dunajewski — 269, 270.
Durkacz — 215.
Dubaj — 261, 264.
Dyboski — 254, 255, 260, 264.
Dybczyński — 278.

E.

Eustachiewicz — 186.
Erdman — 129.

F.

Fedorski — 213.
Fedorowicz — 274.
Fedorowicz — 23.
Fela — 154.
Feliś — 184.
Ferencowicz — 85, 86, 133, 134.
Filipowicz — 41, 166, 185.
Filipkowski — 103, 121, 153.
Filowicz — 264, 271.
Fech — 124.
Fojerek — 294.
Frenkiel — 159.
Fulin — 190, 191.

G.

Gajdzik — 294.
Gacka — 128.
Gallus — 92, 96.
Gąsiorowski — 278.
Galik — 201, 202.
Ganczarski — 46, 165, 166, 168, 183,
186, 188, 199.
Germanowa — 199.
Gigiel — 173, 181.
Gilowski — 108.
Giza — 186.
Gliwicz — 155, 156.
Głębocki — 270.
Głowiński — 183.
Głuchowski-Janusz — 37, 105, 106,
121, 127, 142.
Gnoiński — 143.
Gonela — 288.
Goliński — 143.
Gomulicka — 75.
Góra — 228, 229.
Górka — 304.
Górecki Piotr — 33, 37, 48, 131.
Górecki Roman — 194, 195, 196, 198,
199, 200, 203.
Gratier — 297.
Greszel — 181.
Grekowicz — 280.
Groszlik-Warski — 59, 73, 82, 83, 85.
Grodyński — 234.
Gruszecki — 271.
Grzegorzek — 293, 294, 302.

H.

Hager — 294.
Halibej — 245.
Haller — 127, 169, 171, 172, 174, 175,
177, 193, 194, 197, 199, 249, 252.
Halewiczowa — 274.
Hanum — 178.
Hanczak-Lauerman — 52, 84, 85.
Hańka — 111.
Hartman — 16.
Hauser-Ruszkowski — 186.
Hartfelder — 215, 220.
Halkiewiczowa — 274.
Hejdowa — 168.
Hellman — 193, 194.
Hempel — 37, 48, 131.
Hindenburg — 219.
Hofer — 298.
Hołojcki — 94, 95.
Howard — 270, 271.
Holówko — 113, 250.
Horenberger — 229.
Horyd-Trzerwic — 117, 118.
Hörsing — 292.
Hubicki — 261.
Hupeczyc — 230.

I.

Idanowski — 23.
Iwanowski — 228.

J.

Jadomski — 112.
Jakubski — 170.
Jamszczyk — 294.
Januszevska — 109.
Jankowski — 181.
Januszevska — 35.
Janiszewski — 168.
Jaroszewicz — 23, 24.
Jarecki — 283, 284.
Jaśkiewiczowa — 130.
Janin — 254.
Jaworska — 26.
Jarosz — 181, 184.
Jaroszewski — 185.
Jewdokimow — 24.
Jędrośnik — 294, 301.

Jędrzejewicz-Ordon — 48, 59, 73, 84,
85.
Jerniewicz — 280, 282.
Joppe — 38.
Judeyko-Cieszkowska — 111.

K.

Kamiński — 264, 270, 271.
Kalinowski — 85, 86, 110.
Kaplicki-Kapellner — 154, 197.
Kawa — 186.
Kaufman — 49.
Ketlinger — 116.
Kenig — 266.
Kieblerz — 186.
Kierkowski — 169, 177, 178, 186.
Kiereński — 25.
Kinic — 263.
Klimaszewski — 109.
Knapisch — 101, 151, 155, 197.
Knotz — 271.
Klaczynski — 129, 130, 133, 134.
Kleeberg — 184.
Kleszczyński — 165, 186, 190.
Kocęba — 109.
Kodlec — 263.
Kollerowa — 168.
Kosińska — 109.
Kowarski-Czarny — 82.
Kowalczyk — 184.
Kownack-Knoll — 142.
Komierowski — 252.
Kowalski — 37, 85.
Kota — 235.
Kotlarczyk — 186.
Kofczak — 253, 254.
Kołtataj-Szrednicki — 37, 101, 121,
132, 153.
Korfanty — 291, 292, 293, 294.
Korolewicz — 239.
Korczyński — 184.
Koraszewski — 288.
Kozłowski-Świt — 87.
Kossowska — 199.
Koziołkiewicz — 255.
Korff — 113.
Kczłowski — 280, 281.
Koza — 264, 271.
Krachelski — 23.
Klarsfeld — 166, 182.

Krajewski — 185.
 Krosicki — 282.
 Krassowski — 280.
 Kraus — 186.
 Krauze — 280.
 Kroterski — 17.
 Krzyczkowski — 171, 177, 178, 186.
 Krzaczyński — 147.
 Krzanowski — 238.
 Krzemieński — 167, 185, 187, 189, 212.
 Krzymuska — 199.
 Krzyżanowski — 284.
 Kwapiński — 155.
 Korzeniowski — 273, 274, 275, 276.
 Kwiatkowska — 48.
 Kwieciński — 202, 206, 230.
 Kucjuszówna — 82.
 Kudelska — 134.
 Kukiel — 171.
 Kurek — 85.
 Kublin — 184.
 Kulczycki — 208.
 Kusiński — 129, 133.
 Kulanrott — 180.
 Kustroń — 182, 183, 190.
 Kurowski — 185.

L.

Langieholz — 213, 222.
 Langier — 166, 185, 189, 190.
 Lenin — 249.
 Lechoń — 58.
 Lech — 282.
 Lema — 186.
 Lewandowski-Pług — 87, 235, 236.
 Lewartowski — 194.
 Lewin — 104, 121, 123.
 Liebbberman — 167, 168, 184, 187, 189,
 190, 202, 205.
 Lilienfeld — 59, 73, 83, 85.
 Ligoń — 288.
 Liguz — 213.
 Leś — 223.
 Lenczowski-Koźma — 226.
 Loewenstein — 202, 206.
 Lompa — 288.
 Lubomirski — 141, 142.
 Ludendorf — 219.
 Ludkiewicz — 280.
 Ludwigowa — 245.

Luksemburg — 29.
 Lutostawski — 290.
 Łapiński-Nilski — 147.
 Łaptaś — 271.
 Łasiński — 237, 238.
 Łepkowski — 288.
 Łempicka — 280.
 Łopuski-Kmicic — 87.
 Łopatkowa — 246.
 Łubieński — 280.
 Łucki — 186.
 Łuczyński — 167.
 Łuszczynski — 223.
 Łysakowski — 186.

M.

Maciejewski — 186.
 Machinko — 230..
 Magnuszewicz — 86.
 Malhoume — 280.
 Marchlewski — 40.
 Marek — 187.
 Matuszewski — 37, 130.
 Marcinkowski — 266.
 Masny — 233, 234.
 Mazurkiewicz — 261.
 Majewski — 121.
 Marchlewski — 187.
 Malinowski — 194..
 Malbrodzki — 133.
 Mazurkiewicz — 170, 171, 174, 177,
 182, 186, 186.
 Mąka — 186.
 Merwin — 224.
 Metelska — 274.
 Messing — 280.
 Meżyński — 167, 195.
 Merunowicz — 232.
 Marczyński — 186.
 Miarka — 288.
 Michnowicz — 228, 229.
 Mierzyński — 279, 280, 281.
 Minkowski — 135.
 Michalski — 213.
 Miszewski — 103, 104, 123, 153.
 Mikołajski — 253.
 Miksiewicz — 215.
 Mitrowicz — 92, 93, 94, 95.
 Miziewiczowa — 246.
 Mielecki — 297.

Młodecki — 185.
 Medwadowski — 271.
 Modelski — 235.
 Mokłowski — 154.
 Morawski — 290.
 Moraczewski — 46, 187.
 Mościcki — 168, 187.
 Morzkowski — 280, 281, 282.
 Mroczek — 234.
 Muśnicki-Dowbór — 198, 249.
 Mycielski — 231.

N.

Napieralski — 288.
 Naramowski — 101, 121, 123, 148, 153.
 Nardzewski-Ryll — 158.
 Neugebauer-oNorwid — 169, 170, 173.
 Niemczuk — 184.
 Niegowan — 217, 221.
 Noskowski — 168.
 Nowiński — 87, 89, 93, 94, 121, 154.
 Nowińska-Siła — 87, 88, 89, 99.
 Nowotny — 186, 189.
 Nowakowski — 84, 230.
 Nowosielski — 170.
 Nowodworski — 32.

O.

Olszewski — 270.
 Okołowicz — 167.
 Olszamowski — 104, 105, 121, 123, 125,
 126, 154, 155, 197.
 Olszewska — 109.
 Orliński — 228, 229.
 Orłow — 25.
 Osiński — 155.
 Ossowski — 103, 121.
 Osuchowski — 41.
 Ostrowski — 37, 104, 106, 121, 132,
 153.
 Ostrowski — 186, 202, 206.

P.

Plachel — 230.
 Paciorkowski — 23.
 Panaś — 188, 203.
 Paszkowski — 287.
 Paszkowski-Krok — 37, 121, 123, 127.
 Pawłowski — 109.

Paul — 296.
 Pawlak — 158.
 Perysty — 185.
 Picheta-Wolski — 117, 118, 119.
 Pieracki — 183.
 Piekarz — 266.
 Piekarski — 271.
 Piłsudski — 9, 11, 16, 17, 18, 33, 35,
 45, 46, 47, 48, 51, 54, 81, 87, 108,
 112, 125, 130, 133, 135, 139, 143,
 148, 149, 150, 154, 159, 160, 163,
 165, 180, 190, 231, 249, 276, 277, 291,
 296.
 Piętkowski — 266, 280.
 Philippi — 179, 180.
 Płotnicki — 249, 252.
 Płodowski-Zych — 147.
 Plebanek — 85, 133, 134.
 Poczobut-Odlanicki — 280.
 Podradzki — 231.
 Podnieśński — 134.
 Polakiewicz — 185, 189.
 Pollack — 17.
 Pomazański — 194.
 Pomarański — 35.
 Popowicz — 171, 172, 173, 174, 175.
 Poznański — 166, 185, 189.
 Procajłowicz — 230.
 Prędkie — 20.
 Prchaska — 223.
 Przeworski — 202, 206.
 Przedromirska — 274, 275, 276, 277.
 Przeździecki — 284.
 Prokopowicz — 260.
 Pruszkowski — 37.
 Przepiliński — 209.
 Puchalski — 59, 84, 85, 86.
 Pyka — 294, 301.

R.

Raczyński — 269.
 Raczkiewicz — 284.
 Rakowski — 67.
 Ratyński — 154.
 Recheński — 230.
 Rejsch — 294.
 Reuner — 60, 83.
 Retinger — 186.
 Rogowski-Surowiec — 240.

Rogalski — 194, 199.
 Rodkiewicz — 104, 121, 154.
 Rokicki — 271.
 Rond — 295.
 Romanowski — 298.
 Rotarski — 234.
 Rotstadt — 40, 51.
 Rotyński — 121.
 Ropp — 281.
 Rouppert — 50, 147.
 Rzegotek — 83.
 Rzymowski — 113.
 Rybicki — 23.
 Rymer — 290.
 Rydz-Śmigły — 154, 160, 180.
 Rysz-Paszek — 113, 114.
 Rylski-Ścibor — 169, 170, 171, 172,
 173, 175, 177.
 Rummel — 129.
 Rudka — 198.
 Rudolf — 228, 229, 230.

S.

Sakaluk — 213.
 Samochwałow — 25.
 Sapalscy — 109.
 Sapięha — 143, 156.
 Sawicki — 147.
 Schenert — 281, 282.
 Schultze — 30, 55.
 Schultz — 280.
 Schylling — 164, 186, 181, 182, 184,
 205, 206, 207, 227.
 Sikorski — 121, 166, 167, 182, 187, 189,
 249, 252.
 Sierpniewski — 191.
 Składkowski-Sławoj — 50, 68, 98, 144,
 150.
 Skrzywanek — 184.
 Skirgiełło-Jacewicz — 255, 263.
 Skotnicki-Grzmot — 37, 101, 104, 121,
 123, 127, 132, 153.
 Skwarczyński — 51, 85, 133.
 Skwirczyński — 228.
 Skwirski — 271.
 Sławek — 34, 46, 85.
 Słonimski — 58.
 Sławiński — 228.
 Smołuch — 271.
 Smółka — 288.

Staniszewski — 156.
 Sowiński — 166, 185.
 Sokół — 261.
 Sołtys — 290.
 Sokolnicki — 46, 47.
 Sozańska — 246.
 Sosnkowski — 9, 12, 47, 48, 49, 87,
 139, 150.
 Sosnowski — 280, 281.
 Stauffer — 213.
 Stabrowska — 98.
 Stalmach — 288.
 Staniszkisowa — 109.
 Sulkiewicz — 26.
 Szafranowski — 37, 104, 121, 127, 132,
 153.
 Szczerbińska-Piłsudska — 26, 27, 28,
 29.
 Stamirowski — 46.
 Stokłosiański — 186.
 Szturm de Sztrem — 23.
 Stachiewicz-Styk — 183, 184.
 Stasiewicz — 39, 91, 99.
 Stern — 202, 304.
 Stępczyński — 37, 131.
 Stęczyński — 306.
 Szałowski — 87.
 Szlezinger — 85, 133, 134.
 Szarota — 234.
 Szajewski — 101, 193, 104, 121, 123,
 153.
 Szerauc — 237.
 Szpotański — 33.
 Szeptycki — 129.
 Stankiewiczowa — 109.
 Stolarz — 264.
 Stępień — 119.
 Strzelichowski — 182, 186.
 Śliwiński — 47.
 Stachlewski-Dard — 157, 158.
 Stefański — 147.
 Syrov — 254.
 Sulistrowski — 147.
 Surówka-Dojan — 264, 269.
 Sujkowski — 155.
 Szafranek — 288.
 Szafarczyk — 294.
 Santruczek-Szalić — 228.
 Szuster — 186, 187.
 Szubert — 230.
 Szczygielski — 280, 281.

Szczepanik — 294, 297.

Śliwa — 212.

Świerz — 228.

T.

Tajner — 184.

Tarczyński — 113.

Tarnawska — 168, 186.

Tarnowski — 188.

Tatkowski — 193.

Terszt — 83.

Thomson — 104, 121, 154.

Thomsa-Zapolski — 104, 121, 154.

Thugutt — 33, 85, 133.

Tessaro-Zosik — 104, 106, 121, 132,
151, 153.

Terlecki — 170, 171, 175, 179, 181, 237.

Tokarzewski-Karasiewicz — 164, 186.

Tołwiński — 24, 25.

Trella — 184.

Trojnarski — 271.

Trojanowski — 84.

Trojanowski-Ryszard — 95, 96, 97,
104, 105, 106, 121, 127, 142.

Trojnowski — 271.

Tusch — 186.

Turowicz — 26.

Turkowski — 252.

Tuwim — 58.

Tyczka — 230.

Tyczka — 282.

U.

Urbański — 181.

Ustjanowicz — 205.

W.

Wadas — 177, 182, 186.

Warszawska — 59.

Wałęga — 171.

Wawelberg — 299.

Wądołkowski — 37, 48, 83, 131.

Wąsowicz-Dunin — 104, 121, 154.

Wereszczyński — 274.

Węgrzynowski — 165.

Wieczorkiewicz-Scaevola — 105, 121,
124, 127, 142.

Wilamowitz — 116.

Wiktor — 48.

Widner — 170, 173, 175, 176, 177.

Wilhelm — 86.

Włostowski — 59, 73, 75, 82, 83, 85.

Wilson — 293.

Witecki — 181.

Wilczyński-Olszyna — 157.

Wieczorek — 305, 306.

Więckowski-Erwin — 166, 182.

Więckowski Al. — 278.

Wierzchlejski — 198.

Wojciechowski — 35.

Wojciechowska-Czarnocka — 59, 83.

Woczyński — 110.

Wolski — 288, 290.

Worwa — 271.

Wrotnowski — 48.

Wrotnowski — 48.

Wrona — 170.

Wyszkowska — 25.

Wysłouch — 168, 187.

Z.

Zacharski — 186.

Zagrodzki — 50.

Zagórski — 149, 153, 164, 168, 169,
170, 171, 172, 175, 180, 181, 187, 183,
184, 188, 193, 194, 196, 197, 198, 203.

Zamszycki — 282.

Zaruski — 162, 184, 186.

Zajączkowski — 59, 84.

Zawadzki — 109.

Zawisza — 186.

Zdanowski — 87.

Zagrzebniok — 289, 292.

Zeidler — 188.

Zeidler-Wisłańska — 168.

Zieliński — 183, 190, 191, 192, 193, 195,
196, 199, 205.

Zinth-Rzecki — 104, 121, 127, 132, 153.

Zongołowicz — 264.

Żarski-Radoński — 147.

Żarnowski — 280, 281.

Zulauf — 182.

Żuławski — 165, 186.

Żeligowski — 273.

Żymierski — 193, 194, 195, 196, 198,
208.

JEDNOCZEŚNIE Z PUBLIKACJĄ, OMAWIAJĄCĄ DZIEJE
WIEŻNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914—1921 — UKAZAŁA SIĘ
NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH ZBIOROWA PRACA

P. T.

WIERNA SŁUŻBA

WSPOMNIENIA UCZESTNICZEK
WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ
1910 — 1915

POD REDAKCJĄ:

AL. PIŁSUDSKIEJ, M. RYCHTERÓWNY,
W. PEŁCZYŃSKIEJ, M. DĄBROWSKIEJ

Praca ta zawiera cały szereg wspomnień poświęconych udziałowi kobiety polskiej w walkach o Niepodległość. Znajdują się tam wspomnienia omawiające udział kobiet w przedwojennych organizacjach wojskowych, w Związkach i Drużynach Strzeleckich, a przede wszystkim opisujące niezwykle zaszczytną, bogatą i różnorodną działalność kobiety polskiej w czasie walk o Niepodległość. A więc praca w polskim wywiadzie, udział w walkach na froncie, praca polityczno-społeczna pod hasłem Niepodległości, organizacja szpitalnictwa, opieki nad żołnierzem, organizacja nad zaopatrzeniem walczących oddziałów—jednym słowem „Wierna Służba” obejmuje to wszystko co bohaterska i pełna poświęcenia kobieta polska czyniła dla powstającej w ogniu walk Niepodległej Polski.

PRZECZYTAĆ POWINIEN KAŻDY KOMU NIEOBOJETNE SĄ
DZIEJE POLSKICH WYSILKÓW W WYZWOLEŃCZYCH, KAŻDY,
KTO DUCHEM Z WALKĄ O NIEPODLEGŁOŚĆ JEST ZWIĄZANY

SKŁAD GŁÓWNY

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA
WARSZAWA, UL. NOWY-ŚWIAT 69

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

SZLAKIEM I BRYGADY

DZIENNIK ŻOŁNIERSKI

MJR. DR. WACŁAWA LIPIŃSKIEGO

Autor, wstąpiwszy do I Brygady Leg. Pol., jako młody skaut, przeszedł wszystkie jej dole i niedole od pierwszej bitwy do chwili rozwiązania brygady. Z podziwienią godną systematycznością notował swoje przeżycia i spostrzeżenia od chwili wybuchu wojny, przez co pamiętnik jego, jako dokument chwili, nabiera niezwykle znaczenia: daje całość w sobie zamkniętą, ciągłą i niezwykle szczegółową.

Książka obszernych rozmiarów — przeszło 330 stron formatu „Bellony” — wydana jest przepięknie na bezdrzewnym, ilustracyjnym papierze i ozdobiona przeszło 80 fotografiami z życia Legionów, z których znaczna część nie była jeszcze nigdzie reprodukowana. Okładkę zdobi fotografia rzeźby prof. Jana Raszki, przedstawiająca czterech piechurów legionowych w marszu, z doskonale wystylizowanymi czcionkami tytułu.

Na końcu zestawiony indeks 800 nazwisk legionistów, o których jest mowa w treści, świadczy wymownie, iż dzieło to będzie nieodzowną pamiątką dla każdego byłego legionisty.

CENA 10 Zł.

DO NABYCIA

W GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ

WARSZAWA, UL. NOWY-ŚWIAT 69.

„SZOPKA BENJAMINOWSKA”

W związku z dziesiątą rocznicą internowania Komendanta i Jego żołnierzy wydał komitet zorganizowany przez kpt. Romana Śliwę „Szopkę Benjaminowską” oraz przygotował do druku wychodzące w Benjaminowie w 1917/18 r. pismo satyryczne p. t. „Sprzymierzeniec”. Obydwa powyższe wydawnictwa nie były dotychczas publikowane drukiem; z perspektywy ubiegłych dziesięciu lat żywe te i barwne wspomnienia, zaprawione „leguńskim” humorem, posiadają dzisiaj dużą wartość historyczną.

Autorem treści obu powyższych wydawnictw, oprócz dwóch wierszy Józefa Relidzińskiego, jest ppłk. Wacław Biernacki, dowódca 38 p.p.; karykatury i ilustracje, które obydwie wydawnictwa zawierają bardzo dużą ilość, wykonywali: gen. Burhardt-Bukacki, gen. Młodzianowski i płk. Cz. Jarnuszkiewicz. Lalki do „Szopki Benjaminowskiej” oraz budynek i scenkę szopki wykonano według planu kpt. Golińskiego. Zdjęcia fotograficzne lalek robił mjr. Ciepichał.

„Szopka Benjaminowska” wystawiona była w Benjaminowie dwukrotnie w roku 1917 i 1918 oraz w marcu 1919 roku w Belwederze w obecności Komendanta.

„Sprzymierzeniec” ukaże się w sprzedaży w pierwszych dniach grudnia b. r.

SKŁAD GŁÓWNY:

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA WARSZAWA





30874/2